

JULIE ANNE  
**LONG**

*Ocean  
pocafunków*



Roman historyczny

*Long Julie Anne*

*Pennyroyal Green 04*

*Ocean pocałunków*

*Violet Redmond jest piękna i bogata, lecz jej kaprysy skutecznie odstręczają konkurentów. Rozpieszczona dziewczyna nie martwi się tym zbytnio; nie spotkała jeszcze mężczyzny, który nie byłby śmiertelnie nudny.*

*Kapitan Flint, nowy hrabia Ardmay, o którego morskich przygodach i miłosnych podbojach szepczą damy, wydaje się wprost stworzony, by sprostać jej oczekiwaniom. Violet nie wie jednak o nim wszystkiego. Flint zaś nie wie, że Violet zamierza zdobyć jego względy nie tylko dla jego skandalicznej reputacji...*

## *1*

Wygląda jak znudzony lew, który wyleguje się wśród stada gęsi. Pozwala im się stroszyć, aż podejmie decyzję, którą z nich chciałby wziąć na ząb.

Panna Violet Redmond wpatrywała się znad wachlarza w mężczyznę, który niedawno otrzymał tytuł hrabiego Ardmay, a swój werdykt skierowała do trzech osób: pięknych, jasnowłosych sióstr Hart, Millicent i Amy, które bez tchu spijały z jej ust każde słowo, oraz młodej mężatki, lady Peregrine, cierpiącej katusze za każdym razem, kiedy Violet znajdowała się w centrum zainteresowania. Co zdarzało się bezustannie - była wszak piękną, rozkapryszoną córką wpływowego bogacza, pana Isaiaha Redmonda.

No i niewątpliwie dlatego młoda mężatka, lady Peregrine, powiedziała:

- Na ząb, panno Redmond? Ja wołałabym go wziąć pomiędzy uda. Panny Hart ukryły za wachlarzami westchnięcia i frywolny chichot.

Violet - ziewnięcie.

Zająły najlepszy punkt obserwacyjny w sali balowej lorda i lady Throckmortonów. Jak zawsze, było tłoczno. Hartowny trzymały się Violet, ponieważ chciałyby nią być. Lady Peregrine jej nie odstępowała, ponieważ chciała być z nią widziana. Jak zwykle, nawet w ścisłym panującym w sali balowej, Violet miała pełne rozeznanie, kto jest obecny, a kogo nie ma. Byli jej rodzice, Isaiah i Fanchette Redmondowie, a także jej brat, Jonathan. Najlepsza przyjaciółka Violet, Cynthia, i drugi brat, Miles, którzy niedawno się pobrali, zostali w Pennyroyal Green, w Sussex.

Oczywiście najdotkliwiej odczuwała nieobecność najstarszego brata, Lyona, złotego chłopca londyńskiej socjety i dziedzica fortuny Redmondów; rok temu zniknął, nie wzięwszy ze sobą niczego poza ubraniami, które miał na grzbiecie, oraz własnoręcznie wykonaną skrzyneczką z różanego drzewa, należąca do niego od lat chłopięcych. Przyczyna jego nieobecności była aż nadto widoczna - Olivia Eversea, najstarsza córka rodziny Eversea z Pennyroyal Green odwiecznych, osobistych wrogów Redmondów. Stała po drugiej stronie sali, szczupła, blada i odziana w dodającą jej powagi zieleń. Olivia zawsze była poważna, w niektórych sprawach wręcz śmiertelnie poważna. Z pasją angażowała się w walkę o szczytne ideały. Pamflety przeciw niewolnictwu rozdawała nawet w pubie Pod Świnia i Ostem w Pennyroyal Green, ku pobłażliwemu zdumieniu właściciela pubu Neda Hawthorne'a. Olivia była na balu, a Lyona nie było, ponieważ Olivia złamała Lyonowi serce. Wszyscy zaś mówili, że tak oto wypełnia się klątwa - w każdym pokoleniu potomkowie rodziny Eversea i Redmondów zakochują się w sobie, a skutki tego są dla nich katastrofalne.

Violet stwierdziła, że musi przestać wpatrywać się w Olivię bo w przeciwnym razie wypali jej wzrokiem dziurę w sukni.

- Nie możemy sprawiać wrażenia, że plotkujemy. - Panna Amy Hart była nowicjuską w towarzystwie, więc uznała, że należy coś takiego powiedzieć.

- Oczywiście, że musimy sprawiać wrażenie, że plotkujemy. Jak inaczej uda nam się ich zastraszyć i trzymać w niepewności?

Wszystkie wyraziły zgodę energicznym przytaknięciem głową, ale żadna nie zrozumiała ironii kryjącej się w słowach Violet

- Dlaczego lew? - zapytała Millicent. - Dlaczego nie niedźwiedź albo dzik?

- Dzik ma kopyta, głuptasie - napomniała ją zniecierpliwiona siostra. - Trudno go uznać za romantyczne stworzenie.

Chociaż nie mam wcale pewności, czy hrabia jest romantyczny. Wygląda, jakby zawsze miał taką groźną minę.

Podobno jest dzikusiem. - Wzdrygnęła się teatralnym gestem.

- Wiem, dlaczego! To przez jego włosy. Są... płowe. - Millicent westchnęła przy ostatnim słowie.

- Płowe? - zwróciła się do niej lady Peregrine, udając zaniepokojenie. - Naprawdę powiedziałaś „płowe”, Millicent? Tylko nie mów, że cię nie ostrzegałam, iż poezja zrobi ci z mózgu kaszę. Już używaś słów takich jak płowy. Wydaje mi się, że słyszałam też, jak któregoś dnia powiedziałaś „pajęczynowy woal”, żeby opisać poranną mgłę. Czyżbym się przesłyszała?

Millicent ze wstydem zwiesiła głowę, by przyznać, że to prawda.

- Moja droga, on ma włosy brązowe. I ma ich za dużo. Ale, oczywiście, rozumiem, z czym masz kłopot. O, tu, robią ci się zmarszczki, Millicent. - Lady Peregrine wskazała swoje nieskazitelnie gładkie kąciki oczu - Moim zdaniem od mrużenia oczu. A może potrzebne ci szkło powiększające, żeby go wyraźnie zobaczyć?

Wszystkie z zaciekawieniem spojrzały na Millicent, która opuszkami palców już sprawdzała wyimaginowane zmarszczki.

- Naprawdę, przyjrzyj mu się jeszcze. Zmruż oczy, jeśli musisz, nam to nie przeszkadza, prawda, proszę pań? Zobaczysz, że prawdziwy z niego brutal. Nadzwyczaj potężnej budowy. Podobno urodził się w Ameryce. Za rodziców miał zapewne niedźwiedzia i Indiankę.

- Co to za wymyśla? - oburzyła się Millicent.

- Szkoda dla niego tytułu, bo podobno nie ma zamiaru zamieszkać na angielskiej ziemi, ale król miewa swoje kaprysy. Co o tym myślisz, Violet?

Violet wiedziała, że celem tej wymyślnej gadaniny jest zrobić na niej wrażenie i ją zszokować, ponieważ wszyscy wiedzieli, jakie to trudne. Naprawdę była tak znudzona, tak zmęczona niekończącymi się balami, przyjęciami i wszystkim, co z tym związane, że miała wrażenie, jakby jej organy wewnętrzne przestały funkcjonować z powodu braku bodźców. Jedynym, co powstrzymywało ją od zaśnięcia, była zapiekła, choć bezosobowa nienawiść do kobiet, które przy niej stały. W tej chwili myślała: chyba niebieskie.

Sala balowa gorzała od świateł. Płomienie mnóstwa świec w lampach i kandelabrach odbijały się od jedwabi, taft i klejnotów, od wypolerowanego mosiądzu i marmuru, roztaczając wokół oślepiającą poświatę. A kiedy nowy hrabia Ardmay spojrział w ich stronę, jego oczy zalśniły odbitym światłem jak fasety klejnotów. Tak, na pewno są niebieskie.

- Podobno zasłużył na tytuł jakimś bohaterskim czynem - powiedziała tylko.

Takie krążyły pogłoski, ale fakty trudno było ustalić. Jego Królewska Wysokość Jerzy IV wskrzesił dawny, zapomniany tytuł i pomachał nim przed nosem rodzinom Eversea i Redmondów, a potem zrobił zadziwiający unik i nadał go tajemniczemu kapitanowi Flintowi, który podobno wychował się w Ameryce, a urodził w Anglii. Bez wątplenia króla nieźle bawiło, że nadarzyła się okazja, aby upokorzyć potężne rody Eversea i Redmondów. Chyba nie miał wielu innych sposobów, aby utrzyć im nosa.

Wachlowała się leniwymi, wystudiowanymi spokojnymi ruchami dłoni. Jej sokołooka matka, która teraz zajęta była konwersacją z przysadzistą, zdobną w turban lady Windemere, natychmiast by poznała, że jej córka planuje jakieś psikusy wymierzone w młodzieńców błękitnej krwi. Patrzyli oni na nią ze wszystkich zakątków sali cielecym, choć niepozabawionym czujności wzrokiem, mając podszytą lekką obawą nadzieję, że ruchem wachlarza da im sygnał, że zaprasza ich do towarzyszenia jej.

Księgi z zakładami u White'a były pełne najrozmaitszych spekulacji co do następnego wybryku Violet Redmond. Minęło niemożliwie dużo czasu od ostatniego. Wszystkie były cudownie ekscytujące i godne upamiętnienia, jak na przykład ten, kiedy podczas kłótni z konkurentem do jej ręki zagroziła, że wskoczy do studni, a potem przełożyła jedną nogę przez cembrowinę i siłą trzeba było ją odciągnąć za łokcie. Innym razem wyzwalała na pojedynek mężczyznę. Między tymi wybrykami prezentowała nieskazitelne, wykwintne, przynależne jej urodzeniu maniery, co sprawiało, że wszelkie od nich odstępstwa były jeszcze bardziej podniecająco szokujące.

Tylko lekkomyślni ryzykanci robili zakłady o to, kto ją w końcu poślubi. Wielu próbowało się do niej zalecać.

Wszyscy ponieśli fiasko. U niektórych próby, a potem klęska miały wymiar spektakularny. Dla młodzieńców błękitnej krwi z londyńskiej socjety Violet Redmond była jak El Dorado. Ale ich przerażała.

Nowy hrabia naprawdę jest wysoki, stwierdziła, choć nie przesadnie. W sali jest jeszcze kilku mężczyzn, którzy mu dorównują wzrostem.

Bez wątplenia jest potężnie zbudowany.

O ile jej brat Miles Redmond również jest potężnie zbudowany, a jego sylwetkę można porównać do skały, gdyż ma w sobie coś niezniszczalnego, ale wtapia się w tło i staje jego częścią, tak że czasem

można go w ogóle nie zauważyć, o tyle hrabia Ardmay natychmiast rzuca się w oczy. Trudno dokładnie stwierdzić, na czym to polega. Dłonie trzyma splecione za plecami; jedno kolano ma luźno ugięte. Ale przecież większość mężczyzn w sali przyjmuje podobną postawę podczas konwersacji. Jego ubranie jest znakomicie skrojone i konwencjonalne: jasnobrązowe spodnie, biały fular, czarny surdut i subtelne grafitowe paski na kamizelce.

Jednak emanującą z niego namacalną wręcz pewnością siebie, zwierzęcym zaufaniem do własnego ciała rzuca podświadome wyzwanie wszystkim mężczyznom w tej sali.

Nie wspominając już o tym, jak zaburza powszechne wyobrażenie o męskiej urodzie u wszystkich zgromadzonych pań.

Krótko mówiąc, jest jak koń trojański, którego wtoczono na środek sali balowej. I z całą pewnością nie pasuje do angielskiego krajobrazu.

- Ta groźna mina... on naprawdę wygląda jak dzikus - na głos rozważała Violet. - Powinien spróbować się uśmiechnąć. Ciekawe, czy ma wszystkie zęby. Czy któraś z was podeszła do niego tak blisko, żeby się o tym przekonać?

Ustały, że żadna z nich nie widziała jeszcze zębów hrabiego, i być może należy którąś wysłać, żeby mu się przyjrzała, a jeśli tylko się uda, nawet z nim zatańczyła.

- Mnie podoba się ten groźny wyraz twarzy. Wygląda, jakby stał na dziobie statku i mrużył oczy przed słońcem, a wiatr morski rozwiewał mu do tyłu włosy - rozmarzyła się Amy Hart.

- Ale porywcy mężczyźni są złymi tancerzami - odezwała się Millicent.

Violet nie mogła pozwolić, aby taka brednia przeszła bez echa. Odwróciła się i wbiła wzrok w Millicent.

- Na miłość boską - powiedziała z wielkim politowaniem. Millicent sprawiała wrażenie odpowiednio speszzonej.

- Och! Pozwólcie mi, że opowiem wam, co mi wiadomo o rozmiarach męskich ud i jak to świadczy o męskiej sprawności - nalegała lady Peregrine, no bo przecież minęły całe trzy sekundy, odkąd ostatnio stanowała ośrodek zainteresowania. Panny Hart zwróciły głowy w jej stronę i nieco się pochyliły, ponieważ lady Peregrine jako młoda mężatka wiedziała coś, o czym one nie miały pojęcia.

Nadal brzęczały niczym osy nad gnijącymi owocami, aż Violet poczuła się tak senna, jakby naprawdę była na pikniku i mocno przygrzewało słońce. Rozmarzyła się, że jest gdzieś daleko stąd. Nie tak dawno temu z bratem Jonathanem oraz z dwójką przyjaciół, Cynthią i lordem Argosym, wybrali się do Cyganów, którzy rozbili obóz na obrzeżach Pennyroyal Green, żeby im powróżyli. Oczywiście usłyszała, że odbędzie daleką podróż po wodzie. A potem młoda Cyganka, Martha Heron, wykrzyknęła coś bez sensu. Jakieś francuskie słowo. Zapewne nazwisko. Violet zareagowała tylko wzniesieniem oczu do góry. Panowało ogólne przekonanie, że Cyganka Martha Heron jest niemądrą dziewczyną i zbytnią flirciarą, co na pewno nie wyjdzie jej na dobre.

Ale w tej chwili Violet chętnie udałaby się w długą podróż dokądkolwiek, byle znaleźć się poza salą balową.

- Jeśli chcecie zobaczyć naprawdę przystojnego, niezwykle wyrafinowanego mężczyznę, przyjrzyjcie się pierwszemu oficerowi hrabiego. Widziałyście go? Podobno jest francuskim arystokratą, który wszystko stracił podczas rewolucji, a teraz musi służyć dzikusowi, bo ten ma tytuł! Nazywa się lord Lavay. - Lady Peregrine aż paliła się, by udowodnić, że wie wszystko o nowych członkach londyńskiej socjety.

Violet gwałtownie obróciła się w stronę lady Peregrine i utkwiała w niej tak przenikliwe spojrzenie, że ta aż zbladła. Wszystkie przyglądały się Violet i z zapartym tchem wyczekiwały jakiejś rewelacji.

- C-coś panią trapi, kochanie? - z trudem wykrztusiła po chwili lady Peregrine.

- Może pani powtórzyć jego nazwisko? - Violet była nienagannie uprzejma.

Lady Peregrine odzyskała równowagę i aż drżała w słodkim oczekiwaniu na jakiś skandaliczny wybryk.

- Stać mnie na więcej, panno Redmond - zamruczała. - Chciałaby pani być mu przedstawiona?

- Wyglądają jak hieny schylone nad padliną - zauważył Flint, zwracając się do lorda Lavay, kiedy ten wrócił z kieliszkiem likieru.

Lavay podążył wzrokiem za spojrzeniem hrabiego ku stojącym w kółeczku młodym kobietom.



- Tak się składa, że to ty jesteś tą metaforyczną padliną - wesoło potwierdził lord Lavay, jego pierwszy oficer. - Dużo usłyszałem, kiedy nalewałem te pomyje. Szczerze mówiąc, ona powiedziała...

- Która ona?

- Ta ładna blondynka. - Lavay niewyraźnie wskazał kierunek brodą.

- Wszystkie są ładne - stwierdził Flint, poirytowany. Była to prawda. Wszystkie były jasnolice, czyste, pachnące, zadbane, wytworne. Śliczne, śliczne, śliczne. Na sposób angielski. Każdy kraj ma własną wersję kobiecej urody, a on widział ich więcej niż przeciętny człowiek.

- Ta jasna blondynka, na wschód od wejścia, obok rzeźby jakiegoś zniewieściałego... chyba Rzymianina, jak sędzę. Ma niebieską suknię, a ze stroika na głowie wystaje jej pióro. Kiedy nalewałem sobie tego... tego... - Zabrakło mu słów, więc tylko ze smutkiem popatrzył na likier, ale po chwili kontynuował: - Usłyszałem, co mówi, i niestety muszę tu zacytować, że słyszała, jakoby rozmiar męskich ud bezpośrednio wiązał się z męską... użyła słowa „chlubą”, ale takim tonem, że znaczenie było jednoznaczne, i jeśli to prawda, to chluba lorda Ardmay przyprawi o wstyd nawet Courtenaya.

Chwilę milczeli, zdeprymowani, zastanawiając się nad godnym szacunku, ale niebezpiecznym paradoksem natury, jakim jest angielska kobieta. Damy wydawały się równie roztrzepotane i kruche jak ich wachlarze, a ich rozmowa - pozornie - zadziwiała uprzejmą skromnością. Jednocześnie swymi kruchymi wachlarzami przesyłały prowokacyjne znaki na drugi koniec sali, a fiszbinę tak podnosiły im nad dekolt piersi, że te wyglądały jak perły wystawione na inspekcję tureckiego paszy. Wystarczyło raz tęsknie spojrzeć na nieodpowiedni biust, by podпиты, nadmiernie ustosunkowany lord zaczynał wykrzykiwać o pojedynku na pistolety o świcie. Jedno trafne słowo i pełne zachwyty spojrzenie, a można było dostać zaproszenie, aby w jakiejś alkwie podczas proszonego obiadu podciągnąć zwiewną spódnicę ładnej arystokratycznej wdowy i rozpląnąć się w przyjemnościach, ulokowanych między jej udami. Flint doświadczył jednego i drugiego podczas kilku pierwszych dni pobytu na angielskiej ziemi. W pierwszej sytuacji złożył przeprosiny, a w drugiej z przykrością, lecz uprzejmie odmówił.

- Nie wiem, który z dżentelmenów jest tym Courtenayem - cicho dodał Lavay, gdyż w świetle usłyszanej opinii niemożliwe było nie zastanawiać się, kto to jest.

W czasie, gdy Flint spotykał się z królem w sprawie swojej misji i uczestniczył w kilku nudnych, wydanych na jego cześć obiadach z udziałem ludzi, którzy oczywiście zazdrościli mu wskrzeszonego przez króla tytułu - urodził się bowiem w Anglii jako bękart, a dorastał w Ameryce jako zabijaka - Lavay zwykle bawił w bardziej przyjaznym środowisku burdelu Aksamitna Rękawiczka.

Flint przez moment zatęsknił za swoją kochanką z Maroka, Fatimą, która miała oczy jak roztopiona czekolada, lekko haczykowaty nosek i proste, niespotykanej długości czarne włosy.

Fatima zaginała paluszek jednej ręki, a drugą odsuwała kotarę, która oddzielała jej salon od pachnącej kadzidłem sypialni. Na tym kończyły się symboliczne gesty, którymi się z nim komunikowała. A potem wchodziła na niego, albo on na nią, i cudownie spoceni w całkiem jednoznaczny sposób spędzali ze sobą popołudnie. Zdaniem Flinta, tylko społeczeństwa, w których ludzie nie dość czasu spędzają na uczciwej, ciężkiej pracy, poddają się niepotrzebnym i zawiłym konwenansom.

Prawda była następująca: w wieku trzydziestu dwóch lat, po prawie dwóch dekadach podróży po morzu, gdy jadał i spał na statkach, w więzieniach i pałacach, targował się o życie z książętami i rozbójnikami, łapał przestępców dla okupu, zdobył i stracił niejedną fortunę, nowo mianowany hrabią Ardmay kapitan Flint, bękart krwi mieszanej, korsarz i kupiec, miał swoje miejsce wszędzie i nigdzie. Nic nie robił pod czyjeś dyktando. Był w pełni panem siebie. Mężczyźni na sali balowej mogli wszyscy iść do diabła - nie zależało mu na nich. Chciał tego, co oni przypuszczalnie uważali za rzecz oczywistą: szansy założenia dynastii. Czegoś naprawdę własnego, by odnaleźć swoje miejsce na ziemi.

Potrzebował ziemi, fortuny i żony. Ziemia, a dokładniej - plantacja, której zapragnął, znajdowała się w Nowym Orleanie, Fatima ujdzie jako żona, bo dba zarówno o jego przyjemności, jak i o wygodę, ale fortuna ciągle mu umykała, a sprzedawca plantacji coraz bardziej się niecierpliwił.

Dwa tygodnie temu wszystko się odmieniło.

Jeszcze raz przeklął swoją fatalną wadę, przez którą znalazł się teraz na sali balowej - nigdy nie potrafił pozostać obojętny, gdy trzeba było komuś przyjść na ratunek. Zakotwiczył statek w Hawrze i zastanawiał się, jak odzyskać fortunę, która znacznie się skurczyła, bo sztorm zniszczył ładunek przewożonego statkiem jedwabiu. Właśnie wtedy przypadkiem w porcie uratował młodego, pijanego dżentelmena od obrabowania przez rzezimieszków. Okazało się, że wdzięczny młodzieniec jest ukochanym kuzynem lady Conyngham, metresy angielskiego króla. Wiadomość o bohaterstwie Flinta, które sprowadzało się do szybkiego zdobycia szpady i postraszenia rabusiów - choć co prawda było ich dwóch, a Flint jeden - dotarła do niej przez znajomego Flinta, hrabiego Heberta z Hawru.

Tak oto król dowiedział się o Flincie i jego talencie do zdobywczych wypraw. Stwierdził, że za jednym zamachem może przypochnie-bić się kochance i rozwiązać problem, który przysparzał Koronie kłopotów na morzach.

Zapropował, że wskrzesi wspaniały angielski tytuł i ofiaruje go Flintowi. Flint musi tylko schwytać pirata, znanego jako Le Chat, który krążąc wzdłuż wybrzeży Europy, rabował i zatapiał statki handlowe, a wśród nich znalazło się kilka angielskich. Tytuł może sobie od razu zatrzymać, podobnie jak przynależne do tytułu rozległe grunty, z których będzie mógł czerpać stały dochód, ale których utrzymanie sporo kosztuje.

Nagroda finansowa będzie jednak zależała wyłącznie od tego, czy pirat zostanie oddany w ręce sprawiedliwości.

Propozycja była więc diaboliczna. Ogromnie pociągająca, doprawdy: praktyczna, zależna od kaprysu losu i okrutna. Flintowi bardzo się spodobała.

Ale ją odrzucił.

Był opuszczonym przez wszystkich, nikomu niepotrzebnym dziesięcioletnim chłopcem, gdy zaopiekował się nim kapitan Moreheart ze statku „Steadfast”. Dał mu dom, cel w życiu i wiedzę, niezbędną, aby stać się takim mężczyzną, jakim był teraz. Od dziesiątego roku życia niczego nie robił pod czyjeś dyktando. Słuchał tylko siebie. Nie zamierzał wykonywać niczyich rozkazów i teraz, nawet jeśli dyktującym był król Anglii i jeśli za jednym zamachem mógłby zdobyć wszystko, czego chciał.

Oczywiście, gdyby poniósł porażkę, byłby skończony.

Król pochlebiał mu. Flint odmawiał. Król się przymiłał. Flint odmawiał.

Zdumiony król uciekł się do drobnych pogrózek. Flinta to bawiło, ale nie bał się i odmawiał. Kiedy usłyszał, że król dostał małego ataku szału, gra zaczęła mu się naprawdę podobać.

Ale wtedy Le Chat zatopił statek „Steadfast”.

Wiadomość ta dotarła do Flinta wieczorem. Siedział właśnie ze swoją załogą w pubie w Hawrze. Znieruchomiał i mocno zacisnął dłoń na kuflu z piwem. Wokół rozlegały się rubaszne śmiechy. Z zaskoczeniem stwierdził, że wiadomość podziałała na niego tak, jakby ktoś postrzelił go w brzuch. Kapitan Moreheart, człowiek o żelaznym charakterze, choć siwiejący i trapiiony podagrą, ale nadal bystry i nieznoszący sprzeciwu, pełen godności... z przytkniętą do pleców szpadą, został zmuszony przez tego cholernego pirata, aby zejść do łodzi i wypłynąć ze swoimi ludźmi na wzburzone morze, na którym czekała go niechybna śmierć.

A za jego plecami „Steadfast” rozpadał się w proch i pył, roztrzaskany ogniem z pirackich armat.

Dlatego właśnie Flint zgodził się zostać hrabią Ardmay.

Teraz zaś wielka połać angielskiej ziemi, w skład której wchodzi stuletni dwór, wisi nad nim jak marchewka, ale także jak miecz Da-moklesa.

Pół godziny temu, niespokojnie przechadzając się po zatłoczonej sali balowej, pogrążony w myślach o powierzonych mu misji i o kapitanie Moreheartcie, podszedł do drzwi na taras i lekko je uchylił. Na dworze wichur wył jak zagonione w róg ranne zwierzę i pachniało zaczadzonym od węgla Londynem oraz morzem. Jego szkuner, „Fortuna”, stał tam na kotwicy. Następnego dnia wiatr będzie chyba łagodniejszy, a oni najwcześniej jak się da wypłyną z jego niewielką, lecz wierną, a kiedy trzeba, bezlitosną dla wroga załogą.

Wszyscy byli lojalni, prócz jednego. Może Flint jest teraz hrabią, ale obowiązki kapitana pozostały te same, a są one niezliczone, przyziemne i często denerwujące.

- Udało ci się, Lavay, znaleźć kogoś na miejsce Rathskilla między jednym a drugim, nazwijmy to, miłosnym uniesieniem w Aksamitnej Rękawiczce?

Rathskill, zupełnie się nie sprawdził na stanowisku pomocnika kucharza, więc musi odejść, zanim ich kucharz, Hercules, straci

wszelką cierpliwość i wrzucił go do maszynki do mielenia mięsa. Rathskill był leniwy, niedbały, i wszyscy, oniemiała ze zdumienia, przyglądali się okruszkom ciasta przylepionym do jego ust, kiedy z ręką na sercu łągał w żywe oczy, pytany o kradzież racji żywnościowych. Bezczelnie chełpił się swoim rzekomym doświadczeniem w kuchni na statku, robiąc z Flinta i Lavaya głupków.

Żaden z nich nie mógł sobie na to pozwolić. Nigdy.

Lavay westchnął.

- Rozmawiałem z kilkoma ludźmi w porcie, ale nikt się nie nadawał. Może będziemy mieli więcej szczęścia w Hawrze. Co najmniej tam dopłyniemy bez pomocnika kucharza.

- Hercules nie będzie zadowolony.

Słowo „niezadowolenie” niezbyt dokładnie opisywało przypuszczalną reakcję Herculesa. Kucharz był drobnej postury Grekiem i niezadowolenie wyrażał... jak w operze. Wszystkim emocjom dawał ujście w stylu operowym.

- Skoro mówimy o niezadowoleniu, Flint, masz taką groźną minę, że kwiaty w promieniu pięćdziesięciu kroków mogłyby od niej zwiędnąć. Jesteśmy na balu i przypomnij sobie, że dostałeś tytuł, a nie wyrok odsiadki w tureckim więzieniu. Bóg wie, że zrobiłem, co mogłem, aby nauczyć cię manier godnych dżentelmena...

Flint prychnął.

- ...i naprawdę powinieneś spróbować się uśmiechnąć. Dowiedz się, hrabio, że jedna z tych dam nazwała cię dzikusiem.

Dzikus. Nawet po tylu latach na dźwięk tego słowa poczuł się tak, jakby ktoś do pleców między łopatkami przytknął mu zimny czubek rapieru.

- Która?

- Brunetka, ta w niebieskim.

Flint łatwo zlokalizował ową brunetkę. Stała w grupie pań, o których wspomniał Lavay, ale teraz lekko się od nich odseparowała. Milczała. Włosy miała upięte do góry, z wyjątkiem kilku misternie zakręconych loków, opadających aż do brody. Miała delikatne rysy, z wyjątkiem zdecydowanie wydatnych ust. Jej suknia była w rzadko spotykanym odcieniu błękitu, z wystarczająco dużym dekoltem, by odsłonić bardziej niż ładny biust. Długą szyję zdobił zawieszony na łańcuszku, rzucający błyski pojedynczy klejnot. Wachlarz poruszał

się pod jej brodą tak leniwie, jakby ręka, która go trzymała, należała do kogoś innego.

Ale oczy miała inteligentne, żywe, a kącik wydatnych ust zapadł się w grymasie ironicznej pogardy. Kim tak gardziła?

Sobą? Towarzyszkami? Wszystkimi na sali?

To śmieszne, ale Flintowi przyszedł na myśl on sam.

- Ta dama jest śmiertelnie znudzona. A mogę się założyć, że nie ma nic bardziej groźnego dla mężczyzny niż znudzona, rozpieszczona, bogata angielska dama.

- Nie przyjmuję zakładu, Flint. Miłe mi życie.

Kobieta, o której mówili, i ładna blondynka z piórkiem oddzieliły się od grupy i zaczęły iść wyraźnie w ich kierunku.

Po drodze dołączył do nich angielski dżentelmen.

- Ech, do diabła. - Lavay był rozbawiony. - Dla odmiany postaraj się, hrabio, wyglądać jak człowiek cywilizowany, bo mam przeczucie, że jednak będziemy zmuszeni zatańczyć z Angielkami.

- Przepraszam cię, Lavay - mruknął Flint. - Jestem pewny, że to wszystko przez moje imponujące uda.

2

Zgodnie z obietnicą lady Peregrine udało się dopiąć tego, aby zostały przedstawione lordowi Lavay i lordowi Flintowi, a to dzięki kuzynowi jej męża, który nowo przybyłych poznał już wcześniej. Kuzyn stwierdził, że hrabia i lord Lavay czują się zobowiązani poprosić panie do tańca, po czym szybko się ulotnił.

Orkiestra zagrała melodyjnego walca. Mężczyźni i kobiety wokół nich rozpięchli się i zawirowali w tańcu.

Lord Lavay z szacunkiem uklonił się w stronę Violet i lady Peregrine.

- Byłoby mi naprawdę niezwykle miło, gdybym został zaszczycony tańcem z...

- Cała przyjemność po mojej stronie, lordzie Lavay - gładko odparła lady Peregrine i podniosła dłoń, by ująć jego rękę.

Dłoń na chwilę zawisła w powietrzu, a blask świecznika zamigotał w błękitnych klejnotach bransoletki. Wszyscy spojrzeli na młodą mężatkę ze zdziwieniem, a Violet - z niechęcią.

Lady Peregrine ledwo zauważalnie, triumfująco uniosła kształtną brew.

Lavay, jak przystało na dżentelmena, którym miał nieszczęście być, z gracją ujął dłoń damy i poprowadził ją do tańca.

Violet przyglądała im się w milczeniu, kipiąc oburzeniem.

- Panno Redmond?

Lavay - to krzyknęła do niej Cyganka. Bez wątpienia pojawienie się kogoś o nazwisku Lavay w sali balowej, kiedy właśnie umierała z nudów, było ważnym znakiem.

- Panno Redmond? - usłyszała ponownie. Okręciła się na pięcie, nieomal spłoszona.

Górujący nad tłumem hrabia grzecznie skłonił przed nią głowę, a kiedy się wyprostował, wyciągnął rękę i wyczekująco uniósł brwi.

Obrzuciła go szybkim spojrzeniem i nasunęło jej się skojarzenie z klejnotami. Jego twarz przypominała kunsztownie cięty na fasety szlachetny kamień: wysokie, płaskie policzki, kanciasta, twarda jak diament szczęka. Uparta broda, wysokie, szerokie brwi, nos o dumnym zarysie. Piękne, wytwornie wykrojone usta. Z pewnością Indianin. Łatwo było sobie wyobrazić, że płynie w nim indiańska krew. Zwłaszcza kolorytem skóry zdecydowanie różnił się od Anglików. Zdradzał też jego niezbyt arystokratyczne pochodzenie. Skóra była złotawa raczej niż jasna, a kiedy się opalił, pewnie stawała się jeszcze ciemniejsza, a nie spalona słońcem na czerwono.

Ale świetnie tańczył walca.

Kiedy delikatnie, zgrabnie ujął jej dłoń w swoją rękę, a drugą położył na jej talii, poczuła, że traci oddech, jakby wciągał ją jakiś przedziwny wir. Biła od niego nieuchwytna, potężna moc i kusilo ją, aby zarówno mu się przeciwstawić, jak i poddać. Ale jako że była sobą, Violet Redmond wybrała to pierwsze, a nie drugie, i natychmiast zaczęła wprowadzać to w życie.

A niech to. Przecież to Lavay, a nie ten hrabia, ją interesuje.

Rozejrzała się ponad ramieniem hrabiego i natknęła się na triumfujące spojrzenie lady Peregrine. W wirze walca szybko straciła ją z oczu, ale kilka razy spiorunowała wzrokiem tył głowy lady Peregrine.

- Nie gryzę.

Głos hrabiego zabrzmiał jak echo grzmotu. Violet aż podskoczyła.

- Słucham?

- Patrzyła na mnie pani tak, jakby się zastanawiała, czy jej nie ugryzę.

Miał ciekawy akcent: amerykański, rozkazujący, ale ogładzony rodzajem arystokratycznej angielszczyzny. R wymawiał miękko. Zupełnie jakby wchłoniął coś z melodii języków wszystkich ziem, po których podróżował.

- Nie, przyglądałam się... innemu zadziwiającemu widokowi.

- Zastanawiała się pani, ile mogę mieć par oczu?

- To zauważyłam dosyć szybko, proszę pana.

- Aha. Więc patrzyła pani na coś za moimi plecami. Rozumiem -stwierdził ze zdystansowanym rozbawieniem. - Co można powiedzieć o wieczorze, podczas którego złe maniery zdają się wnosić powiew świeżości?

Wyrzekł te słowa cichutko, prawie zamruczał pod nosem.

Violet rzadko zdarzało się oniemić, więc było to dla niej nowe doświadczenie. Podniosła na niego wzrok. Miała rację co do jego oczu. Były niezwykle. O barwie niebieskiego bezchmurnego nieba z otoczką nieco ciemniejszego błękitu. Gęste rzęsy miały złociste końce, ponieważ tak często padało na nie słońce. W kącikach oczu widniały po trzy zmarszczki, jak słoneczne promienie na jej dziecięcych rysunkach. Chyba mrużył oczy, kiedy z pokładu patrzył w słońce.

- A nie zastanowił się pan nad tym, że insynuację, jakobym miała złe maniery, można uznać za grubiaństwo? - odparła nieco szorstko.

Rozbawiło go to.

- Zakłada pani, że zależy mi na tym, co pani o mnie pomyśli. Zamrugła. Cóż to za mężczyzna?

Uniósł brwi. No, więc? Wyzwał ją na słowny pojedynek. Ale nadal sprawiał wrażenie zdystansowanego i pełnego rezygnacji. Jakby naprawdę nie miał nadziei, że Violet zdoła go trochę rozerwać.

Ona zaś naprawdę miała wykwintne maniery i umiała je okazywać, więc stwierdziła w duchu, że powinna choć trochę się postarać, aby go oczarować. W końcu był hrabią, kapitanem statku... i być może opowie jej coś o Lavayu.



- Podoba się panu Anglia? Zaśmiał się krótko. Najeżyła się.

- Nie miałam zamiaru być dowcipna.

- A banalna? - zapytał uprzejmie.

- Nigdy w życiu nie byłam banalna - oburzyła się zdziwiona Violet. Pochylił się do przodu i obrócił nią w kółko.

Bardzo zgrabnie jak

na tak potężnie zbudowanego mężczyznę. Jakby był rydwanem, a ona wybrała się na zawrotną przejażdżkę.

Przysunął ją do siebie nieco bliżej, niż wypadało. Poczowała zapach krochmalu i czegoś ostrego i czystego: pewnie było to mydło i odrobina perfum. Przed oczami miała najbielszy fular, jaki kiedykolwiek widziała, może z wyjątkiem tego, który nosił lord Argosy. Nagle przytłoczyła ją świadomość rozmiarów i siły tego mężczyzny.

- Proszę to udowodnić - mruknął jej do ucha, schyliwszy głowę. A po chwili znów wyprostowany, wykwinął uprzejmie, wirował

z nią w dobrze znanym jej tańcu, który nagle, z powodu partnera, wydał jej się zadziwiająco obcy. No cóż.

Była zszokowana.

Niemniej jednak... miała niezwykle poczucie, że hrabia świetnie bawi się tą sytuacją. Patrzył na nią, ale jakoś dziwnie... bez zaangażowania... nawet kiedy z gracją sunęli w tańcu, nawet kiedy jego dłoń w mocnym, ciepłym uścisku obejmowała jej talię. Podejrzewała, że już ją ocenił, zaszufladkował i spokojnie odrzucił, a teraz najwyraźniej bawił się nią jak zabawką, którą się popycha w nadziei, że potrafi zrobić coś więcej niż tylko poruszać się i mówić. Żeby walc był ciekawszy dla niego przez ten czas, kiedy musiał znosić tę nudę.

- W Anglii istnieje zwyczaj, że to dżentelmen powinien zabawiać w tańcu swoją partnerkę - powiedziała z delikatną ironią. - Może tak długo był pan na morzu, że zdążył o tym zapomnieć.

Natychmiast zaczął udawać skrucę.

- Chyba ma pani rację. Podczas mojej nieobecności stałem się dzikusiem.

Zmrużyła oczy.

Nie odwrócił wzroku.

Przez chwilę dali się nieść muzyce.

- Nie wypada podsłuchiwać - upomniała go w końcu.

- Nie podsłuchiwałem - rzucił lekko.

- No to nie wypada wysyłać szpiegów, żeby dla nas podsłuchiwali. A najwyraźniej pan to zrobił.

To mu się spodobało. Rozbłysły mu oczy. Z aprobatą mocniej przycisnął dłoń, którą trzymał na jej karku. Było to nowe doznanie -zaskakujące, niemal intymne.

- Nie jestem pewny, czy „nie wypada” jest odpowiednim słowem. Naprawdę usłyszano to przypadkiem. Ale skoro jest pani ekspertem w sprawach etykiety, proszę mi przypomnieć. Czy wypada plotkować?

Ten człowiek to diabeł. A jednak strasznie ją korciło, żeby się roześmiać.

- To na mój temat plotkowano - odparowała po chwili. Obrzuciła go spod półprzymkniętych powiek zalotnym spojrzeniem, które zwykle powalało mężczyzn na kolana. Przeważnie, kiedy posłużyła się tą bronią, następnego dnia znajdowała bukiety ciepłarnianych kwiatów na progu.

Nie do końca był na to odporny. Dostrzegła błysk w jego oczach.

- A pani jest całkiem niewinna, panno Redmond? - Ściszył głos. Usta wygiął w sardonicznym grymasie. Znów lekko uniósł jedną brew. Tym razem była to nieomal pogrożka: Bardzo proszę mnie nie zanudzać.

Jeśli miała to być sztafeta we flircie, właśnie przekazał jej pałeczkę.

Violet poczuła dobrze znane podniecenie, które czuła, kiedy ktoś rzucał jej wyzwanie. Rzadko nie dawała się złapać na taką przynętę.

Wspięła się na palce, aby wyszeptać do jego ucha, zbliżając usta bardziej, niż to wypadało, tak blisko, że wiedziała, że owionie go jej zapach i będzie czuł na uchu jej oddech. Teraz i ona poczuła jego zapach: ostry, czysty, wzmocniony ciepłem jego ciała i bliskością.

- A co pan o tym sądzi?

Natychmiast, po raz pierwszy, od kiedy zaczął się walc, udało jej się skupić na sobie całą jego uwagę.

Znów nie była pewna, czy tego chce. Czuła się, jakby ktoś podał jej coś gorącego i kazał za długo trzymać. Wzrok miał obezwładniający. Nie było w nim ani trochę błagania, które zazwyczaj widziała w męskich twarzach. To on ją oceniał z bardzo konkretnego punktu widzenia. Oczy powiódł po jej oczach, ustach, dekolcie, i szybko,

śmiało oszacował ją jako kobietę, a to sprawiło, że urwał jej się oddech w przyływie przedziwnie cudownego uczucia zagrożenia, choć palce świerbiły ją, aby go spoliczkować.

Potem uśmiechnął się zdawkowo, niemal lekceważąco, i, ponownie podejmując taneczny pias, oderwał od niej wzrok.

Nagle zastygł bez ruchu.

Porzucił ledwie zaczęty flirt, jak chłopiec, który rzuca zabawki, kiedy usłyszy wołanie na obiad. Szczeka stwardniała mu jak granit, a ręka, którą ujmował ją w talii, zadrżała z napięcia. Chwycił jej palce nieco mocniej, niż powinien.

Cóż, na Boga, zobaczył?

Poruszyła palcami. Mimowolnie rozluźnił uścisk.

- Panno... - Spojrzał na nią z roztargnieniem i odwrócił wzrok ku rzeczy lub osobie, która tak przykuła jego uwagę.

Czyżby zapomniał, jak się nazywa? Zacisnęła zęby, aby nie opadła jej szczeka.

- Redmond - przypomniała mu z przesadną słodyczą.

- Oczywiście. - Złagodniał. Jeszcze raz przelotnie, lecz grzecznie na nią spojrzeł, jakby chciał ją przeprosić. Potem zwrócił się w stronę tego, co tak go zaintrygowało. Podobne spojrzenie widziała u lisa, który polował na nornicę. Tuż przed atakiem.

A potem potrzasał łupem, aż do złamania mu karku.

- Wydaje mi się, że znam mężczyznę, który tańczy z damą w żółtej sukni. Jeśli się nie mylę, to pan Hardesty. Zna go pani?

Dopiero gdy wyciągnęła szyję, udało jej się podążyć za jego wzrokiem.

Nie wiadomo dlaczego, ręce zlodowaciały jej w rękawiczkach. Patrzył na jej brata Jonathana.

- Wydaje mi się, że dżentelmen, na którego pan patrzy, to Jonathan Redmond. Jest moim bratem.

Hrabia znowu skupił na niej uwagę. Na widok wyrazu jego twarzy straciła oddech, jakby dźgnął ją w mostek oskarżającym palcem. Poczula, jak hrabia siłą woli się rozluźnia. Napięcie go opuściło.

- Czy pani brat, pan Jonathan Redmond, nie jest przypadkiem kupcem? - mówił łagodnym tonem. - Kapitanem statku?

Nie spuszczał Jonathana z oczu, nawet kiedy prowadził ją w takt walca. Raz, dwa, trzy, Raz, dwa, trzy... Czula się całkiem zbyteczna.

Nagle stała się tylko osobą, dzięki której hrabia mógł w sali balowej śledzić jej brata.

Jonathan, który jak wszyscy mężczyźni w jego wieku obdarzeni przez los dobrym wyglądem, pieniędzmi i perspektywami na przyszłość, uważał się za osobę fascynującą, właśnie wesoło rozmawiał z partnerką. Tańczył z nią walca, a ona promieniała.

- O, mój Boże. Nie. Jonathan mieszka z rodziną w Pennyroyal Green i w Londynie. Z rozrywek korzysta w Londynie i w Sussex, a gdyby kiedykolwiek postawił stopę na statku, zapewniam pana, że bez przerwy by się tym chwalił.

Jonathan nigdy nie interesował się morzem. Być może pozna pan go jeszcze dzisiaj. Jestem pewna, że przy bliższej znajomości stwierdzi pan, że jego podobieństwo do pana Hardesty'ego nie jest aż tak duże.

Chciała go uspokoić. I chronić Jonathana. Hrabia zachował chłodne milczenie.

Zaczynała się czuć jak statek sterowany ku morskim głębinom. I choć Violet Minęła nowych doznań, akurat bez tego chętnie by się obyła.

- Nie jest „podobny” do pana Hardesty'ego - wyjaśnił, jakby mówił do nierozgarniętego dziecka. - Mógłby być jego bliźniakiem.

Rozmowa zaczynała ją niepokoić. Jej dłoń nerwowo zadrżała w dłoni hrabiego. Prawie odruchowo mocniej ją uściśnął. Jak gdyby tylko on decydował o tym, czy i kiedy ona może od niego odejść.

- Zapewniam pana, że Jonathan nie ma brata bliźniaka, sir - powiedziała zgryźliwie.

Nad jego ramieniem poszukała wzrokiem Lavaya, któremu obiecała następny taniec, i z ulgą stwierdziła, że rozbrzmiewają ostatnie nuty walca, lady Peregrine zaś wygląda na zadowoloną z partnera, a nie wzburzoną lub poirytowaną.

- Czy pan Hardesty jest żeglarzem, jak pan? Chwila wahania.

Potem hrabia uśmiechnął się z chłodnym dystansem. Ku jej zdziwieniu na ten widok wszystkie włosy na karku stanęły jej dęba.

- Przypuszczam, że można tak to ująć.

Ta odpowiedź nie zachęcała do następnych pytań o pana Hardesty'ego i o to chyba chodziło.

Nagle stracił zainteresowanie rozmową.

- Długo będzie pan jeszcze w Londynie? - zapytała.

- Przed świtem wracamy na statek i wypływamy tuż po wschodzie słońca.

Zdawkowa odpowiedź.

- Płynie pan do...

- Hawru. - Krótko i zwięźle.

Wkrótce walc, na szczęście, się skończył. Pięknie skłonił przed nią głowę, demonstrując tym razem nienaganne maniery, ona dygnęła, po czym przekazał ją nadchodzącemu lordowi Lavay, z takim samym żalem, jakby podawał mu wazę z zupą.

Obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że kłania się lady Peregrine i grzecznie staje do następnego walca. Lady Peregrine szybko odwróciła się do Violet i dyskretnie dotknęła palcem swoich zębów, dając jej znak: ma wszystkie zęby!

Violet wątpiła, aby hrabia w ogóle zapamiętał, jak się ona nazywa.

### 3

Wkrótce stało się jasne, że po hrabim Ardmay monsieur Lavay będzie jak balsam.

Na początku podziwiali się nawzajem w milczeniu. W jego wyglądzie nie było nic dwuznacznego. Faliste, złote włosy, podłużne, srebrne oczy, orli nos, elegancko zarysowane usta. Szerokie ramiona. Nie był wąski w biodrach jak hrabia, ale też nie gruby. Wysoki, ale nie przytłaczał wzrostem. Elegancko wysoki. Nie dominował nad innymi. Nad wyraz przystojny mężczyzna. W jego obecności poczuła się trochę tak, jakby znowu oddychała świeżym powietrzem po przyprawiającej o zawrót głowy atmosferze, która zapanowała podczas jednego tańca z hrabią. Miał w sobie nieco znużoną powściągliwość. Być może nabył jej, obserwując głowy przodków toczące się z gilotyny podczas rewolucji we Francji.

- Jak się panu podoba Londyn, lordzie Lavay? - spróbowała rozpocząć rozmowę. Uznała, że to uprzejme pytanie jest jak najbardziej odpowiednie. Uprzejme, a nie banalne. - Długo pan tu jest?

- Zawinęliśmy do portu zaledwie dwa tygodnie temu. Niestety, bardzo żałuję, panno Redmond, że już jutro znów musimy rozwinąć żagle.

Powiedział to lekko, balansując na granicy flirtu. Ostatnie zdanie odnosiło się jednoznacznie do niej. Podtekst czytała z jego oczu.

Violet z aprobatą skinęła głową i lekko uśmiechnęła się, by dodać mu otuchy. Bardzo dobry początek.

Oczy monsieur Lavaya rozbłysły. Ucieszony, przyjął zaproszenie do flirtu.

- Był pan już kiedyś w Londynie, monsieur Lavay?

- W innych okolicznościach, wiele lat przed wojną. Jesteśmy tu w służbie króla. Poza tym przywieźliśmy dyplomata z placówki w Hiszpanii. No i oczywiście przyjechaliśmy do Londynu po to, aby brać udział w fetach i balach. W końcu niecodziennie kapitan nobilitowany jest do tytułu hrabiego.

Z twarzy Violet nie schodził uśmiech.

- Nasza rodzina jest oczywiście zaszczycona, że może brać udział w balu na cześć nowego hrabiego.

Nie było to do końca zgodne z prawdą. Ale Violet wiedziała, co należy mówić i jakie słowa będą odpowiednie, zanim dojdzie się do takiej zażyłości, że będzie można sobie pozwolić na szczerość. Tylko dwa razy w życiu słyszała, jak jej ojciec kłął: raz, kiedy Colin Eversea nie zawisł na szubienicy, chociaż tego właśnie oczekiwano, a drugi raz, kiedy dowiedział się, że nowym hrabią będzie kapitan Asher Flint.

Lecz z mężczyznami na ogół wołała unikać szczerości.

Była jednak ryzykantką i lubiła wystawiać się na próbę, więc nie zawahała się przed zadaniem następnego pytania.

- Czy przypadkiem zna pan niejakiego pana Hardesty'ego, lordzie Lavay?

Nazwisko to wywołało intrygującą reakcję. Ciszę. Potem padło pytanie:

- A pani, panno Redmond?

W zachowaniu Lavaya pojawił się cień chłodnej rezerwy.

- Hrabia wspomniał, że mój brat, Jonathan, jest do niego podobny i że tamten również jest żeglarzem. -

Powstrzymała się przed wzmianką o niezwykle emocjonalnej reakcji hrabiego.

Lecz ponury uśmiech Lavaya świadczył o tym, że się tego domyślił.

- Och. Naprawdę? To ciekawe. Ostatnio myślimy tylko o nim, nic więc dziwnego, że hrabia wszędzie widzi pana Hardesty'ego. Sądzę, że takie porównanie nie jest dla pani brata tylko i wyłącznie obelgą.

- Umieram z ciekawości, co w nim może być obelżywego. Monsieur Lavay się uśmiechnął.

- Muszę panią uspokoić. Mówi się, że pan Hardesty to chodzący wdzięk. Jest także miłym kompanionem przy kolacyjnym stole, bo sam miałem okazję się o tym przekonać. Ma nadzwyczaj wytworne maniery, wysławia się elegancko. Bez wątpienia jest wykształcony, chociaż skąd się wzięły jego urok, bogactwo, piękny język i maniery, pozostaje tajemnicą. Doskonale się orientuje, na czym polegają prawidłowe praktyki w handlu. Widziano go we Francji i Belgii, w Portugalii i Hiszpanii, a także w Maroku. Specjalizuje się w dostarczaniu towarów z Indii Zachodnich i z Kuby.

- To brzmi wspaniale. A jednak odnoszę wrażenie, że wasze spotkanie z panem Hardestym nie byłoby przyjemne? Lavay docenił wnikliwość jej uwagi. Uniósł brwi i przez moment się zawahał.

- Myślę, że nic się nie stanie, jeśli pani powiem. Naszym zdaniem ten Hardesty to tak naprawdę człowiek, na którego mówią Le Chat. Tak się składa, że on... cóż, w eleganckich kręgach powiedziano by, że zajmuje się kaperstwem, ale dosadniej mówiąc, jest po prostu piratem.

Mój Boże. Violet aż zamilkła z wrażenia, co pewnie nie było odpowiednią reakcją.

Ale i tak rzadko kiedy reagowała tak, jak powinna.

- A cóż, na miłość boską, pirat robiłby w sali balowej?

- Panno Redmond, jestem pewny, że Le Chat zaryzykowałby szubienicę, gdyby wiedział, że ma szansę zatańczyć z panią. Może krąży po balach właśnie w takim celu.

Violet roześmiała się, odrzucając do tyłu głowę. Komplement był wyrafinowany jak dobry koniak i tak niespodziewany, że sam w sobie wystarczył, żeby rozwiać nudę, która ogarnęła ją na balu. Lavay mówił nieskazitelną angielszczyzną z delikatnym francuskim akcentem, a słuchanie go mogłaby porównać do delektowania się dźwiękami menueta płynącymi z odległej sali.

Lavay czuł się zachęcony do dalszej opowieści.

- Mamy poufne informacje, iż pan Hardesty i Le Chat to ta sama osoba. Bez wątpienia pan Hardesty jest bogatym człowiekiem. Trudno jednak za to kogokolwiek potępić. Wielu kupcom udaje się dorobić majątku.

- Jestem ostatnią osobą, która potępiłaby bogactwo, lordzie Lavay. W odpowiedzi uśmiechnął się i uniósł złociste brwi.

- My, to znaczy hrabia Ardmay i załoga statku „Fortuna”, otrzymaliśmy od króla zadanie, aby doprowadzić Le Chata przed oblicze sprawiedliwości.

- To chyba niebezpieczne - schlebiła mu.

Lavay wzruszył ramieniem, co w trakcie walca było nie lada wyczynem. Był zbyt rasowym Francuzem, by podczas konwersacji móc się bez tego obyć.

- Ale dlaczego pirat miałby być nazywany „kotem”?

- Podobno sam używa tego przydomka, gdy przejmuje statki. Może dlatego, że skrada się z niewielką załogą i nagle cicho skacze na pokład, wyłaniając się spośród mgły? Spośród nocy? Może dlatego, że podobno nie podlega żadnej koronie ani osobie? Lub ponieważ jest przymilny, jak kot, który ociera się człowiekowi o nogi i mruczy? Tak twierdzą damy. Podobno Hardesty jest pozbawiony serca, ale chętnie serca zdobywa, a potem łamie. A może dlatego, że pewnego dnia pojawił się znikąd, jak bezpański kot, i zaczął zagarniać, co mu się podobało? Trudno mi powiedzieć, panno Redmond. Ludzie lubią dawać piratom przydomki. Tak powstają mity. Piraci chyba nigdy się temu nie sprzeciwiali.

Pan Lavay przynajmniej zapamiętał, jak Violet się nazywa.

Podczas tańca zauważyła, że nigdzie nie widzi hrabiego ani lady Peregrine. Zaczęła się zastanawiać, czy ta przypadkiem nie wzięła partnera w tańcu na stronę, żeby sprawdzić swoją teorię na temat ud.

I nagle zrozumiała, że szuka hrabiego.

Natychmiast przestała.

Na szczęście zobaczyła Jonathana, który znowu tańczył z drobną blondynką w muślinach. Sprawiał wrażenie znudzonego. Wyglądał jak Jonathan. Nie miał w sobie nic a nic z pirata.

- Co zrobił ten Le Chat?

- Naszym zdaniem, wtargnął na kilka statków handlowych i w ciągu tylko jednego roku przechwyił mnóstwo cennego towaru. A potem statki zatopił. Cztery z nich miało kapitanów Anglików. Ostat-



nim statkiem był „Steadfast”. Innymi słowy, prawdziwa z niego zmora - powiedział Lavay bez emocji.

- Czy doprowadzanie piratów przed sąd to zajęcie hrabiego?

- Zajęciem hrabiego jest dokonywanie rzeczy niemożliwych. Dzięki temu został hrabią - zwięźle odparł Lavay. - Król zwrócił na niego uwagę i powierzył mu obecne zadanie.

- Słyszałam, że na tytuł zasłużył jakimś bohaterskim czynem.

- Dobrze pani słyszała.

Pan Lavay nic więcej nie powiedział. Ale w głębi duszy wydawał się czymś rozbawiony.

- Ale, lordzie Lavay, dlaczego pirat miałby się zjawiać w nocy na balach, a potem się z nich wykradać, by zatapiać statki?

Znów udało mu się wzruszyć ramionami.

- Dla władzy? Pieniędzy? Sławy? Zemsty? Kto to wie? W każdym razie na pewno nie zatopiłby statku, gdyby wiedział, że pani jest na pokładzie.

Znów się do siebie uśmiechnęli, zadowoleni z rozwoju flirtu. Rozumieli się niemal zbyt łatwo. Jego srebrzyście szare oczy łagodnie płonęły. Widać było, że w kręgu arystokracji czuje się jak ryba w wodzie. Jednocześnie jego wykwintne maniery miały w sobie nutkę egzotyki, ponieważ był Francuzem. Jego oczy i dłonie, i jego obecność... nie działały na nią.

Co innego hrabia.

O! Wreszcie go dostrzegła. Twarz zastygła mu w wyrazie uprzejmości, kiedy z leniwą fascynacją przyglądał się, jak usta lady Peregrine nie przestają się poruszać - jakby była gadającym psem. Ciekawostką. Violet nie wątpiła, że wcale jej nie słuchał.

Prawie go żałowała.

- Ale znajdziemy Le Chata - kontynuował rozmowę Lavay. Jego pewność siebie i arogancka wiara w sukces miały na celu ściągnięcie na siebie jej uwagi.

- Skąd ta pewność?

Zawahał się, a potem się uśmiechnął. Uśmiech miał urzekający, niewymuszony, naturalny, zapewne taki, jaki jego przodkowie prezentowali od wieków. Ale to był chłodny uśmiech. Przypominał Violet uśmiech ojca, który, z racji swego wysokiego urodzenia i wpływów, wiedział, że nie ma niczego, czego nie mógłby mieć, nie mógłby osiągnąć, a w razie konieczności ukryć.

- Nie znam przypadku, żeby kapitan Flint na próżno o coś zabiegał. Jest wiele przyczyn, dla których hrabia chce schwytać Le Chata, żywego lub martwego. A jeśli czegoś chce, na pewno to osiągnie.

Czy w jego słowach dostrzegła odrobinę ironii? Czy też francuski akcent w angielszczyźnie sprawia, że ironia pobrzmiewa we wszystkim, co się mówi?

Wiele przyczyn.

Poczuła mrowienie na karku, niepokój pomieszany z podnieceniem. Chciała odsłonić warstwy znaczeń, które skrywał w sobie ten zwrot, rozpakować go jak prezent, jak lekarstwo na jej nudę.

Być może dlatego Cyganka krzyknęła do niej „Lavay”. Podobał jej się, ale nie miała poczucia, że się w nim zakochuje. Miłość, jej zdaniem, łączyła się z ekstremalnym zachowaniem i utratą godności, a w jej rodzinie - z katastrofą lub wielką kompromitacją.

Ale i tak nigdy dotąd nie spotkała mężczyzn podobnych do tych dwóch. A jutro już ich tu nie będzie.

- Czy Le Chat może właśnie teraz przebywać w Londynie?

- Nie ma się pani czego obawiać, panno Redmond. Statek „Oli-via” nie stoi przycumowany obok naszego.

Od tej chwili już na zawsze zapamiętała, co oznacza wyrażenie „czas się zatrzymał”.

Bo się zatrzymał. A przynajmniej się zaciął. Słowa Lavaya odbiły się w jej mózgu osobliwym echem. Najpierw wydało jej się, że źle usłyszała.

Potem z szybkością błyskawicy uprzytomniła sobie całą lawinę faktów i wrażeń, jakby oglądała je z wielkiej wysokości.

Była tak zszokowana, że pociemniało jej w oczach. Potknęła się. Lavay mocno ją podtrzymał i odzyskała równowagę, a jej niezręczny krok nie zakłócił łagodnego rytmu walca.

- Panno Redmond? - Był szczerze zaniepokojony. - Proszę mi wybaczyć. Może powinniśmy rozmawiać o czymś mniej drastycznym? Kiedy stale się przebywa w towarzystwie mężczyzn, zapomina się, o czym lubią rozmawiać kobiety.

Biedaczyna. Sądzi, że jest delikatna jak mimoza. Podniosła na niego wzrok. Nie czuła swoich kończyn. Całkiem jej zdrtwiała. Szybko zaprzeczyła.

- Rozmowa z panem była dla mnie najmiłym akcentem wieczoru. Po prostu źle stąpnęłam w nowych pantofelkach. Ale nie wiem,

czy dobrze usłyszałam, jak nazywa się statek Le Chata? Jego nazwa mnie zaintrygowała.

Kiedy czekała na potwierdzenie, ogarnęło ją niezdrowe, podniecające uczucie. W myślach echem odbijał się okrzyk Cyganki: „Lavay”, w uszach dudniło gwałtowne bicie serca. Jeszcze zanim Lavay się odezwał, rozważała, co może ją czekać i co powinna zrobić.

- Oczywiście, owa nazwa może zainteresować kobietę, ponieważ jest to imię żeńskie. Statek nazywa się „Olivią”, panno Redmond. Może jest to imię kobiety, która złamała mu serce. Zakładając, że miał serce.

Choć aż drżała z niecierpliwości, żeby przystąpić do działania, wymieniła ukłony i miłe uwagi z przystojnym lordem Lavay, który ponownie wyraził żal, że nie może dłużej pozostać w Londynie.

A potem pobiegła.

No, prawie biegła. Uniosła nieco suknię, aby nie kępowała stóp, i prześliznęła się między tancerzami i rozplotkowanymi grupkami. Pantofelki niemal ślizgały się po marmurze.

O, nie, o, nie, o, nie. Lyon nie może być aż tak głupi!

Ani tak... intrygujący!

Gdzież do diaska podział się Jonathan?

Jeśli już nie tańczy - a szybkie spojrzenie na salę utwierdziło ją w tym przekonaniu - to zapewne jest przy wazie z ponczem albo niedaleko okien wychodzących na ogród, żeby móc się wymknąć na cygaro albo na spotkanie z kobietą, bądź skoczyć przez płot, by bez wiedzy ojca spędzić czas w klubie, i...

O mały włos się z nim nie zderzyła. Nagle stanęła jak wryta, widząc jego plecy. Trudno było nie rozpoznać Redmonda. Był wysoki i szczupły, i nareszcie wyrósł z wieku szczenięcego. Faktycznie ulokował się blisko zarówno wazy z ponczem, jak i drzwi do ogrodu, lecz ponadto strategicznie skrył się za filarem, z jedną ręką wyciągniętą i opartą o ścianę. Kogoś albo coś sobą zasłaniał.

Zrozumiała kogo, kiedy usłyszała chichot.

Zajrzała mu przez ramię i zobaczyła młodziutką dziewczynę, którą osłaniał: delikatną blondynkę w niewyszukanej sukni z białego muślinu. Miała ogromne oczy, maleńki nosek i lekką wadę zgryzu, która nadawała jej twarzy całkiem sympatyczne podobieństwo do królika.

Promieniała uśmiechem. Lady Wareham? Wartcośtam? Violet już ją przedstawiono, ale natychmiast zapomniała, jak się tamta nazywa.

Gdzie brat nauczył się takiego zachowania? Tej niedbałej postawy i cichych, czułych słówek, które przyprawiały dziewczynę o śliczny rumieniec? Violet nie miała zwyczaju się rumienić. Dorastała z braćmi, którzy bez ogródek mówili, co myślą, a to świetnie uodporniło ją na tego typu rzeczy. Ale zaniepokoiła się, że brat wygląda... jak dorosły mężczyzna. Którym oczywiście był.

Tyle że rzadko widywała, by zachowywał się jak mężczyzna.

- Jonathanie - powiedziała cicho. Stała tuż za nim. Nie odwrócił się..

- Jonathanie - warknęła.

Brat podskoczył, odkręcił się do tyłu i stanął z nią twarzą w twarz. Zmierzył ją wściekłym wzrokiem. W tej chwili tak bardzo przypominał Lyona, że Violet uświadomiła sobie, jak szybko mija czas i jak pilną do wykonania ma przed sobą misję. Natychmiast zobaczyła to, co pewnie spostrzegł hrabia, gdy zauważył Jonathana, i zaczęła się zastanawiać, jakim cudem ona dotąd tego nie widziała.

- Viiiiolet - przeciągle, ostrzegawczo odezwał się brat. Bokiem rzucił szybkie spojrzenie na blondynkę, a potem znów odwrócił się do Violet. Wszystko to miało oznaczać: spływaj.

- Bardzo przepraszam, że przeszkadzam - nieszczerze zapewniła go Violet. - Ale czy wiedziałeś, Jonathanie, że dżentelmen, który towarzyszy hrabiemu Ardmay, nazywa się Lavay?

Na zachmurzonej twarzy brata pojawił się wyraz zirytowania i zmieszania.

- No... tak. Byłem mu przedstawiony. Miły, chociaż trochę zbyt układowy. No wiesz, ma takie bardzo, doprawdy bardzo wyrafinowane maniery. Odnosi się wrażenie, że jego zdaniem jest od nas trochę lepszy. Właściwie nie chodzi o to, co mówi albo robi. Nie jestem pewny, czy można do końca ufać komuś o francuskim...

- Cicho, Jon. Nazywa się Lavay. Nie pamiętasz, co się stało u Cyganów?

- Chyba to nie jest powód, żebyś podnosiła głos, siostrzyczko? -Mówił do niej z wyższością i uśmiechał się tak, by jednocześnie było to skierowane do lady Wartle... Lady Wartham! Tak, właśnie tak się nazywa!

Potwór z niego. Jonathan się popisywał. A powinien już się zorientować.

- Ile razy można ci to samo powtarzać, Jon? Nie pamiętasz? Cyganka krzyknęła do mnie „Lavay”! Ta sama, która powiedziała, że będziesz miał dziesięcioro dzieci.

Natychmiast zeszywniał. Przestraszył się, że tamta rzuciła na niego urok.

- Ta Cyganka jest niespełna rozumu, Violet - zauważył donośnym szeptem. - To czyste szaleństwo i dobrze o tym wiesz.

- Pewnie naprawdę będziesz miał dziesięcioro dzieci.

- Trzymaj... język... za... zębami.

- Może nawet całą dziesiątkę z lady Wartham - drażniła się z nim Violet.

Oczy młodej lady Wartham zrobiły się okrągłe jak spodki i rozbłysły z rozmarzenia. Brat był wściekły.

- Nigdy, mówię ci, nigdy tak nie będzie! Nawet mi się nie śni, żeby już się dać zaobrączkować, a ona to tylko przelot... - Zamknął oczy, gdyż zorientował się, że dał się Violet złapać w pułapkę. - Do diaska z tobą, Violet - zachrypiał.

Violet z litością pokręciła głową.

Jonathan otworzył oczy i zdążył jeszcze zobaczyć, jak otwarte ze zdziwienia usta lady Wartham zaciskają się, a jej oczy zwężają w zachwycająco jadowite szparki. Okręciła się na pięcie i odeszła wśród pogardliwego szumu muślinu i tafty, bez jednego słowa do któregośkolwiek z Redmondów.

Jonathan napadł na siostrę.

- Widzisz, co zrobiłaś, ty potworze!

- Przestań. Sam przed chwilą powiedziałeś, że to tylko przelotny flirt. Jeśli zdradzisz mi, jak ma na imię, przyznam, że mi strasznie smutno, i zrobię dla ciebie, co tylko zechcesz.

Obrzucił ją wściekłym wzrokiem. Leciutko się do niego uśmiechnęła.

Jak zawsze, Jonathan bardzo starał się udawać gniew, ale nie udało mu się powstrzymać od uśmiechu.

- We flircie trzeba się ćwiczyć, wiesz? - wyjaśnił. - Chciałbym reputacją dorównać lordowi Argosy'emu.

- Ćwiczyć? Aż do czasu, kiedy znajdziesz kobietę, z którą będziesz miał dziesięcioro dzieci?

- Starczy! - wrzasnął.

Na zgodę położyła mu dłoń na ramieniu.

- Słuchaj, Jonathanie. Przysięgam, że to ważne. Francuz, który towarzyszy hrabiemu, nazywa się Lavay. Lord Lavay. A Cyganka, Martha Heron, krzyknęła do mnie „Lavay”! Nie pamiętasz? Wtedy było to bardzo dziwne. Lavay jest oficerem na statku hrabiego Ard-may. I jeszcze powiedziała, że wyruszę w długą podróż po wodzie.

Jęknął.

- Czy to wszystko? Na miłość boską, Violet, gdyby za każdym razem sprawdzało się, co mówi jakaś Cyganka, w tej chwili wszyscy w Anglii kołysaliby się na Tamizie!

Znudzony przechwycił spojrzenie lady Peregrine i skupił się na zmysłowym, jego zdaniem, uśmiechu poślanym w stronę owej damy.

- Ją zostaw - powiedziała Violet. - Jest okropna. Straszna plotkara. Przestań ćwiczyć i posłuchaj, co mówię.

Jonathan odwrócił się do niej ze złością.

- No wiesz, zwykle nie jesteś aż takim głuptasem. Po co w ogóle zawracać sobie głowę tą historią z Lavayem? Na pewno nie jest to najrzadsze spośród nazwisk we Francji. Dobrze wiesz, że z tą Cyganką nie wszystko jest w porządku.

- Moim zdaniem masz nadzieję, że coś z nią jest nie w porządku. Zmierzył ją gniewnym wzrokiem.

Poruszyła ustami bezdźwięcznie, mówiąc: dziesięcioro dzieci.

Sparaliżował ją wzrokiem.

Wzięła głęboki wdech, nagle zdenerwowana.

- Nie chodzi tylko o to. Przedstawiono mnie hrabiemu Ardmay i widziałam, że kiedy cię zobaczył, zrobił się podobny do psa gończego, który wywęszył królika. Przysięgam ci, Jon, że kark mi ścierpł przez niego. Zmroził mnie. Powiedział, że wyglądasz jak sobowtór kupca, który rzekomo trudni się kaperstwem na morzach południowych, a tak naprawdę jest piratem o przydomku Le Chat.

- Ja? - Jonathan był tak zszokowany, że szeroko otworzył oczy, a potem na sam myśl o tym, co usłyszał, zasłży mu mgłą. - Wyszukane imię, Le Chat. Ale żaden ze mnie pirat, Vi.

- Wiem, Jon. A Le Chat znaczy „kot”.

- Wiem, co to znaczy - powiedział z rozdrażnieniem. - Też miałem nauczyciela francuskiego.

Jego niespokojny wzrok spoczął na następnej kobiecie, Millicent Hart.

- Ta też się nie nadaje. Ma mózdzek wielkości opadłego dmuchawca. A lew, po angielsku „lion”, to duży kot. Nie rozumiesz? Hrabia uznał, że wyglądasz dokładnie tak samo, jak ten Le Chat. A lew, lion, to duży kot.

Jonathan spochmurniał, porządnie już poirytowany.

- To strasznie głupie imię. Piraci tak robią, prawda. Nadają sobie głupie, zastraszające...

- Jego statek też się głupio nazywa, Jonathanie. Podobno „Olivia”. Jonathan nagle wszystko zrozumiał. Stał, jak rażony piorunem.

Założyłaby się, że krew przestała w nim płynąć, bo nagle zbladł i zeszywniał.

Tak podziałało na niego wspomnienie imienia kobiety z rodziny Eversea i nieszczęścia, które sprowadziła na ich rodzinę.

Patrzyli na siebie jak zahipnotyzowani. Nigdy przedtem nie widziała, żeby oczy tak mu pociemniały i były tak nieprzeniknione. Ponownie zaczęła się zastanawiać, na jakiego mężczyznę wyrosnie jej brat. Czy będzie taki jak Miles? Rzetelny i budzący respekt? Czy stanie się enigmatycznym uosobieniem władzy, jak jej ojciec? Z całej siły skupiła się na pragnieniu, aby uwierzył w to, w co ona wierzyła. Gdzieś daleko jest Lyon. Być może to on jest kupcem, który podaje się za Hardesty'ego, i piratem zwanym Le Chat, który żegluje na statku „Olivia”. Muszą go znaleźć. I przekonać, żeby wrócił do domu.

Aby uratować go przed hrabią Ardmay i niechybnym stryczkiem.

Ale przecież na pewno to tylko jakaś pomyłka? Przecież jeśli to naprawdę Lyon, musi być jakieś tego wytłumaczenie?

Po chwili Jonathan, już wyzwolony od rzuconego nań zaklęcia, spojrzał gniewnie dokoła i gwałtownie pokręcił głową.

- Twierdzisz więc, że Lyon przeobraził się pirata zwanego Le Chatem, a dla upamiętnienia tego, że ta straszliwa baba z rodu Eversea złamała mu serce, swój statek nazwał „Olivia” i chce w ten sposób oddać hołd swemu cierpieniu albo się na niej zemścić? Naprawdę, to najbardziej niedorzeczna rzecz, jaką w życiu słyszałem. Zastanów się tylko.

- Przyznaję, że wydaje się to nieprawdopodobne. Ale „OHvia”, Jon! To...

Podniósł dłoń.

- Nie, Vi, to po prostu... czysty absurd. A czy ten pirat wdziera się na statki, gwałci i rabuje... coś w tym stylu? - Z całej siły starał się teraz nie roześmiać.

- Może zapytaj o to hrabiego Ardmay? Zanim nasz król zwrócił na niego uwagę, nazywał się kapitan Flint. Jego zadaniem jest złapać Le Chata, za co otrzyma nagrodę. Może tobie powiedziałby więcej niż kobiecie.

Przedstawicielowi własnej płci szczerzej opowie o gwałtach i rozbojach. Poza tym jakoby jesteś bardzo podobny do Le Chata.

Nawet w tłoku nietrudno było zlokalizować hrabiego. Był widoczny jak góra lodowa na morzu. Uprzejmie konwersował ze starszym dżentelmenem, a monsieur Lavay stał u jego boku, niczym chłodne, eleganckie tło dla tlącego się ognia.

- Rozmawiałem z hrabią - zwięźle odpowiedział Jonathan. -Przedstawił mnie ojciec, także panu Lavayowi. Hrabia zapytał mnie, czy kiedykolwiek brałem pod uwagę pracę na morzu. Powiedział, że szuka kogoś na miejsce pomocnika kucharza, człowieka o nazwisku Rathskill, niekompetentnego i bezczelnego. Ale nie podobał mi się sposób, w jaki na mnie patrzył, Vi. Najwyraźniej król postanowił nadać tytuł człowiekowi, który chce zostać bohaterem.

- Wielka szkoda, że ojciec nie ma takich ambicji.

- Moim zdaniem, wytrzymywanie z tobą jest bohaterskim wyczynem.

Czegoś takiego mogła się po nim spodziewać.

- Dziwne, dlaczego Miles nie słyszał, że ten Le Chat pływa na statku „OHvia”? Miles bywa przecież wszędzie.

- Ale nie ostatnio. To, że Miles żeglował po dalekich morzach, nie znaczy, że zna wszystkich ludzi, którzy żeglują, Jonathanie. Na miłość boską.

- Może za bardzo się zadurzył w Cynthii, żeby się tym interesować - odparł.

- Miles wszystko zauważa. I wciąż jeszcze szuka funduszków na swoją następną wyprawę do Lacao. Może nie śledził najnowszych wiadomości o piratach.



Oboje bali się, że Miles wyruszy na następną wyprawę do Ameryki Południowej, do krainy, która, opisywana przez niego w książkach i wykładach, uczyniła go sławnym, i weźmie ze sobą swą rozkoszną, nieodpowiednią dla niego żonę. Zgodnie z surowym zakazem ojca, Isaiaha Redmonda, Cynthia nie była zapraszana do domu Redmondów. Ale jakimś cudem Miles nie został całkiem wydziedziczony.

Miles zakochał się w skandalizującej pannie Brightly z winy Violet. Zaprosiła ją w przypływie niepotrzebnego odruchu życzliwości, a być może z przekory. Rozpoczęły się kolejny rozłam w rodzinie i nowe kłopoty.

Ale kłopoty były specjalnością panny Violet.

W tej dziedzinie prześcignął ją jednak Lyon, kiedy prawie dwa lata temu przepadł jak kamień w wodę. Ojciec już porzucił nadzieję na jego powrót i swoim dziedzicem uczynił Milesa. Do czasu afery z Cynthią.

Violet bardzo cierpiała nad tym, że miłość na różne sposoby rozbija jej rodzinę, choć wszyscy udają, że nie ma problemu, i starają się zajmować swoimi sprawami. Chciała, żeby znów było tak jak kiedyś.

- Jonathanie, co takiego Olivia powiedziała Lyonowi, że wyjechał?

Odwrócił głowę w jej stronę.

- Skąd wiesz, że coś powiedziała?

- A więc jednak tak było! Znów nabrał wody w usta.

- Nic mi o tym nie mówił, Violet.

Podejrzewała, że Jonathan kłamie. Zresztą nie bardzo mu to szło. To także było dla niej nowością.

Jonathan i Violet oparli się o ścianę i w milczeniu przyglądali sali balowej. Ojciec, stojąc, rozmawiał z członkiem swojej grupy inwestycyjnej, Klubu Mercury. Trudno było nie zauważyć Isaiaha. Był wysokim, szczupłym, dystyngowanym mężczyzną. Prawdopodobnie przekonywał teraz kogoś bogatego, aby zainwestował w raczkującą kolej Klubu Mercury albo sfinansował wyprawy statków handlowych po towary do Chin, Indii albo Ameryki, takie, w jakich podobno brali udział hrabia Ardmay i pan Hardesty. Dzięki handlowi i innym przedsięwzięciom ojciec gromadził coraz więcej pieniędzy, zdobywał coraz więcej Wpływów. Taki był jej ojciec.

- Violet - ostrożnie odezwał się Jonathan. Chciał ją ułagodzić. A niech to. W całym ciele poczuła napięcie. - Wiem, że tęsknisz za Lyonem. Ale moim zdaniem to...

- Przestań - syknęła. - Nie mów do mnie takim tonem, Jonathanie Redmond, jakbym była jakimś beznadziejnym, rozkapryszonym dzieckiem. Zdaniem Flinta ty wyglądasz jak Le Chat, Jon. Ty. Myślał, że jesteś Le Chatem. Z każdym dniem stajesz się coraz bardziej podobny do Lyona. „OHvia"! Zastanów się nad tym przynajmniej! - Prawie go błagała. Od dzieciństwa o nic nie błagała.

Jonathan długo przyglądał się siostrze, a na jego przystojnej twarzy malowało się zatroskanie. A potem w ciemnych oczach brata ujrziała strach.

- Zostaw to, Violet. Porzuć te domysły!

- Jonathanie... A co, jeśli on jest w niebezpieczeństwie? Hrabia Ardmay chce oddać Le Chata w ręce sprawiedliwości. Dobrze wiesz, co to zwykle oznacza. Nie pamiętasz, czego uniknął prawie w ostatniej chwili Colin Eversea? Jeśli ten człowiek, hrabia Ardmay, zaweź-mie się na Lyona, nie wiem, czy nawet ojciec będzie mógł mu pomóc. Nie chcesz, żeby brat wrócił do domu?

- Przecież tego nie powiedziałem. Ale, Violet... Lyon nie jest... - powoli pokręcił głową - to znaczy, po prostu nie może być... - Nagle jego twarz zrobiła się pusta, pozbawiona wyrazu. Bardzo wolno, leciutko wracało do niej życie, jakby zrozumiał całą przerażającą prawdę o tym, co chciał powiedzieć. - P-p-p-iratem!

Z trudem wydobył z siebie to słowo, ponieważ już z głową odchyloną do tyłu zanosił się śmiechem.

Widać było, że im dłużej o tym myślał, tym bardziej go to rozśmieszało. Od czasu do czasu uderzał się dłonią w udo i krztusząc się, rzucał zabawne uwagi: „Pirat!" albo „Coś takiego!" bądź „Czy twoim zdaniem ma teraz papugę?", aż w końcu Violet chciała go uderzyć.

Na pewno Lyon, którego tak dobrze znali i kochali, uznałby to za niedorzeczne. No cóż.

Jonathan odkaszlnął i otarł oczy. Odzyskał humor.

- Z tego wszystkiego naj sensowniej sza jest przepowiednia, że twoim przeznaczeniem jest poślubienie Lavaya.

Przecież nie możemy

zapomnieć, co mówiła Cyganka, prawda? - W jego ciemnych oczach pojawił się złośliwy błysk. - Jak uważasz, siostrzyczko? Udało mu się zachować po wojnie jakieś włości? Czy jest jednym z tych utytułowanych Francuzów, którzy majątek i rodziny ukryli gdzieś w dalekim kraju? Czy też zubożał i szuka żony z dobrym posagiem? Jest przy-  
stojny, prawda? Damy chyba tak uważają.

Jonathan był ekspertem w wyprowadzaniu jej z równowagi.

- Nie znam odpowiedzi na żadne z tych pytań. Jeszcze nie spotkałam mężczyzny, za którego mogłabym wyjść za  
mąż - stwierdziła wyniośle.

Ale oczy same jej powędrowały w stronę hrabiego Ardmay i lorda Lavay. Nic nie mogła na to poradzić - jakby hrabia  
obdarzony był większą siłą przyciągania niż pozostałe osoby w sali. Rozmawiał z żywo gestykułującym, starszym,  
nieco pochylonym dżentelmenem i zobaczyła, jak się do niego uśmiechnął. Był to zadziwiająco miły uśmiech, co  
dało się zauważyć nawet z odległości. Szczery.

A jednak nadal odczuwała w nim jakąś inność, dystans. Przyszło jej do głowy, że pewność siebie i odrębność  
pielęgnował jak ranę -służyły mu, by trzymać innych na odległość, jakby bliskość stanowiła zagrożenie. Popatrzyła  
na piękny uśmiech śmiertelnie groźnego hrabiego i przelotnie doznała dziwnego uczucia.

Poczuła, że chciałyby go... chronić.

Było to uczucie tak przejmujące, wszechogarniające i nagłe, że zakrawało na kompletny absurd. Na szczęście  
natychmiast zniknęło.

Znienacka uniósł dłoń, jakby usłyszał skierowane wyłącznie do niego nieme wezwanie. Odwrócił głowę, chociaż  
starszy dżentelmen dalej z nim rozmawiał. Ich spojrzenia spotkały się. Jego jasne oczy zimno zabłyśły w świetle  
kandelabrow.

Był człowiekiem niebezpiecznym, ten hrabia. I jeśli Lyon naprawdę jest piratem, a hrabia otrzymał zadanie, aby go  
schwytać, wiedziała, że na pewno tego dokona.

A co, jeśli elegancki Francuz, Lavay, naprawdę jest jej przeznaczony? Jeśli to wszystko nie ma nic wspólnego z  
Lyonem? I właśnie o to chodziło Cygance? Co powinna w tej chwili odczuwać? Czy miłość przychodzi szybko czy  
powoli? Skąd Miles i Cynthia wiedzieli, że to właśnie miłość? I jak to jest - nie czuć nudy, niepokoju, nie czuć się jak  
w pułapce?

- Dobrze byłoby, gdybyś się pospieszyła z szukaniem swego wybranka, bo wypadniesz z obiegu i rodzice na dobre będą cię mieli na karku. I co ojciec zrobi z twoim posagiem? - Jonathan mówił to z udawanym zmartwieniem, ale w oczach czaiły mu się figliki.

Violet spojrzała na brata z ukosa.

- Tak, muszę się spieszyć. Skoro jestem starzejącą się babą, ponadto ubogą i pospolitej urody, to za rok lub dwa nikt mnie już nigdy nie zechce.

Jonathan odwrócił się w stronę siostry. Podziwiał ją, ale też doprowadzała go czasem do rozpacz. Pokręcił głową. Pewnością siebie Violet prześcigała wszystkich mężczyzn, jakich kiedykolwiek spotkał. Taka pewność siebie nie przystoi kobiecie. Ponadto doskonale znał londyńskie plotki i zakłady czynione u White'a, więc wiedział, jak się nią fascynują młodzieńcy z najlepszych domów.

Ale w żaden sposób nie mógł sobie wyobrazić, że potrafiłaby się zadurzyć w jakimkolwiek znanym mu mężczyźnie albo też bezradnie się uśmiechać lub rumienić, jak biedaczka, z którą przed chwilą flirtował. Kiedy Violet się zakocha, jeśli w ogóle to nastąpi, niebo roze-dra błyskawice, rozstąpią się płyty tektoniczne, a kontynenty zmienią położenie.

Bo choć jego siostra jest, być może, uparta, rozpieszczona i po-rywca, nikt tak mocno nie potrafi kochać jak ona. O historii jej miłości można będzie napisać epos.

Dlatego właśnie zniknięcie Lyona najgłębiej ją dotknęło. Nawet on to wiedział.

Mógł to też być powód, dlaczego Violet się nie zakochuje.

- Tylko proszę ci, Violet, nie rób tego.

W jej przypadku taka prośba nigdy nie odnosiła skutku.

- Czego?

- Tego, co planujesz.

Odwróciła się do Jonathana ze zdziwieniem.

- Rzadko kiedy planuję, Jonathanie. Różne rzeczy po prostu mi się... przydarzają.

Po tych słowach przesłała mu w powietrzu pocałunek i z gracją opuściła salę balową, zegnana tęsknymi, choć ostrożnymi, spojrzeniami wysoko urodzonych młodzieńców.

#### 4

Violet odsunęła ciężką aksamitną zasłonę w londyńskim domu Redmondów, wyjrzała przez okno i pomyślała: Rathskill. Niekompetentny, bezczelny pomocnik kucharza, którego hrabia musiał kimś zastąpić.

Za oknem panowała ciemność, ponieważ właśnie minęła pierwsza w nocy. Bal opuściła wraz z rodzicami i do domu wrócili powozem Redmondów. Rodzice poszli na górę spać... razem. Ostatnio zdarzało się to coraz częściej.

Zdecydowanie dziwne, gdyż wydawało się, że ich małżeństwo już od dawna było na etapie wzajemnej tolerancji. Isaiah niezmiennie robił, co chciał, a Fanchette trwoniła jego pieniądze. W ciągu ostatnich miesięcy nastąpiło jednak subtelne przesunięcie władzy, pojawiła się i rozwijała między małżonkami ponowna wzajemna fascynacja i Violet zaczynała się zastanawiać, czy umiejętność radzenia sobie z mężczyznami ma po ojcu czy może po matce.

Miała wrażenie, że zaczęło się to podczas przemilej uroczystości rodzinnej, kiedy wszyscy Redmondowie, także młodzieńca kuzynka Lisbeth, zebrali się, aby patrzeć, jak na zbudowanej pod ich oknami szubienicy zawisnie Colin Eversea. Oczywiście, jako typowy Eversea, Colin po prostu zniknął z miejsca kaźni wśród wybuchów i kłębow dymu.

Był to pierwszy i jedyny raz, kiedy usłyszała, że ojciec stracił cierpliwość. Dokładnie mówiąc, krzyknął:

„Skurczysyn!” Zawiodło jego opanowanie, podobnie jak pękł zbyt mocno obciążony sznur szubienicy.

W tłumie doszło do rozruchów, a cały Londyn śpiewał wpadającą w ucho, niebezpiecznie zdradliwą piosenkę o Colinie Eversea, która stała się niezwykle popularna i żyła własnym życiem w teatrach i pubach. Wszędzie.

Mówiono, że państwo Eversea mają diabelne szczęście.

Colin nie zawisł. Przeciwnie, poślubił tajemniczą ciemnowłosą kobietę, którą co niedziela przyprowadzał do kościoła w Pennyroyal Green i z którą podobno hodował owce, krowy i inne zwierzęta. Jego brat, Chase, który kiedyś całe noce pił w pubie Pod Świnia i Ostem, czasem nawet w samotności, podobno też szykuje się do ożenku.

Nagła sprawa te zaręczyny Chase'a Eversea. Do Pennyroyal Green przysłał z Londynu chłopaka, Liama Pluma, i jego siostrę, Meggie, którzy teraz pracowali w pubie Pod Świnia i Ostem.

Inna osoba z rodu Eversea, Olivia, wygnała Lyona z rodzinnego gniazda. Spośród wielu sekretów i urazów, przez wieki dzielących rodziny Eversea i Redmondów - o niektórych Violet wiedziała, innych się domyślała, a były też takie, o których spodziewała się dowiedzieć od rodziców, kiedy będą na łożu śmierci - ta ostatnia strata była chyba najdotkliwsza i najgłębsza. Colin żył szczęśliwie. Redmondowie też żyli. Ich godność, fortuna i wpływy pozostały nienaruszone, ale rodzina powoli się rozpadała. Byli jak usta, z których wybito najważniejszy ząb. Przystawali stanowić jedność. Violet czuła się w rodzinnym gronie coraz bardziej niepewnie.

Jeśli chodzi o Oliwię Eversea, nie wyglądało na to, by groziło jej rychłe zamążpójście. Być może poślubi swoje szczytne cele, gorzko pomyślała Violet.

Może to i prawda, że członkowie rodziny Eversea mają diabelne szczęście. Zdaniem Violet Redmondowie muszą szczęście wypracowywać. Podejrzewała, że ojciec często je kupuje.

Violet postanowiła trochę szczęściu pomóc. Jak powiedziała Jonathanowi, różne rzeczy po prostu jej się... przydarzają. Nie mogła tak zostawić tej sprawy. Nie wiedziała, co z nią dalej będzie ani jak osiągnie to, co postanowiła. Wiedziała tylko, że nie ma wyboru.

Usłyszała za sobą szept.

- Zniosłem na dół zapakowany kufel i zawołałem dorożkę, jak panienka kazała, panno Violet.

Odwróciła się do lokaja.

- Dziękuję, Maurice.

- Dobrej zabawy u lady Peregrine w Northumberland. Nie będzie panienki dwa tygodnie? Zamieszka pani u niej?

- Tak. Dwa tygodnie. Dziękuję, Maurice. Myślę, że będzie wesoło.

Szczelnie owinęła się peleryną i stanęła tyłem do okna. Powiedziała lokajowi, że o świcie wyjeżdża do lady Peregrine. Musi tak wcześnie wyruszyć, żeby spotkać się w gospodzie, z której odchodzą dyliżanse, z jeszcze jedną zaproszoną damą.

Trochę przykro jej było zostawiać Jonathana. Wiedziała też, że wszyscy będą się zadrećcać, gdy - jeśli w ogóle - okaże się, że wcale nie jest w Northumberland.

Ale miała silne przeczucie, że wróci jako triumfatorka.

Wszystkie statki wyglądały dla niej tak samo. Miały wielkie maszty i zwinięte żagle, a masywne łańcuchy opadały z nich do wody i trzymały je na kotwicach, jak niespokojne bestie. Ogromne kadłuby onieśmiały ją nawet z daleka. Woda, czarna pod nocnym niebem, była spokojna dzięki dobrej pogodzie. Pluskała i chlupała, objijając się o ściany doku. Statki wydzielały woń morza, drewna i smoły. Powietrze było zimne, więc mocniej owinęła się peleryną, gdyż jej suknię targała cuchnąca bryza. .

- Czy jest pani pewna, że właśnie tam mam panią wysadzić, panienko? - spytał dorożkarz z zaskakującą, choć być może uzasadnioną troską.

- To bardzo uprzejme z pana strony pytanie, sir, ale tak - odparła swoim najbardziej lodowatym, władczyim tonem. - Jednak czy mógłby pan tu trochę zaczekać? Jeśli wrócę i poproszę, żeby zabrał mnie pan z powrotem na plac St. James, podwoję panu stawkę. A jeśli zgodzi się pan czekać, aż... odpłynę... zapłacę panu za to funta.

- Funta, panienko? - Dla dorożkarza była to fortuna.

- Tak - potwierdziła. Serce zaczynało jej szybciej bić. Skrzyżowała dwa palce dłoni, którą mocno trzymała pelerynę. Na szczęście.

Dorożkarz westchnął, zadowolony, odkorkował manierkę i osunął się na siedzenie, aby czekać. Wcale nie był zdziwiony. Bez wątpienia widywał arystokratów w najdziwniejszych sytuacjach o tej porze nocy. Konie prychały i ryły kopytami ziemię, a potem, chyba zrezygnowane, znieruchomiały.

Zapłaciła robotnikowi portowemu, aby łodzią podpłynął do statku „Fortuna” i przekazał jej prośbę.

Potem czekała. Głowę przechyliła do tyłu i przyglądała się, jak chmury wykonują taniec siedmiu welonów wokół niebieskobiałego półksiężyca.

Łódź wróciła po kilku minutach i wysiadł z niej krępy, krótkono-gi człowiek w sztywnych butach, naciągniętej na dużą głowę czapce

i zwyczajem marynarzy zawiązanej luźno na szyi chustce.

Twarz miał tak przeraźliwie bladą, że niemal świeciła w księżycowej poświacie.

- Pan Rathskill, jeśli się nie mylę?

- Tak - powiedział wolno i podejrzliwie.

- Pięć funtów, jeśli mnie pan zabierze na pokład „Fortuny”.

- Chce... pani, żebym ją zabrał na „Fortunę”?

- Tak - potwierdziła z niecierpliwością.

Wlepił w Violet wzrok, jakby była duchem. Potem, zapewne doszedłszy do wniosku na temat jej konduity, odezwał się:

- Przepraszam, panienko, ale załoga zabawia się w Aksamitnej Rękawiczce. I nie ma wśród nich nikogo, kto zapłaciłby pięć funtów za odrobinę muślinu, żeby nie wiem jak był delikatny. Łącznie ze mną, panienko. Ale pochlebia mi pani propozycja.

Dobry Boże. Violet zakręciło się w głowie. Nawał informacji ją przytłoczył. Zwłaszcza trudno było jej sobie wyobrazić załogę w Aksamitnej Rękawiczce i zabawy tam wyprawiane, cokolwiek, na Boga, miało to znaczyć. Nigdy też przedtem nie zastanawiała się, ile mężczyznę może kosztować spędzenie wieczoru w towarzystwie takiej kobiety.

Ale to ciekawe, że można mieć kobietę za mniej niż pięć funtów.

- Nie jestem prostytutką, panie Rathskill. - Trudno było jej wymówić to wulgarne słowo. Czy w ciągu wieków jakakolwiek kobieta z rodu Redmondów kiedykolwiek głośno je wypowiedziała? - Miałam na myśli, że dam panu pięć funtów, jeśli pozwoli mi pan zająć swoje miejsce na statku, ponieważ wiem, że niezbyt się tam panu podoba. Była to z jej strony brawura oraz czysta spekulacja. Skrzyżowała palce.

Wlepił w nią zdziwione, szeroko otwarte i połyskujące białkami oczy. A potem nerwowo się roześmiał.

- Czy to jakiś zakład? Namówili panią na to Greeber i Corcoran? Kapitan każe mnie wychłostać! Obedrze mnie ze skóry.

- Tak? Co za barbarzyństwo!

- Oj, tak, tak. Ale są jeszcze gorsze tortury - rzekł ponuro.

Cóż gorszego może być od obdzierania ze skóry? Nie zapytała o to. Nie miała czasu na wysłuchiwanie litanii marynarskich kar.

- Ale jeśli nie będzie pana na pokładzie, nie będzie tego mógł zrobić. Słyszałam, że nie jest pan zadowolony ze swojej pracy, panie Rathskill. Rozmawiałam też z kapitanem i wydaje mi się, że tak czy inaczej, pana los nie będzie łatwy. Moja propozycja jest jak najbardziej poważna. - Znów skrzyżowała palce, żeby kłamstwo się nie wydało. - Pan nie chce być na pokładzie „Fortuny”, a ja chcę.



Te słowa go wyraźnie zaniepokoiły.

- To nieprawda, panienko. Faktem jest, że trudno powiedzieć, żebyśmy się z kapitanem za bardzo lubili. A była pani kiedyś na statku?

W całej tej przygodzie właśnie o to chodziło, że nie była, więc zignorowała jego pytanie. Zresztą im dłuższa była ta rozmowa, tym większe ryzyko, że ktoś jej przeszkodzi albo przyłapie ją na rozmowie z Rathskillem. Hrabia powiedział, że wróci o świcie, ale z wielu powodów może pojawić się tu wcześniej. ;

- Teraz nie ma go na statku, prawda? - zapytała ostrożnie. - To znaczy nie ma hrabiego?

- Nie. Jeszcze nie wrócił.

- Niech pan mi odda swoją kajutę. Zapłacę panu za porzucenie pracy. Pięć funtów.

Wlepił w nią wzrok.

- Ale pani jest... kobietą.

- Ma pan dobre oczy.

W zamyśleniu głośno zassał dolną wargę, bacznie się jej przyglądając.

- Skoro tak pani na tym zależy, może poproszę o coś jeszcze, co mi może dać kobieta, jeśli wie pani, o co chodzi.

- Wiem, ale jeśli okaże się pan natrętem, któryś z moich braci poderżnie panu gardło.

- A gdzie są pani bracia, panienko?

- W zasięgu słuchu. W dorożce. Dorożkarz brzydtko kaszlnął.

- Nie wierzę pani.

- Proszę to sprawdzić. Jestem mistrzynią w krzyku. I kopaniu.

- Tu w Londynie życie ludzkie jest tanie. - Próbował ją zastraszyć, ale nie wyszło mu to najlepiej.

- No wie pan, panie Rathskill - upomniała go, zażenowana, że tak się nie popisał.

- Twarda z pani sztuka, co? - Przełknął upokorzenie.

- Nie! - To absurdalne, ale owa ocena wcale jej się nie spodobała.

- Ależ tak - upierał się. - Jak jakaś Amazonka. Krzepka baba. Silna - stwierdził z nieoczekiwaną satysfakcją.

- Może chciał pan powiedzieć: syrena? - podsunęła mu, zdesperowana.

- Nie wiem, kim jest syrena. Amazonki to kobiety w dżungli, które pokonują mężczyzn. - Nagle się ożywił. - Kapitan był wszędzie, widział najróżniejsze kobiety. Mógłbym przysiąc, że Amazonki też, a pani jest dokładnie taka, jak one. Kapitan widział najróżniejsze kobiety, tak? Ani przez chwilę w to nie wątpiła, ale pamiętała, z jaką obojętnością się do niej odniósł. Nadal czuła się tym urażona.

- Syreny wabią żeglarzy urzekającym śpiewem i prowadzą ich na skały, na których statki się rozbijają, a oni giną. To mit. - Nadal miała absurdalną nadzieję, że będzie wołał takie porównanie.

- No nie. Może Lnie przepadam za kapitanem, ale nie chciałbym, żeby zginął jako rozbitek. A „Fortuna” to piękna łajba.

- To jest mit - powtórzyła zrozpaczona Violet. - Metafo... no, nieważne.

Sytuacja stała się patowa.

- Ale pani jest bardzo ładna - udobruchał ją.

- Dziękuję.

- A może oprócz tych dziesięciu funtów mogłaby pani w pubie udawać moją żonę? - zaproponował, by skorzystać z sytuacji.

- Nie mamy czasu. - Strategiczne użycie „my” czyniło z niego współspiskowca. - I powiedziałam: pięć funtów. Moja oferta to pięć funtów. Daję panu minutę na decyzję.

W targowaniu się była nieodrodną córką swego ojca.

- Panienko - zaczął zrozpaczony. - Nie jestem człowiekiem bez serca, no wie pani. Rozchodzi się o to, że śpię w hamaku z czterema marynarzami. No a Greeber krzyczy przez sen, a Lumley strasznie pierdzi.

- Może macie kajutę dla gości - przerwała mu. - Taką, którą można zamknąć na klucz. Przecież dopiero co przywieźliście z Hiszpanii dyplomatę? Na pewno nie spał w hamaku z załogą.

Chwilę milczał.

- Tak. Mamy kajutę dla ważniaków. Nazywa się Kajuta dla Wytwornych Gości. I w tym tygodniu nikogo takiego nie wieziemy. Jest pusta.

- Wezmę tę kajutę. Zawieź mnie pan. Pięć funtów. Minuta na decyzję.

Zamilkł. Wyciągnął szyję w stronę miasta. Może wyobrażał sobie swoje przyszłe życie poza „Fortuną” i bez okropnie niesprawiedliwe-

go kapitana Flinta. Porównywał te dwie groźby i ze zmartwienia bezgłośnie poruszał ustami.

- Na którego zagięła pani .parol, na Lavaya czy na kapitana? Była zaskoczona.

- Na żadnego - odparła z naciskiem.

- Nie wierzę. Ale widzę już po naszej rozmowie, że będzie pani najlepszą zemstą na kapitanie, jaką bym mógł wymyślić. Powiedzmy, że zabiorę panią na pokład, a sam ukryję się w mieście. Do świtu musiałbym gdzieś zniknąć, bo on raczej by mnie rzucił na pożarcie rekinom, niż kiedykolwiek mi wybaczył.

Violet nie podobał się jego wywód, ale była pewna, że ten człowiek ma rację.

- Poradzę sobie z kapitanem - stwierdziła z przeświadczeniem. Na pewno jej się to uda... kiedyś. Każdego mężczyznę daje się ujarzmić, nawet takiego opornego, jak hrabia.

Odwróciła się w stronę dorożkarza. Uniósł manierkę w geście toastu i upił z niej duży łyk. Spokojnie czekał na obiecane funta.

Jeśli to wszystko potrwa jeszcze chwilę dłużej, straci panowanie nad sobą, stwierdziła w duchu Violet.

- Policzę do dziesięciu i musi się pan zdecydować, panie Rathskill. Mój kufer stoi na ziemi koło dorożki. Raz... dwa... trzy...

Wtedy, ruchem, który miała zapamiętać do końca życia, ponieważ zdecydował o tym, co się później stało, gdy rozsądek ustąpił miejsca szaleństwu, a poczucie bezpieczeństwa - niepewności losu, z łatwością podrzucił kufer na ramię, choć wcale nie wyglądał na osiłka.

Spojrzała, być może po raz ostatni, na Londyn. Miasto zlewało się z atramentowoczną wodą, która pluskała o ściany doku. W ciemności trudno było odróżnić pogrążone w mroku budynki od statków. Gdzieś daleko turkotały karety, które odwoziły gości z przyjęć do domów. Z rozkoszą pomyślała, że może już nigdy nie będzie musiała wysłuchiwać plotek podczas balu. Stłumiła tęsknotę za rodziną, która i tak już ucierpiała od tylu strat.

Wróci triumfująca - z Lyonem albo z wieścią o nim. Nie miała pojęcia, jak to zrobi. Rzadko zastanawiała się, jak czegoś dokona.

A może nigdy już nie wróci do domu.

Kiedy Rathskill niósł jej kufer, podała jednofuntowy banknot dorożkarzowi, który dotknął róna kapelusza, strzelił batem i odjechał.

Violet poszła za Rathskillem nabrzeżem. Deski skrzypiały i ugiwały się pod nią w bezsilnym proteście, jakby przepowiadając nieszczęście. Rathskill podał jej rękę, kiedy wchodziła na łódź, a potem po-wiosłował przez chłodny, atramentowy półmrok do „Fortuny”.

Było wpół do ósmej, kiedy „Fortuna” podniosła kotwicę i odbiła od londyńskiego portu. Flint chodził po pokładzie z kubkiem pysznej, czarnej kawy w ręku i przygotowywał się do przejęcia steru od Lumleya. Tylko po to, żeby znów poczuć pod dłońmi serce swego statku.

- Kapitanie Flint?

- Tak, panie Corcoran?

- Rathskill wczoraj w nocy przyprowadził sobie na pokład dziwkę.

Flint poderwał głowę, wlepiając w niego wzrok. Potem znów opuścił głowę i dalej studiował mapy.

- Niemożliwe - powiedział z roztargnieniem. - Wie, że nie wolno sprowadzać na pokład kobiet.

Corcoran wyglądał na urażonego.

- Ale widziałem, jak ją przyprowadzał. Wdrapali się na pokład, a potem zamknął ją w kajucie dla ważniaków. Jakiś czas tam byli, ale ja wtedy spałem. Tak jest lepiej, bo on straszliwie chrapie i nie można zasnąć, chyba że już się śpi, jak on przychodzi. Myślałem, że może zmieniły się reguły, tylko jeszcze o tym nie słyszałem.

Flint znowu podniósł wzrok.

- Reguły się nie zmieniły. Na pokład „Fortuny” nie wolno sprowadzać dziwek. Może chcesz Rathskillowi narobić kłopotów.

Flint popatrzył na Corcorana najprzenikliwiej, jak zdołał, żeby zmusić go do szczerości. Powstrzymał się od powiedzenia tego, co obaj dobrze wiedzieli, że Rathskill znakomicie sam potrafi przysporzyć sobie kłopotów.

- Nawet by mi się nie śniło - Corcoran zerwał z głowy czapkę i położył ją na sercu, aby zilustrować swoją szczerość.

- Ale jeszcze nikt go od rana nie widział. Może dalej się z nią wyleguje.

Flint westchnął.

- Po czym sądzisz, że to była kobieta? Pewny jesteś, że ci się nie śniło?

- Jasne. Usiłowałem zasnąć i prawie mi się udało. Ale zobaczyłem skradające się cienie. Najpierw nic sobie z nich nie robiłem. Pomyślałem, że chłopaki wracają z miasta. Ale potem usłyszałem głos kobiety. Był taki wysoki.

- Słyszałeś, co mówiła? Corcoran odchrząknął i wyrecytował:

- Cóż to za wstrętny, obrzydliwy fetor!

Było to uderzająco realistyczne odtworzenie głosu prawdziwej damy.

Corcoran zarumieniał się i jeszcze raz odchrząknął, a potem uklonił się, jak sopranistka po występie.

Było to coś, czego Corcoran sam by nie wymyślił. Był roslym marynarzem i niezłym zabijaką, ale nie miał ukrytych talentów aktorskich.

- Była aż tak przerażona? - Flint się zachmurzył.

- Tak. A potem usłyszałem, jak Rathskill ją ucisza. I odgłos zamykanych drzwi. I zgrzyt klucza. Dziwne, żeby dziwka narzekała na smród, co? Ale przysięgam, że właśnie to słyszałem.

- Rzeczywiście, to dziwne.

Co tu się do diabła dzieje? - pomyślał.

- Mamy najróżniejsze smrody na pokładzie. Człowiek się do nich przyzwyczaja i nawet ich nie zauważa. Ale dla kobiety może to być szokujące. Nawet jeśli się jej płaci i jest przyzwyczajona do marynarzy, smród może ją zdziwić.

- Może - przyznał mu po chwili Flint. Coś było nie tak. Instynktownie to wyczuł. - I od rana nie widziałeś Rathskilla?

- Nie - potwierdził Corcoran. - Nie było go w hamaku. Nie zabrał śniadania z kambuza. No, więc tak sobie myślę, że może jeszcze jest z tą dziwką. Albo coś mu się stało.

- Dziękuję, Corcoran.

Flint już go wyminął i zamaszystym krokiem pomaszerował pokładem dziobowym, zmierzając prosto do drzwi Kajuty dla Wytwornych Gości. Przekreślił gałkę klamki.

Drzwi były zamknięte na klucz.

Samo to oznaczało, że coś jest nie w porządku. Uderzył pięścią w drzwi.

- Rathskill!

Wyobraził sobie marynarza z poderzniętym gardłem, zamordowanego przez prostytutkę dla pieniędzy. Potem Rathskilla i prostytutkę pijanych, splecionych w uścisku, chrapiących. Z satysfakcją pomyślał, że każe Rathskilla wychłostać. I przywiązać do takielunku, bo naprawdę miarka się przebrała.

Przechylił się do przodu i przyłożył ucho do ciężkich drzwi.

Czyżby usłyszał szuranie nogami?

Wyjął zza pasa pistolet i gestem kazał Corcoranowi zrobić to samo. Potem mocno pociągnął klamkę, tak że drzwi zastrasząco zaskrzypiały.

- Rathskill! Jeżeli tam jesteś, cały i zdrowy, wychodź, bo inaczej wykopię drzwi z zawiasów i cię dorwę.

Znów przyłożył ucho do drzwi. Cisza.

Zrobił krok do tyłu, podniósł ramię i właśnie miał nim mocno walnąć w drzwi, kiedy usłyszeli odgłos przekręcanego klucza.

Potem powoli przekręciła się gałka klamki.

Pięść Flinta zawisała w powietrzu. Zarówno on, jak i Corcoran stali jak zahipnotyzowani i przyglądali się ruchowi gałki.

Skrzyyyyp. W końcu drzwi powolutku, nieśmiało, leciutko się uchylily.

Chwilę potem w szparze ukazała się para długorzęsych, niebieskich oczu, delikatne skrzydła ciemnych brwi i subtelny, blady płatek nosa.

Oczy zamrugaly.

Były inteligentne, przenikliwe, pełne wyrazu i, trzeba przyznać, nieufne. Było w nich coś zdecydowanie, acz nieprzyjemnie znajomego.

- Dziwka! - oznajmił Corcoran triumfująco, zadowolony, że miał rację.

- Absolutnie kimś takim nie jestem - usłyszeli pogardliwy, o wytwornym akcencie głos, nieco stłumiony przez drzwi. Flint znał ten głos. Ale z jakiegoś powodu wspomnienie dotyczyło nie tyle dźwięku, co odczucia... ciepłego oddechu blisko ucha, prowokujących pytań, aksamitnego dekoltu... czegoś niebieskiego? Kobieta w błękitach?

Skąd zna ten głos?

- Jestem hrabią Ardmay i kapitanem „Fortuny”, madam. - Przemówił głosem, przed którym drżeli najdzielniejsi mężczyźni. - Czy została pani w jakikolwiek skrzywdzona bądź jest pani chora? Czy przyprowadzono tu panią wbrew jej woli?

Wahanie.

- Nie, kapitanie - odpowiedziała uprzejmie po chwili zastanowienia. Drzwi nadal były leciutko uchylone. Oczy znów zamrugały. Czyżby trzepotem długorzęsych powiek chciała go .oczarować? Czyżby go kokietowała? Narastała w nim podejrzliwość.

- No dobrze. Muszę więc panią poprosić, żeby otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz. Chcemy się upewnić, że naprawdę nic pani nie jest. Daję dżentelmeńskie słowo, że pod moją opieką jest pani bezpieczna. Interesuje nas również miejsce pobytu pana Rathskilla, ponieważ powiedziano nam, że to z jego pomocą znalazła się pani na statku. Jeśli jest tam z panią, musimy bezzwłocznie o tym się przekonać.

- Jestem sama.

- Zapomniała, że jest pan teraz hrabią, kapitanie - zauważył Corcoran.

- Sam czasem o tym zapominam, Corcoran - ze złością mruknął Flint. - Jak na razie nic nie mam z tego tytułu. - Podniósł głos. -Madam? Muszę panią poprosić, żeby otworzyła pani drzwi i natychmiast wyszła z kajuty, bo w przeciwnym razie użyję siły. Jeśli jest pani rozebrana, proszę narzucić na siebie pelerynę.

Corcoran ze zdziwienia kaszlnął, gdyż zapomniał, że istnieje taka zwodna nadzieja. Flint zgromił go wzrokiem. Zapadła cisza. Świadcząca o niezdecydowaniu.

Usłyszał, jak kobieta głęboko oddycha. Pewnie zbiera się na odwagę. Lecz po chwili się zakrztusiła. Być może nie jest w stanie znieść ohydnej fetory kajuty.

- No dobrze - zgodziła się w końcu z godnością.

Drzwi się poruszyły. Powoli je pchnęła i otworzyły się na oścież. Skrzyyyyp. Brzdęk. Oniemieli.

- Matko Boska - z szacunkiem wykrztusił Corcoran. Ściągnął kapelusz i znów położył go na sercu.

W drzwiach ukazała się bowiem wysoka, ciemnowłosa, szokująco czysta angielska dama, ubrana w obramowaną złotym lampasem

purpurową podróżną suknię i pelisę o eleganckim kroju, swobodnie spływającą z ramion. Flint wiedział, że strój ten jest zarówno modny, jak i niewiarygodnie drogi.

Włosy miała ciemne i błyszczące, błękitne oczy osadzone głęboko pod delikatnymi, kruczoczarnymi brwiami. Nosek prosty jak linijka. Błede, pełne usta, delikatny, lecz wyrazisty zarys szczęki, hardo zadarty podbródek. Kapelusik, przytrzymywany wstążkami, zwisał na plecach.

Wszyscy troje patrzyli na siebie skonsternowani, w milczeniu.

No cóż, pomyślał Flint. W tym otoczeniu wygląda zdecydowanie inaczej.

Nazwała go dzikusiem. Nudziła się na balu. Kiedy wspięła się na palce, żeby zadać mu pytanie, czy jest niewinna, owionął go zapach lawendy. Poczuł wtedy nagłą pokusę, błysk obietnicy czegoś, za czym tęsknił. Podniosła się zasłona nudy i konwencjonalnych komplementów i przez moment połączyła ich nieuchwytna nić szczerego, choć nie do końca nieskrępowanego porozumienia. Wiedział jednak, że ona tylko siebie sprawdza. Na pewno była niewinna, ale łatwo było ją namówić na nierozważny postępek. A mężczyzna, który się na to odważy, drogo za to zapłaci.

Och. To jej brat jest podobny do Le Chata. Le Chat, nemezis Flinta.

Z powodu którego wyruszył w tę podróż.

- Panno... - Był tak zdziwiony, że z trudem wypowiedział to słowo. Nie mógł wręcz uwierzyć, że wyszło z jego ust. Panna. Na jego statku.

O Boże. Bardzo niepożądany obrót wydarzeń.

- Redmond - podała z lodowatą godnością. Jakby była przyzwyczajona wymawiać to nazwisko, a potem patrzeć, jak wszyscy gną się w wiernopoddańczych ukłonach.

Och, dobry Boże.

Teraz sobie przypominał. Jest z Redmondów. Wczoraj wieczorem przedstawiono go Isaiahowi Redmondowi. Flint wiedział o jego bogactwie, wpływach i możliwościach. Isaiah Redmond wysłał w pościgu za „Fortuną” całą armadę. Jeśli wie, gdzie jego córka się podziewa.

Flint rzucił rozpaczliwe spojrzenie w kierunku Londynu, jakby zastanawiał się, czy dałoby się wsadzić ją do szalupy, żeby któryś



z jego ludzi natychmiast odwiózł ją z powrotem na ląd. Znajdowali się już jednak na pełnym morzu. A do najbliższego portu trzeba było płynąć kilka dni.

Dygnęła. On skłonił głowę.

To wszystko było całkiem niedorzeczne.

- Nazywam się Corcoran, madam - z szacunkiem przedstawił się stojący za nim marynarz.

- Miło mi pana poznać, panie Corcoran. - Głos miała melodyjny, sposób wysławiania się arystokratyczny.

Nic jej nie dolegało, choć była bardzo blada, a oczy miała lekko podkrążone z braku snu. Zastanawiał się, czy wymiotowała do nocnika, ale ku jego zdziwieniu nie wyglądała na umęczoną morską chorobą - skórę miałaby zielonkawą, a nie bladą. Można by wręcz pomyśleć, że całą noc przetańczyła i świetnie się bawiła - tyle że jej ubranie było szokująco świeże, czyste i niewygniecione. No i ten kapelusz. Bardzo się starała o zadbany wygląd, nawet mimo braku pokojówki.

Sięgnął wzrokiem w głąb kajuty.

Zobaczył kufer, rozłożoną na krześle pelerynę i nierówny, niewygodny materac, na którym nie dostrzegł odcisniętych śladów czyjegoś śpiącego ciała. Było to jedno z dwóch tradycyjnych łóżek na statku. Drugie należało do niego. Reszta załogi spała w hamakach.

W kajucie za nią unosiła się niepowtarzalna woń miejsca, w którym setki mężczyzn pociło się, puszczało wiatry, piło i usiłowało trafić do nocnika pod presją potrzeby, ale nie zawsze z sukcesem. Sprzątano ją, ale była zdecydowanie przeznaczona dla mężczyzn. Innymi słowy, unosił się w niej taki sam zapach, jak we wszystkich pozostałych kajutach na statku, może z wyjątkiem jego nieskazitelnie czystej, ponieważ był jedyną osobą, która tam kiedykolwiek spała.

- Panno Redmond... - zaczął łagodnie i uprzejmie, choć ogarniała go coraz większa wściekłość. - Dlaczego, do diabła, znalazła się pani na moim statku?

Corcoran odchrząknął.

- Kapitanie, może nie powinien pan używać słowa „diabeł” przy panie Redmond, ponieważ jest ona prawdziwą da... Flint poraził go wzrokiem.

Tamten urwał w pół słowa, z głośnym kłapnięciem szczęk. Następnie Flint znów odwrócił się do panny Redmond i rzucił jej zwodniczo miłe spojrzenie.

Dał jej chwilę na odpowiedź. Ale nie paliła się do tego.

- Bardzo dobrze. Proszę za mną, panno Redmond, porozmawiamy na osobności. Wracaj do pracy, Corcoran.

Dziękuję, że zwróciłeś mi uwagę na tę... sytuację.

- Tak jest, kapitanie. Miłego dnia, panno Redmond. - Corcoran tak energicznie się uklonił, że czubkiem łysiejącej głowy niemal dotknął własnych kolan, a potem najdłużej, jak się dało, wycofywał się, wpatrując się w Violet Redmond, jakby była czarowną zjawą, a ciasna, śmierdząca kajuta - sanktuarium.

Odwrócił się i wdrapał z powrotem na pokład. Flint był pewien, że natychmiast opowie pozostałym marynarzom o tym, że Violet jest na statku i, rzecz jasna, wszystko wyolbrzymi. Co za cholerny pasztet.

Angielka zawsze wszystko potrafi skomplikować.

- Panno Redmond - powtórzył stanowczo. Gestem wskazał, żeby poszła przed nim.

Po krótkim wahaniu podniosła głowę wysoko, aby mu pokazać, jaka jest dzielna - co na pewno będzie jej potrzebne, pomyślał ponuro - i posłusznie zrobiła, co kazał.

5

Otworzył drzwi do kapitańskiej kajuty, swojego sanktuarium. Pomieszczenie to urządził z prostą elegancją, jak wszystkie inne, w których mieszkał, od kiedy w wieku lat osiemnastu po raz pierwszy został kapitanem. Było nieco większe niż typowa kapitańska kajuta, ale niewiele. Łóżko, sekretarzyk, lustro, szachy, mały obrazek, tarcza do gry w rzuty strzałkami, kilka książek. Na ścianie wisiała mapa. Każdy z tych przedmiotów miał dla niego znaczenie. Wszystko w kajucie albo czemuś służyło, albo było prezentem od kogoś, kto był dla niego ważny.

Wprowadził ją do środka i zamknął drzwi.

W kajucie stało też kilka krzeseł, na łóżku również można było usiąść, ale jej do tego nie zaprosił. Odwrócił się do niej i zaczął ją zasypywać gradem pytań.

- Jak dostała się pani na mój statek, panno Redmond?

- Dowiedziałam się, że pański człowiek, Rathskill, jest niezadowolony z pracy. Okazało się, że nie było trudno go przekupić, kapitanie Flint. Jak pan wie, nie przepada za panem.

Strata Rathskilla nie była zbyt dotkliwa. Nie\* mógł się jednak oprzeć pokusie, aby spytać:

- Za ile to zrobił?

- Za pięć funtów. - Wydawała się zdziwiona, że tak tanio.

Flint także się zdziwił. Znaczyło to, że albo ten człowiek jest głupkiem, więc dobrze, że się go pozbył, albo diabolicznie przebiegły - o co go nigdy nie podejrzewał - skoro udało mu się zemścić na kapitanie i jako pożegnalny prezent zostawić na pokładzie pannę Redmond.

- Po balu zapakowałam kufer i zapłaciłam dorożkarzowi, żeby zawiózł mnie tam, gdzie na kotwicy stała „Fortuna”. Rathskill zabrał mnie łodzią na pokład i zaprowadził do gościnnej kajuty, a potem odpłynął, aby w Londynie cieszyć się swoimi pięcioma funtami i wolnością od pana.

- Czy w tę poronioną wyprawę wybrała się pani bez żadnej opiekunki?

Wahanie.

- Tak. - Nie odniosła się do przymiotnika, którego użył.

- Czy pani rodzina ma choćby blade pojęcie o tym, gdzie pani jest?

- Rodzina uważa, że wyjechałam do znajomej w Northumberland i rano wyruszyłam w podróż dorożką. Tak przynajmniej kazałam powiedzieć lokajowi. Trochę się mnie boi, więc na pewno właśnie to im powiedział.

Fatalnie. Coraz gorzej i gorzej.

- A po co, na miłość boską, pani tu się znalazła?

Jej milczenie chyba wynikało raczej z wahania niż z uporu. Nie bardzo wiedziała, jak mu to powiedzieć. No dobrze.

Wszystko wyciągnie z niej pytaniami.

- Ucieka pani przed wymuszonym małżeństwem?

- Nie.

- Spodziewa się pani dziecka i ma zamiar rzucić się z burty mojego statku z żalu i ze wstydu, a przy okazji z głupiej potrzeby, by to udramatyzować.

- Nie! - Nie zarumieniła się, chociaż była bez wątpienia przerażona.

- Znakomicie. Nadal pozostaje jednak ewentualność rzucenia się przez burłę.

- Ja...

- Czy ktoś z rodziny podniósł na panią rękę albo w inny sposób źle potraktował, więc w przypiływie nagłych emocji ruszyła pani do portu, a potem przekupiła mojego człowieka, aby zająć jego miejsce?

- N...

- Zakochała się pani w Lavayu i postanowiła podążać za nim na krańce świata?

- Nie!

W jej oczach nagle zabłyśły dziwne iskry.

- A może chodzi o zakład z którąś z przyjaciółek?

- Nie.

Przyglądał się jej tak przenikliwie, że aż sam się zdziwił, iż nie wypalił wzrokiem dymiącej dziury w jej czole.

- Podoba mi się ta zabawa w zgaduj-zgadulę, panno Redmond, ale mój czas jest cenny i muszę dowodzić tym cholernym statkiem.

No cóż. Przy ostatnich trzech słowa opuściła go cierpliwość. Szerzej otworzyła oczy. Zauważył, że odruchowo zacisnęła dłonie. Jego wybuch zrobił na niej wrażenie, ale nie zastraszył. Daj jej czas.

Piękny kolor, zauważył. Jej oczu. Krystalicznie niebieski, jak spienione morze lśniące w promieniach słońca. W surowych realiach statku piękno i wdzięk stają się aż nazbyt wyraźne. A piękna, urzekająca wdziękiem kobieta na statku pełnym mężczyzn pozbawionych piękna może oznaczać chaos, a nawet katastrofę.

- Panno Redmond. - Te dwa słowa padły z siłą kowalskiego młota. - Powie mi pani wreszcie, dlaczego znalazła się na moim statku?

Znowu cisza, ale teraz w jej milczeniu wyczuł raczej niepewność niż upór. Wciąż się zastanawia, jak mu to powiedzieć. Ech, kobiety.

- No dobrze. Skoro nie wie pani jeszcze, jak zacząć swoją opowieść, a zapewniam panią, że wszystko mi pani wyzna, i to szczerą prawdę, proszę pozwolić, że ja pani o czymś powiem. Czy ma pani pojęcie, co w obecności takiej osoby jak pani może się stać z załogą złożoną z mężczyzn, którzy całymi tygodniami i miesiącami są pozbawieni towarzystwa kobiet? Słowo „towarzystwo” jest tu eufemizmem. W dodatku raczej trudno powiedzieć, że jest pani brzydula.

Tylko mrugnięciem zdradziła, że nieco ją zaskoczyły te słowa.

- Nie musi pan mi się przypodchlebiać, kapitanie.

- Nawet mi się nie śni. Nigdy nie prawie pochlebstw i nie jestem bawidamkiem. „Fortuna” wypłynęła z ważną misją, która może być niebezpieczna. Mam niewielką załogę. To ciężko harujący, wyszkoleni żeglarze i w każdej minucie każdego dnia muszę liczyć na pełnię ich władz umysłowych i fizycznych. Ale jednak są mężczyznami. Przebywając z kobietą i rywalizując z innymi mężczyznami o jej względy, mogą być zdolni tak do galanterii, jak i, powiedzmy, zachowań wręcz zwierzęcych. I nie będzie miało żadnego znaczenia pochodzenie kobiety i to, czy jest dziewczyną. Czekał, że się zaczerwieni.

Śladu rumieńca. Zacisnęła jednak zęby i wyraźnie napięła jej się skóra wokół oczu. Godne podziwu męstwo albo niewiarygodna wręcz bezczelność. Nie był pewny, czy jej zachowanie wyraża to pierwsze, czy drugie.

- Nieodpowiednia kobieta może nam fatalnie dezorganizować pracę. A zapewniam, że z całą pewnością jest pani nieodpowiednią kobietą. Swoim pojawieniem się tutaj może pani udaremnić moją misję i siał zamieszanie wśród załogi, a naprawdę żaden z moich marynarzy nie zasłużył na to, by zakłócać mu spokój ducha. Mówię to pani w nikłej nadziei, że jeśli już nie mózg, ma pani może sumienie.

Słuchała go, a twarz jej stawała się coraz bardziej napięta i coraz bledsza. Przełknęła ślinę.

Dobrze. Znaczy, że nie jest całkowicie pozbawiona sumienia.

Bardzo się jednak mylił co do przyczyny jej bledości. Zbladła, bo ją wystraszył.

A poza tym rozgniewał. A wtedy stawała się nierozważna.

- Tak słabo pan panuje nad swymi marynarzami, kapitanie Flint? - zapytała.

Zamarł. Na jego twarzy pojawił się wyraz tak zaciętej twardości, że poczuła, jak zgrzytnęły jej zęby. Jakby uderzyła głową o mur. Teraz głos miał cichy i jeszcze bardziej ją przerażał.

- Musiała pani mieć ważny powód, by przekupić mojego człowieka i dzięki temu wtargnąć na mój statek. Bo jeśli zrobiła to pani z czystego kaprysu, bez najmniejszych skrupułów wyrzucę panią za burtę.

- Jestem pewna, że trochę by to jednak pana dręczyło. Czemu, na Boga, się z nim spiera? Co nią powoduje? Teraz sama

siebie się bała. Ale na swą obronę miała tylko butę. Pomyślała, że tak zachowują się zaszczute zwierzęta - bronią się w każdy dostępny im sposób.

Syknął, nie wierząc własnym uszom.

- Nie dam rady przez cały czas chronić pani na tym statku, panno Redmond, i nie mogę pozwolić, aby robił to któryś z moich ludzi. To nie są, panno Redmond, dzentelmeni. - Ostatnie słowo wypowiedział z szyderczą ironią. - W innych okolicznościach niektórych z nich można byłoby uznać za łotrów i nieponi. Po prostu to marynarze i wojownicy. Do bitki i do wypitki.

Wiedziała, że złamała zasady. Ale jego arogancja tak ją wzburzyła, że odpowiedziała zapalczywie:

- Żadnemu z nich nie pozwoliłabym się dotknąć, milordzie. Nie jestem taka krucha, jak się panu może wydaje. Udało mi się przecież przekupić Rathskilla. I nie sądzę, by odważyli się ulec zwierzęcym instynktom, jak pan to ujął, znając tego konsekwencje. Powie im pan po prostu, że czeka ich chłosta, aż do zdarcia skóry z pleców. Pan jest przecież kapitanem, a ich lojalność wobec pana jest niekwestionowana.

Miała nadzieję, że zdziwiła go znajomością marynarskich kar. Odwróciła się, by wyjść. W kajucie dla gości jest jej kufer, a w nim dwadzieścia funtów. Nie pamiętała, czy porządnie zamknęła go na klucz.

Jak we śnie kątem oka zobaczyła, że hrabia wyciąga rękę i mocno zaciska dłoń na jej ręce, powyżej łokcia. Jakby skuł ją w kajdany.

Zarejestrowała tylko, że jego uścisk był bezosobowy i bynajmniej nie delikatny i że nigdy w życiu nikt jej w ten sposób nie dotknął. Spróbowała się ruszyć, ale było to absolutnie niemożliwe. Potem okręcił ją, aby stanęła twarzą do niego.

Nagle i niespodziewanie.

Na moment ją unieruchomił. W równym stopniu uściskiem, co dzikością spojrzenia. A potem ją puścił. Przesunął palcami po jej ramieniu, odciskając na nim gorący ślad.

Udowodnił, że może zrobić z nią, co zechce.

Była jak rażona piorunem.

Powstrzymała odruch, aby rozetrzeć ramię. Nie bolało, ale nadal czuła na nim piętno jego pięciu palców. Poczowała, jak policzki zaczynają jej płonąć. Nie była pewna, czy to wściekłość, czy upokorzenie, czy jedno i drugie.

Stała z wlepionym w niego wzrokiem. Nic innego nie była w stanie zrobić.

- Teraz lepiej. Lubie, kiedy się na mnie patrzy, słuchając tego, co mówię. Panno Redmond, jestem kapitanem tego statku, i to ja decyduję, czy rozmowa dobiegła końca. Nasza jeszcze się nie skończyła. Poza tym widzi pani: odważyłem się pani dotknąć.

Czekał, aż zareaguje.

Tym razem starczyło jej rozsądku, aby nie powiedzieć ani słowa.

- Z jednego nie zdaje sobie pani sprawy. Mogę panią pojąć, kiedy tylko zechcę i tak, jak mi się spodoba. Gdybym zechciał, ale nie wyobrażam sobie, po co miałbym chcieć. Od moich kobiet oczekuję chęci do pracy. A wątpię, żeby pani kiedykolwiek w swoim życiu zrobiła coś, co wymaga jakiegokolwiek wysiłku.

To absurd, ale najbardziej uderzył ją nieskazitelnie poprawny język, jakim się posługiwał. Eleganckie, precyzyjne zwroty. Przyszedł jej na myśl nauczyciel francuskiego. Mówił podobnie - bezbłędną angielszczyzną, której nie opanował w sposób naturalny, ale nauczył się jako języka obcego.

Hrabia nauczył się pańskości.

Radził z nią sobie jak balansujący na linie żongler, który podrzuca płonące pochodnie. Jednak pod cienką powłoką pańskości kryło się coś, z czym zdradził się przed chwilą i co wszyscy wyczuli w nim na balu.

Jest dzikusiem. Tak przynajmniej mówiono.

Studiował jej twarz, by zobaczyć, jak zareaguje na jego słowa.

- Obawiam się, że nie ma pani bladego pojęcia, o czym mówię. Dopiero wtedy, z opóźnieniem, dotarła do niej cała groza tego,

co powiedział. Kończyny ogarnęła fala lodowatego chłodu, a potem

gorąca, i dotarła do żołądka. O mój Boże. Oczywiście, że wie, co miał na myśli. Posiąć ją, folgując zwierzęcym instynktom.

Nigdy wcześniej nie słyszała, żeby ktoś mówił o tym jako o pracy. Pewnie panie w Aksamitnej Rękawiczce tak na to patrzą.

- Wiem, o czym pan mówi - oświadczyła lodowatym tonem, takim, jakim on wcześniej do niej mówił. To znaczy chciała tak powiedzieć, lecz z jej gardła wydobył się głos ochryply z przerażenia.

Co za absurdalna odpowiedź. Flint szyderczo uniósł brwi.

- No cóż. Zastanawiam się, dlaczego pani uważa, że nie będę miał kaprysu pani posiąć. Jestem przecież brutalem, wszyscy tak mówią... - oznajmił, jakby po prostu chciał zaspokoić zwykłą ciekawość. Ale jego oczy mówiły co innego. Były władcze, obojętne, lodowato gniewne.

Zmierzyli się wzrokiem.

- „Dzikusem” - poprawiła go. - Tak o panu mówią. - Miała dość rozumu, aby nie odnosić się do reszty jego wypowiedzi.

Patrzył na nią z coraz większym niedowierzaniem.

Odwzajemniła jego spojrzenie - czujnie, bez mrugania, z ciekawością, która, choć o tym nie wiedziała, niezwykle upodobała ją do jej brata, Milesa, przyrodnika, kiedy badał ludożercze rośliny i różne insekty, aby lepiej je zrozumieć. Hrabia Ardmay nie wykazywał najmniejszego podobieństwa do mężczyzn, których do tej pory znała.

- Tak pani zazwyczaj traktuje mężczyzn, panno Redmond? Jak domowe zwierzątka albo jak służących? Ciekaw jestem, do której kategorii, według pani, ja się zaliczam?

Zastanowiła się. Nigdy nie myślała o tym w taki sposób.

A kiedy zrozumiała, że miał w gruncie rzeczy rację, znowu ogarnął ją gniew. Jakby nagle przyłapała go na podglądaniu przez dziurkę od klucza. Nikt dotąd nie oceniał jej pod tym kątem i trudno powiedzieć, żeby była to dla niej ocena pochlebna.

Może i czasami zdarza jej się traktować młodych mężczyzn, którzy naiwnie krążą wokół niej na balach, jak muchy na pikniku. Roili się wokół niej przy każdej nadarzającej się okazji - podczas balu, festynu lub innej uroczystości. Chyba jednak sprawia im przyjemność, kiedy się przed nimi ogania, jakby najważniejsze było, że właśnie ona to robi.

- Na pewno nie jak domowe zwierzątko - zawyrokowała.



Zrobił tak dziwną minę, że miała nieodparte wrażenie, jakby chciał się powstrzymać od śmiechu. No chyba, że nagle potwornie rozboleł go brzuch.

- Panno Redmond, jestem zaskoczony, że w ogóle muszę to pani mówić, ale istnieje niewielka szansa, iż ma pani sumienie, więc jednak muszę powiedzieć, że przekupując byłego członka mojej załogi, aby się tu dostać, postąpiła pani wyjątkowo lekkomyślnie i samolubnie. Oczywiście naraziła pani na szwank swoją reputację, ale oprócz tego narobiła kłopotu mnie i mojej załodze, bez wątpienia przysporzyła zmartwienia rodzinie, rozpętała skandal, a to wszystko po co? Dla wygłupu, kaprysu, dla...

Nagle miała dosyć.

- Nie dla wygłupu - syknęła.

Na szczęście na chwilę zastygł bez ruchu. Wokół nich zapadła złowróżbna cisza.

A potem, nie zważając, czym się to skończy, wybuchła.

- Lekkożywnie, nie zaprzeczam. Impulsywnie? Odpowiednie słowo. Ale nie zrobiłam tego dla wygłupu. Mój brat Lyon, dziedzic majątku ojca, zaginął rok temu. Nawet pan nie wie, jaka to strata dla rodziny. Powiem tylko tyle: wszyscy udają, że jest dobrze, choć naprawdę nasza rodzina powoli się rozpada. Podejrzewam... podejrzewam, że pan także usiłuje go odnaleźć. Po raz pierwszy od dawna cokolwiek o nim usłyszałam.

- Co to, do diabła, ma znaczyć?

- Znaczy, że moim zdaniem mój brat, Lyon Redmond, to pan Hardesty. Albo, jak pan go nazywa, Le Chat.

## 6

### **Cisza.**

- Sądzi pani... - Wyraz jego twarzy był nieprzenikniony. - Proszę mówić dalej.

- Na balu gwałtownie zareagował pan na widok mojego brata Jonathana. Powiedział pan, że mógłby być on bliźniaczym bratem pana

Hardesty'ego. Jonathan jest bardzo podobny do Lyona. A Lyon zniknął pewnej nocy rok temu. Kobieta, która podobno złamała mu serce, nazywa się Olivia Eversea.

- Olivia - ponuro powtórzył hrabia po chwili milczenia. Ton jego głosu w pełni współgrał z opinią Violet o tamtej kobiecie. Sama nigdy nie wymówiłaby inaczej imienia Olivii Eversea.

- Muszę pana zapewnić, że usiłowałam powiedzieć mojemu bratu, Jonathanowi, czego się od pana dowiedziałam o Le Chacie. Sposób, w jaki zareagował, upewnił mnie, że nie ma sensu mówić o tym ojcu. Bo to mogę panu powiedzieć: nikt mnie nie słucha. Wszyscy mnie oczywiście kochają, ale nie jestem pewna, czy jestem im potrzebna. Czemuż mieliby wierzyć kobiecie? Czemu wierzyć mnie, zwłaszcza że jestem taka nierozważna? Ktoś musi znaleźć Lyona, zanim pan to zrobi. A gdybym wczoraj powiedziała panu o moich podejrzeniach, wpuściłby mnie pan na swój statek? Oczywiście, że nie. Jest pan moją największą nadzieją, kapitanie, na odnalezienie Lyona i uratowanie go... przed panem... A ponadto...

- Jest jeszcze ponadto? - Głos miał wyprany z emocji.

- Nie jestem dzieckiem. Jestem damą wysokiego rodu, jednego z najstarszych i najlepszych w Anglii. Myślę, że pan wie, jak się zachować wobec damy. To prawda, że sprawiłam panu kłopot, ale będę wdzięczna, jeśli będzie pan pamiętał o swoich nowo nabytych manierach, ponieważ to, czym pan się do tej pory wykazał, nie świadczy o panu dobrze i tylko potwierdza opinię większości, kapitanie Flint, że jest pan dzikussem. - W słowie „dzikus” z przyjemnością przeciągnęła „s”, wysyczała je niczym wąż. - Dżentelmena poznaje się po tym, jak zachowuje się, kiedy nie ma audytorium, które może podziwiać jego wykwintne maniery. Może pan tego nie rozumie, milordzie, ale całe wieki wychowania sprawiają, że ogładę mam we krwi i nie muszę się usilnie starać, by to udowodnić. Tylko tacy ludzie jak pan muszą pracować nad wyrobieniem w sobie cnót. W moim przypadku zrobili to moi przodkowie, ja już nie muszę. Moja rodzina poczytuje to sobie za honor.

W czasie tej przemowy poruszył się tylko raz - mrugnął. Jakby chlusnęła mu w oczy wodą. Wpatrywał się w nią bacznie, niepokojąco beznamiętnie zaciekawiony.

Skończyła.

Ale on tak długo milczał, że wściekłość całkiem z niej wyparowała. Nie oponował. Poczula się pusta, wyczerpana. Kokon porzucony przez gąsienicę. Zdmuchnąłby ją teraz najbliższy wietrzyk.

Wyglądał na zamyślnego.

- Naprawdę wierzy pani, na podstawie podobieństwa młodszego brata do Le Chata i nazwy statku, że pani brat, ten Lyon, jest owym słynnym piratem?

Mówił takim tonem, że cokolwiek by powiedział, brzmiałoby jak żart. Nie odpowiedziała.

- I ma pani zamiar... co uczynić? Nie pozwoli mi pani oddać pani brata w ręce sprawiedliwości?

Czy się powstrzymała przed wybuchem śmiechu? Czy też przed atakiem hysterii? W każdym razie przed czymś, co, była przekonana, jej się nie spodoba. Mówił bardzo dobitnie, panując nad sobą.

Rozprostowała plecy. Nie miała zamiaru się przyznawać, że tak daleko w przyszłość jeszcze nie wybiegła. Była mistrzynią w działaniu spontanicznym. A raczej wolała działać spontanicznie, bo tylko tak mogła urozmaicić monotonię swojego życia.

- Jeśli mój brat faktycznie jest Le Chatem, kapitanie Flint, będzie mnie pan mógł użyć jako przynęty. Rozgłosi pan, że panu towarzyszę, i może uda się go wypłoszyć. Ma pan rację, na pewno postaram się go przed panem ostrzec... jeśli tylko pan mnie do niego zaprowadzi. Jeśli to on jest Le Chatem, na pewno cała sprawa wygląda inaczej, niż się panu zdaje. Lyon nie jest piratem. W tej grze wygra lepszy gracz.

Dobre nieba! W długiej ciszy, która zapadła po jej słowach, przez jego twarz przebiegła fala skrajnych emocji.

Hrabia wpatrywał się w nią uważnie.

- Proszę powiedzieć, panno Redmond - odezwał się wreszcie po chwili namysłu. - Często się pani nudzi?

Mogłaby przysiąc, że podłoga kajuty usunęła jej się spod nóg.

Musiał zauważyć, że kręci jej się w głowie. Popatrzyła na niego. Czula się tak, jakby zdarto z niej ubranie. Skąd on to wie?

Uniósł kącik ust, co znaczyło: tak myślałem. Świetnie się bawił. Ten cholernie bystry mężczyzna rozumiał ją aż za dobrze, ale ani trochę jej nie wierzył.

Nagle pojęła całą prawdę. To ją zawsze traktowano jak domowe zwierzątko. Rozpieszczano ją, psuto, czasem karcono, a nawet

lekko karano, ale zawsze bracia lub rodzice trzymali ją na niewidzialnej jedwabnej smyczy, bez względu na to, co by zrobiła niedorzecznego lub nierozważnego. Nikomu nie była potrzebna. A przecież, to oczywiste, w niczym nie ustępowała żadnemu dobrze urodzonemu młodzieńcowi w Londynie. Przeciwnie, przewyższała ich rozumem i dzielnością.

Jednak ani trochę nie przygotowało jej to na konfrontację z ludźmi typu hrabiego Ardmay.

Głos miał teraz niższy, cichszy i delikatniejszy. Zmiana ta od razu zbiła ją z tropu, ponieważ jego szorstkie zachowanie budziło w niej opór.

- Ależ nigdy, przenigdy „tego rodzaju pracy”, o której mówiłem przed chwilą, nie uznałbym za... cnotę.

Jakby owiał ją zapach kadzidła wydobywający się zza zamkniętych drzwi domu publicznego. Czowała, jak muska jej skórę niczym szorstki jedwab.

Zrobił to rozmyślnie.

Bawił się nią. Cała ta sytuacja tak go rozbawiła, że postanowił się nią pobawić.

Prawie mu się udało. Nabrała powietrza do płuc.

Wciągnął ją w pułapkę. Chciał, by wdała się z nim w dyskusję i go przekonywała. Poczowała się, jakby szła po rozchwianym pomoście nad głębiną. Dla Violet dyskusja z mężczyzną była absolutnie ostatnią deską ratunku. Ale do tej pory zawsze sobie z nimi jakoś radziła. Rozpraszała jej nudę, bo zawsze musiała wymyślić, jaką zastosować wobec nich strategię.

Zwierzątka albo służący. Coś takiego!

- Ma pan braci lub siostry, kapitanie... lordzie...?

- Wystarczy kapitan. Bóg raczy wiedzieć. Mogę ich mieć tuziny. Nie mam pojęcia, kim jest mój ojciec.

Violet poczuła pustkę w głowie. Usta nieco jej się otworzyły. A potem zamknęły. Żadne z jej doświadczeń nie przygotowało jej do rozmowy z takim mężczyzną. Ale też trudno było sobie wyobrazić takiego mężczyznę.

Nikogo nie ma? Żadnej rodziny? Nagle uświadomiła sobie, że ogarnia ją bezsensowna litość, i odegnęła ją od siebie.

Nie jest to mężczyzna, który potrzebuje litości. I na pewno by jej sobie nie życzył.

- Przerażam panią. - Stwierdzenie, nie pytanie. Westchnęła.

- Owszem - przyznała. - Stara się pan o to?

Zamrugął, zdziwiony, i ku jej zdumieniu się uśmiechnął. I wtedy jednocześnie wydarzyły się trzy niezapomniane rzeczy. W kąciku jego ust pojawił się dołeczek, zabójczy półksiężyc. Rozbłysły mu oczy, jakby ciemne niebo przeszła błyskawica...

.. i Violet przestała oddychać, jakby ta błyskawica trafiła ją prosto w serce.

- Wątpię, żebym musiał się starać o to, żeby panią przerazić. Wystarczy, że... jestem.

Odzyskała oddech, ale ciągle jeszcze wpatrywała się w miejsce po dołeczku. Wbiła sobie paznokcie w dłoń, aby się ukarać za chwilę otępienia.

Olbrzymi, przerażający mężczyźni powinni mieć zakaz posiadania czegoś tak uroczego jak dołeczki, pomyślała z urazą.

Jego twarz stała się teraz łagodniejsza, ale Violet nie była taką optymistką, by sądzić, że udało jej się go oczarować.

- Nonsens. Nie docenia mnie pan, kapitanie Flint - powiedziała chłodno.

Była to czysta zuchwałość. Jak na razie całkiem nieźle udawało mu się ją rozgryźć.

Najbardziej ze wszystkiego męczy mnie pan, kapitanie Flint.

No... i przeraża. Do tej pory nie udało się to żadnemu mężczyźnie.

A co najgorsze, pan mnie intryguje.

I tego właśnie się najbardziej obawiała, zwłaszcza że był pierwszym mężczyzną, który ją zaintrygował.

A wszystko przez uśmiech, który trwał ułamek sekundy. I przez ten dołeczek.

Zrozumiała, ku swemu głębokiemu niezadowoleniu, że ona też nie jest wolna od ludzkich uczuć.

Trzęsła się ze strachu, zmęczenia i wysiłku, by nadal okazywać brawurę. Zabójcza mieszanka. Tym, czego do tej pory wymagano od niej w kontaktach towarzyskich, były jedynie duma, arogancja, szyk i dowcip. Chciała zapaść się w otchłań snu, zapomnieć hrabiego. Ale odstręczała ją myśl o ciemnej, kołyszącej się, śmierdzącej norze, czyli

jej kajucie, i twardej pryczy z cienkim jak kromka chleba materacem rojącym się od stworzeń, które jej brat Miles z pasją opisywał w swoich książkach jako fascynujące.

Nie miała odwagi usiąść na pryczy. Resztę poprzedniej nocy przesiedziała na krześle koło pryczy i patrzyła na nią, jak na groźnego drapieżnika. Tak spędziła kilka strasznych godzin. A kiedy poczuła, że podnosi się kotwica i statek wypływa w morze, w panice o mało nie wybiegła z kajuty.

Pomyślała o Lyonie. Gdybyż tylko wrócił do domu. Spojrzała na szachy hrabiego i tym razem pomyślała o Milesie z tęsknotą. Pewnie siedzi z głową pochyloną nad szachami naprzeciwko starego pana Culpeppera w pubie Pod Świnia i Ostem w Pennyroyal Green, pogrążony w szachowej potyczce, a jego żona Cynthia ze spokojnym podziwem mu się przygląda.

Jakżeby chciała o swoich podejrzeniach porozmawiać z Milesem. Czy by ją wysłuchał i zrozumiał? Pewnie nie, zwłaszcza gdyby mu wspomniała o Cygance i Lavayu. Nawet Miles pociągnąłby za jej niewidzialną smycz i poklepał ją po głowie.

I wtedy nagle przyszedł jej do głowy pomysł, naprawdę desperacki. Wiedziała, że hrabia nie pozwoli sobą kierować. Nie oznaczało to jednak, że nie weźmie udziału w grze. A nuż się zgodzi. Rozpaczliwie pragnęła w niej wygrać, by odzyskać dumę, nie wspominając już o wiarygodności.

- Gra pan w szachy, milordzie? Spojrzał na nią.

- W szachy - powtórzyła. Jakby nigdy przedtem nie słyszał tego słowa.

Gestem wskazała piękne szachy rozstawione w przeciwległym rogu jego kajuty.

- Widzi pan, bardzo bym nie chciała dzisiejszej nocy spędzić w tej... mysiej dziurze.

- Trudno mi nawet wyrazić, jak mi przykro, że się pani dzisiaj nie wyśpi, panno Redmond. Według mnie myszy zawsze wyglądają na wypoczęte. To bardzo żywotne stworzątka.

- Proponuję, żebyśmy zagrali w szachy o prawo do spania w pańskiej kajucie, znacznie lepszej. Jeśli wygram, pan będzie dzisiaj spał w mysiej dziurze. - Nie ustępowała.

Jeśli chodzi o szachy, miała najlepszych nauczycieli w Sussex. Jej brat Miles często z nią grywał, a był znakomitym szachistą. Nie chciała się chwalić, ale wiedziała, że i ona jest bardzo dobra w tej grze.

Hrabia niemal podskoczył, zdumiony jej zuchwalstwem.

- Chce pani... zagrać w szachy o prawo do spania w moim łóżku?

Nawet on wiedział, że nie może jej niczego insynuować. Znów wykrzywił mu się kącik ust. Przyglądała mu się ostrożnie, w obawie, że jej prześle następny uśmiech. Nie, nie zrobił tego.

- Postaram się, jak pan to ujął, zrobić coś, co wymaga pewnego wysiłku - zadrwiła i przy tych słowach ciemna chmura przemknęła w jego oczach. Zauważyła ją. Zresztą na to liczyła. Szybko się uczyła i nie bała się drażnienia byka. - A jeśli wygram, będę spała w wygodniejszym łóżku, a pan w mysiej dziurze. Boi się pan, że wygram?

-Wiedziała, że to pytanie mu się nie spodoba.

Zapadła cisza. Z powagą jej się przyglądał.

Potem westchnął, z takim nieudawanym znużeniem, że prawie mu współczuła, ale w porę przypomniała sobie, że to ona była tego przyczyną.

- Panno Redmond... na miłość boską. - Jego głos brzmiał dramatycznie. Słysząc było, że traci resztki cierpliwości. -

Dobry Boże. Jestem kapitanem tego statku. Skąd się wziął u pani pomysł, że będę zajmował się grą w szachy... żeby... żeby... - Pokręcił głową, jakby nie był w stanie dokończyć tego zdania. - W szachach jestem mistrzem - powiedział cicho. Miała wrażenie, że za chwilę obejmie twarz dłońmi i zacznie nią kołysać.

- Więc gra skończy się szybko - odpowiedziała bez wahania. Ale dłonie miała zimne i lepkie. W fałdach sukni ukryła skrzyżowane palce. Na szczęście.

Hrabia patrzył na nią badawczo. Spojrzał na drzwi, jakby rozważał, czy lepiej będzie dla niego uwolnić się od towarzystwa pasażerki na gapę, czy spełnić jej kaprys.

Znowu westchnął i powoli podszedł do szachów. Wyciągnął dłoń i w zadumie pogłaskał głowę skoczka z polerowanej kości słoniowej.

- Ile pieniędzy wzięła pani ze sobą w podróż? - Podniósł na nią wzrok. - Chyba wzięła pani jakieś pieniądze?

Pytanie zdziwiło ją.

- Dwadzieścia funtów.

- Dwa... - Urwał. Znów z zagadkowym, niedowierzającym półuśmiechem pokręcił głową. - Dobrze, panno Redmond. Zagramy tylko raz. Jeśli pani wygra, może pani spać w mojej kabinie, a nie w tej, którą pani udzielono. Ja będę spał w mysiej dziurze, jak pogardliwie nazwała pani miejsce, którego użyczono pani na moim statku. Wysadzę panią w najbliższym porcie i wynajmę kogoś, kto bezpiecznie dostarczy panią do domu. Za pani pieniądze.

Och. Kiedy tak to przedstawił, ruszyło ją trochę sumienie. Mysia dziura to faktycznie obraźliwe określenie. Zapewne była nieuprzejma, ale z drugiej strony, jak na razie nie dał jej okazji pokazać się z lepszej strony.

Niemniej jednak propozycja hrabiego nie do końca jej odpowiadała.

- Ale...

- Proszę się ze mną nie spierać. Nie skończyłem. Jeśli pani przegra, da mi pani pięć z pani dwudziestu funtów, aby pokryć koszty posiłków i zakwaterowania na statku, a ja wysadzę panią i pani kufer na ląd w następnym porcie. Jeśli wiatr nadal będzie nam sprzyjał, za dwa dni przybijemy do Hawru. Sama znajdzie pani gospodę i sama wróci do domu. Może pani dołączyć do grupy podróżujących, może zatrudnić się w burdelu, może też pani iść do diabła. Nic mnie to nie obchodzi. Całe życie uważała pani, że mężczyźni mają obowiązek panią chronić, panno Redmond. Za rzeczy oczywiste przyjmowała pani życie w luksusie, przywileje i bezpieczeństwo. Nawet teraz uważa pani, że muszę dbać o pani wygodę, że jakiś mężczyzna musi się panią zająć, nawet jeśli postępuje pani bez skrupułów i wykazuje skrajny brak odpowiedzialności. A mnie... - przerwał, poszperał w kieszeni, wyciągnął zegarek i kciukiem otworzył kopertę, by sprawdzić godzinę; mówiąc to, myślami był gdzie indziej - ...mnie to się nie podoba.

Podniósł głowę. Świdrował ją wzrokiem. Jego słowa rozniosły się po pokoju echem. Wyraz twarzy świadczył, że mówi absolutnie serio. Nic nie odpowiedziała.

- Jeszcze nawet w tej chwili, nawet teraz, nie wierzy pani, że po prostu zostawię panią swojemu losowi. - Kciukiem zamknął zegarek i z powrotem go schował. - Zapraszam panią, żeby to sprawdzić.



Dostała od niego szach-mat, a nawet nie zaczęli grać.

Spojrzała na niego. Po chwili przełknęła ślinę.

Obserwował ją. Zauważyła błysk w jego oczach. Błysk satysfakcji. Uderzyło ją, że Flint stale obserwuje otoczenie, nic nie umyka jego uwagi, jakby w każdej chwili mogło zdarzyć się coś ważnego.

Trzęsła się w środku jak galareta, ale odpowiedziała dość opanowanym głosem:

- Przyjmuję wyzwanie. .

Skinął głową z całkowitą obojętnością i czubkiem wypolerowanego buta niedbale wysunął dla niej krzesło.

Naprzeciwko białych pionków, oczywiście. Gestem wskazał, by usiadła.

Jakby zawarli milczącą umowę, w trakcie gry żadne z nich nie usiłowało prowadzić konwersacji. I tak zresztą nie umieliby uprzejmie ze sobą rozmawiać. Nie pasowali do siebie - kapitan, nieokrzesany dzikus z nieprawdopodobnym tytułem hrabiego, i pasażerka na gapę, cnotliwa panienska z arystokracji - oboje nieufni i już sobą zmęczeni.

A jednak Flint musiał przyznać, że gra sprawia mu przyjemność. Cieszyły go cisza, panujące w kajucie milczenie i eleganckie figury szachowe trzymane w palcach.

Szachy były prezentem od kapitana Morehearta, co nadawało grze wymiaru symbolicznego.

Cieszył się grą do czasu, stało się bowiem jasne, że przegrywa.

Flint grywał w szachy z radzami i zbójcami, z mistrzami szachowymi. Był sprytny, inteligentny, zaradny, bezwzględny, pomysłowy i wszystkie te cechy wnosił do gry w szachy. Był wyśmienitym graczem.

Ona była lepsza.

Kiedy dotarła do niego ta oczywista prawda, strasznie go to zabolowało... w środku. Na zewnątrz wydostawała się tylko wściekłość, którą z trudem tłumił, bo rozwścieczał go każdy mądry, przemyślany ruch Violet. Cierpiał prawdziwe męki, doświadczając przypływów oraz odpływów dumy i upokorzenia.

W końcu ich miejsce zajęło ponure rozbawienie. Kropla potu spłynęła mu po szyi i pociekła dalej, wzdłuż kręgosłupa. Rozpuszcza się w niej moja pycha, pomyślał sardonicznie.

Umiejętnie kierowała grą ku oczekiwanemu przez nią zakończeniu.

W pewnym sensie czyniła tak przez cały wieczór. Niech to szlag.

Nie napawała się triumfem. Robiła ruch, a potem spoglądała na niego w górę ze spokojnym, choć ostrożnym wyczekiwaniem. Bystrymi, podkrążonymi ze zmęczenia oczami dawała znak, że teraz jego kolej.

Aż w końcu pojawiło się w nim jeszcze jedno uczucie, takie, którego nie chciał, którego się nie spodziewał i przed którym się bronił: podziw.

Pod gładkim, bladym czołem jej umysł pracował z nieoczekiwaną precyzją. Działała strategicznie. Taka strategia byłaby warta wykorzystania w jakichś męskich zajęciach - manewrach bitewnych lub torturowaniu więźniów - albo mogła służyć pożytecznym celom. Gdyby tak się stało, ta dziewczyna nie męczyłaby się w okowach konwenansu, jak teraz, o czym świadczyła jej skłonność do wybryków. Ale przecież niektóre kobiety poświęcały się szczytnym celom, pomyślał cierpko. Może powinien to zasugerować pannie Redmond.

Kto nauczył cię grać w szachy? Z kim grasz? Z jednym z braci? Chciałby bardzo to wiedzieć.

Wydawałoby się, że nie będzie miała cierpliwości do takiej gry. A jednak... była tak dociekliwa i uparta w poszukiwaniu brata. Tak święcie przekonana, że jej podróż ma sens, choć pozornie zakrawała na absurd, na lekkomyślność.

Jak to jest? Kochać kogoś tak gorąco, być częścią rodziny, przynależeć do jakiegoś miejsca na ziemi?

Wkrótce i on będzie miał luksus budowania własnego przeznaczenia. Le Chat jest dla niego środkiem do osiągnięcia tego celu.

Nie chciał przerywać ciszy pytaniami. Panna Redmond na pewno na swój sposób wykorzystałaby jego ciekawość, widząc w tym oznakę słabości. W ciszy natomiast łatwiej dostrzega się szczegóły, bo umysł nie lubi bezczynności.

Nauczył się tego w tureckim więzieniu. Niby nic się nie dzieje, ale tylko pozornie. Przyciągnął jego uwagę maleńki jak kropka pieprzyk na twarzy Violet, a wtedy zauważył elegancki zarys górnej wargi, przypominający połówkę serca, i miękkie, pełny łuk dolnej wargi. Jej skóra odbijała światło lampy niczym szlachetna

piękna perła. Delikatna i gładka, zawsze chroniona przez czepeczki i kapelusze.

Dziwne. Rzadko interesowały go... szczegóły kobiecej urody. Przeważnie po prostu cieszył się kobietami, a one nim. Myślał teraz o Fatimie, a nie o grze. Poruszył się niespokojnie.

„Nie docenia mnie pan, kapitanie Flint”.

Jak dotąd rzadko się zdarzało, żeby kogoś nie docenił. Właśnie odebrał nauczkę, jakie to może być niebezpieczne.

W więzieniu odebrał jeszcze jedną lekcję pokory: jak po męsku pogodzić się z losem. Wiedział, że wystarczą dwa ruchy ze strony Violet, aby poniósł klęskę w tej rozgrywce. Będzie szach-mat. Czekał, aż Violet zrobi pierwszy z tych ruchów. Ze zgiętą w łokciu ręką wpatrywała się w szachownicę.

Po chwili zauważył, że zwleka z wykonaniem ruchu. Zbyt długo.

Westchnęła i głowa opadła jej na dłoń, która ją przyjęła, jakby była specjalnie dopasowana do jej brody.

Czekał.

I czekał.

I czekał...

Zmarszczył brwi. Powoli pochylił się nad szachownicą i ostrożnie... spojrzął na Violet. Do ust przykleił jej się kosmyk ciemnych włosów. Powiewał rytmicznie. Powieki, które, jak sądził, przymknęła w zamyśleniu, były zamknięte. Rzęsy drżały jej na policzkach.

Zasnęła!

Cóż!

Przechylił się na krześle do tyłu, ogromnie rozbawiony. Ręce skrzyżował na piersiach.

Oprócz tego krnąbrnego kosmyka włosów wyglądała, jakby właśnie ubrały ją francuskie pokojówki. Czy taka dbałość o siebie jest zaletą, czy jakimś zaburzeniem? Violet Redmond sprawiała wrażenie osoby wymuskaney, na której nic się nie gniecie, a jego zdaniem pewien nieład był konieczny, aby kobieta wyglądała bardziej zmysłowo. Nie była też jedną z tych kobiet, które we śnie wyglądają niewinnie, mimo miękko falującego kosmyka długich włosów nad zdecydowanie zbyt pełnymi ustami. Nie mógł sobie wyobrazić, by kiedykolwiek emanował z niej spokój, by potrafiła ukoić męczyznę, jak też dać mu rozkosz. Fatima była w tym doskonała. Nawet teraz rzęsy Violet

Redmond drżały na jej bladawosinej skórze pod oczami, jakby z trudem powstrzymywały natłok idiotycznych planów.

Nieomal żałował mężczyzn w rodzinie Redmondów, bo był pewny, że trzymanie jej na wodzy było walką z góry skazaną na porażkę.

Miał złośliwą pokusę, by zostawić ją na pastwę grawitacji. Z satysfakcją patrzyłby, jak jej twarz nieuchronnie opada na szachownicę, wyobrażał sobie, jak rano budzi się z odciskiem wieży na policzku, przyklejona do szachownicy śliną snu.

Czyli - w całkowitym nieładzie.

Lekko oddychała. Wdech... wydech.

Wdech... wydech.

Wdech... wy...

Ech, do diaska. Zaczerpnął powietrze do płuc. A potem je wypuścił. Odsunął swoje krzesło i wstał.

Nie chce, żeby obudziła się ze śladem wieży na policzku.

Zdenerwował się, kiedy to zrozumiał. Czy szwedzkie fiordy, na przykład, ponoszą odpowiedzialność za swój majestatyczny wygląd, za to, że budzą respekt? Czy takie już po prostu są?

Violet Redmond taka już po prostu jest.

Miała wrodzoną godność, zmuszającą go do szacunku, jakby jakaś atawistyczna potrzeba nakazywała mu służyć komuś, kto ma za sobą wieki kultury.

Nie podobało mu się to. Ale tak było.

Jeszcze raz nabrał życiodajnego powietrza głęboko do płuc i schylił się nisko, aby objąć jej łydki ramieniem. Drugą ręką objął jej ugięte ramiona. Po chwili udało mu się niezręcznie zarzucić sobie pogrążoną we śnie dziewczynę na ramię.

O Boże. Zapach jej włosów obezwładnił mu zmysły jak laudanum, na chwilę cudownie go sparaliżował. Jej ramiona zwisały mu bezwładnie wzdłuż pleców, a czubki palców kusząco łaskotały pośladki. Przypomniało mu to, od jak dawna nie pieściły go kobiece palce, aż poczuł żywą reakcję w lędźwiach. Coś mruknęła. Brzmiało to jak Lavay, ale to chyba niemożliwe.

Zmusił się do wykonania ruchu. Owinął ramię wokół jej rozkosznie kobiecych łydek i jak najszybciej przeszedł przez pokój. Kiedy zrobił trzy kroki, jego zmysły wręcz krzyczały: Kobieta! Trzymasz w ramionach kobietę! Na miłość boską, idioto, kobietę! Domagały

się, jak spuszczone ze smyczy psy, czuć jej dotyk, jej zapach. Z całej siły musiał się powstrzymać, by nie błędzić dłońmi po jej ciele. Ale znał gorsze pokusy. Nie był chłopcem.

Jak najszybciej, delikatnie położył ją na łóżku - własnym łóżku - trochę tak, jakby kładł granat. Wzdychała, mruzczała i marszczyła się, ale powieki jej się nie podniosły, a głowa przechyliła na prawo. Miała lekko otwarte usta.

Rzadko kiedy widywał kogoś tak mocno śpiącego. Co za głupia dziewczyna, do wszystkich diabłów, pomyślał, znow ogarnięty wściekłością. Powinien pogadać z męskimi przedstawicielami Redmondów. Kto zrobił tak niefortunny błąd, że pozwolił jej uznać, że zawsze będzie chroniona? Kto jej pozwolił, osóbcie o tak nieokiełznanym charakterze, być aż tak ufna? Wyczerpana, zasnęła przy nieznanym mężczyźnie, który wcale nie był aniołem. Który nie miałby oporów przed kochaniem się z nielubianą kobietą, aby zaspokoić żądzę. Albo przed przekonaniem wahającej się kobiety, że to ona właśnie tego pragnie. Pragnie kochać się z nim.

Był mężczyzną, a taka już jest męska natura.

Odsunął się od niej, żeby jak najszybciej wyjść. Trzymał już rękę na klamce, ale stanął w drzwiach i skulił ramiona. Odwrócił się. I wrócił do szachownicy.

Dwoma palcami pstryknął w królową i przewrócił ją.

Kiedy panna Redmond rano się zbudzi, zobaczy, że znał zakończenie gry. A jeśli będzie mądra, zrozumie, że cokolwiek zrobi, on zawsze będzie znał jej następny ruch.

- Szach-mat - szepnął do siebie.

I poszedł spać w mysiej dziurze.

## 7

Violet obudziła się nagle, ale długo nie mogła zrozumieć, że już nie śni. Od razu zauważyła, że jest całkowicie ubrana i że leciutko ją buja - jakby leżała w gigantycznej kołysce. Zdziwiona, najpierw ścisnęła palcami kołdrę, aby sprawdzić, czy jest prawdziwa. Stwierdziła,

że nagrzała się już od słońca, które przebijało się przez zasłonięte okienko. Za zasłoną przeświecały paseczki błękitu. Niebo. Kołysze morze. Jest na... statku.

O mój Boże, naprawdę jest na statku! Z powodu Lyona.

Niepewnie wciągnęła powietrze. Zapach pokoju był tak przytłaczający, drażniący, obcy i męski - dym, goździki, krochmal, woda po goleniu, morze, pot - że usiadła, sztywno wyprostowana, ogarnięta paniką. Niektóre jej części ciała zdrętwiały, gdyż materac, na którym leżała, był twardy i sztywny, a w nocy z jednej nogi spadł jej pantofelek. Popatrzyła dalej, poza swoje nogi, z których jedna była w pantofelku, a druga bez. W nikłym świetle, które zdołało przedrzeć się do pokoju, nad niską komodą z męskimi przyborami toaletowymi zobaczyła piękne lustro, a w nim odbicie zdziwionej, zarumienionej od snu kobiety. W kącie stała umywalka, a obok niej powieszono ręczniki. Na jednej ze ścian był mały, piękny obrazek z egzotycznym pejzażem - żółtobrązowe plaże i pierzaste palmy, góry i bielone domki. Do drugiej przypięto wielką mapę; a do trzeciej tarczę do gry w rzutki. Dwa piękne, także egzotyczne dywaniki w odcieniach kremowo-rubinowych przykrywały podłogę. Pokój był urządzonej z elegancką prostotą, prawie po spartańsku. Podejrzewała, że wszystkie znajdujące się w nim przedmioty to starannie wyselekcjonowane pamiątki z podróży. Nagle przypomniał jej się Lyon, który zabrał ze sobą tylko skrzyneczkę z różanego drzewa. Po drugiej stronie kajuty zobaczyła półkę z książkami, które chciała obejrzeć, koło niej dwa krzesła z mocnymi oparciami ustawione przy stole. Na nim była...

Ach tak. Szachownica.

Błyskawicznie przypomniała sobie, co się stało, a wtedy zauważyła, że czarna królowa hrabiego leży na szachownicy, przewrócona. Jak ugodzona kulą.

Cóż.

Uśmiechnęła się, a uczucia triumfu i satysfakcji zarumieniły jej policzki. Wiedział, że Violet jest o krok od wygranej. Cóż! Miał na tyle godności, aby przyznać się do przegranej i dotrzymać umowy.

Trochę ją to zdziwiło.

Jej uśmiech zgasł, gdy nagle coś sobie uprzytomniła. Jak dotarła do łóżka?

Nic nie pamiętała. Gorączkowo obmacala się, aby się upewnić, że ma na sobie wszystko, w co była ubrana, i to pozapinane, a potem zerwała się na nogi, żeby rozejrzeć się wokół.

Rozplotła wstążki kapelusza, który wciąż zwisał z jej pleców, i spróbowała przywrócić biedakowi pierwotny kształt. Następnie zrobiła porządek z włosami. Stojąc przed lustrem, z którego kapitan niewątpliwie co rano korzystał, najpierw powyciągała z nich szpilki, gdyż sterczały pod najdziwniejszymi kątami, przeczesala włosy palcami i błyskawicznie je upięła. Musiała się tym zadowolić, dopóki nie wróci do mysiej dziury, aby przynajmniej ze sto razy przeczesać włosy szczotką. Przetarła piąstkami zaspane oczy, strzepnęła suknię i przyklepała ją, a potem wsunęła stopę do pantofelka.

Teraz się tu pokręci.

Najpierw przyjrzała się pejzażowi. Przypuszczalnie miał dla hrabiego szczególne znaczenie, ponieważ był jedynym obrazem w pokoju. Podeszła do tajemniczych męskich przyborów toaletowych. Zawahała się i podniosła mydło do golenia, aby je powąchać. Rozpoznała odbierający jej spokój zapach hrabiego, który ją owionął, gdy pochylił ku niej głowę w walcu. Właśnie wtedy rozległo się pukanie do drzwi. Zacisnęła dłonie, a mydło nagle wyskoczyło jej z rąk, poszybowało na drugą stronę kajuty, upadło na podłogę i podskoczywszy, zatrzymało się pod łóżkiem.

Ech, do diaska.

- Lord Lavay, panno Redmond. Przyniosłem pani śniadanie. Lavay. Perspektywa rozmowy z przystojnym, łatwo dającym się

oczarować mężczyzną podniosła ją na duchu, a gdy usłyszała słowo śniadanie, żołądek zapiszczał jak skarcony kundel. Dała nura pod łóżko po mydło, ale bezskutecznie - było poza jej zasięgiem. Kiedy znowu zapukał, poddała się, podbiegła do drzwi i otworzyła je.

Widać było, że Lavay patrzy na nią z wielką przyjemnością. W szarych oczach dostrzegła dyskretny, powściągliwy męski podziw. Innymi słowy, żadnego zwierzęcego pożądanego.

- Dzień dobry, lordzie Lavay. - Dygnęła. - Kapitan pewnie powiedział panu, że jestem na statku. Ogromnie panu dziękuję za troskę. Jest pan bardzo miły.

Wzięła od niego tacę, na której stała waza z przykrywką. Rozejrzała się po kajucie w poszukiwaniu miejsca, gdzie ją można postawić, i postanowiła delikatnie umieścić ją obok szachownicy.

Przewrócona królowa przetoczyła się przy tym lekko na bok, jakby zabolął ją brzuch. Violet nie zamierzała jej postawić - to pamiątka zwycięstwa.

- O tak, hrabia mi to powiedział. Corcoran opowiada marynarzom prawdziwe legendy o pani. O tym, że w sieci złowiła się syrena. W kambuzie doszło do walki na pięści o to, kto zanieśie pani śniadanie, i ja wygrałem.

- Walka? - To brzmiało groźnie. Dokładnie coś takiego przewidział kapitan. Dobry Boże, już swoim pojawieniem się wniosła zamęt do załogi. Ukradkiem przyjrzała się Lavayowi w poszukiwaniu sińców.

- I pan wygrał? Lavay się roześmiał.

- Pani wåtpliwości godzą mnie prosto w serce, panno Redmond. No dobrze. Przyznaję, że kiedy już na dobre rozgorzała dyskusja, załoga w końcu przypomniała sobie o mojej randze. Przepraszam, jeśli przez moją pyszałkowatość zmartwiła się pani, że doszło do rozlewu krwi.

Rozlew krwi. To pewnie jedyna rzecz, do której jeszcze w swoim życiu się nie przyczyniła.

Pewnie i na to przyjdzie czas.

- Proszę się nie obawiać, panie Lavay. Szybko ochłoneę z szoku -odrzekła z powagą.

Jego twarz rozjaśnił uśmiej.

- Wcale nie jest pani zszokowana.

Odwzajemniła uśmiej. Nabrała o nim jeszcze lepszego zdania. Podobały jej się jego wrażliwość i poczucie humoru. Mydłkowaty -tak powiedział o nim Jonathan. Pewnie mu po prostu zazdrościł. Lavay prezentował teraz taką samą niewymuszoną elegancję, jak na balu, kiedy z nim tańczyła. I na jego widok nie traciła oddechu ani nie wpadała w zły nastrój, jak na widok hrabiego.

No cóż... przypomniała sobie, jak jej niezwykle opanowany brat, Miles, w imię miłości do wybranki spoliczkował Argosy'ego. A jej brat Lyon zniknął, może nawet został piratem. Ekstremalne, nieobliczalne zachowanie zawsze chyba szło w parze z miłością.

Ona jest na miłość odporna.

Nie była pewna, czy to stwierdzenie przyniosło jej pocieszenie.



- Jestem zaintrygowany, że spotkaliśmy się ponownie w takich okolicznościach - dodał Lavay. Niewątpliwie miała to być delikatna zachęta do wyjaśnień z jej strony. Cóż za różnica w porównaniu z bezlitosnymi pytaniami hrabiego. Chyba go myślami wyczarowała. Oboje nagle odwrócili się jak winowajcy, słysząc, że nadchodzi, stukając butami.

- Dzień dobry. Mam nadzieję, że dobrze pani spała, panno Redmond. ;

Był bardzo oficjalny. Jego basowy głos bardziej otrzeźwiał niż wlany do gardła dzbanek czarnej kawy. Był to głos, na dźwięk którego ludzie prostowali się i rzucali do roboty. Mogła sobie wyobrazić, jak oddziaływał na załogę, skoro nawet ona odwróciła się w jego stronę, a przecież nie miała zamiaru niczym się tu zajmować. Lavay natychmiast wyprężył się jak struna i energicznie schylił głowę w ukłonie.

Ani przez chwilę nie łudziła się, że hrabia troszczy się o jej sen.

- Spałam dobrze. Dziękuję, że pan pyta. A... pan? - Nie mogła się powstrzymać, żeby nie zadać tak bezczelnego pytania.

Ściągnął brwi. Mimo nocy spędzonej w mysiej dziurze nie wyglądał gorzej niż wczorajszego dnia. Nieskazitelnie zadbany. Błyszczące oczy, zaciśnięte szczęki. Tyle tylko, że nieogolony. Ładnie mu z cieniem zarostu. Oczy stały się na tle ciemnej skóry jeszcze bardziej niebieskie. Jak okna, za którymi rozpościera się ocean.

Pytająco spojrział na tacę.

- Lord Lavay jako dobrze wychowany dżentelmen był uprzejmy przynieść mi śniadanie.

- Niewątpliwie jest dżentelmenem - przyznał hrabia, a z tonu jego głosu należało raczej wnosić, że nazwała Lavaya skurczybykiem, a on, Flint, całkowicie się z tym zgadza. - Lavay, czekają na ciebie obowiązki. - Zdecydowany głos kapitana nie pozostawiał wątpliwości, że pannę Redmond należało zaliczyć do kategorii przyjemności.

- Oczywiście, panie kapitanie. Chciałem tylko zdjąć z twoich barków ciężar nakarmienia naszego gościa.

Nastąpiła ledwie zauważalna pauza. Dwaj mężczyźni spojrzeli sobie w oczy. Lavay był mniej więcej tego samego wzrostu, co hrabia, ale jego postać nie emanowała pełną arogancją porywczą, jak

postać hrabiego. Pewnie po części dlatego odnosiło się wrażenie, że hrabia zajmuje swoją osobą więcej przestrzeni niż w rzeczywistości.

Statek przechylił się na bok i spod łóżka wysliznęło się mydło. Zatrzymało się tuż przy nogach hrabiego, jakby chciało włączyć się do rozmowy.

Wlepił w nie wzrok. Najwyraźniej nie rozumiał, skąd się tam wzięło. Schylił się, podniósł je z podłogi i zważył w dłoni.

Potem, z sardonicznie uniesionymi brwiami, spojrział na Violet. Otworzyła szeroko oczy z miną niewiniątka.

- Nie jest gościem, Lavay. Jest takim samym intruzem jak pirat albo termit i jak najszybciej uwolnimy się od tego, jak to nazwałeś, ciężaru.

Wielkie nieba. Złowrogie słowa. Może po nieprzespanej nocy postanowił jednak wyrzucić ją za burtę?

Znowu zapadła cisza. Wyraz twarzy obu mężczyzn pozostał nieprzenikniony, ale wyczuła, że Lavay jest nieco zdziwiony. Z zapiętym tchem czekała, że wykaże się galanterią i złagodzi wrogą wobec niej postawę hrabiego.

- Termit? - Zdrajca Lavay najwyraźniej był rozbawiony. Flint - przeciwnie.

- Oczywiście, podczas pobytu panny Redmond na statku potraktujemy ją z grzecznością, która przynależy jej pozycji społecznej - stwierdził twardo. - Pozostanie tu, dopóki nie zawiniemy do najbliższego portu. Jeśli wiatr nadal będzie pomyślny, nastąpi to za dwa dni. Spodziewam się, że oddałeś jej własne racje, Lavay?

Powiedział to beznamyślnie. Nagła cisza świadczyła o zdumieniu Lavaya. Wyczuła, że Flint chciał mu dopiec, choć nie wiedziała dlaczego.

- Zrobiłem składkę wśród załogi - gładko odparł Lavay. - Powiedzmy, że każdy oddał część swojej racji.

Niechybnie skłamał, ale Violet ogromnie się to spodobało i zachęcająco uśmiechnęła się do Lavaya.

- Nie wydajemy racji w częściach. Jej śniadanie odejmiemy od twojej racji - natychmiast odpowiedział hrabia. Jakby rozwiązywał problem, który dotyczy ich wszystkich.

Violet miała dziwne uczucie, że znaczna część rozmowy w jakiś magiczny sposób umyka jej uwagi i jest prowadzona za pośredni-

ctwem twardych, męskich spojrzeń i odniesień do wspólnej przeszłości obu mężczyzn.

- Być może musisz dziś podwoić swoją rację, kapitanie Flint, bo jesteś w nastroju niedźwiedzia, obudzonego ze snu zimowego na długo przed wiosną.

Lavay powiedział to z właściwą sobie wykwinną uprzejmością, najeżoną jednak kolcami jak łupina kasztana.

O dziwo, cisza, która zapadła po tych słowach, trwała bardzo krótko. Hrabia nie wyzwiał Lavaya na pojedynek.

- Dziękuję za sugestię, Lavay. Wezmę to pod uwagę - powiedział zadziwiająco spokojnie. - Za pół godziny spotykamy się na dziobie, żeby przedyskutować stan naszych zapasów i spojrzeć na mapy. Teraz, pozwolisz, przeproszę cię. Muszę porozmawiać z naszym... gościem.

Jak przystało na kapitana, to do niego musiało należeć ostatnie słowo. Tym bardziej że był kapitanem, który nieoczekiwanie został hrabią.

- Jeszcze raz dziękuję za troskę o moje śniadanie - szybko powiedziała Violet, zanim jej sprzymierzeniec, Lavay, opuścił kajutę.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panno Redmond. - Francuz zademonstrował przed nią swój czar, jak mieniący się kolorami podarunek, a potem elegancko obojgu się uklonił. Violet dygnęła.

Została sam na sam z hrabią.

- Niech pani zje śniadanie, kiedy będę się golił, panno Redmond. To owsianka.

Był to rozkaz raczej niż zaproszenie. Prawdopodobnie do wszystkich zwracał się tym tonem.

Violet podniosła przykrywkę i zajrzała do wazy.

Faktycznie była to owsianka. Obok na tacy leżało coś, co wyglądało jak jasny kamień. Szturchnęła go palcem.

Potoczył się po tacy. Powąchała owsiankę. Była prawie bez zapachu. Obok stała herbata, której zapach był na szczęście znajomy. Najpierw się jej napiła. Była orzeźwiająco czarna i gorzka jak skaranie boskie. Nie było czym jej posłodzić. No cóż, trudno, obejdzie się bez cukru. Piła małymi łykami i drżała, kiedy ciepło płynu przenikało jej do żył. Bardzo ożywczy napój.

- Nie ma pan służącego? - ze zdziwieniem spytała hrabiego.

Rzucił jej spod oka złowrogie spojrzenie, zmierzając na drugi koniec kajuty z mydłem w ręce.

- Nie ma pan służącego? - przedrzeźnił ją, kręcąc głową. Lekko się pochylił, aby nie uderzyć głową w sufit, i zdjął surdut. Złożył go starannie i powiesił na oparciu krzesła. Zawinał rękawy, ukazując umięśnione, brązowe przedramiona porośnięte rudawymi włosami. Opryskał twarz wodą z miednicy. Energicznie obrócił pędzlem i namydlił sobie dół twarzy. Wziął brzytwę, naciągnął mocno skórę i przeciągnął po niej brzytwą.

Violet dziobała łyżką owsiankę. Starła się nie wpatrywać w hrabiego. Przyglądanie się, jak mężczyzna zdejmuje surdut, a potem się goli, wydało jej się prawie tak wielką niedyskrecją, jak oglądanie go, gdy rozbiera się do naga. Owsianka była bez smaku, chociaż może dodano do niej nieco tłuszczu z bekonu. W końcu domyśliła się, że kamień to kawałek chleba. Był rozmiaru jej pięści. Jedną ręką ostrożnie go podniosła i popukała w niego palcem drugiej ręki. Nawet odgłos wydawał podobny do kamienia.

W trakcie golenia widział w lustrze, jak Violet bada jedzenie.

- Żuczki pewnie zginęły w trakcie wypieku chleba, zanim dotarł on do pani. W wysokiej temperaturze uciekają z mąki. Chyba im się nie podoba takie traktowanie.

Znieruchomiała. Palce rozluźniły się na chlebie w odruchu odrazy. Suchar nagle jakby ożył i pulsował. Ale prędzej by umarła, niż go upuściła.

- Strzelacie tym z armat do wrogów?

- Kiedy zabraknie nam kul - odparł lekko. - Smakiem przypominają musztardę - dodał wesoło. - Te żuczki to wolki zbożowe. Nic pani nie będzie, jeśli któregoś pani zje. Więc proszę wcinać.

Wcinać. Co za amerykańizm.

Ostrożnie trzymała chleb. Odchrząknęła.

- Jak dotarłam do łóżka?

- Z pewnością pani lewitowała, panno Redmond. Takie jak pani anioły na pewno nie zniżają się do tego, żeby iść do łóżka na własnych nogach.

Odwrócił się do niej, kiedy to mówił, i poklepywał twarz, żeby ją osuszyć. Nad rącznikiem złośliwie błyszcząły niebieskie oczy. Opuś-

cił ręcznik, wytarł ręce, uniósł jedną brew i bezwstydnie cieszył się z jej zmieszania. Milczała. Wzruszył ramionami. Nie zależało mu na konwersacji.

Jego kanciaste rysy jeszcze bardziej się uwidocznily, kiedy zgolił baczki.

Zaniósł ją do łóżka, a ona nic nie pamięta. Opuściła głowę, gdyż poczuła, że zalewa ją rumieniec. Wyobraziła sobie siebie nieprzytomną, zdaną na jego łaskę i niełaskę. Ona, która nigdy nie była na niczyjej łasce. Czy przerzucił ją sobie przez ramię jak worek, czy też niósł ją w ramionach, jak panny, które wynosi się do ogrodu, kiedy na balu zasłabną w tłoku?

Ostry, męski zapach piany do golenia przenikał cały pokój - prawdziwy atak na zmysł powonienia. Z jakiegoś powodu wszystkie zmysły miała niezwykle wyczulone. Jej doznania stały się nagle wyjątkowo intensywne.

Zaskakująco mocno uświadomiła sobie jego i swoją fizyczność.

Odwrócił się z powrotem do lustra, starannie złożył ręcznik, oczyścił pędzel i brzytwę i odłożył je na miejsce. Nawet tak proste czynności wykonywał z niemal wojskowym drylem, celowo, a choć były przyziemne i intymne, najwyraźniej wcale się nie przejmował, że ona mu się przygląda.

Innymi słowy, jej obecność nie ma dla niego najmniejszego znaczenia. Uważa, że wkrótce się jej pozbędzie i po kłopotcie.

Jej plany były inne.

Odwinął rękawy koszuli. Muskularne, brązowe przedramiona przestały być widoczne. Włożył surdut i zapiał guziki.

W każdym calu władca - dowódca własnego statku.

Paskudny człowiek. Całkiem inny niż Lavay.

- Niech pani zje resztę chleba, panno Redmond - powiedział. - Chyba że chce pani mieć na sumieniu pusty brzuch Lavaya. Racje żywnościowe są dokładnie wydzielone dla każdego członka załogi, nie ma ich za dużo, kosztują i obciążają statek. Wszyscy jemy to samo. Nic więcej nie będzie aż do obiadu.

Niecierpliwie jej się przyglądał.

Z trudem opierała się presji tego rozkazu. Jego polecenia w zastanawiający sposób bardziej trafiały do podświadomości niż do umysłu. Podniosła suchar. Wyobraziła sobie, że martwe wołki zbożowe

upstrzyły go jak mak ciasto na Boże Narodzenie. Musztarda, pomyślała.

Patrzyła na niego wyzywająco. Otworzyła usta. I zatopiła zęby w chlebie.

Raczej chciała zatopić. Przy pierwszej próbie zęby ześliznęły się z powierzchni suchara. Spróbowała jeszcze raz.

Kawałek po kawałku, odkruszyła czubek. W końcu coś poczuła pod zębami trzonowymi, ale przedtem prawie zwichnęła sobie szczękę.

Wreszcie była zmuszona wbić się zębami w suchar z całkiem wyzutym z godności potrząśnięciem głową. Wyglądała jak pies, który rzuca się na kość.

Okruszek chleba przylepił jej się do ust. Mało elegancko zwisał nad brodą, aż wreszcie zgarnęła go językiem.

Przyglądał się temu z zainteresowaniem, jakby był na przedstawieniu, za które słono zapłacił. W oczach zalśniły iskierki złośliwej wesołości.

- Chce to pani pogryźć? - zapytał łagodnie.

Podniosła palec na znak, że zrobi to za chwilę. Zaczęła żuć. Szczęka klekotała jej z wysiłku. Jak wóz, który toczy się koleinami.

Na szczęście ten kawałek nie miał smaku. Jakby gryzła namok-nięty papier. Ani śladu smaku musztardy.

Trzy lub cztery razy ugryzła, a potem sięgnęła po herbatę i wypila ją jednym haustem. W brzuchu czuła coś w rodzaju twardej pięści.

- Niech pani nie zapomni zjeść do końca posiłek. Chleb można maczać w owsiance albo w herbacie, żeby zmiękł.

Dopiero teraz raczył jej to powiedzieć.

- Dziękuję za niezwykle na czasie pomoc. Chyba jednak wolę... - rzucić ci to w twarz, pomyślała mściwie... - schować trochę na później, dokończyła.

- Jak pani uważa. Każę Corcoranowi przynieść dzban ciepłej wody do pani kajuty, żeby i pani mogła się umyć, jeśli pani sobie życzy, panno Redmond. Jeszcze raz przypominam, że to jest moja kajuta. Pani wróci do swojej i zostanie tam, aż zdecyduje, co z panią zrobić. Odprowadzę tam panią teraz. Sama nie może pani wychodzić na pokład, a nie mam tylu ludzi, żeby przydzielić pani stałego opiekuna.

Ostrożnie odstawiła tacę, uważając, aby nie poruszyć szachownicy. Odchrząknęła.

- Chciałabym porozmawiać o mojej dalszej podróży na „Fortunie” - rzekła.

- W żadnym wypadku nie pozwolę pani zostać dłużej niż do najbliższego portu - powiedział obojętnie, strzepując mankiety surduta.

- Kapitanie Flint. Mówiłam całkiem serio, że uważam, iż ściga pan mojego brata.

- Jeśli dla pani słowo „serio” znaczy tyle, co „mrzonka”, to oczywiście pani wierzę, panno Redmond. - Był już przy drzwiach, z ręką na klamce.

- Od jak dawna Le Chat napada na statki i rabuje towary? - zapytała z rozpaczą.

Chwilę milczał.

- Od roku.

- Dlaczego więc nikt dotąd nie zidentyfikował Hardesty'ego jako Le Chata?

Odpowiedział od razu, bez zastanowienia.

- Mamy tylko dowody poszlakowe. Podobieństwo fizyczne, opis jego statku, pojawianie się Hardesty'ego w portach, z których odbijały napadnięte statki; fakt, że wiedział, jaki wiozą towar. Ponadto statki napadano w nocy, kiedy Hardesty podobno znajdował się na morzu. Pewna kobieta jakoby zeznała, że mamrotał przez sen coś o statku „Olivia”. Ktoś też twierdził, że Hardesty sprzedawał jedwabie podobno zrabowane z jednego z zatopionych statków. Przykrość jej sprawiła informacja, że Lyon mruczał coś we śnie przy obcej kobiecie.

- I podobny jest do mojego brata Jonathana. Hrabia zaczynał okazywać zniecierpliwienie.

- Oto moja propozycja. Zapewniam pana, że mojemu bratu Lyonowi bardzo zależy na tym, aby nie spotkało mnie nic złego. Jeśli rzeczywiście jest Le Chatem i dowie się, że na pana statku znajduje się jego siostra i że pan może ją...

Trudno jej było znaleźć odpowiednie słowo.

- Zbeczcześć? - zaproponował.

- Jeśli pan sobie życzy tak to nazwać.

- Nie należy pani do kobiet, które się rumieniają, panno Redmond. Pomięła milczeniem tę uwagę.
  - Więc jeśli pan coś takiego zacznie rozgłaszać, może uda się panu go wypłoszyć z kryjówki. Czegoś takiego Lyon nie puściłby płazem.
  - A kiedy już da się wypłoszyć, pani będzie krzyczeć i machać rękami: „Uciekaj, Lyon! Ratuj swoje życie!” Westchnęła niecierpliwie.
  - Jest na to zbyt inteligentny. Przecież wytrzymał z moim ojcem.
  - Nie wspominając już, że wytrzymał z panią. A może właśnie dlatego uciekł?
- Zignorowała ostatnie pytanie.
- Jeśli to faktycznie Lyon, ja go znajdę i zmuszę do wytłumaczenia się, dlaczego uciekł z domu i czy naprawdę jest sprawcą tych wszystkich okropnych czynów, które pan mu zarzuca. Wtedy wyjaśni, że chodzi o coś całkiem innego, niż panu się wydaje, z tym jego piractwem. Bo znam mojego brata, kapitanie Flint, i wiem, że coś musi się za tym kryć. Nie zwariował, żeby nagle zacząć rabować i zatapiać statki. Szczerze mówiąc, w skrytości ducha nie była co do tego stuprocentowo pewna. Nic to jednak nie zmieniało, gdyż jej lojalność wobec brata była bezgraniczna.
  - Nie wiem, jak, na Boga, może za tym kryć się coś innego, niż się wydaje. Napada na statki, przechwytuje towar, a statki zatapia. Mnie to się wydaje bardzo proste. W takich wypadkach motywacją są zwykle korzystanie z okazji i chciwość.
  - Ale czy ktoś zginął? Czy zatapia statki z załogą na pokładzie? Zawahał się.
  - Ludzi wsadza do szalup i wysyła na pełne morze. Towary przenosi na swój statek, na „Olivię”. Nie wszystkich uratowano i nie wszystkim udało się dotrzeć do brzegu, zanim skończyły się zapasy żywności, co oznacza, że niektórzy zapewne zginęli. I nie wszystkich odnaleziono.
  - Jakie towary zrabowano?
  - Ryż. Bawełnę. Kilka razy jedwab. Dwa razy herbatę.
  - Kapitanie Flint. Oto, co wiemy. Mój brat Jonathan mógłby być, według pana, bliźniakiem tego Hardesty'ego. A jest bardzo podob-



ny do Lyonsa. Pirat nazywa się Le Chat. A czy lew, czyli po angielsku lion, to nie wielki kot? Może to nie przypadek. Może to... jakieś przesłanie? A jego statek nazywa się „Olivia”. Nie sądzę, aby mógł pan zlekceważyć te informacje, skoro pana zadaniem jest go znaleźć.

Westchnął głęboko. Zafascynowana przyglądała się, jak jego muskularna pierś wypełnia się powietrzem, niczym żagiel napięty podmuchem wiatru, a potem opada w gigantycznym wydechu.

- Panno Redmond, po prostu... nie może pani z nami płynąć. Nie mogę na to pozwolić. Po pierwsze, idę o zakład, że nie ma pani pojęcia o świecie. Ja byłem prawie we wszystkich zakątkach świata widocznych na tej mapie. Nie ma pani pojęcia, jak surowe jest życie na morzu. Na pewno umrze pani z głodu, bo jedzenie jest paskudne, rozchoruje się pani, bo nigdy porządnie się pani nie wyśpi w mysiej dziurze, a mogę panią zapewnić, że to tam będzie pani spała, któryś z marynarzy strasznie panią obrazi, a inny przynajmniej spróbuje panią zbezczęścić. Proszę mi powiedzieć, gdzie do tej pory zawędrowała pani najdalej od domu?

Zawahała się.

- Italia.

- Ach, Italia. Ten pogański kraj. Zmroziła go wzrokiem.

- Będzie nam pani przeszkadzać, panno Redmond. Czy są dowody, czy nie, już teraz jest pani obciążeniem, którego musimy się jak najszybciej pozbyć.

Violet nie dawała się tak łatwo zbić z tropu.

- Nawet pan kiedyś musiał odbyć pierwszą w swoim życiu podróż morzem. Odkąd znalazłam się na statku, nie cierpiałam na chorobę morską.

- Ma pani czas - powiedział z ponurą wesołością.

- Mogę jeść to św... to znaczy z chęcią zjem takie racje, jakie są dostępne. Jeśli pan chce, zapłacę za zakwaterowanie na „Fortunie”. Jestem silniejsza, niż się panu wydaje.

Przyglądał jej się długo i uważnie, jakby liczył jej rzęsy i spinki we włosach. Przypatrywał się nowiutkim, gładkim czubkom pantofelków, obrąbkowi sukni, którego nie zabrudziły kurz ani błoto, każdemu idealnemu, równiutkiemu szwowi drogiej, szytej na miarę sukni,

każdemu całowi jedwabistej, nieskazitelnej skóry. I choć skóra odsłonięta była tylko od obojczyka wzwyż, Violet i tak natychmiast poczuła falę gorąca, jakby przeciągnął jej ręką po piersiach.

Było to spojrzenie wiele mówiące. Spojrzenie dorosłego mężczyzny. Podejmował decyzję, a przy tym oceniał ją jako kobietę.

Jego zdaniem pod tym względem na pewno niczego jej nie brakowało.

Uważał jednak, że jest tutaj całkowicie zbędna i w dodatku przychodzą jej do głowy absurdalne pomysły.

- Nonsens - podsumował. O dziwo, głos miał łagodny. - Nie jest pani silna, panno Redmond. Ale, jak to już pani podkreślała, nie musi pani być. Na pani miejscu nie chciałbym być silny, ponieważ siłę czerpie się z pokonywania trudności. Poza tym w każdym kraju panują odmienne obyczaje, panno Redmond, a pani jest przyzwyczajona, że świat dostosowuje się do pani. Nie potrafiłaby się pani zaadaptować. A nie wiemy jeszcze, gdzie nasze podróże nas zaprowadzą i jak daleko. Możemy wylądować w najczarniejszej Afryce.

Może hrabia ma w tym wszystkim rację. Ale ze zdziwieniem odkryła, że w jej charakterze nie leży przegrywanie. Spojrzała na obrazek na ścianie.

- Czy to Afryka?

Miał triumfalny błysk w oku. Z przykrością stwierdziła, że właśnie udowodnił, iż się nie pomylił.

- Maroko. Ojczyzna mojej kochanki, Fatimy.

Fatima. Jego kochanka. Nie była osobą aż tak światową, by słuchać tego bez zmrużenia oka. Albo bez zdradzieckiej ciekawości lekko zabarwionej zazdrością.

Była pewna, że to zauważył. A jednak dalej przyglądał jej się z przyprawiającą ją o szal obojętną cierpliwością.

- Lepiej się znam na geografii, niż pan przypuszcza - skłamała rozpaczliwie.

- Och, spotkałem uczoną białogłową, tak? - Był lekko rozbawiony. Wiedział, że kłamie. W zamyśleniu gładził palcami kłamek. Myślała, że chce już wyjść, ale znów uważnie jej się przyjrzał.

Nagle rozbłysły mu oczy. Chyba coś knuje. Wzbudziło to jej podejrzliwość. Podeszedł do umieszczonego na stojaku globusa i przebiegł po nim palcami.

A potem otworzył szufladę biurka i wyjął garść jakichś upierzonych przedmiotów.

To tutaj trzyma strzałki, którymi się rzuca w zawieszoną na ścianie tarczę.

- Skoro wydaje się pani, że może pani podróżować po świecie, panno Redmond, mam propozycję. Proszę zamknąć oczy i rzucić strzałką w mapę. Byłem prawie wszędzie, gdzie może się ona wbić. Jeśli powie mi pani dwa istotne fakty o miejscu, w którym wyląduje strzałka, czy to na lądzie, czy to na morzu, może pani dziś znowu spać w kapitańskiej kajucie, pozwolę pani wysiąść z nami w najbliższym porcie i dotrzymać nam towarzystwa, gdy będziemy składać wizytę. I nie zostawię pani uboższej o dziesięć funtów.

- Dziesięć funtów! Wczoraj było pięć!

- Przynajmniej wiemy, że jest pani dobra z arytmetyki. Postanowiłem podnieść stawkę, panno Redmond, ponieważ będziemy panią przecież dłużej karmić - ironicznym spojrzeniem omiółł grudkę chleba w jej dłoni - damy pani schronienie, zaopiekujemy się panią, a ja będę musiał stracić z powodu pani więcej cierpliwości, niż mogę sobie pozwolić. Mówiąc „istotne”, mam na myśli fakty, które odnoszą się tylko do danego miejsca na mapie. Nie jakieś ogólniki w rodzaju „mieszkańcy sami budują sobie domy” albo „słońce wschodzi z rana”. Coś konkretnego, poproszę. Jeśli zaś się pani nie uda, będzie pani spała w mysiej dziurze, a ja zostawię panią w najbliższym porcie, jak mówiłem poprzednio, bez eskorty. Mam dużo zajęć. I znudziły mi się wszelkie gry.

Wlepiała wzrok w rozciągniętą na ścianie mapę, w beżową geometrię kontynentów i wysp rozsianych na bezkresie otwartego morza.

Wystarczyły sekundy, by zrozumiała, że może porzucić wszelką nadzieję.

8

Była inteligentna. Bóg jeden wie, że bystrością i pojętnością przewyższała większość mężczyzn i kobiet spośród jej znajomych. Tyle że

doprawdy bardzo rzadko nadarzała się okazja, by wykazać się wiedzą w kręgach londyńskiej socjety. Woląa zasięgać potrzebnych jej w danej chwili informacji niż gromadzić wiadomości i popisywać się wiedzą jak jej brat Miles. Uważała, że ciągle uczenie się czegoś nowego nadaje barw codziennemu życiu, urozmaica je.

Pamięta, jak jej guwernantka wznosiła oczy do nieba, gdy Violet używała tego argumentu, wzbraniając się przed systematycznym odrabianiem zadanych lekcji.

Tak intensywnie teraz wpatrywała się w mapę, że w końcu miała przed oczami tylko rozmazaną plamę. Aż zbyt dobrze rozumiała, co chciał jej uświadomić: to on jest władcą, on dowodzi statkiem, a świat, na który teraz patrzyła, jest jego światem. Choć za nic by się do tego nie przyznała, okazało się, że miał rację, twierdząc, że jedyne miejsce, o którym Violet jest w stanie coś powiedzieć, to zamknięty krąg londyńskiej socjety i mieszkańcy Pennyroyal Green. Morze Śródziemne, Tunezja, Szkocja, Maroko - gdzie mieszka jego kochanka... Nagle poczuła niewytłumaczoną chęć ciśnięcia w to miejsce strzałką, ot tak, dla przyjemności... Morze nazw.

Aż nagle z morza obcych nazw wyłoniła się jedna znajoma.

Lacao.

Zamarła. Ta nazwa wryła się w jej pamięć.

Jej brat Miles, odkrywca i poszukiwacz, nieoczekiwanie znalazł się na ustach towarzystwa, kiedy wrócił z wyprawy do Lacao, gdzie z drzew sfruwały motyle wielkości wachlarzy, zsuwały się węże grube jak... no... jak bicepsy hrabiego, a czule, przymilne tubylcze kobiety, które podobno od pasa w górę nie zasłaniały ciała, witały mężczyzn entuzjastycznie i z...

Tak, tak, tak.

Nadzieja przebudziła się, przeciągnęła i wyskoczyła z trumny.

Wpatrywała się w słowo „Lacao”, aż stało się kreską w oceanie pergaminu. Zna fakty. Teraz musi jeszcze trafić strzałką w cel.

Mężczyźni z rodu Redmondów byli urodzonymi strzelcami. Nie chybiali celu. Jonathan wygrał turniej rzutów strzałkami do celu w pubie Pod Świnia i Ostem i był tak dumny z trofeum, jakby ustrzelił jelenia z wielkim porożem.

Miles potrafił strzałem z muszkietu rozbić na drobne kawałki jabłko z odległości pięćdziesięciu kroków. Lyon był doskonałym szermierzem i też świetnie strzelał z muskie-

tu. Rokrocznie wygrywał konkursy. Ojciec także wygrywał konkursy strzelnicze w Sussex... chyba że w danym roku brał w konkursie udział jakiś Eversea, bo wtedy on okazywał się zwycięzcą.

Nikt nie dałby jednocześnie pistoletów Jacobowi Eversea i Isaia-howi Redmondowi, jeśli stali od siebie na odległość strzału.

Gdy tak przyglądała się mapie, jego słowa znów zachęciły ją do rzutu.

- Wiatr nam sprzyja i tak będzie chyba przez cały dzień. Myślę, że jutro rano powinniśmy dotrzeć do portu.

Demonstracyjnie otworzył kciukiem zegarek, sprawdził czas i z powrotem wsunął zegarek do kieszeni. Tęsknie spojrzął na drzwi. Potem na nią. Niedwuznacznie dawał do zrozumienia: mam znacznie ważniejsze rzeczy do roboty niż rozmawiać z panią, panno Redmond.

Spojrzała w południowy róg mapy, gdzie powinna być Anglia, i pomyślała, jak długa i niebezpieczna byłaby jej podróż do domu, gdyby musiała sobie radzić sama. Hrabia miał rację, a to doprowadzało ją do wściekłości.

Zhańbiono by ją i poniżono... jeśli w ogóle udałoby jej się żywej dotrzeć do kraju. Miles mógł podróżować po całym świecie i zdobyć sławę; ona z powodu swojej eskapady zostałaby wyrzutkiem społeczeństwa, bo na pewno nie zdążyłaby tak szybko powrócić do domu, żeby podtrzymać kłamstwo o dwutygodniowym wyjeździe w odwiedziny do znajomych.

Wtedy pomyślała o Lyonie, który jest, być może, na morzu i którego ten niebezpieczny człowiek tak gorliwie ściga. Musi spróbować.

Wyciągnęła rękę po strzałkę. Uniosła brwi w geście nonszalancji. Jakże dalekiej od stanu jej ducha.

Wzruszył muskularnym ramieniem i podał jej strzałkę. Metalowy ostry czubek mrugnął do niej konspiracyjnie odbitym światłem. Na drugim końcu strzałki sterczało coś, co przypominało pędzelek z bażancich piór.

Bóg jeden wie, jak się rzuca tym małym upierzonym pociskiem. Obmacała go palcami i zważyła w dłoni, jakby to mogło odsłonić jego sekret. Nieźle strzelała z łuku, ale strzelanie nawet do dużych celów z zamkniętymi oczami stanowczo odradzano; niechący można było ustrzelić jakiegoś spacerującego w pobliżu pawia lub przechodnia.

Hrabia wskazał mapę brodą.

- No to proszę. Ale niech pani pamięta, że należy rzucać z zamkniętymi oczami.

Ten przebrzydły człowiek wyraźnie był bardzo z siebie zadowolony.

Wzięła skrzydlaty pocisk w spocone palce. W duchu złożyła gorącą obietnicę właściwego zachowania w przyszłości wszystkim bogom, których tylko pamiętała, nawet tym z lekcji łaciny i greki. Przeprosiła tych bogów, o których być może zapomniała, tak na wszelki wypadek.

Lacao. Wbiła wzrok w napis na mapie.

Zamknęła oczy, wzięła głęboki wdech i podniosła ramię. Wydech. Jeszcze jeden oddech... Cofnęła dłoń...

...i z zamachem rzuciła przed siebie strzałkę, jakby słowo Lacao było zrywającym się do ucieczki zwierzem, na którego urządzono polowanie.

Stuk.

Zapadła dzwoniąca w uszach cisza. Ogarnął ją strach, że ów stuk to odgłos wbicia się strzałki w samo serce hrabiego.

Powoli uniosła powieki. Jej serce biło gwałtownie, tłocząc w żyłach życiodajną krew.

Strzałka wibrowała w samym środku litery O w słowie Lacao.

Jak to dobrze, że spódnice są takie długie. Kolana się pod nią ugięły. Wyprostowała je, zanim zdążyły ją zdradzić i zanim się zachwiała.

Przyglądała się z prawdziwym podziwem swemu mistrzowskiemu rzutowi. Starła się jednak nie pokazać po sobie, jak bardzo jej ulżyło, i wyglądać na całkowicie niezainteresowaną wynikiem.

- Laca... jo? - specjalnie zniekształciła wymowę i zmarszczyła czoło, udając, że pierwszy raz widzi tę nazwę. Jednak od razu wygładziła zmarszczki palcami. Są granice poświęcenia w tej grze, a zmarszczki na czole to już naprawdę za duże poświęcenie.

- Lacao - poprawił ją. - Rymuje się z kakao. Niewielki kraj w Ameryce Południowej.

- Widzę, że w Ameryce Południowej - odparła z udawaną irytacją. Zamyślona, bębniła palcami po brodzie. - Był pan tam kiedyś?

- Tak. Jako chłopiec, w pierwszej podróży na „Steadfaście”. Nigdy, przenigdy tego nie zapomnę. Proszę nie grać na zwłokę, panno Redmond. - Niecierpliwiał się.

Ale słowo „chłopiec” nieoczekiwanie przeszło jej serce niczym strzała. Było szokujące. Nie pasowało do niego. Hrabia na pewno wyłonił się z morza dorosły i niewzruszony niczym skały Gibraltaru. A jednak nagle ujrzała go takim, jaki wtedy musiał być: chudy, z długimi rękami i ramionami, włosami koloru toffi, delikatną buzią. Oczy pewnie zrobiły mu się okrągłe jak spodki na widok na wpół nagich kobiet, wijących się węży i ogromnych motyli. Musiał wykonywać czyjeś rozkazy. Doprawdy trudno to było sobie wyobrazić. Pomyślała: jakie to wspaniałe być chłopcem i móc to wszystko zobaczyć.

Dlaczego podróżował, gdy był jeszcze chłopcem?

Czy kiedykolwiek się bał? Albo przejmował się tym, co je? To niewyobrażalne.

- Panno Redmond. Widzę, że przyjemnie się pani rozmarzyła, ale czy mogłaby się pani ze mną podzielić swoją wiedzą, lub niewiedzą, na temat Lacao?

- No cóż. Hm... Może w Lacao są... - spojrzała w sufit, jakby rozpaczliwie szukała tam natchnienia... - motyle? - Przygryzła dolną wargę, jakby strasznie martwiła się, czy zgadła.

Potem znów opuściła wzrok i przyglądała mu się spod rzęs.

Nastąpiła cisza. Zdało jej się, że powietrze w pokoju lekko się poruszyło, jak widzowie na meczu bokserskim, obracający się w kierunku faworyta, kiedy staje się jasne, kto wygra.

Zmrużył niebieskie oczy.

- Być może.

- Niebieskie... motyle? - Dla podkreślenia efektu nieśmiało ssła koniec małego palca.

Kręgosłup zeszywniał mu i wyprostował, jak główny maszt na statku. Spojrzał na nią zaczepnie spod zmrużonych powiek.

- Tak - przyznał po chwili. - W Lacao są niebieskie motyle.

- Hm! - Kiwnęła głową z zadowoleniem, jak dobrze ułożona panienka.

Jeszcze bardziej zmrużył oczy i przyglądał jej się podejrzliwie.

- Niebieskie motyle wielkości... jedwabnych wachlarzy, takie mniej więcej? - Rozłożyła dłonie, żeby to zilustrować.

- W słońcu mienia się różnymi odcieniami błękitu, lila i zieleni, ale przeważa niebieski?

Z nadzieją podniosła na niego wzrok. Oczy miała szeroko otwarte i niewinne jak wiosenne niebo.

Popatrzył na przestrzeń między jej dłońmi, a potem w jej szeroko otwarte, pełne nadziei oczy. Znowu się zawahał.

- Tak.

Słowo to było jakieś dziwnie stłumione. Może powstrzymywał śmiech? Albo dusił w sobie dumę? Jego oczy wyrażały mieszaninę emocji, również rozbawienie.

- Czy mam podać ich łacińską nazwę? - zaproponowała. - Nazywają się *Morpho He...*

- Och, nie. Nie trzeba, panno Redmond. Ale dziękuję za dobre chęci. A co jeszcze pani wie na temat Lacao?

Następny istotny fakt. Szybko. - Skrzyżował ramiona na piersiach.

Cały pokój stał się wielką szachownicą, znad której mierzyli się wzrokiem.

Decydując się na ujawnienie kolejnego z wielu znanych jej faktów, Violet, oczywiście, rozważała, jaką wybrać strategię. Wpatrywała się w tego ogromnego, aroganckiego, wyniosłego mężczyznę i poczuła dobrze jej znany przypływ brawury, dziecięcy impuls, aby zdobyć to, co nie do zdobycia. Chciała zderzyć z niego powłokę arogancji i nieprzystępności.

Chciała, żeby ją dojrzał.

- No cóż - powiedziała, szeroko otwierając oczy, z twarzą będącą kwintesencją niewinności, głosem cichym i miękkim, co sprawiło, że natychmiast zrobił się czujny i, choć niechętnie, okazał zainteresowanie. - Słyszałam, że kobiety, które tam żyją, powyżej pasa są nagie. Mają odkryte piersi.

Zobaczyła, że na chwilę przestał oddychać.

Usłyszała, jak go dosłownie zatkało. Dojrzała błysk w jego oczach, podobny do rozbłysku na niebie nowej gwiazdy. Potem rozluźnił się, a w jego spojrzeniu pojawił się namysł. Wyczuła niebezpieczeństwo. Pamiętała to spojrzenie z balu. Była pewna, że w tej chwili hrabia wyobraża sobie, że jest z nią w łóżku, a ona z nim... pracuje. Jeszcze raz zastanowiła się, dlaczego chciała sprowokować go do podobnych myśli. Jego spojrzenie w niczym nie przypominało pełnych cielecego zachwyty męskich spojrzeń, które zazwyczaj ściągała na siebie w Londynie. Było w nim coś znacznie bardziej wyrafinowanego i niebezpiecznego. Cieleśna żądza, wzbu-



dzona i z konieczności stłumiona. Ale nieustannie buzująca gdzieś pod powierzchnią.

Ten mężczyzna to naprawdę dzikus.

Nie pozwoli zarzucać na siebie przynęty.

A jednak nic nie mógł na to poradzić, że reagował na jej głos i na jej słowa. Był mężczyzną, a ona była kobietą, i słowa „nagie” i „piersi” były równie niezawodnymi zaklęciami jak abrakadabra. Nie miała wątpliwości, że oczami wyobraźni widzi ją teraz z obnażonymi piersiami.

„Mogę panią posiąść, kiedy zechcę”.

Zrobił krok w jej kierunku. I zatrzymał się. Tak blisko, że znów poczuła jego zapach. Nagle z całą ostrością stanął jej przed oczami jego obraz, gdy golił się, używając ostro pachnącego mydła.

Patrzyli na siebie i powietrze jeszcze raz się poruszyło. Gęste, jak dym z opium. Każdy oddech był dla Violet i rozkoszą, i walką. W oczekiwaniu na to, co nastąpi, oddychała krótko, urywanie. Wypłynęła na głębokie wody, na których nie potrafiła nawigować. Nie miała dokąd uciekać. Tym, co jej pozostało, było przetrwanie, negocjowanie, manewrowanie.

Uświadomiła sobie, że spodobało jej się to bardziej, niż powinno.

- No tak - powiedział cicho, beznamiętnie. - To prawda, że kobiety na Lacao powyżej pasa są nagie, panno Redmond.

Uśmiechnął się. Leciutko, delikatnie i ze zrozumieniem. Uśmiech ten odczuła w dziwnych miejscach. Z tyłu szyi, jakby rysował tam palcem kształt swoich uśmiechniętych ust. Trzepoczący w jej brzuchu niczym jeden z tych błękitnych motyli. I jak palec lekko przyciśnięty do jej sutków, które nagle wyraźnie się naprężyły.

Doskonale! Wreszcie ją dojrzał. Patrzy na nią. Ale jakby była powietrzem.

Ech, do diaska.

To denerwujące! Dlaczego, dlaczego, doprawdy, dlaczego ona tak bardzo chce, żeby ją podziwiał? Może dlatego, że nigdy przedtem nie musiała na podziw zasłużyć. Nigdy nie pragnęła podziwu, gdyż od urodzenia otaczał ją, unosił się w powietrzu, którym oddychała. Może tylko drobne utarczki z rodzeństwem, a od czasu do czasu karcące spojrzenia ojca uchroniły ją od stania się osóbką, z którą by nikt nie wytrzymał. Podejrzewała też, że choć obraz półnagich kobiet rozpałał

wyobraźnię każdego mężczyzny, tym, co tak naprawdę hrabia, aczkolwiek z niechęcią, w niej podziwiał, była umiejętność strategicznego działania. Nie jej długie, gęste rzęsy, urocze krągłości ani pozostałe głupoty, o których młodzi mężczyźni szeptali jej do ucha podczas walca, gorączkowo ściskając jej palce. Wszystko to hrabia Ardmay traktował obojętnie. Pewnie już to widział na tyłu kontynentach, u tyłu kobiet.

Pokonana, ciężko westchnęła. Choć wygrała.

Znów ten jego piękny, porażający uśmiech. Jakby jej na przekór, teraz ten straszny człowiek sprawiał wrażenie oczarowanego.

- No cóż, chwyciłem przynętę, panno Redmond - powiedział, porzuciwszy temat półnagich kobiet. Promieniał, był we wspaniałym humorze. A może jednak ten właśnie obraz tak go rozweselił? - Skąd pani tyle wie o zapomnianym przez wszystkich małym kraiku jak Lacao, panno Redmond?

- Mój brat, Miles Redmond, jest...

- Ten odkrywca? Pan Miles Redmond? - Cofnął głowę, zdziwiony. A potem się roześmiał. Cudowny dźwięk, tak potężny, ciepły i ożywczy, że chyba nawet jałową ziemię zachęciłby do rodzenia.

- Oczywiście! Doskonale zagranie. - Pokręcił głową. - Szelma! - To słowo powiedział prawie z czułością.

Podszedł do półki z książkami i wyjął jedną z nich, oprawioną w czerwoną skórę z wytłoczonym złotymi literami tytułem. Podał ją Violet teatralnym gestem.

*Moja podróż do Lacao*, tom I, autor Miles Redmond.

Na jej widok uśmiechnęła się z podziwem. Miles objechał cały świat. A jego książka trafiła nawet do hrabiego dzikusa!

Palcem przejechała po nazwisku brata, a na jej twarzy pojawił się delikatny uśmiech. Nagle za nim zatęskniła. Było jej przykro z powodu tego, co ich wszystkich czeka, kiedy odkryją jej zniknięcie i, dowiedzą się, że wcale nie wyjechała w odwiedziny do Northumberland.

Nie chciała mieć żadnych wyrzutów sumienia.

- Powiniennem był zgadnąć, że to pani krewny - powiedział cichym, spokojnym głosem. Uważnie jej się przyglądał. - O mało nie stracił tam życia, prawda?

Wzdrygnęła się.

Popatrzyła na niego podejrzliwie i zawahała się, zanim odpowiedziała. Jakby wahanie mogło uczynić prawdę mniej dotkliwą.

- Tak. Najpierw o mało nie umarł z gorączki. Potem o mało nie zjedli go kanibale.

Miles pisał o swoich przygodach szczerze, niczego nie ukrywając. Częściowo właśnie dzięki temu zyskał sławę. A przecież mógł już stamtąd nie powrócić. Violet, oczywiście, nigdy nie wątpiła, że brat wróci, gdyż - zanim oszalał z miłości i ożenił się z ukochaną kobietą - był dla Violet równie stałym elementem rzeczywistości, co skały Dover.

- Może właśnie dlatego zapamiętała pani Lacao, chociaż Miles podróżował po całym świecie?

Och.

Bezbłędnie odgadywał jej myśli.

Nagle, nie wiedząc czemu, strasznie się rozzłościła. Przygryzła dolną wargę, by się uspokoić.

- Może. - Dłoń, w której trzymała książkę, opadła, a palce drugiej dłoni zaczęły nerwowo bawić się materiałem sukni. Nigdy nie miętoszyła ubrania, ponieważ mogłoby się pognieść. Przestała i zacisnęła palce, aby się powstrzymać.

Zobaczyła, jak wzrokiem obejmuje jej palce, a potem twarz. Nic nie umykało jego uwagi. Jakby całe życie musiał czujnie baczyć na swoje otoczenie. Zauważał wszystko; gromadził w pamięci fakty tak jak żołnierze gromadzą kule armatnie do ataku albo cegły do budowy fortecy.

- Jest dla pani bardzo ważny. - Było to stwierdzenie, nie pytanie. - Pani brat. Cała rodzina.

Za bardzo się przed nim otworzyła. Wiedział, że rodzina stanowi zarówno jej siłę, jak i piętę Achillesa. Dla dobra Lyona musi być nieco ostrożniejsza.

- Był pan w Lacao jako chłopiec? Widział pan błękitne motyle?

Z jakiegoś powodu lekko się uśmiechnął. Dopiero wtedy zrozumiała, że w jej głosie zabrzmiała tęsknota. Ona też chciałaby zobaczyć motyle.

- Widziałem. Piękne stworzenia. Jak ze snu, z całkiem innego świata. Służyłem na statku „Steadfast”, kiedy tam zawinęliśmy. To statek kapitana Morehearta.

- Służył pan? Ale przecież... był pan małym chłopcem?

Spojrzał na nią, najwyraźniej nie rozumiejąc, o co jej chodzi. Myślał. Potem zacisnął usta, zastanawiając się, na którą część pytania ma najpierw odpowiedzieć.

- Tak - potwierdził wreszcie. Jakby robił jej łaskę nawet tym stwierdzeniem. Rzucił jej krótki, denerwujący uśmiech, który miał znaczyć, że zbudowanie mostu między jego a jej życiem oznacza tak długą i męczącą rozmowę, że nawet nie ma sensu brać jej pod uwagę. Im dłużej trwałaby taka rozmowa, tym szersza okazywałaby się przepaść, która ich dzieli. W końcu byłiby jak ludzie, którzy rzucają do siebie liny nad przepaścią. I nie trafiają.

Innymi słowy, zbędny kłopot.

Violet nigdy nie obawiała się kłopotów. Jeśli o nią chodzi, uwielbiała przekraczanie zakazów. I radzenie sobie z kłopotami.

- A pana matka... - Nie dokończyła pytania. Zostawiła je otwarte, jak drzwi, przez które mógł wejść, jeśli by zechciał. Pewnie dojrzał na jej twarzy coś w rodzaju rozpaczy. Była pewna, że w przeciwnym wypadku nie odpowiedziałby na to pytanie.

- Matka tak się rozchorowała z przepicia, że nie była w stanie się mną opiekować. Więc poszedłem do pracy. - Ostatnie słowo ironicznie podkreślił, jak nauczyciel, który przypomina uczniowi o czymś, czego tamten właśnie się nauczył. - A statki... Jak można się oprzeć pokusie pracy na statku? - Powiedział to z powagą. Przypominał jej w tym momencie Milesa z jego pasją do poznawania i badania wszelakich egzotycznych pełzających i fruujących stworzeń. Znowu poczuła tęsknotę i wyrzuty sumienia, a także rozczulenie dziwacznymi pasjami mężczyzn. Ten, który stał przed nią, wydał jej się teraz bardziej ludzki i prawie, prawie miły.

- Niebywałe.

Znowu się uśmiechnął. Widać było, że spodobała mu się jej odpowiedź. Kiedyś może się przyzwyczai do jego uśmiechów, ale jak dotąd, o każdy kolejny potykała się, niczym w wędrówce przez nieznanne gwiazdozbiory.

Po jego ostatnim uśmiechu atmosfera w kajucie nagle stała się mniej napięta. Violet też się uśmiechnęła.

- Ale wychował się pan w Ameryce?

- Urodziłem się w Anglii. Zgodnie z angielskim prawem jestem obywatelem Anglii. Ale matka wybrała się ze mną w zamorską po-

dróż i przez jakiś czas mieszkaliśmy w stanie Nowy Jork, aż ona... nie mogła już mną się opiekować. Miałem szczęście spotkać kapitana Jeremiaha Morehearta, który zatrudnił mnie jako chłopca okrętowego i zadbał o to, abym nauczył się wszystkiego o żeglarstwie. Był dla mnie bardzo ważny.

Uśmiechnął się lekko. Ku jej zdziwieniu w jego głosie usłyszała nutę z troskaniem. Instynktownie starał się ukryć swoją odmienność, uspokoić ją, że on nie różni się tak bardzo od innych. Zapewnić ją, że i w jego życiu znaleźli się ludzie, którzy byli dla niego ważni i dla których on był ważny.

Zwierzył się jej, a jego zaufanie odebrała jak prezent, który ją trochę onieśmielił. Dziwne, bo nie potrafiłaby sobie przypomnieć, kiedy ostatnio czuła się onieśmielona lub zakłopotana. Albo kiedy nie wiedziała, co robić.

A ten człowiek wywoływał w niej jedno wielkie zakłopotanie.

- A nie chciałby pan mieszkać Anglii, skoro jest pan teraz hrabią? Cieszy nas, kiedy nasi arystokraci mieszkają w kraju.

Ku jej zdumieniu prowadzili normalną rozmowę, swobodną i nieskrępowaną. Ale nie myśl o tym, Violet, upomniała siebie. Bo będzie jak z grą na fortepianie: jeśli patrzysz na ręce, kiedy grasz melodię, szybko zgubisz takt, bo za dużo się starasz.

Po raz pierwszy w życiu koniecznie chciała jak najwięcej dowiedzieć się o mężczyźnie.

- Pana matka była Angielką?

- Była Irlandką, Indianką z Czirokezów i może jeszcze miała jakichś innych przodków, ale tylko to wiem. Ojciec był Anglikiem. Podobno. - Ostatnie słowo zabrzmiało bardzo sucho.

Starała się nie okazywać po sobie ciekawości, ale przychodziło to jej z trudem. W jego żyłach płynęła indiańska krew. Nie przywiązywał żadnej wagi do własnego pochodzenia, podczas gdy dla niej pochodzenie określało ją całą. Było źródłem przywilejów, bezpieczeństwa, wszystkiego, co znała i lubiła.

- Więc kiedy wypłynął pan w morze?

- W wieku dziesięciu lat, a potem mieszkalem...

Nagle przerwał. Znieruchomiał, brwi mu nieco opadły. Szeroko otworzył oczy w podejrzliwym zdumieniu. Być może dlatego, że rozmowa sprawiała mu przyjemność. Całkiem się zapomniał.

Jego życzliwość była jak w klepsydrze piasek, który właśnie się przesywał. Machnął lekceważąco ręką w stronę mapy.

- Wszędzie. Ale przeważnie w Ameryce albo na morzu. Po raz pierwszy objąłem dowództwo w wieku osiemnastu lat.

Objąłem dowództwo. Tak lekko to powiedział, jakby było to jego przyrodzonym prawem, jego, pozbawionego rodziców.

Chłodnym uśmiechem zakończył rozmowę. Oczy skryły się za niewidzialną zasłoną. To, co jeszcze na ostatku powiedział, na nowo wzniosło między nimi mur i podkreśliło różnice między nimi. Wskazywało, gdzie jest jej miejsce.

- Kapitan Moreheart był kapitanem „Steadfasta”, panno Redmond. Le Chat zatopił ten statek i zabił kapitana.

Uśmiechnął się z lekką ironią.

- Teraz muszę zająć się statkiem. Może pani zostać z nami jeszcze w następnym porcie, panno Redmond. Tam zadecyduję, co się z panią stanie. Ma pani siedzieć pod pokładem, w mysiej dziurze. Odprowadzi tam panią Lavay. Ale bezbłędnie trafią pani rzutką do celu. Naprawdę, jestem pod wrażeniem. Zszokowany.

A więc jednak coś go zszokowało.

I wyszedł, niezbyt delikatnie zamykając za sobą drzwi.

## 9

Flint znalazł Lavaya na dziobie statku. Oficer czekał na niego, jak miał nakazane. Lavay był zbyt dobrze wychowany, by wymownie spojrzeć na zegarek, a potem na kapitana. Spóźnienie skomentował tylko lekkim uniesieniem brwi.

- Zatrzymano mnie. Przepraszam, Lavay. Przejdźmy się.

Dzień na szczęście był piękny, słoneczny, a silny, swawolny, zimny wiatr wydymał żagle i rumienił twarze. Załoga Flinta zajmowała się statkiem: szorowano pokłady, sprawdzano takielunek, zszywano podarte żagle. Słyszał stłumiony ryk krów - kilka z nich wieźli pod pokładem, z przeznaczeniem na obiady. Kucharz Hercules też był pod pokładem. Pewnie mruczał pod nosem ze złością i wykonywał pracę

za dwóch. Kroił, siekał, mełł i gotował, bo cholerna panna Redmond przekupiła jego niewydarzonego pomocnika, żeby został w Londynie.

- Spiesz ci się, Flint? - łagodnie odezwał się Lavay. Flint uprzytomnił sobie w tym momencie, że maszeruje tak szybko, jakby chciał dotrzeć morzem do Hawru na piechotę. Przystanął. Miał ogromną chętkę zaciągnąć się dymem z cygara albo może nawet opiumowym z nargili. Wszystkiego próbował, ale nigdy się nie uzależnił. Okazjonalnie, tylko w towarzystwie, wypalał cygaro.

Coś dziwnego zdarzyło się przed chwilą.

Podczas rozmowy z panną Redmond otworzyły się drzwi, za którymi czaiło się niebezpieczeństwo. Utracił równowagę ducha. Teraz nie był pewny, jak ją odzyskać. Stanie za sterem, zajmie czymś ręce. Nic nie mówił.

Włożył ręce do kieszeni, ale tam też nie mogły sobie znaleźć miejsca. Więc położył je płasko na balustradzie.

Dotykanie własnego statku nieco go uspokoiło.

Nadal milczał.

- To tylko kobieta, kapitanie. - odezwał się Lavay, nieco rozbawiony.

Flint obrzucił go złowrogim spojrzeniem.

- Jeszcze nigdy nie słyszałem, żebyś słów „tylko” i „kobieta” używał w tym samym zdaniu.

- No więc piękna kobieta - poprawił się Lavay, a uśmiech opromienił mu twarz. Jakby wyjaśniało to wszystko, co należy wiedzieć o przeciwniku.

- Doprawdy? Jest dla mnie raczej utrapieniem, niczym więcej. Kłamał. Pierwszym słowem, jakie mu się nasuwało, gdy myślał

o pannie Redmond, po „piękna”, a potem „utrapiona”, było „zdeterminowana”. Przypomniawszy sobie ciemny pukiel włosów, lekko powiewający przy każdym oddechu, gdy zasnęła z wyczerpania, zadziwiająco celny strzał, zaradność i arogancję, dorównującą jego arogancji, a także jej niezachwiane przekonanie, że należy jej się to, co najlepsze, wzbudzające w człowieku nieodpartą chęć uduszenia jej albo zdobycia. I jędrne uda, które podtrzymywał ramieniem, kiedy niósł ją, bezwładną i śpiącą, do swego łóżka.

Jak wielka jest potęga miłości, która kazała jej wyruszyć na poszukiwanie brata.

Poczuł, że naprężyły mu się mięśnie brzucha.

Nabrał w płuca haust zimnego powietrza morskiego, od którego zakręciło mu się w głowie, jak po dobrym cygarze. Siłą woli przywołał w myślach obraz Fatimy, co niezbyt mu pomogło, bo i Fatima, i ukojenie, które dałoby mu jej miękkie, ciemne, gibkie ciało, były w dalekim Maroku, od niego dzieliło ich kilka tygodni podróży.

- Chcę powiedzieć, że dawałeś sobie radę w znacznie trudniejszych sytuacjach niż obecność na statku pięknej arystokratki, pasażerki na gapę. Przypomnij sobie, hrabio, pobyt w pewnym tureckim więzieniu. I tym razem poradzisz sobie, jak sądzę, i to bez pozbawiania mnie posiłków. - Lavay nie mógł się powstrzymać od ironii.

- Musiałem, Lavay, dać do zrozumienia, że powinno się uważać z karmieniem zwierząt, by się zbytnio nie spoufalały

- krótko odpowiedział Flint. - A czy ty musisz być zawsze taki niemożliwie... francuski?

- Nie mogę ukrywać swego zachwytu w towarzystwie pięknych kobiet - bronił się Lavay. - W przeciwnym razie eksplodowałbym jak przeładowany silos na zboże.

- Silosy na zboże eksplodują wskutek nagromadzenia gazu - ponuro zauważył Flint.

Lavay się roześmiał.

- Jej obecność jest wyjątkowo uciążliwa - upierał się Flint, przygnębiony. Fundusze kurczyły się, kucharz był niezadowolony, pirat mu umykał, przyszłość rysowała się niepewnie. Wiele z tego, czego pragnął, pozostawało poza jego zasięgiem. I na dodatek miał na pokładzie kobietę.

Krótko mówiąc, nie był to dla niego najlepszy tydzień. Nawet w porównaniu z tureckim więzieniem.

- Czego ona chce? Dlaczego tu jest? - dopytywał się Lavay.

- Uważa, że jej brat to pan Hardesty. Innymi słowy, pirat Le Chat. Nawet dobrze ułożony Lavay zaniemówił.

Flint się uśmiechnął. Przedstawił swemu pierwszemu oficerowi teorię Violet na temat owego pirata, obserwując, jak zazwyczaj nieruchome brwi Lavaya unoszą się coraz wyżej, aż do linii złotowłosej czupryny.

- Nie wiem jeszcze, co o niej myśleć. Nie mam całkowitej pewności. Czy jest po prostu samowolną dziewczynką, która postanowiła



napsocić? Albo z tęsknoty za bratem chwyta się ułudy. Albo, przez wszystkich rozpieszczana, z nudów rozrabia, bo chce zwrócić na siebie uwagę. Przecież kiedyś groziła, że rzuci się do studni, i wyprawiała podobne głupstwa. O jej wyskokach krążą legendy. Słyszałem o tym na balu.

- Ale skoro nie masz całkowitej pewności, to znaczy, że... częściowo jej wierzysz?

Flint zaczerpnął głęboki haust powietrza. Potem wypuścił je z płuc, kapitulując.

- No dobrze. Trudno odmówić jej inteligencji. Upiera się przy swoim zdaniu i wykazuje zadziwiającą - denerwującą, doprowadzającą mnie do wściekłości, pomyślał - konsekwencję w tym, co robi. Zadawała rozsądne pytania o Hardesty'ego i o ciebie, Lavay. Tak więc, choć z wielką niechęcią, muszę przyznać, że w jej szaleństwie jest metoda. Krótka mówiąc... - Westchnął. - Niech to diabli, nie mogę jej całkiem zlekceważyć.

- Niech więc zostanie - powiedział Lavay z odrobiną za bardzo widocznym zadowoleniem.

- Póki nie dobijemy do portu. Tam przedstawimy ją hrabiemu Hebertowi, który podobno podejmuje Hardesty'ego w swoim domu obiadami. Hebert wie, że szukamy Le Chata, ale nie przypuszcza, że to Hardesty może być winowajcą. Będziemy ją obserwować. Ponieważ, Lavay... - Odwrócił się plecami do morza i oparł o poręcz. - Niech to diabli wezmą. Wyobraź sobie, jak przyjemnie będzie oddać Le Chata w ręce sprawiedliwości... z pomocą jego siostry. Nie sposób wymyślić lepszej zemsty za los kapitana Morehearta. A tak całkiem szczerze, im szybciej to się stanie, tym lepiej, ponieważ, na Boga, bardzo potrzebuję pieniędzy.

- Ona wie, że to jest twoim celem?

- Wie. Uważa, że jeśli jej brat istotnie jest Le Chatem, posadzenie go o wysadzanie statków w powietrze musi być jakimś nieporozumieniem.

Lavay się roześmiał.

- A ona albo go uchroni przed pochyceniem przez nas, albo dowiedzie jego niewinności, albo ostrzeże go, jeśli znajdzie się w jego pobliżu.

Lavay w zamyśleniu przyglądał się wodzie.

- Być może jej obecność na statku okaże się dla nas darem losu -powiedział z nadzieją.

Flint prychnął.

- Mnie wydaje się raczej, że okaże się dla nas przekleństwem. Ale tak czy inaczej damy sobie z nią radę, a jeśli zostawimy ją jako przynętę, nie mam nic przeciwko temu. Zobaczymy, jak się zachowa podczas wizyty u księcia. A teraz zajmijmy się kwestią zapasów. Moje fundusze są na wyczerpaniu. Cokolwiek można powiedzieć o Jego Wysokości królu Jerzym IV, nie jest głupi i z całą pewnością wie, jak człowieka zmotywować. W Hawrze musimy wynegocjować większą ilość zapasów, jeśli nam się uda.

Lavay kiwnął głową na znak, że zrozumiał.

- I to jest zadanie dla mnie, *oui*?

- *Oui*.

- Hercules twierdzi, że nie dajesz prowiantu. Wszystko, co jest w stanie przyrządzić, to mdła papka.

- Mdła papka to tradycyjne danie wszystkich marynarzy. Jeśli Herculesowi znudziło się kucharzenie, powiedz mu, że znajdę dla niego cięższą robotę.

Ich popędliwy grecki kucharz pracował jak koń, a w razie potrzeby walczył jak lew, więc kiedy Flint zobaczył zdziwienie na twarzy Lavaya, zrozumiał, że przemawia przez niego zły humor, a nie rozsądek. Westchnął. Musi, jak zwykle, rozegrać tę sprawę strategicznie.

- Lavay, zorientuj się, ile przypraw można kupić w Hawrze za te mikroskopijne sumy, którymi dysponuję, i powiedz Herculesowi, żeby wykazał się inwencją w przyrządzaniu potraw z wołowiny. I proszę, wyjaśnij mu, że jeśli kupimy przyprawy, nie będzie nas stać na zatrudnienie pomocnika kucharza, więc niech wybierze, co woli. On to zrozumie. A jeśli jedzenie chwilowo się poprawi, a potem znowu będzie tylko owsianka i twarde jak kamień suchary, załoga się zbuntuje.

- Tak jest. Ale, kapitanie...? - Lavay zawiesił głos. Flint odwrócił się i spojrzał na niego podejrzliwie.

- Gdzie ona będzie spała tej nocy? - Pytanie było skierowane do wody raczej niż do Flinta. Ale tamtemu nie uszedł uwagi stłumiony uśmiech w kącikach ust przyjaciela.

Zesztywniał.

- Doszliśmy z panną Redmond do porozumienia. Będzie spała w mojej kajucie, a ja w mysiej... w Kajucie dla Wytwornych Gości.

Lavay zniemacka się odwrócił. Oczy miał okrągłe ze zdziwienia.

- Jak tego dopięła? Nie powiesz chyba, że serce ci zmiękło?

- Mój Boże, nie.

- Coś innego stwardniało?

Flint obrzucił Lavaya gniewnym wzrokiem. Pierwszy oficer z trudem powstrzymywał śmiech, usiłując rozszyfrować nastrój Flinta.

Życzę szczęścia, ponuro pomyślał Flint. Sam nie wiem, co się ze mną dzieje.

Jeszcze raz wciągnął w płuca morskie świeże powietrze i poczuł, że wreszcie oczyścił płuca z resztek londyńskiego pyłu, sadzy, alkoholu i dymu.

- Ależ jesteś nudny, Lavay. Jeśli koniecznie musisz wiedzieć -warknął - wygrała zakład.

Krótką cisza.

- Urządziliście zawody? - wycedził przez zęby Lavay, tłumiąc niedowierzanie i wesołość. Widać było, że usiłuje to sobie wyobrazić. - I przegrałeś z... dziewczyną. Co to był za konkurs? W zawiązywaniu wstążek?

Flint poczuł się głupio. Teraz żałował, że dopuścił do takiej sytuacji, co wcale nie poprawiało mu humoru.

- Zaproponowałem jej rzuty do celu. Wiesz, moimi rzutkami. I... no, powiedzmy, że dopisało jej szczęście i rzutka wylądowała akurat tam, gdzie panna Redmond celowała.

- Czy to metafora, kapitanie? Masz na myśli strzałę Kupidyna? -Lavay udał, że owa strzała przeszywa mu serce.

- Na miłość boską. Dość tego. Czy zechciałbyś teraz odprowadzić pannę Redmond do jej kajuty, żeby mogła zająć się swoim kufrem, a potem może z pół godziny pospacerujesz z nią po pokładzie? Muszę jej zapewnić eskortę, a jesteś tu jedyną osobą, która przypomina dżentelmena.

- A na pewno sam nie chcesz dostąpić tego zaszczytu, kapitanie?

- Wystarczy, Lavay - odparł Flint. Mówił łagodnym tonem, ale Lavay wiedział, że nie warto z nim zadzierać.

- No dobrze. - Odwrócił się, żeby odejść, ale zatrzymał się i jeszcze raz się odwrócił. - Naprawdę dopisało jej szczęście?

Tym razem Flint się poddał. Przytknął dłonie do oczu i głęboko westchnął - choć bardziej przypominało to jęk niż westchnienie, a powietrze, które wydobyło się z jego płuc, wydęłoby żagiel - a potem przeciągnął dłońmi po włosach.

- Powiem tylko tyle, Lavay. Jeśli ona naprawdę jest siostrą Le Chata, a on jest choć trochę tak przebiegły jak ona, to nawet się nam nie śniło, jak trudno będzie go schwytać.

Jakieś dziesięć minut po wyjściu hrabiego z kajuty - co Violet wystarczyło na wyjęcie z włosów szpilek, ponowne upięcie ich w ładną fryzurę i zawiązanie kapelusza, ale w żadnym razie nie na rozejrzenie się po kajucie, jak zamierzała - usłyszała delikatnie pukanie do drzwi.

- Panno Redmond?

Otworzyła drzwi. Stał w nich przystojny, złotowłosy lord Lavay.

- Kapitan Flint polecił mi eskortować panią na pokład, gdyby życzyła sobie pani zażyć świeżego powietrza. Ale gdyby chciała pani załatwić jakieś sprawy natury osobistej, najpierw udamy się do pani kwatery w Kajucie dla Wytwornych Gości.

- Zabierze mnie pan na spacer? - zadumała się. - Jak domowe zwierzątko.

Zwierzątko domowe albo służący. Nie mogła zapomnieć tych słów.

- Obraziłbym panią, gdybym powiedział, że nie miałbym nic przeciwko ujrzeniu pani w takiej roli?

Powiedział to z ostrożną grzecznością, ale w oczach jarzyły mu się wesołe chochliki.

Postanowiła poważnie się nad tym zastanowić.

- Uznałabym, że jest pan dość odważny, ale nie obraziłabym się. Muszę jednak pana ostrzec. Nie nadaję się na domowe zwierzątko, lordzie Lavay. Niech się nikt nie spodziewa po mnie posłuszeństwa.

Zastanowiła się, do jakiej kategorii zaliczyć Lavaya. Zwierzątko, a nie służący. Flirtował z wprawą i z równą swobodą, z jaką na balu tańczył. Sprawiało to jej przyjemność. Zaskakiwał ją, ale w sposób kojąco wyrafinowany. Byłby jak osetka, na której ostrzyłaby swoje umiejętności flirtu. Miałaby rozrywkę, a może nawet potraktowałaby to jako wyzwanie.

- Jednak teraz ma pani posłusznie iść przy moim boku - stwierdził żartobliwie. - Wyjdziemy na pokład. Zobaczmy, jak nam pójdzie. Jest pani pewna, że zanim znajdziemy się na świeżym powietrzu, nie musi pani zajrzeć do swojej kwatery?

- Wolałabym jak najszybciej odetchnąć morskim powietrzem, jeśli łaska.

Już wystarczająco długo przebywała we wnętrzu statku. Chciała zobaczyć, jak światło dzienne i morze wyglądają z pokładu. Musi też wreszcie przekonać się, czy nie przerazi jej niezmierny przestwór oceanu, na który już dzień wcześniej wpłynęli.

W tej chwili czuła jednak tylko podniecenie. O mało nie zaczęła podskakiwać jak dziecko.

Puścił ją przodem, gdy przyszło do wspinania się po prowadzącej na górny pokład drabinie. Była pewna, że zrobił to, aby podziwiać jej kobiece kształty. I równie pewna, że lord Lavay się nie rozczaruje.

Kiedy doszła do najwyższego szczebla, wiatr gwałtownie szarpnął jej kapelusz, a potem prawie rzucił nią na pokład. Ku własnemu zdziwieniu, miotana wiatrem, zatoczyła się w lewo, a potem w prawo, jak pijana. Usłyszała szuranie butów i nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pojawił się Corcoran z wyciągniętym ku niej ramieniem. Oparła się o nie, jak o poręcz, a marynarz pomógł jej wejść wyżej po schodkach.

- Niech panienka tylko się mnie trzyma, bo odfrunie jak kuleczka marnego kociego puchu.

Violet była dość wysoka i sprawna. Nigdy w życiu nikt jeszcze nie porównał jej do czegoś tak dziwnego. Nie obrazila się jednak. Pod dłonią czuła marynarskie ramię, silne jak konar.

Skorzystał z okazji, żeby jeszcze raz jej się uklonić. Usłyszała cichy trzask. Może to zatrzeszczało jego kolano. Oby nie kręgosłup.

- Imponujący ukłon, Corcoran - pochwalił Lavay. Corcoran się wyprostował. Więc to nie kręgosłup.

- I imponujące wyczucie czasu. Jestem pewien, że panna Redmond docenia pana usłużność. Ale musi pan pilnować swoich obowiązków. Jak reszta załogi. - Podniósł głos i Violet usłyszała pospieszny tupot butów. Grupa marynarzy, którzy dziwnym trafem akurat tamtędy przechodzili, rozproszyła się, wracając do porzuconych zajęć.

Violet zdjęła dłoń z ramienia Corcorana. A nuż w marynarzu obudzą się zwierzęce instynkty.

Nie wyglądało jednak na to. Twarz miał rozpromienioną... i pojawił się na niej cień uporu. Marynarz wyraźnie zwlekał z odejściem.

- Corcoran? - nieco ostrzej powiedział Lavay.

Corcoran znów się uklonił, wcisnął z powrotem na głowę czapkę i odmaszerował.

Spoglądali za nim. Lavay podał Violet ramię. Nim zdążyli zrobić cztery kroki, usłyszeli za sobą charakterystyczny głos i znajomy stukot butów.

- Teraz Corcoran będzie brał od załogi pieniądze za dotknięcie jego ramienia. Jak pielgrzymi za relikwie.

Hrabia wyrósł przed nimi niczym czwarty maszt. Jemu nie groziło zdmuchnięcie z pokładu. Rzucił spojrzenie na jej dłoń opartą na ramieniu Lavaya. Trwało na tyle długo, że je zauważyła. Spostrzegła, że lekko zmarszczył brwi, ale natychmiast się rozchmurzył. Jak ona, kiedy się obawiała, że zrobiją jej się zmarszczki wokół oczu.

Sama nie wiedziała, dlaczego jej dłoń zsunęła się z ramienia Lavaya. Jakby żyła własnym życiem. Bardzo to ją zdziwiło.

Obrzucił ją przenikliwym spojrzeniem, po czym jego twarz na powrót przybrała nieprzenikniony wyraz.

- Świetnie. Szukałem ciebie, Lavay - oznajmił i dopiero po chwili spojrzał na Lavaya. Zaskakująca zwłoka.

- Naprawdę, kapitanie? - beznamietnie odpowiedział Lavay. -Przecież dopiero co rozmawialiśmy.

Na jego twarzy również pojawił się cień uporu, ale to był upór wyrażony na francuski sposób. Elegancko.

Violet zaczęła rozumieć, co hrabia miał na myśli, kiedy mówił, jak obecność kobiety może wpłynąć na grupę mężczyzn, skazanych tylko na własne towarzystwo. Ech, mężczyźni. Nic dziwnego, że w każdym sezonie z tego stada durniów ubywa kilku z powodu pojedynków i zwariowanych wyścigów faetonów.

Choć musi przyznać, że ją to nawet bawiło.

Zwłaszcza że podejrzewała, iż hrabia zjawił się, żeby ją zobaczyć. Znowu.

Wiatr nagle mocno szarpnął Violet. Dłonią przytrzymała niesforny kapelusz, który chciał wystartować z jej głowy w przestrzeń, pory-

wając razem ze sobą włosy. Rozstawiła szeroko stopy, wczepiając się nimi mocno w pokład i z wolna ucząc się, jak na nim stać, by się nie przewrócić. Obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem, prowadząc jedną ze swych tajemniczych, bezgłośnych rozmów, ona zaś rozglądała się wokół, patrząc na niebo, na statek i na morze.

Powoli widoki wypełniały jej serce, jak wiatr żagle na statku.

Wszystko wokół niej znajdowało się w nieustannym ruchu. Wiatr wydymał ogromne żagle, które trzepotały, rozpięte pa trzech masztach; pokład unosił się i opadał pod jej stopami, jakby stała na brzuchu śpiącego w morskich głębinach olbrzyma, którego płuca w potężnym oddechu wprawiały w ruch toń wodną, kołysaną i falami. Wiatr przegnał chmury i w górze rozpościerało się czyste, oślepiająco niebieskie niebo. Oczy bolały ją, kiedy się w nie wpatrywała, ale starała się jak najdłużej nie przymykać powiek. Błękitnozielone morze w słońcu rozbłyskiwało srebrem i iskrzyło diamentami. „Fortuna” wzbijała na wodzie kędziory kremowobiałej piany i zostawiała za sobą ślad, który szybko znikał. Violet odchyliła głowę do tyłu najdalej, jak mogła. Nad masztami i takielunkiem, na którym przycupnęło kilku marynarzy, unosiły się mewy. Na tle błękitnego nieba ich skrzydła wyglądały jak żagle. Przyszło jej do głowy, że może właśnie ptaki w locie natchnęły ludzi do budowy wielkich żaglowców.

Poczuła, że coś się w niej nareszcie rozluźniło, odetchnęło, przeciągnęło. Było to całkowicie nowe doznanie i tak przemożne, że zrozumiała, jak pełne ograniczeń wiodła dotąd życie.

A przecież nie takie doznanie powinno być jej udziałem. Zdrowa na ciele i umyśle, przyzwoita kobieta powinna mieć mdłości, być przerażona, pokorna wobec potęgi żywiołów.

A ona po raz pierwszy w życiu usłyszała ton, który współbrzmiał z dziką pieśnią jej duszy. Nie знаła go dotąd.

Pomyślała, że inni nazwaliby to spokojem.

Nagle przypomniała sobie o dwóch mężczyznach. Jej podziw dla morza nie uszedł ich uwagi i nadal milczeli, by nie zakłócać ciszy. Odwróciła się na tyle szybko, by dostrzec na twarzy hrabiego dziwny wyraz. Krótkotrwały. Z wrażenia straciła oddech.

Patrzył na nią, przemknęło jej przez myśl, prawie tak, jak ona patrzyła na morze.

A potem uprzytomniła sobie, że słońce tak ją oślepiło, iż musiała silnie zmrużyć oczy, odruchowo więc uniosła dłoń, żeby wygładzić zmarszczki, prawdę mówiąc, nieistniejące. Doszła do wniosku, że chyba z powodu tego jaskrawego słońca błędnie odczytała wyraz jego twarzy. Teraz hrabia z wielkim ożywieniem okazywał jej przesadną wręcz uprzejmość.

- Ma pani szczęście, że jest ładna pogoda, panno Redmond. W czasie sztormów nawet tak wielkie, solidne statki jak „Fortuna” są miotane falami oceanu jak patyczki na rzece.

- To... - Urwała, nie umiejąc wyrazić uczuć, jakie ją ogarnęły, gdy ujrzała ocean w całej jego potęgze.

- Niech pani nie próbuje, panno Redmond - zgodził się, przysłaniając oczy. - Naprawdę nie ma odpowiednich słów, aby opisać morze, więc nie będziemy pani obwiniać o to, że nie potrafi ich pani znaleźć. Nic na świecie nie wzbudza w człowieku tak przemożnego uczucia, że równy jest Bogu, niż żeglowanie po bezkresnym morzu. I nic bardziej człowieka nie upokarza i nie wzbudza pokory wobec Boga niż kurzowe czepianie się łupinki statku, którym miota sztorm, przy wtórze gromów i błyskawic.

Odniosła wrażenie, że hrabia wie to z własnego doświadczenia, i miała nadzieję, że ona nigdy czegoś takiego nie doświadczy.

- Jeśli zechce pani kiedyś poznać swoje prawdziwe miejsce we wszechświecie, panno Redmond, morze i przestwór nocnego nieba pozwolą pani spojrzeć na siebie z odpowiedniej perspektywy.

Nie podobał jej się ten ton wykładowcy. Dlaczego uznał go za konieczny? A jednak mówił prawdę, zrozumiała. Był człowiekiem, który wciąż musiał się sprawdzać. Nieustannie. Ale jego przeciwnikiem nie byli inni mężczyźni.

Mierzył się z czymś, co było niepokonane.

Być może i ona jest taka.

Mój Boże. Miała nadzieję, że nie. Chciała zaznać spokoju. Nie chciała z nikim i z niczym się zmagać.

A może hrabia ma dosyć bezustannych wyzwań i chciałby się ustatkować, osiąść na lądzie, poczuć twardą ziemię pod nogami i cieszyć tym, co wszyscy jej znajomi uznają za oczywistość.

Odwrócił się od niej.

- Chciałem zamienić z tobą parę słów, Lavay. Myślę, że dotrzemy do portu szybciej, niż nam się zdawało, więc chciałbym omówić



naszą wizytę u wicehrabiostwa Hebert. Spotkajmy się za pół godziny w kajucie kapitana.

- Oczywiście. Tak jest, kapitanie - bez chwili wahania odpowiedział Lavay.

Hrabia pożegnał oboje energicznym skinieniem głowy i odszedł. Po drodze krzyknął coś do marynarza o nazwisku Dewey, który, jak się zdaje, obserwował Violet przez lornetkę. Jego słowa porwał wiatr, ale Dewey je usłyszał.

Natychmiast skierował lornetkę w inną stronę.

- Więc podoba się pani - powiedział Lavay z lekkim uśmiechem. - Morze.

Roześmiała się zbyt głośno i radośnie, jak sama uznała.

- Wszystkie słowa byłyby żalosne i niewłaściwe. Powiem tylko tyle: jest piękne. Czy zawsze wieje taki porywisty wiatr? Jeśli tak, muszę obciążyć kapelusz kamieniem. - Lub kawałkiem waszego chleba, pomyślała uszczypliwie.

Wiatr znów mocno szarpnął kapeluszem, suknia smagała ją po nogach. Żałowała, że nie ma długich aż do kolan butów, bo bez wątpienia wszyscy marynarze na pokładzie, a także lord Lavay, z lubością przyglądają się jej odzianym w pończochy łydkom, a potem będą stawiać zakłady o to, jakiego koloru są jej podwiązki.

- Taki wiatr i takie morze bardzo nam sprzyjają. Łatwo wtedy żeglować, w dobrym tempie. Spokojniejsze dni są przyjemne, ale nudne, zwłaszcza jeśli chce się szybko dotrzeć do celu. A zbytńi spokój to śmiertelne zagrożenie. Zbytńi spokój to śmiertelne zagrożenie.

To krótkie zdanie tak trafnie wyrażało jej życiową filozofię, że postanowiła wyhaftować je na makatce.

- Dlaczego?

- Jeśli nie posuwamy się naprzód, możemy nie dotrzeć na czas do brzegu, aby uzupełnić zapasy. Świeżej wody starcza na krótko, a musimy się nią jeszcze dzielić ze zwierzętami, jeśli są na statku. Mam nadzieję, że lubi pani piwo. Chociaż być może kapitan poczęstuje panią winem. - Uśmiechnął się, uznając chyba taki pomysł za czysty żart.

Przycisnęła kapelusz dłonią, gdyż trzepotał się jak gęś, która podrywa się do lotu. Pokład statku, dzisiaj się przekonała, to miejsce, które odziera człowieka z godności.

- Lordzie Lavay... chciałabym zadać panu pytanie.

- Jestem gotów odpowiedzieć na każde - zapewnił z powagą. Ręce założył do tyłu i splótł palce obu dłoni. Spacerowali, stawiając równe kroki, a Violet szybko uczyła się utrzymywania równowagi na niestabilnej powierzchni pokładu.

- Wiem, że jest pan lordem, ale niestety nie znam pana tytułu.

- Jestem wicehrabią z domu Burbonów, panno Redmond.

Nie, nie otworzyła ze zdumienia ust. Ale jej oczy stały się okrągłe jak spodki, aż rozboleły ją od nadmiaru światła, więc szybko przywróciła im normalny rozmiar.

- Więc dlaczego...- Teraz Lavay ukazał jej się w zupełnie innym świetle.

- Dlaczego służę Flintowi? - Zastanawiał się nad odpowiedzią. -Ponieważ wygrał mnie w karty.

Zatrzymała się.

To, że zaniemówiła, sprawiło mu satysfakcję.

- Och! Chciałaby pani, żebym zaczął od samego początku, panno Redmond? - zapytał z miną niewiniątka, choć przeczyły temu jego roześmiane oczy. - Tak będzie lepiej.

Szedł dalej, więc ruszyła za nim. Ręką silnie przytrzymała niesforny kapelusz.

- No cóż, żeglowaliśmy razem od wczesnej młodości. Ja byłem już na statku oficerem. Jestem od niego starszy. On zaciągnął się jako chłopiec okrętowy. Dostał od życia niezłe cięgi z racji swego pochodzenia.

Spięła się w odruchu obrony, jakby to jej groziły owe cięgi.

- Co go spotkało? - Z trudem wykrztusiła pytanie.

- Obrzucano go wyzwiskami. Nazywano dzikusiem. - Nie oskarżył jej o nic. Ale równie dobrze mógł z całej siły rzucić w nią strzałką. Poczula, że serce skoczyło jej do gardła. Nie mogła spojrzeć mu w oczy. Lavay niewątpliwie dobrze wie, co ona w tej chwili czuje, bo to on podsłuchał jej słowa, gdy nalewał sobie likieru na balu. Szpiegował.

- Pan też go dręczył, lordzie Lavay?

- Skąd pani wie? - spytał rozbawiony raczej niż zaskoczony.

- Ponieważ był pan chłopcem i arystokratą, a chłopcy i arystokraci właśnie tak postępują. Wiem, bo pośród nich się wychowałam.

- Tak. Stąd wiem, że nie znosi głupców. - Powiedział ze skruchą. - Nieraz nieźle mnie stłukł. Oczywiście poza statkiem, bo kapitan Moreheart, gdyby się o tym dowiedział, surowo by nas obu ukarał. Różgami albo rzemieniem. Za nic nie pozwoliliby na bijatyki.

Mężczyźni stanowili dla Violet tajemnicę. Jak mogli się bić albo do siebie strzelać, i pozostać przyjaciółmi? Czyżby w ten sposób okazywali sobie uczucie?

- Więc nasz przyjaciel Flint zasłużył na reputację, jaką zyskał. Śmiem twierdzić, że nauczył się walczyć; brutalnie, bez pardonu, dodam; właśnie wtedy. Dzięki mnie. A ja zawdzięczam mu życie. Za dzikusów. - Uniósł dłoń w udawanym toaście.

Doskonale wytłumaczenie. Ale nadal nie mogła się uspokoić. Wyobraziła sobie osieroczonego chłopca, który odgradzał się od innych pancierzem agresji, aby bronić się przed drwinami i złośliwymi przezwiskami, i wzbudzał coraz większy respekt. Zamiast z goryczą rozczulać się nad sobą.

Przypomniała sobie, jak zmrużył oczy, kiedy nazwała go dzikusiem.

Więc nadal pancierz nie był całkowicie szczelny. Poczula lekki wstyd, ale przecież nie zamierzała zrobić nic złego - innymi słowy, nie taki rodzaj wstydu, jak wtedy, gdy rozczarowała swego brata Milesa próbą ucieczki z Cyganami. Było to dla niej całkowicie nowe doznanie. Niebezpiecznie graniczące z uczuciem pokory.

Zastanawiała się, czy arogancja hrabiego jest cechą wrodzoną, czy nabytą.

Wrodzoną, doszła do wniosku, bo była przecież ekspertem w tych sprawach. Arogancja stanowiła nieodłączną część jego osobowości, wynikającą z niezachwianej pewności siebie. W odpowiednich warunkach ujawniła się w całej pełni.

- Mówił pan, że hrabia dokonywał rzeczy niemożliwych. Ale nie widzę związku między wspomnianymi cięgami a uratowaniem panu życia?

- Och. Jakże jestem rad, że nasza pierwsza rozmowa zapadła pani w pamięć. - Rzeczą niemożliwą było też nie odwzajemniać czarującej uprzejmości Lavaya.

- Nie wiem, czy uratowanie życia można nazwać czymś niemożliwym, a ja na pewno mu tego nie ułatwiłem. Grałem w karty ostrzej,

niż powinienem, z nieodpowiednimi ludźmi, w podejrzanej speluncie, szulerni. Potem ci ludzie przyparli mnie do ściany z nożami w rękach, żądając, bym oddał im to, co wygrali. Czy można ich winić? Wzruszył ramionami, gestem, który fascynował Violet w równym stopniu, jak treść tego, co mówił. Szulernie? Noże? Kochanki? Słowa, które ci dwaj mężczyźni tak lekko rzucali, przyprawiały ją o zawrót głowy, niczym mocny trunek. Były częścią męskiego świata, który trudno jej było sobie wyobrazić, a który ją tak fascynował.

- Zrządzeniem losu kapitan Flint również był w tej szulerni i zauważył zamieszanie. Postaram się nie przerażać pani szczegółami. Krótko mówiąc, po tej przygodzie pozostała mi pamiątka w postaci ogromnej blizny, podobnie jak Flintowi, ale zwyciężyliśmy i żyjemy.

- Dziękuję, że mnie pan oszczędził. Skoro wspomniał pan o bliznach, domyślam się, co się tam działo. Nie muszę znać szczegółów.

Roześmiał się.

- Bardzo mi miło. A czy wspomniałem, że ich było pięciu? A nas dwóch.

Dwaj marynarze, którzy uwijali się w górze, sprawdzając takielunek, zauważyli ją i rozdziawili usta, po czym zerwali z głów czapki i znieruchomieli.

- Uważaj, Mcevoy, bo mewa ci wleci do gęby! - krzyknął do nich Lavay. - To panna Redmond. Na litość boską, nie kłaniaj się, Emerson. Spadniesz na pokład. Przecież widziałeś już w swoim życiu kobietę.

- Przepraszam, ale nie taką. - Emerson beczelnie rozpromienił się w uśmiechu.

Violet dygnęła. Nadal nie odrywali od niej oczu, jakby naprawdę była syreną.

Żadną Amazonką. Syreną.

- Do roboty! - Lavay na wpół warknął, na wpół wrzasnął. Zaczęli się znów uwijać, wspinając wysoko po linach, zwinnie jak

małpy. Lub jakieś inne egzotyczne zwierzęta. Miles pewnie by wiedział jakie.

- Zaatakowało was pięciu mężczyzn?

Poczula, że robi się jej słabo i że to wszystko coraz bardziej ją fascynuje.

- Pięciu napadło na mnie, żeby odebrać mi sakiewkę. Hrabia zjawił się w samą porę. Właśnie mnie zaatakowali, kiedy się zjawił. I stanowczo się sprzeciwił takiemu mnie potraktowaniu.

Zaniemówiła. Wyobraziła sobie, jak hrabia wyraził swój sprzeciw. Na widok jej miny Lavay lekko się uśmiechnął.

- No cóż, on jest do tego stworzony. Do przychodzenia innym na ratunek. Podejrzewam, że w ten sposób kapitan Flint pokazuje światu: „Patrzcie, tak się to robi”.

Przyszło jej na myśl, czy nie pokazuje też światu: „Tak mogliście mnie uratować, kiedy byłem chłopcem”.

Trudno jej było złapać oddech, gdy o tym myślała. Niespecjalnie miała ochotę polubić człowieka, którego celem było schwytanie jej brata, zakładając, że Lyon naprawdę jest Le Chatem.

A jednak Flint uratował człowieka, który przyszedł na świat w rodzinie obdarzonej wszelkimi przywilejami i który z niego szydził. Ponieważ ten człowiek potrzebował pomocy.

Och, Lyon, ty głupcze. Masz wspaniałego wroga.

- I... od tej pory zaczął pan kapitanowi Flintowi służyć, lordzie Lavay?

- Służyć? - Zmarszczył brwi, ubawiony tym słowem. - Proszę pamiętać, że zabrano mi pieniądze. Wszystkie, jakie miałem. Byłem w naprawdę trudnym położeniu. Na pewno, ratując mnie, nie kierował się wyłącznie altruizmem. Jest na to za mądry, panno Redmond. Wiedział, że jestem doskonałym żeglarzem, biegle znam wiele języków, nie przyniosę swoim zachowaniem wstydu w najlepszym towarzystwie i mogę utorować mu drogę do takich miejsc, w których beze mnie by się nie znalazł, a na dodatek może mi ufać, gdyż zawdzięczam mu życie. Stwierdził, że mogę być użyteczny. I moje sumienie też. Założył, że je mam - dodał żartobliwie. - I tego dnia w tej szulerni był jedyną osobą, która wygrała. Zatrudnił mnie jako pierwszego oficera na swoim statku. Kiedy podczas wojny mieliśmy listy kaperskie, miał prawo sprzedawać statki, które schwycił w imieniu króla Anglii, a zyskiem podzielić się z załogą. Jako pierwszy oficer miałem duży udział w tych zyskach. Na wszystko zresztą uczciwie zapracowałem. W zamian za to nauczyłem go zachowywać się jak dżentelmen, co otwierało przed nim perspektywy prowadzenia handlu w każdym kraju.

Zauważyła subtelny snobizm jego sformułowania. Chyba nieprzypadkowy. Zresztą i ona była snobką. Nie różniła się pod tym względem od Lavaya. „Zachowywać się jak dżentelmen”. Z tytułem czy bez tytułu, hrabia Ardmay urodził się bękartem. Nie był prawdziwym dżentelmenem. Zawsze będzie zachowywał się jak dżentelmen. Świadczyła o tym chociażby jego oficjalna i bezbłędna wymowa. Zbyt poprawna. Nie miała nic z leniwej niedbałości takiego na przykład Jonathana. Urodzenie dawało Jonathanowi luksus beztroski. Nikt nie wzięłby Jonathana, albo kóregokolwiek z jej braci, za kogoś innego niż bogaty angielski dżentelmen.

Zastanawiała się, jak Lyon, jeśli to on był Le Chatem, stał się właścicielem statku. Czy go kupił, czy zdobył na morzu, dokonując napaści, jak hrabia i Lavay? Ale przecież, żeby zdobyć statek, trzeba już być na innym statku. Gdzie Lyon się podziewał? Dokąd zawiodły go podróże?

- Hrabia powiedział, że został kapitanem na swoim pierwszym statku w wieku osiemnastu lat - wspomniała teraz Lavayowi.

- Tak, to prawda. Jego służba dla kapitana Morehearta była godna podziwu. Ale, szczerze mówiąc, kiedy dorósł, coraz gorzej się czuł w roli podwładnego. Moreheart o tym wiedział. Kiedy Flint dokonał pierwszego napadu na statek piracki i przechwycił go, Moreheart pozwolił mu ten statek zatrzymać. Flint zaczął nim dowodzić. Samotność przywódcy, w tym się doskonale sprawdza.

Samotność przywódcy? Nigdy tak o tym nie myślała. Ale brzmiało sensownie. Chyba wszyscy przywódcy odczuwali ogromną samotność. Hrabia urodził się, by być samotnym.

Ale czy mu z tym dobrze?

Ujrzała go, jak stał w sali balowej - wzór elegancji, dominujący nad tłumem gości, a jednak w nieuchwytny sposób odizolowany od innych.

- Ale czy panu nie przeszkadza, że ma pan na statku rangę niższą od kapitana Flinta, chociaż przewyższa go pan tytułem szlacheckim i pochodzeniem?

Lavay uroczo wzruszył ramieniem.

- Nie, rzadko tak o tym myślę. Bierzymy udział w wielkiej przygodzie. A jeśli mam komukolwiek służyć, to właśnie jemu. Mam wobec niego dług wdzięczności, a kiedy go spłacę, wrócę do moich po-

siadłości we Francji. Są piękne, panno Redmond, ogromne i bardzo dochodowe. Jestem pewny, że równie pięknie wyglądałaby pani, przechadzając się po pałacowym parku, jak tutaj, spacerując po pokładzie.

Przychyliła do tyłu głowę i stłumiła uśmiech. Mimo wszystko to miło, że ten czarujący Francuz się do niej zaleca. Z całą pewnością są mu potrzebne pieniądze do utrzymania majątku, ale jest tak głęboko przekonany o swoim nieodpartym uroku, że nie przejmuje się, że ona to wie.

- Na pewno tam przyjadę - przyjęła chętnie zaproszenie. I tak go lubiła.

On też się uśmiechnął.

- Słyszałem, że ma pani towarzyszyć hrabiemu i mnie w Hawrze, kiedy tam przybędziemy. Powinna pani wiedzieć, że hrabia postarał się o zaproszenie na wieczorek organizowany przez wicehrabiego i wicehrabinę Hebert, którzy są także przyjaciółmi mojej rodziny. Wicehrabina od dawna przyjaźni się z kapitanem Flintem.

Powiedział to takim tonem, że Violet od razu nabrała pewności, że wicehrabina doskonale wie, na czym polega „praca”.

Perspektywa spędzenia wieczoru w towarzystwie zazdrosnej, pięknej, znudzonej mężatki, która niewątpliwie mogłaby niejedno powiedzieć o tym, jaki zachodzi związek między wielkością ud hrabiego a jego „chlubą”, natychmiast ją zirytowała.

Ale przy tym, nieco perwersyjnie, cieszyła się z zapowiedzianej wizyty.

Zatrzymali się i uświadomiła sobie, że Lavay, ten czarujący flirciarz, nagle się przeistoczył. Stał teraz przed nią dżentelmen, który swoje obowiązki brał poważnie, a jego głównym obowiązkiem było dobrze odgrywać rolę pierwszego oficera.

Wyczuła, że za chwilę niechętnie, lecz zdecydowanie się z nią pożegna.

Zobaczyła w oddali hrabiego, rozmawiającego z marynarzem, który stał przy sterze. Obaj uważnie przyglądali się żaglom. Kapitan krzyknął jakiś rozkaz, zagłuszony przez wiatr - przynajmniej ona nie usłyszała jego słów - i ludzie na pokładzie zaczęli ściągać żagle. Cóż to za niebywale karkołomne zadanie sterowanie statkiem! Hrabia zdjął surdut i wiatr wydymał tył jego lnianej koszuli, z przodu zaś

przyklejał ją do potężnej piersi kapitana. Przypominał teraz gotów do odpłynięcia galeon pod pełnymi żaglami. Bezpieczniej jest przyglądać mu się z daleka. Trudno go podziwiać, zachowując obojętność. Podobnie jak trudno byłoby jej narysować bez zaangażowania zadziwiający twór natury. Składał się z krzywizn, kątów i linii prostych, a męski tors, szeroki w barkach, zwężał się w kierunku bioder, tworząc zarys idealnego V.

Jego uda były... och, do diaska, były wspaniałe.

Włosy hrabiego powiewały z tyłu głowy. Wiedziała, że gdyby nie wiatr, sięgałyby kołnierza. Ma za dużo włosów, powiedziała lady Peregrine. To nieprawda. Mniej włosów po prostu by do niego nie pasowało.

To niedorzeczna myśl, ale tak właśnie pomyślała.

Całym sobą, każdym skrawkiem ciała był zaangażowany w żeglowanie. Ogromna odpowiedzialność, kompetencja i pewność siebie, widoczne w jego ruchach, gdy dowodził statkiem, były wręcz uderzające. Doznała cudownego uczucia, podobnego do zachłyśnięcia się morskim powietrzem. Teraz wiem, co znaczy wyrażenie „zaparło komuś dech w piersiach”, pomyślała.

I wtedy hrabia odwrócił się w jej kierunku.

Skąd wiedział, że na niego patrzy?

Z kolei ona odwróciła się do niego tyłem, ale zdążyła zobaczyć, jak słońce zaiskrzyło w jego niebieskich oczach.

Oslonił je, być może dlatego, aby dłużej na nią patrzeć, jakby i on uznał, że bezpieczniej obserwować ją z odległości. Tak jak mruży się oczy, żeby wyraźniej zobaczyć statek, który pojawił się daleko na morzu, i trzeba ocenić, czy to wróg, czy przyjaciel.

Podniosła wzrok na lorda Lavay.

- Pan Hardesty też jest zaproszony na kolację u wicehrabiostwa Hebert?

- *Oui*. Pan Hardesty liczy na to, że wicehrabia sfinansuje jego następną wyprawę do Indii Zachodnich, więc na pewno został zaproszony i się zjawi. A my właśnie dlatego też się tam wybieramy. Zapowiada się ciekawy wieczór.



## 10

Dzięki pomyślnym wiatrom po upływie dwóch nocy (z których jedną Violet musiała spędzić w mysiej dziurze, co oznaczało niespokojne kręcenie się z boku na bok, aby żadną częścią ciała zbyt długo nie dotykać obrzydliwego materaca) i jednego dnia zarzucili kotwicę we francuskim Hawrze. W sposób niezbyt elegancki kilku marynarzy załadowało ją do szalupy, którą opuszczono do morza na umocowanych na rolkach linach. Udało im się przy tym nie zamoczyć jej spódnicy i nie podglądać, co ma pod suknią, choć odparcie pokusy musiało być torturą. Przy wiosłach usiadła niewielka załoga - tylko Greeber, Lumley i Corcoran. Wpłynęli do ruchliwego portu. Zawijały tam statki z całego świata, o czym świadczył różnojęzyczny gwar i nazwy wypisane na burtach statków.

- Hrabia Hebert musiał po wojnie nieco zacisnąć pasa, co oznacza, że obecnie jest właścicielem tylko pięciu majątków ziemskich, jednego pałacu i ogółem ma około dwustu osób służby - poinformował ją teraz hrabia Ardmay. Przez ostatnie dwa dni prawie się do niej nie odzywał, więc wypowiedziane słowa nabrały większego znaczenia, niż na to zasługiwały. Miała cichą nadzieję, że hrabia ją ignoruje, gdyż ignorowanie wymaga większego osobistego zaangażowania niż całkowite o niej zapomnienie.

- A wicehrabina? - zapytała.

Ze swojego miejsca na łodzi obrzucił ją długim spojrzeniem i lekko się zachmurzył. Jakby spodziewał się zobaczyć kogoś innego, a tymczasem ciągle była to tylko ona.

- Wicehrabina od niedawna jest wicehrabiną - zwięźle odparł. Było oczywiste, że nie zamierza dalej rozmawiać na ten temat.

Interesujące, doprawdy. Lavay się roześmiał.

- Za to wiele razy grała rolę hrabiny na scenie.

- Była aktorką? - zapytała z ciekawością, trochę za bardzo widoczną. Aktorka. Kolejne słowo, wzbogacające jej wiedzę o ciemnych sprawkach mężczyzn.

Ale Flint nie odpowiedział. Znow ujrzała na jego twarzy ten zastanawiający wyraz. Drapieżnik, który dojrzał ofiarę. Za każdym razem włosy na karku Violet stawały wtedy dęba.

- Lavay. - Hrabia wskazał kierunek brodą.

Wszyscy w łodzi odwrócili się i wbili wzrok w ładny szkuner, obok którego właśnie przepływali. Dwumasztowiec. „Fortuna” był trzymasztowcem. Kadłub pomalowano na przypominającą morską pianę matową zieleń. Dziób miał żółtozłote obwódki.

Na pokładzie stał marynarz z lornetką. Widząc, że płyną obok, podniósł rękę.

Mężczyźni na łodzi odwzajemnili gest. Violet poczuła, że serce skoczyło jej do gardła.

- To... „Olivia”, tak? - Głos miała ochrypły.

- Ładna, co? - spytał Corcoran z ironicznym uśmiechem. - Zbudowana do rozwijania jak największej szybkości.

Choć na pewno może też przewozić ciężkie ładunki. Nawet ładunek, którym są ludzie.

Violet nie bardzo rozumiała, co znaczą zimne spojrzenia, które wymienili między sobą mężczyźni.

- Mówią, że Hardesty głównie pływa do Indii albo przewozi cukier - odezwał się Lavay.

- Dziś wieczorem porozmawiamy sobie z nim o tym - groźnie oznajmił hrabia, choć wyglądał na zadowolonego.

Wiedziała, że znow patrzy na nią badawczo, podobnie jak patrzył przed chwilą na „Olwię”.

Ona zaś nie odrywała wzroku od „Olivii” w nadziei, że wyczuje obecność Lyona. Łódź szybko minęła statek, a Violet nie dostrzegła niczego, co by mogło na to wskazywać.

Pałac wicehrabiostwa Hebert był imponujący, urządzony z przepychem godnym swej nazwy. Violet zresztą była przyzwyczajona do marmurów kararyjskich, złocien i brązów, czy do grubych, puszystych dywanów z Savonnerie, w które głęboko zapadały się stopy. W takim otoczeniu czuła się jak w domu, chociaż ojciec miał bardziej nowoczesny gust niż Hebertowie.

Zaciskać pasa, akurat. A była to tylko jedna z ich rezydencji.

Poprowadzono ich przez ogromny, przestronny, przykryty kopułą hol do salonu utrzymanego w różnych odcieniach szarości: mgły, sre-

bra, wierzbowych bazi. Jedną ze ścian zdobił wysoki, rzeźbiony kominek, nad którym zawieszono wielki obraz przedstawiający piękną kobietę. Violet nie zdążyła mu się dobrze przyjrzeć, gdyż wszyscy zerwali się, słysząc coraz głośniejszy stukot obcasików damskich pantofelków uderzających o marmur posadzki.

Ujrzeni kobietę z obrazu, tyle że w zwykłych, ludzkich wymiarach.

- A więc został pan hrabią, kapitanie Flint, odkąd się ostatni raz widzieliśmy - powitała go wicehrabina Hebert.

Miała bezbłędną wymowę. Każdą sylabę wypowiadała starannie, bardzo wyraźnie, z wielką dbałością, ale postarała się o to, żeby w jej głosie zabrzmiało oskarżenie, że zdobyciem tytułu hrabia popełnił wobec niej przestępstwo.

Wyciągnęła rękę, jakby udzielała błogosławieństwa, a hrabia uprzejmie się nad nią pochylił. W talii była cienka jak osa, za to miała imponujący biust. Skromność nie stanowiła zapewne jej głównego zmartwienia, gdyż biust swawolnie wymykał się na wolność z głębokiego dekoltu ciasno ją opinającej sukni. Wypielegnowana twarzyczka o kocich rysach nasuwała na myśl kota, który znudził się piciem śmietanki i z rezygnacją poddał się swemu losowi.

- A ty zostałeś żoną i wicehrabiną, Marie-Victoire - odparł hrabia. - Proszę, przyjmij moje spóźnione gratulacje.

Przepraszam, że nie wysłałem prezentu.

Nadmiar ironii, pomyślała Violet.

- Twoja obecność jest wystarczającym prezentem, drogi Asherze.

Cóż za elegancko rolowane „r”. Odpowiedź zabrzmiała jak obietnica i jednocześnie groźba. Violet badawczo spojrzała na hrabiego, by sprawdzić, jakie to wywarło na nim wrażenie. Oczywiście, twarz miał nieprzeniknioną, co zapewne znaczyło, że wrażenie było duże.

Asher. Są po imieniu. Dała to wszystkim aluzyjnie do zrozumienia. Violet poczuła się jak na jednym z londyńskich balów. Już była gotowa uderzyć kogoś wachlarzem, a tańce jeszcze się nie rozpoczęły. Nawet jej się nie śniło, że może zatęsknić za mysią dziurą.

Następnie wicehrabina raczyła wyciągnąć dłoń w stronę lorda Lavay.

- Lordzie Lavay. Tak mi miło znowu pana widzieć. - Uniosła dłoń. Zdobila ją rękawiczka z koronki delikatnej jak pajęczyna utkana z wiosennych powiewów. Wokół dopasowanych rękawów jej

jasnożółtej sukni powiewało coś w rodzaju motyli skrzydeł. Violet dyskretnie dotknęła rękawów swojej muślinowej sukni, aby upewnić się, że suknia jest doskonałej jakości.

Lavay skłonił się nad obleczoną w rękawiczkę dłonią wicehra-biny.

- Cała przyjemność po mojej stronie, hrabino. Ja także gratuluję zamążpójścia. To nadzwyczajne. Tak krótko nie było nas w Hawrze, a tu nagle już jest pani mężatką! Czas leci.

Znów aluzja. Lavay jest w tym bardzo dobry, przyznała Violet z podziwem.

Uśmiech wicehrabiny był zdecydowanie wymuszony.

- Oczywiście była to *coup de foudre*, miłość od pierwszego wejrzenia - gładko odpowiedziała. - Mój mąż... -

Przerwała i lekko się skrzywiła, szukając słowa.

- Vicente? - usłużnie podpowiedział hrabia z lekką drwiną.

- Tak! Vicente - podjęła, nieco zmieszana - bardzo przeprasza, że go teraz nie ma, ale przyłączy się do nas podczas kolacji i tańców.

- Czy to nie dziwne, Marie-Victoire? - nie ustępował Lavay. -Kto by przypuszczał, że kapitan Flint tytułem przewyższy twego męża. - Cóż za obłuda, pomyślała Violet.

Uśmiech wicehrabiny zastygł na twarzy jak maska. Violet wcale by nie zdziwiło, gdyby ukazały się małe kły. Bardzo by pasowały.

- Pana też, drogi hrabio Lavay. Pod każdym względem - mruknęła jak kot hrabina. Ona też była mistrzynią aluzji.

Teraz odwróciła się w stronę Violet, a za jej plecami Lavay udawał, że wbija sobie w serce nóż i nim obraca. Hrabia zgromił go wzrokiem.

Wicehrabina roześmiała się, co zabrzmiało jak kaskada czarodziejskich dzwoneczków.

- Chociaż przyznam, że rzadko widuję tak nietypowego hrabiego.

- W każdym razie w pozycji stojącej - szepnął Lavay.

- A cóż to za kochane stworzenie? - wicehrabina, odwrócona plecami do Lavaya i hrabiego, przyglądała się uważnie Violet. Przechyliła do tyłu głowę i jej szeroko rozstawione oczy badawczo oceniały Violet.

Violet bardzo się nie spodobało, że nazwano ją „kochanym stworzeniem”, zwłaszcza że powiedziano to z tak wyrafinowanym francu-

skim akcentem. Zdecydowanie nie była dla tej kobiety ani kochanym, ani stworzeniem. Poczula gwałtowny przypływ antypatii.

Częściowo także dlatego, że w niebieskich oczach hrabiego zamigotały iskry.

Jeszcze żaden płatek róży nie opadł na ziemię z taką gracją, z jaką Violet dygnęła przed wicehrabiną.

- Bardzo miło mi panią poznać, lady Hebert. Muszę przyznać, że jest pani niezmiernie uprzejma, zapraszając mnie tutaj, mimo że jestem hrabiego koch...

- Proszę pozwolić, że przedstawię pannę Violet Redmond, madame le viscomtesse - szybko przerwał jej hrabia.

Mięśnie jego pleców naprężyły się, co świadczyło, że wcale go jej słowa nie rozbawiły.

Była zadowolona, że go znowu zaskoczyła. Człowieka, który zwiedził cały świat i poznał tylu ludzi.

Wicehrabinie też się jej słowa nie spodobały. Nie odrywała ogromnych oczu koloru sherry od twarzy Violet i to, co dostrzegła podczas tej milczącej inspekcji, sprawiło, że jej piękna twarz skamieniała. Ledwie zauważalnie pokręciła głową.

Violet się do niej współczująco uśmiechnęła. Tak mi przykro, że nie masz się do czego przyczepić, pomyślała. W Londynie przedstawicielką tego typu kobiet była lady Peregrine. Te niezadowolone mężatki swoje ograniczone mózdzki zajmowały porównywaniem własnego wyglądu z wyglądem innych kobiet. A potem spędzało to im sen z powiek. I knuły drobne spiski, aby dowieść swojej wyższości w sprawach małych i dużych.

Violet nie mogła się zdecydować, co wybrać: ziewnąć czy zdjąć pantofelek i walnąć nim po głowie kochane stworzenie, stojące przed nią. Jedno i drugie byłoby niezbyt uprzejmym zachowaniem.

- Panna Redmond jest kuzynką lorda Lavay - gładko ciągnął hrabia. - Poproszono nas, abyśmy eskortowali ją z Hiszpanii do jej rodziny. Znam cię tak dobrze, że nie miałem cienia wątpliwości, iż serdecznie ją powitasz i zaprosisz na dzisiejszą uroczystość.

Violet po raz pierwszy słyszała tę historyjkę. Brzmiała bardzo wiarygodnie, a hrabia, mówiąc to, nawet się nie zająknął. Wiedziała, że jego miłe słowa skierowane do wicehrabiny nie odpowiadają prawdzie, ale tamta nie będzie mogła im zaprzeczyć. Spryciarz z tego hrabiego.

Próżność tak wielka jak u wicehrabiny Hebert to wielka przywara, pomyślała Violet. Człowiekiem próżnym bardzo łatwo manipulować.

Lavay natomiast wpatrywał się w Violet z wyrazem pełnego podziwu przerażenia, niewątpliwie rozpamiętując niedokończone przez nią zdanie.

Spojrzała w jego stronę i uniosła brwi. Lekko, wzruszyła ramionami, co miało znaczyć - jeszcze mało pan widział. - Oczywiście, oczywiście, droga panno Redmond - bez przekonania potwierdziła słowa hrabiego Ardmay wicehrabina. - Będzie pani bardzo miłym gościem na naszym przyjęciu, chociaż szkoda, że zabawi pani u nas tak krótko.

Violet pochyliła głowę, aby ukryć uśmiech, ponieważ zabrzmiało to jak pogrożka. Jak gdyby wicehrabina, używając znanego im obu kodu, dawała jej do zrozumienia, że przy kolacji chętnie nadzieje Violet na widelec i wyśle do diabła.

Może zresztą każda wypowiedź nabiera innego znaczenia, kiedy się mówi po angielsku z francuskim akcentem. Mają być tańce, potem kolacja, gry i znowu tańce. Tak poinformowano ich troje, zanim weszli na łukowato zakręcone marmurowe schody, niemające, zdało się, końca. Jeden ze służących niósł walizkę Violet. Przeciągnęła dłonią po pozłacanej rzeźbionej balustradzie, napawając się pięknem i bogactwem pałacowych wnętrz, choć przywykła do tego w pozłacanej klatce Redmondów. Nic nie miała przeciwko wygodom i luksusom. Doszli do szczytu schodów, skąd hrabiego i Lavaya poprowadzono korytarzem w głąb pomieszczeń. Violet spojrzała na dół.

Wicehrabina stała na środku holu, pod wielkim żyrandolem zawieszonym na łańcuchu, który udźwignąłby kotwicę, i patrzyła na nią.

Nawet z tak zawrotnej odległości dojrzała błysk triumfu w oczach wicehrabiny. Sypialnia Violet będzie daleko od sypialni hrabiego. Po chwili wicehrabina odwróciła się i wybiegła z holu, stukając obcasikami atłasowych pantofelków.

Ech, co tam. Pokój Violet, utrzymany w tonacji błękitu, bardzo się jej podobał, był czysty, podłogę wyścielał miękki dywan z warsztatów Savonnerie, w oknach wisiały błękitne aksamitne zasłony. Wypełniał go zapach szklarnianych kwiatów, stojących w wysokim, chińskim

wazonie. Od nadmiaru luksusu jej zmysły nie wiedziały, czym się najpierw cieszyć. Stwierdziła, że jedną z zalet żeglowania na szkunerze było to, że wygoda, która przedtem wydawała jej się sprawą oczywistą, chwilowo stała się dla niej przyjemną nowością.

Rozwiązała sznurowadła, zdjęła pantofle i zagłębiła bosc stopy w puszystym dywanie. Odpoczęła na łóżku, wygodnie rozciągnięta, po czym wstała, żeby zadysponować dla siebie kąpiel. Postanowiła, że dopóki jest w pałacu, musi zrobić maksymalny użytek z wszelkich udogodnień. Bo jeśli uda jej się przeprowadzić swój plan - a nie widziała powodu, aby tak się nie stało - popłynie w daleką podróż na pokładzie „Fortuny”.

Ciekawe, czy po zejściu na kolację okaże się, że hrabia pachnie własnym mydłem. A może mydłem gospodarzy? Na myśl o tym znieruchomiała na środku pokoju, jak schwytae w pułapkę przez nieznanego potwora dzięki zwierzę, które nie jest pewne, czy bestia rozerwie je na strzępy, czy zwinie się w kłębek i będzie się łaścić do stóp. Kilka godzin po wzięciu kąpeli, ubrana w wyjściową suknię, którą przed wyjazdem z domu schowała do kufra głównie z przyzwyczajenia, Violet zesłała po marmurowych schodach, by dołączyć do gości. Przechadzali się po sali, którą wicehrabina nazwała Srebrnym Salonem. Im bliżej była końca schodów, tym mocniej waliło jej serce.

A jeśli wejdzie do salonu i ujrzy Lyona, czyli pana Hardesty'ego? Jeszcze nigdy nie zemdląła. Ale na samą myśl musiała przystanąć i oprzeć się o balustradę, aby nie upaść z powodu nagłego uderzenia krwi do głowy.

Szła ostrożnie, starając się nie przydeptać dołu sukni. Była uszyta z połyskliwej ciemnoniliowej tafty. Przy biuście suknia była tak upięta, aby odkryć jak najwięcej bieli dekoltu i ramienia. W zestawieniu z intensywnym kolorem materiału, jej skóra połyskiwała jak atlas koloru kości słoniowej. Spódnicę przykrywała warstwa tiulu tej samej barwy co tafta, a wążutka srebrna wstążka opasywała stanik tuż pod biustem. Violet wyglądała w niej jak prawdziwa czarodziejka Kirke. Tak przynajmniej powiedział pewien młody lord, który na jej widok padł na kolana, twierdząc tak bynajmniej nie z powodu nadmiaru wypitej brandy. Niestety, sądząc po jego oddechu, kłamał.

Co zaś do jej oddechu, był teraz krótki i urywany. Samotnie, w pantofelkach do tańca, przemierzała hol, kierując się tam, skąd dobiegał szum głosów i przyjemna kakofonia dźwięków towarzyszących strojeniu instrumentów smyczkowych.

Ukradkiem weszła do Srebrnego Salonu i nieśmiało przesuwała się blisko ścian. Wzięła długi, głęboki oddech i poszukała wzrokiem dwóch mężczyzn: pana Hardesty'ego, znanego również jako Le Chat, i hrabiego Ardmay. Zawsze i wszędzie natychmiast rozpoznalaby Redmonda - charakterystyczną leniwą grację, imponujący wzrost, ciemne włosy. To jej krew. Szybko jednak zorientowała się, że wśród mężczyzn i kobiet w salonie Lyona nie ma. Przepłynęła przez nią fala rozczarowania i zarazem ulgi. Znów ugięły się pod nią kolana. Bo co by właściwie powiedziała, gdyby go zobaczyła? I co on by zrobił? Uciekłby?

Wyciągnął ją z salonu za ucho i dał jej nauczkę?

Oczywiście wcześniej się nad tym nie zastanawiała, bo zawsze uważała, że ciekawsza jest reakcja spontaniczna. Czowała się zagubiona.

Drugi z poszukiwanych mężczyzn od razu rzucił jej się w oczy. Hrabia Ardmay i lord Lavay stali przy wielkim, misternie rzeźbionym kominku z kieliszkami sherry w dłoni. Rozmawiali z wicehrabiną i ubranym na czarno ponurym mężczyzną, który wyglądał na wiecznie znudzonego, jak wszyscy arystokraci ze starodawnymi tytułami. Domyśliła się, że to wicehrabia.

Hrabia Ardmay wybijał się z tłumu jak punkt orientacyjny w terenie. Taki, który znała od zawsze. Postarała się spojrzeć na niego obiektywnie, żeby się przekonać, czy uważa go za przystojnego.

Powoli odwrócił głowę. Dostrzegł ją.

Wyprostował się i zastygł bez ruchu. Przez jego twarz przemknęła kawalkada emocji. Podziw, a potem coś tak bliskiego bólu, że ze zdziwienia przestała oddychać. Szybko jednak powrócił zwykle malujący się na tej twarzy chłód. Ale jego oczy pozostały szeroko otwarte. Jakby bał się stracić Violet z oczu choćby na sekundę.

Nigdy przedtem podziw, który brała za coś jej należnego, nie odebrał jej tchu.

Nieświadomie go naśladując, ona także się wyprostowała. Jakby szukała równowagi na chybottliwym pokładzie statku. Skinęła w jego



stronę głową, niczym królowa, lekko się uśmiechnęła i uniosła brew. Na dowód, że uznaje jego zachwyty za coś oczywistego.

Lekko skinął głową w ukłonie, blado się uśmiechnął i odwrócił w drugą stronę.

Uświadomiła sobie, że w niczym nie przypomina dżentelmenów z Londynu i pod żadnym pozorem nie wolno z nim igrać.

Rozległ się perlisty śmiech wicehrabiny, od którego aż zaczęły podskakiwać jej lekkie jak pianka blond loki. Oparła na ramieniu hrabiego dłoń w rękawiczce koloru miedzi. Violet patrzyła na tę dłoń jak na jadowitą żmiję. Hrabia odwrócił się oczywiście w stronę rozmówczyni i skwapliwie pochylił głowę, by nie stracić ani słowa padającego z jej ust.

Po chwili wicehrabiną zdjęła dłoń z ramienia hrabiego, ale Lavay powiedział coś, co znów wzbudziło jej wesołość, więc jeszcze raz oparła się na tym ramieniu - a nie Lavaya - jak gdyby śmiech tak gwałtownie zachwiał jej drobnym ciałem, że koniecznie musiała poszukać oparcia.

Violet z trudem powstrzymała się przed wzniesieniem oczu do góry i i zaczęła przesuwać się spod ściany salonu w stronę środka.

- Ojej, mammo!

A to co takiego? Coś ciągnęło ją z dołu za spódnicę.

Tuż przy swoim biodrze Violet zobaczyła chłopca w wieku od pięciu do ośmiu lat - nigdy nie potrafiła ocenić wieku dzieci. Odruchowo delikatnie oswobodziła spódnicę. Dzieci zawsze mają lepkie ręce, zwłaszcza chłopcy, a ten nie wyglądał na zbyt czystego. Włosy sterczały mu w tłustych strąkach, a kolana były pokryte warstwą brudu.

Skąd on się tu wziął?

- Czy twoje miejsce jest z dorosłymi, młodzieńcze? A niania wie, że nie jesteś w łóżku?

Zastanawiające, jak łatwo przychodzi jej prawienie kazań. Ale w swoim czasie sama dużo ich słyszała. W ręce trzymał dużą kartkę papieru.

- Mammo! Czekalem na ciebie. Mam dla ciebie obrazki. Co?... Obrazki? Czekal na nia?

Zdumiona Violet rozejrzała się za kimś, kto ją wybawi, ale nikt nie wyglądał na rodzica małego albo nianię. A chłopiec patrzył na nią tak błagalnie, tak ogromnymi oczami i z tak niską, że niezdarnie

ukłęknęła, aby się znaleźć bliżej niego. Czy powinna podać mu dłoń do pocałowania? Co się robi z dziećmi? Z powagą podał jej kartkę.

Wzięła ją i obejrzała, ale czuła się głupio. Na pierwszy rzut oka kartka zawierała jakieś ćwiczenia w pisaniu liter, były też na niej narysowane gospodarskie zwierzęta. Nabazgrolił kilka liter i narysował... Co to jest? Krowa? Jednym palcem dłubał w nosie.

Spojrzała na niego sponad kartki i zmarszczyła brwi. Przestał dłubać.

Co się mówi do dzieci? W całej Anglii miała kuzynów, niektórzy pozakładali duże rodziny, ale rzadko odwiedzali Redmondów. Pewnie należałoby go pochwalić.

- Czy... narysowałeś to dla mnie? O! Popatrz! Jaka ładna krowa! A czy to jest ...

- Oj! - krzyknął chłopiec i czmychnął jak królik. No cóż. Widać, że dzieci się jej boją.

Wstała, nieco zmieszana. A może to nie krowa i niechęć go obraziła. Dzieci są takie płochliwe.

Znow spojrzała na kartkę, którą zostawił jej na pamiętkę, i ostrożnie wzięła ją w dwa palce. Pamiętała, co wyrabiał z rękami.

Nagle oniemiała.

Litery były... napisane zadziwiająco pewną ręką. Coś niesamowitego. Było tam „sz”. Czy chłopiec ma na imię Szymon? A może odechciało mu się pisać, bo zapragnął narysować krowę? Bo przed „sz” i pięciolinią z nutą „do” była...

Chwileczkę. Czy to krowa?

Przyglądając się rysunkowi, zmarszczyła brwi, a potem z roztargnieniem wygładziła zmarszczki na czole. I nagle włosy stanęły jej dęba. To nie krowa. Ani byk. To... diabeł.

Całkiem nieźle przedstawiona głowa Belzebuba. Z rogami i szyderczy uśmiechem.

Denerwujące, łagodnie mówiąc. Nerwowo rozejrzała się dokoła za dzieckiem, ale już zniknęło. Podniosła wzrok - hrabia Ardmay i wicehrabia Hebert byli pogrążeni w rozmowie.

Czy pozostałe rysunki są równie złowrogie?

Faktycznie narysowano na niej wiejskie zwierzęta. Na przykład znakomicie przedstawiono świnię. Była gruba i miała ogonek jak sprężynka, a kopytka ostre jak literka W. Obok świni narysowano długą łodygę jakiejś rośliny. Gdy odgadła, jakiej, z wrażenia przestała oddychać.

Świnia... stała obok ostu.

Pub Pod Świnią i Ostem.

Na rękach i nogach wystąpiła jej gęsia skórka. Dłonie zrobiły się zimne jak lód, potem gorące, potem znów lodowate. Ostrożnie podniosła głowę, jakby to była cenna chińska waza z kolekcji wicehrabiego, a potem rozejrzała się po salonie. Nie wszedł żaden nowy gość. Nikt nie wyszedł. Wicehrabina Hebert położyła dłoń na ramieniu hrabiego i znów epatowała otoczenie kaskadami podobnego do dzwoneczków aktorskiego śmiechu. Po raz pierwszy tego wieczoru Violet nic nie miała przeciwko temu. Nikt nie przerywał rozmowy. Nie słyszała pojedynczych słów; równie dobrze goście mogliby być rojem brzęczących pszczół.

Ręka jej drżała. Podtrzymała ją drugą dłonią, żeby kartka przestała się trząść. Potem z niedowierzaniem ogarnęła wzrokiem wszystkie obrazki, zmusiła się do myślenia i... zaczęła odgadywać treść wiadomości.

Najpierw słowo „tu”, rogi zwierzęcia, obok przekreślone „g”, znak równania i literka „b”, następnie „sz”, potem pięciolinia z nutą „do” i rysunek diabła. Na końcu znak zapytania.

Zrozumiała.

Co tu robisz, do diabła?

Ogarnęła ją fala zadowolenia, jakby nagle stanęła w pełnym słońcu. Jesteś kochającym bratem, Lyonie.

Dalej było słowo „Jesteś”, literka „z”, potem rysunek drogi, przekreślone g, znak równości przy literce „w” i znak zapytania. Jesteś zdrowa? Poniżej „Świnia i oset”.

Po co to ostatnie? Czy nazwa starego, ukochanego pubu z Pennyroyal Green miała zapewnić rozpoznanie nadawcy?

Wypuściła z płuc powietrze i dopiero teraz zauważyła, że przez chwilę nie oddychała. Nagle z piersi spadł jej niewidzialny ciężar,

który męczył ją od czasu zniknięcia Lyona. Kiedy znów odetchnęła, ze szczęścia niemal uniosła się w powietrze. Oczy płonęły jej z emocji.

Lyon nadal stąpa po ziemi. Żywy. Ha! Miała rację. Co ciągle nie stanowiło dowodu, że jest Hardestym albo Le Chatem.

Przyptyw szczęścia ustąpił miejsca fali wściekłości. Co z niego za bęwał! O co mu chodzi? Co ona tu do diabła robi? A co on tu do diabła robi? Grozi mu niebezpieczeństwo ze strony człowieka, który przed chwilą rozebrał ją oczami, a którego ramienia co rusz czepia się wicehrabina.

Lyon jest sprytny. Dziecięcy rebus wysłał przez dziecko. Genialnie.

Tylko gdzie on się podziewa?

Nerwowo spojrzała w stronę, w którą uciekło dziecko. Mały pobiegł korytarzem w głąb domu. A potem może do kuchni? Był umorusany. Może Lyon zgarnął go z ulicy, a chłopak jakoś przedostał się do pałacu. Odważny i bezczelny dzieciak.

I co ona ma teraz zrobić?

Znów nerwowo spojrzała na kartkę. Na samym dole były jeszcze dwie litery: T i N. Poniżej maleńki rysunek łóżka i strzałka wskazująca miejsce pod nim, a na łóżku kwiat - fiołek. Violet.

Zgadła. Więc ma wybrać odpowiedź na pytanie, czy jest zdrowa: tak lub nie, i zostawić ją pod łóżkiem.

Miała ochotę się roześmiać, tyle że sytuacja była aż nazbyt poważna.

Lyon naprawdę wierzył w jej inteligencję i w to, że mu wybaczy. Zaryzykował, chociaż nie cieszyła się opinią osoby znanej z głębokiej wiedzy lub altruizmu.

Nie była pewna, czy powinna natychmiast zniszczyć kartkę. Odruchowo złożyła ją na jak najmniejsze kwadraciki i wsunęła głęboko za stanik.

A hrabia, który zawsze bezbłędnie wyczuwał, kiedy ona na niego patrzy, spojrzał na nią akurat wtedy, kiedy wysuwała palce zza stanika.

Zastygła w tej niefortunnej pozycji.

Ponieważ był mężczyzną, jego wzrok z zainteresowaniem spoczął tam, gdzie znajdowały się jej palce. Wystarczyła chwila, by przeniósł wzrok na jej twarz, bo, niestety, był mężczyzną inteligentnym.

Najwyraźniej dojrzał w jej minie coś bardzo interesującego.

Znieruchomiał. Przez chwilę bacznie ją obserwował.

Im dłużej zatrzyma na sobie jego wzrok, tym bardziej będzie podejrzana. A niech to. Nie może przecież udawać, że się drapie. Odziane w rękawiczki dłonie nadal absurdalnie tkwiły w .prowokującym miejscu kobiecego ciała.

W końcu postanowiła poprawić sobie nieistniejący naszyjnik, a w myślach krzyczała do nadąsanej wicehrabiny:

Jeszcze raz dotknij jego ramienia!

Los jej sprzyjał.

Drobna dłoń znowu się uniosła i uwodzicielsko dotknęła ramienia hrabiego. Po raz pierwszy tego wieczoru Violet nie miała ochoty odgryźć tej kobiecie palców, gdyż hrabia był zmuszony znów poświęcić jej uwagę.

Odwróciła się, mając nadzieję szybko dojść do schodów i rzucić się w pogoń za tajemniczym dzieckiem, biec choćby i przez kuchnię. I wtedy zaczęła grać orkiestra.

Kątem oka zobaczyła, że muzycy podnieśli łokcie, smyczki zbliżyły się do wiolonczel i skrzypiec, a potem rozległy się pierwsze takty walca. Skuliła się, żeby zrobić pierwszy krok do wyjścia. O Boże. Schody wydały jej się odległe jak niebo. A do pokonania miała tętniący gwarem salon i śliską marmurową posadzkę. Z miejsca, w którym stała, schody wydawały się bezkresne i nie do pokonania. Serce waliło jej jak młotem.

Odwróciła się, żeby jeszcze raz zerknąć za siebie na salon. Ale widok zasłoniły jej nieskazitelnie biały fular i świeża lniana koszula.

To był, oczywiście, hrabia.

Jak udało mu się tak szybko do niej podejść? No, ale skoro ktoś ma takie długie nogi!

A potem zrozumiała, że cały czas ją obserwował. Tylko pozornie był zaangażowany w rozmowę z wicehrabiną i pozostałymi uczestnikami kolacji.

Na pewno nic mu nie umknęło.

Zastanawiała się, co zobaczył. Prawdopodobnie i tak za dużo.

Podniosła wzrok. Patrzył jej głęboko w oczy, miał wyciągniętą dłoń i był przygotowany, aby ją eskortować - jako więźnia? - na parkiet. Po jego minie widać było, że nie ma sensu się z nim spierać.

- Bardzo lubię walca, panno Redmond. Pozwala na prywatną rozmowę w tłumie ludzi. Byłbym zaszczycony, gdyby pani ze mną zatańczyła.

Wiedziała, że to nie prośba. Rozkaz.

Muzyka brzmiała słodko, jakby na przekór jego marsowej minie. Rozpoznała Mozarta. Walc *Sussex*. Ta nazwa wydała jej się nieprzypadkowa.

Cóż miała robić? Nie pozostawało nic innego, jak przyjąć jego dłoń. I mieć nadzieję, że hrabia nie rozpozna, jak bardzo przyspieszył jej puls.

## ***II***

Próżne nadzieje. Chociaż starała się czuć jak prowadzony sila wiezień, tańcząc z nim, dosłownie frunęła.

Przypomniała sobie teraz, jak prowadził ją w walcu na balu - jakby przeniósł na siebie ciężar ich obojga. Znow była rozdarta między tym, by mu się poddać, a tym, by stawić opór. Ponieważ jednak miała naturę buntowniczkę, spróbowała stawić opór. Jednak wymiana spojrzeń na odległość, przez całą długość salonu, to nic trudnego.

Prawdziwą trudność sprawia stawianie oporu wtedy, gdy jest tak blisko niej, gdy całą uwagę skupia tylko na niej, i w dodatku jej dotyka. To ją obezwładniało.

Ukradkiem pociągnęła nosem, aby odpowiedzieć sobie na wcześniejsze pytanie. Jego mydło.

- Ma pani piękną suknię, panno Redmond. Komplement był jak zasadzka. O mało się nie potknęła.

- Dziękuję. - Nie zdobyła się na bardziej inteligentną odpowiedź.

- Ale chyba drapie. Diabeł!

- To jedwab. Nie drapie - oparła zwięźle.

Lekko się do niej uśmiechnął, ale niezbyt się jej ten uśmiech spodobał. Bawił się jej zmieszaniem i najwyraźniej szykował do wymuszenia na niej wyznania.

- Więc się pomyliłem. A może na statku oblaży panią jakieś insekty i dlatego miała pani palce za gorsetem. Na statkach pełno jest rozmaitych pełzających stworów.

- Słyszałam o tym. Ale żaden pełzający stwór mnie nie oblażył, zapewniam pana. Choć owe stwory tak upodobały sobie mysią dziurę - odparła sztywno.

Poskładaną kartkę papieru czuła tak wyraźnie, jakby była drugim sercem bijącym w jej w piersi tuż nad własnym.

A niech to. Pieszczotliwie musnął spojrzeniem jej biust. Jakby przytknął jej do skóry płonąca zapalkę.

Na policzkach wykwitły jej dwa gorące rumieńce.

Wolno, z wyraźnym ociąganiem, podniósł wzrok. Denerwowała ją jego rozmarzona mina. Wyobrażał sobie coś, jakieś cielesne przyjemności, które wykraczały poza jej doświadczenie. I to z nią się one wiązały.

„Mogę panią posiąść, kiedy tylko zechcę, panno Redmond”. Minęła chwila, zanim znów się odezwał. A więc jego nerwy też nie są ze stali.

- Skąd pani wie, że nic pani nie oblażyło? Jest pani pewna, że nie trzeba pani gdzieś podrapać?

Miał poważną minę i mówił zatroskanym tonem. Oczy mu jednak zabłyszczały.

- Dziękuję za troskę, ale nie.

Oczami wyobraźni ujrzała, jak ją drapie, i o dziwo naprawdę poczuła swędzenie. Kiedy wyobraziła sobie jego palce za stanikiem, przyspieszył jej oddech i nie wiadomo dlaczego, poczuła płomień tęsknoty, który rozprzestrzenił się od nasady kręgosłupa i dotarł aż do znacznie intymniej szych zakątków jej ciała.

Było to coś nowego. Dobry Boże. Zerknęła na schody.

A on to zauważył.

- Proszę mi wybaczyć moje przypuszczenia. Ale niecodziennie widuję damę trzymającą podczas uroczystej kolacji palce między piersiami.

Dosyć tego. Musi wymyślić jakieś kłamstwo.

- Jeśli musi pan wiedzieć, usiłowałam wydostać naszyjnik, który chyba mi tam spadł.

- Kiedy panią zobaczyłem dziś wieczór, nie miała pani na sobie naszyjnika - odparł spokojnie. I niespiesznie. Jakby miał mnóstwo czasu, aby przyglądać się, jak sama na siebie zastawia pułapkę, a potem w nią wpada.

- Co za szczęście, że jest pan taki spostrzegawczy - odparowała natychmiast. - A więc naszyjnik musiał mi spaść, kiedy schodziłam ze schodów, a może nawet w pokoju, i nie zauważyłam. A może nadal tkwi za stanikiem. Proszę uważać, jeśli ma pan zamiar poprowadzić mnie w tańcu pod żyrandol. Jakiś ukryty za gorsetem klejnot może odbić światło i pana oślepić.

Roześmiał się, zaskoczony. To beznadziejne, lecz rozkoszowała się tym śmiechem, nic nie mogła na to poradzić.

Dlaczego taką przyjemność dawało jej sprawianie mu radości? Człowiekowi, który chciał ją wykorzystać do schwytania w pułapkę jej brata?

Brata, który może być w pobliżu. Czują się rozrywana na dwie połowy przez dwa pragnienia. Równie silne, lecz całkowicie przeciwstawne.

- Rozmawiała pani z jakimś dzieckiem. - Powiedział to z całkowitym spokojem.

O Boże. Wszystko widział.

- Pan również - odparowała.

Z wolna się uśmiechnął, w lot chwytając, co miała na myśli.

- Ładnie tak mówić o swojej gospodyni?

- Jednak pan nie zaprotestował?

- Marie-Victoire jest moją starą, dobrą znajomą. Violet prychnęła.

- Proszę pana. Nawet ja wiem, że była kimś więcej niż znajomą. Przez moment coś w nim się rozluźniło, odprężył się, jak przed

kilkoma dniami w jego kajucie. Bawiła go ta rozmowa, prowadził ją lekko, poddawał się jej rytmowi. Zrozumiała, że na krótko obdarzył ją zaufaniem.

i pomimo wszystko znów poczuła to, co wtedy - chęć chronienia. Właśnie jego. Bardzo rzadko miewała takie chęci.

- No cóż, nie przeczę - przyznał. - Marie-Victoire jest aktorką. Cenioną we Francji. Wyznała, że jest we mnie szaleńczo zakochana,



i obiecała, że zaczeka, aż dorobię się majątku, ale ledwie „Fortuna” wypłynęła z portu, wyszła za mąż za wicehrabiego.

- Dziewczyna musi mieć plan ratunkowy. Czy poczuł się pan dotknięty?

Zawahał się.

- Wicehrabina jest oportunistką, która dała sobie radę w życiu. Często najzwyczajniej sprzyjało jej szczęście. Mnie też. I z całą pewnością miała więcej niż jeden plan ratunkowy. Podobno jednym z nich był pan Hardesty.

Odpowiedź, ale nie na jej pytanie.

Wyobraziła sobie Lyona przestającego z tą złośliwą, piękną i pustą istotą, i bardzo się jej ten obraz nie spodobał.

- Nie musi pani lubić wicehrabiny, panno Redmond. Ale niech pani doceni jej gościnność. Dzisiaj w serwowanych tu potrawach nie znajdzie pani insektów, nie ma ich także w łóżkach, a nie mogę zagwarantować, że tak będzie w dalszej podróży.

- Chce mnie pan zniechęcić do dalszego żeglowania, kapitanie?

- A czy ktoś panią do tego zachęca? Wreszcie doszli do sedna sprawy.

- Jak na razie nie udało nam się swoją obecnością zainteresować pana Hardesty'ego. Chyba że pan już go tu widział.

- Tak się składa, że nie. Pan Hardesty przeprosił, że nie będzie mógł przyjść. Tę wiadomość przekazał mi wicehrabia. Czy to zbieg okoliczności? Nie wiem. Poza tym skoro wicehrabiostwo nie mają dzieci - naciskał - skąd się tu wziął ten chłopak? Uciekł, ledwo na niego spojrzałem.

Ach, więc to dlatego dzieciak czmychnął. Każdy, na kogo padło spojrzenie tych błękitnych oczu, zobaczywszy je pierwszy raz, wzięłyby nogi za pas. Jednak to nie ona wystraszyła chłopaka.

To dziwne, ale poczuła ulgę.

Musi być ostrożna. Zmusiła się, żeby nie uciekać oczami przed jego wzrokiem. Aby uspokoić nerwy, miarowo oddychała. Ale wtedy róg złożonej ciasno kartki nieprzyjemnie ją drapał.

- Nie wiem. Może przybiegł z kuchni. Nazwał mnie mamą. Pewnie chciał powiedzieć „madam”.

- Nazwał panią mamą? Ogromnie się zdziwił. I rozbawił.

- Dlaczego to takie śmieszne?
- No cóż, ma pani dosyć lat, żeby być mamą.
- Dziękuję, że pan to zauważył.
- Lubi pani dzieci?
- Nie powiem, żebym ich nie lubiła.

Znowu jej się przyglądał, starając się zgadnąć, co oznacza ton jej głosu. Twarz miał poważną i łagodną. Prowadził ją w tańcu z wyczuciem, delikatnie, przez co świadomość bliskości jego ciała, które dotykało jej ciała, stała się dojmująco ostra. Tyle razy już w swoim życiu tańczyła, z tyloma partnerami, że taniec był dla niej zwykłą rutynową czynnością, ale teraz naprawdę czuła ciepłą rękę obejmującą ją w talii i dłoń, która ścisnęła jej dłoń. Tak jakby nikt jeszcze nigdy przed nim nie dotknął jej talii, dłoni i innych części ciała. Straciła na krótko orientację, gdzie kończy się ona, a zaczyna on, i wcale jej to nie przeszkadzało. Zdarzyło się po raz pierwszy w jej dorosłym życiu, że dobrowolnie oddała komuś nad sobą władzę.

Nagle uświadomiła sobie, że podobnie czuła się, kiedy po raz pierwszy zobaczyła morze. Przepęłniło ją uczucie spokoju, podziw dla dzikiego piękna, w którym nie było nic biernego. Tylko nieskończony bezmiar możliwości. Uciekła od tych myśli, rozgniewana i przestraszona jak zmieszane dziecko.

- Ma pan dzieci? - zapytała nagle.

Brutalne i niegrzeczne pytanie, jako że skierowała je do nieżonatego mężczyzny, który sam był bękartem. Chciała być nieuprzejma. Chciała, żeby ten zgrzyt sprowadził ich z powrotem na ziemię.

Twarz mu się ściągnęła. Tak jak wtedy, gdy nazwała go dzikusem.

Poczuła niechęć do samej siebie za to pytanie. I zirytowała się, bo знаła uczucie skruchy, ale nie znała dotąd uczucia niechęci do siebie.

No i co z tego? Jeszcze jedno nowe doznanie, które stało się jej udziałem z powodu hrabiego. Była jak puszka Pandory - a otworzył ją hrabia.

- Nie wiem - odparł cicho po chwili.

Prosta odpowiedź. Przerażająco prosta. Większość mężczyzn zapewne może powiedzieć to samo.

Było jej przykro, że o to zapytała. I, jak zwykle w jego obecności, nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

- Nie byłem nieostrożny - dodał.

O Boże. Nie musiał jej się tłumaczyć. Nie miała najmniejszej ochoty wyobrazać sobie, w jakich sytuacjach z kobietami zachowywał ostrożność.

- Oczywiście. Jest pan mężczyzną. Proszę się nie uśmiechać.

Za późno. Uśmiech już się pojawiał. Wcale nie złośliwy, przeciwnie, prawie miły. Ten człowiek potrafił bez trudu przewidzieć jej następny ruch i go odeprzeć. Słowem, uśmiechem, milczeniem nie dopuszczał, by zdobyła nad nim przewagę. Powinno ją to doprowadzać do szału. Ale nie doprowadzało.

Budziło w niej panikę.

Opuściła wzrok, nie wiedząc, jak uciec od emocji, które w niej buzowały. Przed oczami miała teraz śnieżnobiały fular. Aby się uspokoić, zaczerpnęła powietrza i poczuła zapach, który w myślach nazwała Eau de Earl of Ardmay.

Lepszy niż wino, niż koniak, niż morskie powietrze. Zaniemówiła.

- Chciałby pan mieć rodzinę? - Odezwała się po chwili. Pytanie było skierowane do fularu.

- Tak - odpowiedział natychmiast. Spojrzała na niego zdziwiona.

- Dlaczego panią to dziwi? Czy nie powinienem mieć tego, co mają inni?

- Oczywiście, powinien pan - odparła szybko. I zbyt uprzejmie, bo jego twarz stwardniała. Nie tolerował traktowania go protekcjonalnie.

- Z Fatimą? - Sama się zdziwiła, słysząc, że wypowiada to imię z lekką drwiną.

Wygiął usta. Odpowiedział w podobnym tonie.

- Być może. Prawdopodobnie. To całkiem proste. Potrzebne mi żona, ziemia i majątek, a wtedy dam początek własnej dynastii.

Proste! Przypomniała sobie legendę o początkach rodu Redmondów I o początkach waśni z rodziną Eversea, podobno ciągnącej się od roku 1066. Wiele można powiedzieć o rodzinach, ale nie to, że są czymś prostym.

- Jest pan hrabią. Czy nie powinien pan się ożenić z odpowiednią kobietą?

- A czy to, że jestem hrabią, nie oznacza, że mogę robić, co chcę?

- Pewnie tak - przyznała po chwili.

Znowu się uśmiechał, jakby nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Zmarszczki wokół oczu pogłębiły się przy tym w sposób, który ją fascynował.

- A pani chce założyć kiedyś własną rodzinę, panno Redmond? Mieć gromadkę dzieci, które będą na panią mówić „mama”?

Zastanowiła się. Do założenia rodziny, oprócz żony, konieczny jest mąż, a ona nie potrafiła sobie wyobrazić mężczyzny, który byłby odpowiedni do tej roli. Takiego mężczyzny, przez którego ojciec by jej nie wydziedziczył.

- Przypuszczam, że zechcę. - Zawahała się. I nagle zrozumiała, że naprawdę chce. Nie wiedziała tylko dlaczego.

- Taką, jak pani rodzina?

Pomyślała o matce i ojcu, ich skomplikowanym, tajemniczym małżeństwie, o Milesie, eksploratorze i badaczu, i Cynthii, jego czarującej żonie, i o zamęcie, jaki wprowadzili w rodzinie Redmondów, o aroganckim nicponiu Jonatahnie, prawie jej równolatku, a także o Lyonie, cholernym zaginionym Lyonie, od którego otrzymała właśnie wiadomość na kartce, ukrytej przez nią pod stanikiem i przeszkadzającej jej w tańcu. Lyonie, którego teraz koniecznie musi poszukać w pałacu.

Tak bardzo ich kochała i tak bardzo chciała, aby znowu wszystko było takie, jak przed odejściem Lyona.

- Nie - odpowiedziała, zdziwiona, ale z pełnym przekonaniem. - Nie chcę takiej rodziny jak moja.

Hrabia także wyglądał na zdziwionego.

Właśnie miał coś powiedzieć, lecz muzyka przestała grać, więc z równą gracją, jak zaczęli, zakończyli taniec.

Zbyt szybko chciała wyszarpnąć palce z jego dłoni, przez co, naturalnie, odruchowo ścisnął je jeszcze mocniej. W jego oczach pojawił się cień podejrzenia, a także czegoś, co wyglądało na błaganie. Badał wzrokiem jej twarz.

Badaj sobie, lordzie Flint. Patrzyła na niego bez zmrużenia oka. Dla lepszego efektu wysunęła hardo brodę.

- Muszę iść do... - Urwała. Nie użyje przecież w obecności hrabiego takich słów jak toaleta. Nie musi się tłumaczyć. Na miłość boską, przecież nie jest więźniem.

Jeszcze raz spróbowała delikatnie wysunąć palce z dłoni hrabiego i uniesieniem brwi dała znak, że nie wypada mu jej trzymać. Pomogło. Niechętnie puścił jej dłoń tak wolno, jakby się obawiał, że już jej nigdy nie ujrzy. Wiedziała, że się jej przygląda, kiedy odwracała się i z całej siły powstrzymywała, żeby pędem nie rzucić się do tych nie-mających końca schodów. .

Z impetem otworzyła drzwi do swojej sypialni. Jedną ręką szukała za stanikiem kartki od Lyona, a jednocześnie drugą sięgnęła po gęsie pióro i atrament.

Zrobiła kółeczko wokół litery T. Posypała je piaskiem. Potem zaczęła bazgrolić notatkę. Dodała słowo „ale”, narysowała zachmurzoną twarz z ukośnie nachylonymi brwiami - co znaczyło: „Jestem na ciebie zła” - i serce - „Kocham cię”. A potem, ponieważ było mało czasu, narysowała oko, przed nim napisała literę P, a poniżej K=C, i na końcu dopisała znak zapytania.

To wszystko także posypała piaskiem. Choć nie spodziewała się, że dostanie obrazki w odpowiedzi na to ostatnie pytanie. Nagle usłyszała, że gdzieś w pokoju coś się cichutko porusza.

Zastygła bez ruchu. Włosy stanęły jej dęba.

Znowu. Szelest, jakby materiał ocierał się o materiał.

A może to po prostu jakiś gryzoń? Albo...

Nie. Dobry Boże. Miała wrażenie, że słyszy czyjś oddech. Stanęła bez ruchu. Sama wstrzymała oddech i usłyszała, jak ktoś bardzo delikatnie oddycha. Bez wątpienia człowiek.

Zdała sobie sprawę, że odgłos ten dochodzi od strony łóżka. Lyon?

Na wszelki wypadek wzięła do ręki nożyk do otwierania listów i podeszła na palcach.

Gruby dywan stłumił jej kroki. Ostrożnie, powoli, cichutko uklękła...

...i zerwała z łóżka narzutę.

Ukazały jej się twarz i dwoje ogromnych, przerażonych oczu. - Aaaaa! - krzyknęli oboje, ona i mały brudas.

Odsunęła się gwałtownie do tyłu i dzieciak wysliznął się spod łóżka na łokciach. Wstał, gotowy do ucieczki.

- Chryste! - zawołała i uderzyła się dłonią w okolicę serca, które prawie przestało bić. - Kim jesteś? - zapytała, zrywając się z podłogi i idąc w jego kierunku, żeby go przytrzymać.

Cofnął się.

- Proszę spojrzeć pod łóżko.

Rzuciła się, by go schwycić. Nie zdążyła. Podbiegła do drzwi, żeby odciąć mu drogę. Z łatwością jej się wyśliznął.

- Kim jesteś? Kto cię przysłał?

- Pan Hardesty, mamó. Ale nie wolno nic mówić. Nikomu! - Szalał ze strachu. - Powiedział, że mogę ci zaufać.

Violet była doprowadzona do ostateczności.

- Gdzie jest pan Hardesty? Dam ci całego funta, jeśli mi powiesz. Proszę.

Nieprzemyślana obietnica. Oczy prawie mu wyszły z orbit.

- Nie, zabiłby mnie, mamó, na pewno. A obiecał, że będę z nim żeglować - powiedział z dumą. - Na razie pracuję w kuchni na łodzi, ale on da mi sześć szylingów za pracę w kuchni na statku.

Oczywiście chłopiec był za mały, żeby znać wartość pieniędzy. Dla niego sześć to więcej niż jeden. Nie miała czasu go uczyć arytmetyki.

- Proszę spojrzeć pod łóżko - powtórzył z uporem, coraz bardziej się od niej oddalając. Potem odwrócił się i wybiegł przez drzwi. Usłyszała tupot chłopcęcych nóg w marmurowym holu.

Podbiegła za nim trzy kroki. A potem zrobiła dwa w stronę łóżka. Potem znowu trzy do drzwi.

Ale wiedziała, że jeśli będzie za długo zwlekać, hrabia zacznie jej szukać, i po kilku sekundach wahania, czy wybrać drzwi, czy łóżko, zanurkowała pod łóżko.

Znalazła następną dużą kartkę. Chwyciła ją i wyciągnęła spod łóżka. Zrobiło jej się słabo, tak waliło jej serce.

Szybko na nią spojrzała, z jednym okiem na wpół otwartych drzwiach.

Następne zakodowane rysunki. Nabazgrana ludzka głowa z profilu, a w środku coś, co wyglądało jak kłęb wełny. To nie wełna - ale mózg! Potem słowo „jak”, para najwyraźniej idąca do ślubu (u góry narysowane były obrączki) z literą ś = k i skrzydlata stopa, taka, jaką

miał grecki bóg Merkury - знаła ten symbol, bo tak nazywała się grupa inwestycyjna jej ojca, „Myśl jak Klub Merkurego”.

Grupa inwestycyjna ojca nazywała się Klub Merkurego. Ale nie chodziło dokładnie o tę grupę - na to wskazywało słowo „jak”.

Miała myśleć o Le Chacie i grupie inwestorów? Poniżej, niespodzianie i całkiem bezwstydnie, narysował kształtne piersi.

A potem osłonił je gorsetem, chyba po chwili zastanowienia -zbyt późno przypomniało mu się, do kogo list jest adresowany. Początkowo narysował nawet sutki.

Strzała wskazywała lewą pierś. Dobry Boże. Mężczyźni. Poczula, że się rumieni.

Następnie zamieścił tam słowa, których nie rozumiała: „Tylko 5. Jeszcze 2”. Ostatnim symbolem było wielkie serce, a obok słowo „ciebie”.

Kocham ciebie.

I na końcu dwa ostatnie słowa, napisane normalnie. „Wybacz mi”.

Wybaczyć. Już w tej chwili chętnie by go zamordowała.

Chciała go ukołysać i jednocześnie potrząsnąć nim z całej siły i, o Boże, co jeszcze mogłaby z nim zrobić? Jej mózg pulsował i miała wrażenie, że jest równie wielki, podobny do kłębka wełny i bezużyteczny, jak ten, który narysowano na kartce. Nie wiedziała, co mogą znaczyć pozostałe widoczne na kartce symbole, i nie miała czasu zająć się ich odszyfrowaniem.

Jeśli za chwilę nie zejdzie na dół, hrabia przyjdzie tu, bo zacznie jej szukać.

Jeszcze chwilę się wahała. Potem wepchnęła pod łóżko notatkę z nabazgranym przesłaniem, że się gniewa i że go kocha, mając pewność, że kartkę zabierze stąd chłopak. Poprawiła fryzurę przed lustrem i zeszła na kolację.

## 12

Myśl jak Klub Merkurego. Co to ma do diabła znaczyć?

Za długim, połyskującym pięknymi nakryciami stołem zasiadło z tuzin gości. Milczący lokaje wnosili jedno za drugim smakowite dania. Violet starała się uspokoić, obserwując dobrze jej znany ceremoniał serwowania potraw, bo w jej głowie panował mętlik.

I, mimo wszystko, była naprawdę głodna.

Siedziała obok wicehrabiego Heberta, mając po drugiej stronie stołu hrabiego Ardmay, którego z kolei posadzono naprzeciwko wice-hrabiny. Violet zauważyła, że w miarę upływu czasu wicehrabina stawała się coraz bardziej nadaśana. Wydęte wargi dodawały jej uroku i na pewno świetnie o tym wiedziała. Przypominały dwie małe idealne poduszeczki. Jedna leżała dokładnie na drugiej, a w górnej nie było wgłębienia. Violet przyglądała się im, zafascynowana. Ponadto wicehrabina prześlicznie się prezentowała w blasku świec. Trudno było jej nie podziwiać. Aksamitna suknia miała odcień sherry, zapewne specjalnie dobrany do koloru jej oczu. Błyszczące rękawiczki opinające delikatne, małe dłonie migotały, gdy podnosiła i wypijała jeden kieliszek wina za drugim.

Im dłużej Violet na nią patrzyła, tym bardziej jej nie lubiła.

Wicehrabina wpatrywała się w siedzącego naprzeciwko niej hrabiego z niemal nieskrywaną mieszaniną urazy i melancholii. Lavay, zajmujący miejsce obok niej, szeptał jej do ucha komplementy i żarciki, co od czasu do czasu z lekka poprawiało jej nastrój. Uśmiech, nadaśana minka, uśmiech, nadaśanie. Zdaniem Violet, Lavay postępował ze swoją towarzyszką przy stole podobnie jak z żaglami na statku i swoim urokiem łagodził porywy jej złego humoru. Udawało się to, dopóki wicehrabina nie spoglądała ponownie na siedzącego po drugiej stronie stołu hrabiego i nie uświadamiała sobie, w jak fatalnym momencie zdecydowała się na małżeństwo, bo zamiast francuskiego wicehrabiego mogłaby poślubić angielskiego hrabiego. I znów pogrążała się w smutku.

Czy wicehrabina go kocha? I jak dobrze go zna? Co taka kobieta może wiedzieć o miłości?



Czego trzeba, by kogoś pokochać lub sądzić, że się kocha?

Kto zna odpowiedź? - chciała zapytać Violet i uderzyła widelcem w stół. Chcę wiedzieć! Życie tak niewielu rzeczy jej odmawiało, a tu nagle zaczynają ją dręczyć dokuczliwe jak komary pytania, na które chyba nie ma odpowiedzi.

Wicehrabia Hebert, od niedawna szczęśliwy małżonek, całą uwagę poświęcał teraz pysznym potrawom, serwowanym podczas kolacji, i poważnej konwersacji z gośćmi, żoną zaś, zwyczajem wszystkich mężów, się nie zajmował. Zainteresował się za to goszczącą u niego piękną Angielką.

- Panno Redmond, czy spodobała się pani morska podróż?

Jego zmęczone, ciemne oczy były osadzone tuż przy nasadzie nosa, łukowato wygiętego na kształt idealnej litery D. Rzadko widywała równie wyniosłą twarz. Podobały jej się takie.

- Lubię podróżować morzem. Słyszałam, monsieur wicehrabio, że zaangażował się pan w przedsięwzięcia z udziałem statków handlowych. Czy poniósł pan szkody z powodu Le Chata?

Pogratulowała sobie gładkiego wstępu do rozmowy o piracie. I od razu spostrzegła, że obserwuje ją para niebieskich oczu. Z aprobatą, jak sądziła. Jak miała nadzieję.

Na dźwięk słowa „Le Chat” przy stole dało się słyszeć podniecony szepty.

- *Mais non.* Ja nie. Ale obrabował i zatopił „Marię Louise”. Mój przyjaciel monsieur Fontaine stracił przez to wszystkie pieniądze. Le Chat opanował i zatopił także statek „Gorgon”.

- To straszne! Czy monsieur Fontaine był jednym z inwestorów zaangażowanych w handel towarami przewożonymi „Marią Louise”? - Myśl jak Klub Merkurego.

- Chyba tak - odparł wicehrabia. - Wiozła jedwab. I cóż! Jedwab zrabowany. Statek zatopiony. Wszystko przepadło!

- Jedwab. Rzeczywiście, wielka szkoda. - Uśmiechnęła się do wicehrabiego, który, jak przystało na Francuza, podziwiał jej suknię i dekolt, obrzucając ją szybkim spojrzeniem ptasich oczu. - A wie pan, kim są pozostali inwestorzy?

- Nie. Ale słyszałem, że jednym z nich jest kupiec Musgrove z Brestu. Podobno kolejny jego statek wkrótce wyrusza z Hawru do Brestu. To „Caridad”.

Brest! Więc dlatego na kartce narysował piersi, po angielsku *breasts* I strzałkę, wskazującą jedną - *breast*. A może strzałka oznacza kierunek. Lyon chciał poinformować, że płynie do Brestu, który, jak Hawr, był portem francuskim na atlantyckim wybrzeżu.

Dobry Boże! Jeśli Lyon wybiera się do Brestu, to czy „Caridad” grozi niebezpieczeństwo?

- Może Le Chat, wiedząc, że pan go ściga, i że za jego głowę wyznaczono dużą nagrodę, nie zdecyduje się na rabunek.

Nie licz na to, pomyślała Violet i nagle straciła apetyt.

- Słyszałam, że Le Chat zatopił dziesięć statków - włączyła się do rozmowy bardzo przejęta jedna z dam. - Buum! I już są pod wodą.

Przy stole rozległ się pomruk podniecenia i przestachu. Violet przypomniała sobie napis na kartce. „Tylko pięć. Jeszcze dwa”.

Czy miały to być statki?

Spojrzała na hrabiego. On na jednym ze statków stracił kogoś bliskiego. Talerz stojący przed nim był już czysty.

Nagle mimo rękawiczek zmarzły jej ręce. Odłożyła srebrny widelec i oparła ręce na kolanach, aby się ogrzały.

Potrawy podane na kolacji były wyśmienite, jak hrabia zapowiedział. Nie trzeba ich było z wysiłkiem gryźć, rozkruszać i żuć. Po kilku zaledwie dniach spędzonych na statku zatęskniła za jedzeniem, które miałoby jakiś smak.

Za to wcale nie tęskniła za posiłkiem, który narażał ją na niespodzianki w rodzaju zapiekanych wołków zbożowych.

Patrzyła na hrabiego. Jego twarz miała surowy, groźny wyraz. Był nieobecny duchem. Przypominał teraz drapieżnika szykującego się do ataku. Jej brat napotkał na swej drodze potężnego wroga. Bardzo się o brata bała. Popatrzył na nią. Płomienie świec odbijały się w jego niebieskich oczach. Dostrzegła w tym, nie wiedzieć czemu, jakiś znak. Symbol. Cóż za absurdalna myśl!

Przez te wiadomości od brata od tej pory we wszystkim zacznie dopatrywać się symbolu.

- Podobno jest potwornie brzydki, ma długie, zmierzwiłone włosy, żadnego zęba i strasznie mu cuchnie z ust. - Jedna z dam aż zadrżała z przerażenia. - I nosi kolczyk w uchu.

- *Au contraire*. Ja słyszałam, że jest piękny jak Adonis, szarmancki, a jego głos odbiera kobietom chęć stawiania mu oporu, a poza tym jest bardzo mężny w boju - oznajmiła druga.

- W piractwie nie ma nic szarmanckiego, madame - wtrącił się grzecznie hrabia. - Ani mężnego.

- Proszę nam pozwolić na nieco romantyzmu, lordzie Flint! - zawołała dama i wszyscy goście się roześmiali. - A może jest pan zazdrosny? - Zatrzepotała rękami. .

Uśmiechnął się uprzejmie i Violet pomyślała, że jest ona chyba jedyną osobą, która widzi, że za tym uśmiechem ukrywa zniecierpliwienie, nudę, nawet pogardę. Zachowywał się bardzo poprawnie, ale źle się czuł wśród tych ludzi. O piractwie wiedział dużo więcej niż oni. Pewnie o większości rzeczy wiedział dużo więcej.

- Pan zajmuje się handlem morskim, lordzie Flint. - Wicehrabia zwrócił się do hrabiego. - Zna pan pana Musgrove'a, który też się tym para, a obecnie przebywa w Hawrze?

- Tak. - Odparł hrabia. I dodał: - Wielka szkoda, że pan Hardesty nie mógł dotrzymać nam dzisiaj towarzystwa.

- Moglibyśmy sobie przy cygarach uciąć długą, nudną i bardzo miłą pogawędkę o handlu, *non?* - Wicehrabia zerknął na Violet.

Wicehrabina mruknęła pod nosem po francusku coś niezrozumiałego, z wyjątkiem dwóch słów: Hardesty i *cochon* - świnia.

Wyłaniał się zupełnie inny, niż jej znany, obraz brata. A przecież Lyon był kiedyś tak oddany Olivii Eversea. Ale był też mężczyzną, a wicehrabina korzystała z każdej nadarzającej się okazji i nie była brzydka.

- Wiedział, że wydajemy kolację, i kto na nią przyjdzie, musiał jednak wyjechać z Hawru - potwierdziła wicehrabina. Więc to od nich Lyon dowiedział się, że Violet tu będzie, i wpadł na pomysł, żeby wysłać do niej wiadomość przez nietypowego posłańca.

- Hrabia przyjechał z Ameryki, *n'est-ce pas?* - W głosie wicehrabiego nie było słyhać urazy, że jego gość ma tytuł znaczniejszy niż jego. - Znam jednego amerykańskiego kapitana, dowodzącego dużym frachtowym szkunerem. Aresztowano go za handel niewolnikami.

- To podły proceder - przyznał hrabia. - Ale mimo regulacji prawnych nielegalny handel niewolnikami nadal kwitnie w Wiel-

kiej Brytanii. Nie raz zwracałem na to uwagę urzędowi marynarki morskiej. Niestety, jeśli władze złapią takich handlarzy, ci szubrawcy wyrzucą swój towar, czyli ludzi, za burtę. Nie toleruję handlu niewolnikami ani niewolnictwa. Ubolewam nad tym, że popierają je amerykańskie stany południowe. Ja nigdy się z tym nie pogodzę. Zrobię, co w mojej mocy, żeby w moim kraju położyć temu kres.

Violet spojrzała na hrabiego, a widelec, który unosiła do ust, zatrzymał się w połowie drogi. Była przerażona tym, co powiedział. Straszliwy obraz. Ludzie porywani z własnej ojczyzny, przewożeni po skuciu ich łańcuchami w ładowniach statków, a potem wyrzucani za burtę.

- To dobrze - spokojnie odpowiedział wicehrabia. - Widzi pan, chcę wiedzieć, z kim prowadzę interesy. Musiałem o to spytać.

- Doskonale pana rozumiem - zgodził się Flint.

- A czy pani była w Ameryce, panno Redmond? - Wicehrabia zwrócił się do Violet i natychmiast jego twarz zmieniła wyraz. Był teraz czarującym, przyjaźnie nastawionym rozmówcą, a jego ciemne oczy wyrażały podziw.

- Po co ktoś miałby jechać do Ameryki, Vicente? Słyszałam, że większość Amerykanów to dzikusy. Nieokrzesani ludzie - słodkim głosem odezwała się do męża wicehrabina, zanim Violet zdążyła odpowiedzieć.

Spod widelca wicehrabiny uciekał groszek, a ona ganiała go po talerzu jak mało wprawny bilardzista, ze wzrokiem wbitym w Violet. Wino najwyraźniej zaburzyło koordynację jej ruchów.

Czy tylko ona, Violet, zauważyła, jak hrabiemu sztywnieją plecy, jakby ktoś przystawił mu do nich pistolet?

Poczuła, że włosy na karku się jej unoszą, niczym strzelcy podnoszący się z kolan i ruszający do ataku.

Lavay przesunął się na krześle.

- Ma pani znakomitego kucharza, madame - z przesadną uprzejmością stwierdził hrabia. - Jagnięcina jest wyśmienita.

- Dziękuję - zamruczała wicehrabina, po czym nadziała na widelec porcję mięsa, jak kot zlizwała z niej sos różowym języczkiem i wciągnęła do ust.

Pokaz lubieżności. Spojrzała na hrabiego przeciągle spod wpół-przymkniętych powiek.

Obserwował ją z zainteresowaniem, ale miał lekko nieobecny wzrok. Z podobną minę tańczył na balu z lady Peregrine, pamiętała Violet. Straciła całkowicie apetyt, kiedy wyobraziła go sobie w jednym łożu z tą kreaturą, zaznającego z nią rozkoszy. Jego wielkie nagie ciało leżące na ciele tamtej...

Mocniej zacisnęła dłoń na widelcu. Żałowała, że w tej sytuacji odeszła ją ochota na doprawdy pyszne jedzenie.

- A podobno i w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu, *n'est-ce pas?* Dzikus zawsze będzie dzikusem. Zwłaszcza z rodzin, no powiedzmy, mieszanych - powiedziała wicehrabina z niewinną minką.

Języczek owinęła wokół łyżki, żeby dokładnie ją oblizać, po czym trzymając ją przed sobą, podziwiała własne dzieło. Srebro łyżki lśniło.

Violet zobaczyła w łyżce swoje odbicie, tyle że odwrócone do góry nogami.

Szczęki jej się ścisnęły. Oczy zwięzły w szparki. Pobladła, ogarnięta furją. Z ledwością powstrzymywała wybuch wściekłości. Wicehrabia spojrział na żonę, osłupiał.

Hrabia zachował spokój. Przerażliwy spokój. Zmilczał obelgę, bo nakazywały mu to dobre maniery oraz wzgląd na gości i na wicehrabiego, który ożenił się z piękną aktorką, a zarazem - ładacznicą, bo było go na to stać, choć na pewno tego pożałuje.

A w Violet rozpętała się furia, rzeczywiście dzika.

Mimo to postarała się, by jej głos zabrzmiał nieśmiało i bojaźliwie.

- Proszę mi wybaczyć, ale nie byłabym tego tak pewna, lady Hebert. Odnoszę wrażenie, że zdaniem wielu osób pani przemiana z owsa w ryż jest bardzo przekonująca. - Powiedziała to z tak doskonale udawaną pokorą, że do wicehrabiny dopiero po chwili dotarło, jak bardzo została znieważona.

Znieruchomiała. Przypominała teraz rozzłoszczoną kotkę z najeżonym futrem. Ogromne oczy ciskały błyskawice. Obrzuciła Violet takim spojrzeniem, jakby zastanawiała się, w którą część jej ciała wbić widelec. I niewątpliwie odebrało jej mowę.

- Och, lady Hebert - pojednawczo odezwała się Violet. Pochyliła się do przodu i dotknęła jej dłoni, a wicehrabina, w oczekiwaniu na przeprosiny lub wytłumaczenie, zaczęła tajać. Violet odczekała krótką chwilę.

- Pragnę powiedzieć, że ma pani piękną perukę. Jest przepiękna. Wygląda prawie jak prawdziwe włosy.

Wicehrabina wyszarpnęła rękę.

- *Vous êtes une putain grosse!* - syknęła.

- *Je crois que le pot appelle le noir de bouilloire* - słodko odparła Violet.

Przy stole zawrzało.

Wicehrabina rzuciła serwetkę na stół i zaprotestowała, szybko coś mówiąc po francusku do męża i gwałtownie gestykulując małymi dłońmi, a Violet, korzystając z zamieszania, odsunęła krzesło i z gracją ruszyła w stronę tarasu, poza zasięg noża i widelca wicehrabiny.

Taras jest zbyt ładny, by należeć do tej kobiety, pomyślała Violet.

Księżyc wyglądał jak świetlista kula zawieszona na granatowym tle nocnego nieba. Przyczepiła się do niego pajęczyna z chmury, którą powoli rozwiewał delikatny wietrzyk. Bliskie i dalekie gwiazdy błyszcząły w prastarych konstelacjach, wykonując swoje niezliczone obowiązki. Żeglarzom służyły jako mapy, dla poetów stanowiły natchnienie, dla astrologów wyrocznie, a dla kochanków usprawiedliwienie nierozważnego zachowania.

Pośrodku tarasu stała fontanna otoczona ławeczkami z białego kamienia i odgradzona od reszty tarasu niskim murem porośniętym winoroślą. Usiadła na jednej z ławeczek. Nadal była nagrzana od słońca.

Przez minutę lub dwie była sama. Dobrze wiedziała, kto wyszedł za nią z salonu, ponieważ świadczył o tym rozmiar cienia, a ponadto poznałaby go wszędzie. Natychmiast pokazał jej się zresztą w świetle księżyca, żeby się nie bała.

Przez chwilę stał przed nią, milcząc.

- Dlaczego pani to zrobiła? - Był autentycznie ciekaw. Zrobiła długi wdech, potem wydech.

- Przypuszczalnie nie znoszę awantur nic bardziej, niż mi się wydawało. Żona mojego brata, Cynthia, powiedziała mi kiedyś, że mam dobre serce. Proszę się nie śmiać. - Podniosła rękę, żeby powstrzymać go od złośliwych uwag. -

Byłam wtedy równie zdziwiona, jak pan.

Roześmiał się cicho.

- Wie pan, co wicehrabina do mnie powiedziała? - spytała po chwili, bo nie była pewna, czy hrabia zna inne języki poza angielskim.

- Tak. Na szczęście mój francuski jest dość dobry. Nazwała panią wstrętną dziwką. A pani odparła, że kocioł przygania garnkowi.

Violet westchnęła. Kiedy ponownie usłyszała te słowa, wręcz się przeraziła. A jednak mówiąc to wtedy wicehrabinie, czuła, że nie ma innego wyboru. Nie była w stanie znieść obelgi. On musiał je znosić tyle razy. I zawsze kogoś bronił. Najwyższy czas, by ktoś stanął w jego obronie.

Nadal trochę ją dziwiło, że zrobiła to właśnie ona, ale nie chciała się zagłębiać w powody, dla których tak się stało. Chwilę milczeli.

- Dziękuję - rzekł niepewnie.

- Proszę bardzo. Mam nadzieję, że nie spowodowałam żadnych poważnych... nieporozumień.

- Nie ma obawy. Wicehrabia wie, z kim się ożenił, i co noc... nią się cieszy. W interesach jest człowiekiem praktycznym.

Zapadło milczenie, raczej miłe niż niezręczne, ale po trosze i jedno, i drugie. Oboje byli rozbawieni rozmową o wicehrabinie. Pograżony w mroku taras był odpowiednim do tego miejscem, gdyż ich sylwetki mało się różniły od cieni, a padające słowa, zdawało się, docierają tylko do ich uszu, niczyich innych, jakby rozmawiali we śnie.

Oparł się o porośnięty winem murek i rozejrzał wokół. Patrzył na fontannę, niebo, ławkę, na której siedziała Violet. Wdychał oszałamiający zapach jaśminu i wiciokrzewu.

Jak wielkie, potężne zwierzę, pomyślała, które bada otoczenie i wybiera pozycję obronną.

- Wolę być tu, na dworze, niż w pałacu - odezwała się ostrożnie.

- Ja też. Na ogół wolę być na wolnym powietrzu, na zewnątrz, niż wewnątrz. Zwłaszcza jeśli wewnątrz odbywa się bal albo spotkanie towarzyskie, które wymaga od uczestników prezentowania nienagannych manier. Potrafię odpowiednio się zachować. Ale konwenanse nie są moją mocną stroną - przyznał. - Muszę się starać.

Podobało jej się to wyznanie.

- Nigdy nie miałam wyboru, jeśli chodzi o bale. Ale nie mogę powiedzieć, żebym ich tak całkiem nie lubiła. Tylko że w moim życiu nie ma niczego innego poza bywaniem na balach.

- Biedactwo z pani.

- Nawet pan nie wytrzymałby londyńskiego sezonu towarzyskiego bez wyrobienia w sobie systemu ochrony. Mój brat porównuje to do adaptacji zwierząt w środowisku. Rosną im futra albo ostre pazury, dzięki którym trudno je zranić. Moją obroną jest ironia.

- No tak... A oprócz tego straszenie innych rzuceniem się do studni.

Westchnęła. Czy o studni wiedział już cały świat? Jednak jej osoba i jej aprobata były w towarzystwie wysoko cenione. Na tym polegała perwersja londyńskiej socjety.

- Pewnie ma pani rację - przyznał - co do tego, że udział w balach i przyjęciach wymaga hartu ducha. Ja, jako kapitan statku, hrabia i mężczyzna, rzadko kiedy muszę robić coś, na co nie mam ochoty.

Arogancko podkreślił atuty, jakie dawała mu pozycja społeczna i płeć, więc postanowiła ukarać go krótkim milczeniem. Tylko krótkim, bo powiedział to z humorem i wyraźnie po to, żeby się z nią podrażnić. A ponieważ wiedziała, że na wszystko, co wymienił, oprócz płci, ciężko zapracował, nie miała mu tego aż tak bardzo za złe.

- Była pani kiedyś zakochana, panno Redmond?

Hm. Dobry sposób, żeby skłonić ją do mówienia. Czemu zadał to pytanie?

- Słyszałam o miłości - powiedziała ostrożnie, takim tonem, jakby chciała powiedzieć: „Słyszałam o gryfach”, i przyznawała, że takie zjawisko może istnieć, ale jest wyjątkowo rzadkie, a ponadto sugerowała, że ludzie przy zdrowych zmysłach traktują je jak mit.

Znow cicho się roześmiał. Jak kompan, jak bliski znajomy, jak ktoś, u kogo zjednała swoim zachowaniem uznanie. Ten śmiech współbrzmiał z nastrojem tej nocy.

A noc była jak pieszczota. Powietrze tak zgęstniało miękkim ciepłem, że mogłoby chyba unieść ją i kołysać.

Głęboko wdychała upajający zapach kwiatów, za dnia ogrzewanych promieniami bezlitosnego słońca, tak jak wdycha dym narkoman uzależniony od opium.

- Skąd wiedziała pani o... dzikusie? - zapytał cicho. Naprawdę zaciekawiony.

- Lavay.

- Hm - hrabia chrząknął wymijająco. I znowu zamilkł.



- A wiedział pan, że Cyganka zaledwie kilka miesięcy temu krzyknęła do mnie jego nazwisko? Poszliśmy do Cyganów w Pennyroyal Green, aby nam powrózyli, i nagle Cyganka wyskoczyła na drogę, krzycząc do mnie, nie wiedzieć czemu, „Lavay”. Całkiem bez sensu. Myślę, że sama się przeraziła. Mój brat Jonathan uważa ją za pomyloną.

- Krzyknęła jego nazwisko? - powtórzył i zabrzmiało to tak, jakby nic, co robią Cyganie, nie było w stanie go zdziwić. - Ale niech pani nie mówi, że dlatego wkradła się pani na statek. Albo że Cyganka wywróżyła pani długą podróż po wodzie.

- Dobrze. Nie powiem.

Uśmiechnął się. W ciemnościach błysnęły zęby. Odwrócił się w stronę pałacu. Skorzystała z okazji, by przestudiować jego profil. Przyglądanie się wyrazistym rysom jego twarzy, niepodobnej do innych, sprawiało jej dziwnie bolesną przyjemność.

Co się ze mną dzieje? Czują się, jakby ktoś przypiął jej do ramion skrzydła, lecz nie udzielił lekcji latania.

- Dobry człowiek z tego Lavaya - przyznał po chwili hrabia.

- Powiedział mi, że wygrał go pan w karty.

- A powiedział, dlaczego grał zbyt ostro? - Jakby już kiedyś słyszał tę opowieść.

- Powiedział, że bohatersko pan go uratował.

- Podczas wojny jego rodzina straciła pieniądze i znaczną część ziem. Jak pani wie, w czasie rewolucji nie bardzo lubiano arystokratów. Był zrozpaczony i za ostro zagrał, ponieważ musiał zaopiekować się matką i siostrą - zapewnić siostrze posag. Dzięki niemu dobrze wyszła za męża. Dobry człowiek ten Lavay. Bardzo dobry. Otacza opieką rodzinę. Dbą o swoich.

Pomyślała sobie, że znów przygania kocioł garnkowi. Czemu ją zapytał o Lavaya?

Czy hrabia sonduje, co Violet sądzi o Lavayu? A może chce go z nią wyswatać?

Milczała. Już i tak za dużo powiedziała o Lavayu.

Flint wyciągnął rękę i od niechcienia ułamał jedną gałązkę jaśminu obsypaną kwiatami, a potem podniósł ją na wysokość oczu i przyglądał się kwiatom, jakby chciał się przekonać, czy są tego samego koloru, co księżyc, albo zastanawiał się, gdzie ją zawiesić na niebie pośród gwiazd.

- Dlaczego ludzie nie są tacy jak kwiaty? - rozważała na głos. - Kwiaty w ciepłe roztaczają cudowną woń. Ludzie zaś, kiedy się zgrzeją, po prostu śmierdzą.

- Oto głębokie myśli panny Redmond. Chyba nie chce pani obrażać mojej ciężko pracującej załogi? Na to nie pozwalam! - droczył się. - Ludzie zawsze śmierdzą. Niech pani zapyta swojego brata Milesa, tego badacza. Być może wyjaśniłby pani ów fenomen.

~ Być może. - Ale Miles powiedziałby jej też, że zwariowała, i zabrał do domu. Jak nieposłuszne zwierzątko domowe, za które zawsze ją w rodzinie uważano.

- Sądzi pani, że pani brat Lyon naprawdę kocha pannę Oliwię Eversea? Albo kochał? Że opuścił dom, by się za coś zemścić?

Ciekawe pytania. To dlatego chciał się dowiedzieć, co ona myśli o miłości. Poczwała, że jej skrzydła opadły.

Zawahała się, z przyjemnością przeciągając palcami po gładkim, ciepłym kamieniu ławki, ale zdecydowała się to powiedzieć.

- Wyznam coś, czego nigdy nikomu nie mówiłam.

- Zabiła pani człowieka!

- Niech mnie pan nie prowokuje, kapitanie. Otóż... Olivia Eversea to... osoba z wielką pasją angażująca się w słuszne sprawy. Na przykład działa w towarzystwie zwalczającym niewolnictwo. Mówił pan dziś wieczór o niewolnikach... ona wie o tym więcej niż ktokolwiek z was. Jest bardzo ładna... no wie pan. jak na rodzinę Eversea. - Pociągnęła nosem. - I nie mam wątpliwości, że złamała Lyonowi serce. Powiedziała coś, przez co wyjechał. Wiem, że tak było. Tyle że choć jestem na Lyona strasznie zła za jego wyjazd, sądzę, że obwinianie o to Ohvii jest dla nas, Redmondów, tylko pretekstem... Wolimy w to wierzyć, zamiast przyznać, że opuścił rodzinę, bo przerażało go, że to na nim spoczywa ciężar dziedzictwa. To, co mówię, jest okrutne, ale nie chcę się okłamywać.

- Uważa pani, że to prawdziwy powód?

- Nie wiem. Któż nie chciałby przyjąć dziedzictwa? Czemu się znów uśmiechnął, słysząc te słowa?

- Szkoda, że pani nie jest synem.

Skinęła głową, jakby to stwierdzenie było oczywistością.

- Widzi pan, w mojej rodzinie Miles zawsze się wszystkimi opiekował, Jonathan przejmie po ojcu interesy, a ja, no cóż, po prostu

jestem. Lyon zaś, najstarszy syn, był dziedzicem. Wiele się po nim spodziewano. Był idealnym synem, takim, jakiego może sobie życzyć każdy ojciec. A jemu to odpowiadało - uwielbiał być w centrum uwagi, być we wszystkim najlepszym. Przystojny, czarujący, wesoły, i cholernie arogancki. Byliśmy z niego bardzo dumni. Ale miłość doprowadziła go do zguby, zniszczyła go - powiedziała ponuro.

- Zniszczyła - powtórzył z patosem, przedrzeźniając ją. - Istny melodramat. Skąd pani wie, że jest zgubiony? Może Lyon jest szczęśliwy? Może odnalazł swoje powołanie w tym, co teraz robi, a co zwie się piractwem? I to wszystko przez miłość!

Prychnęła, choć prychnie nie przystoi eleganckiej damie.

- Może pani opinia o Lyonie bierze się tylko z tego, że sama nigdy pani nie była zakochana, panno Redmond? Gwałtownie podniosła wzrok.

- Skąd pan wie?

- A była pani?

Wyraźnie w to wątpił. Wolałaby, żeby miał o niej inne zdanie. Wolałaby, by się mylił.

Wolałaby w ogóle nie rozmawiać o miłości, chyba że potrafiłby dać odpowiedź na jej pytania o miłość, które naprawdę ją dręczyły.

- Nie - odpowiedziała, starając się, aby nie zabrzmiało to tak, jakby się broniła. - Z pewnością kocham rodzinę. Rodzina dla mnie bardzo wiele znaczy. Ale mam trudny charakter, więc znalezienie dla mnie odpowiedniego kandydata to niełatwe zadanie.

- Cóż za zawiły i elegancki sposób powiedzenia, że umie pani ludziom zająć za skórę, panno Redmond. - Był nie do zniesienia rozbawiony.

Wzruszyła ramionami.

- A jednak zdarza się, że ludzie pobierają się bez miłości - odparła. - Z przywiązania, obowiązku, dla wygody albo przypadkiem. Może jest rozsądniej nie pozwolić na decydowanie o wyborze przyszłego męża lub przyszłej żony tym, którzy są na tyle nierozsądni, żeby się zakochać. Może miłość to choroba albo jakieś zaburzenie umysłowe, więc ci, którzy są zdrowi na umyśle, unikają jej.

Westchnął, zadowolony, i oparł się o murek. Obracał w palcach zerwaną gałązkę jaśminu. W tę i z powrotem. I jeszcze raz. Wyglą-

dał jak człowiek delektujący się rzadkimi chwilami spokoju, a nie jak ktoś, kto ściga przestępcę. Udzielił jej się ten spokój.

- Traktowanie mężczyzn jak zwierzątka domowe lub służących - rzekł w zadumie - to znakomity sposób na trzymanie ich na dystans.

Znieruchomiała, równie zszokowana, jakby podszedł do niej i po-stukał palcem.

Wpatrywała się w niego bezradnie.

Nie wiedziała, gdzie leży prawda. Umiała tylko sprytnie wokół niej krążyć.

Ale przy tym mężczyźnie zawsze brakowało jej słów.

- Miłość panią przeraża - stwierdził. Wypowiedział to powoli, niskim, stłumionym głosem. Jakby doznał objawienia.

- Przyganiał kocioł garnkowi - odparła. Jej głos brzmiał podobnie. Gałązka jaśminu przestała się obracać.

Natychmiast pożałowała tych słów. Uraziła go, choć wcale nie miała zamiaru.

Zadziwiająco, że tak jej przykro, że jemu jest przykro.

- Palnęłam głupstwo - poprawiła się natychmiast, wybuchając urywanym śmiechem, aby ratować oboje przed niewygodną prawdą. - Przecież kocha pan Fatimę, na swój sposób?

Potrzebował chwili, aby odzyskać równowagę po zderzeniu się z obopólną szczerością. Przechylił do tyłu głowę i w ciszy badawczo jej się przyglądał.

- A wie pani, że ona uznałaby imię Violet za egzotyczne? - Wydawał się rozbawiony.

- I po cóż mi to pan mówi?

- Bo tak dziwnie pani wymawia imię Fatimy. Jakby było tak egzotyczne, że pani usta nie są zdolne go wypowiedzieć.

A wiem na pewno, że nie sprawia to pani trudności. W jej kraju to bardzo popularne imię. Jak Anna w pani kraju.

Poruszyła się nerwowo, nieprzyjemnie zaskoczona.

- Kocha ją pan?

Pytanie padło. Ale ona nie chce znać odpowiedzi. Och, co za wierutne kłamstwo. Rozpaczliwie chce ją znać. Ależ nie. Nie chce. Jaką kobietę wybiera mężczyzna jego pokroju? Czy wybrał Fatimę, ponieważ nie urodził się dżentelmenem i swobodniej czuje się z kimś, kto jest równie egzotyczny, jak on sam?

A może on naprawdę się boi miłości? Mężczyzna bez rodziny, bez przyjaciół. Dlaczego nie miałby się bać miłości, skoro kiedyś został porzucony?

- Moim zdaniem lojalność jest znacznie ważniejsza niż miłość - powiedział bardzo oficjalnie. - Nigdy nie znałem wierniejszej kobiety.

- Wierna. Ależ to romantyczne.

- Przyganiał kocioł garnkowi - stwierdził.

Lekko uniosła głowę, przyznając, że zasłużyła na przytyk, a potem ją z powagą opuściła. Podobnie się zachowują wymieniający poglądy prawnicy.

- A poza tym Fatima ma jeszcze inne talenty - dodał.

- O tak. Jestem pewna, że znakomicie umie pracować. Odpowiedzią był szelmowski uśmiech, który błysnął w ciemności. Ta uwaga mu się spodobała.

Nic nie powiedziała. Przyglądała się, jak obraca w palcach gałązkę. Uspiał jej czujność swoim spokojem, kaprysem potężnego mężczyzny, któremu, przynajmniej w tym momencie, sprawia przyjemność stanie w tym miejscu, w którym właśnie stoi.

- Nie rozumiem, dlaczego wyżej pan ceni lojalność. Czy jedno nie wynika z drugiego? Miłość i lojalność? - zapytała.

- Nie. Załoga jest wobec mnie lojalna, ale nie sądzę, aby poza dwoma lub trzema któryś z nich mnie kochał.

Roześmiała się. Zobaczyła, że i on się uśmiecha, i żałowała, że nie stoi jeszcze bliżej niej, bo chciałaby zobaczyć dołeczek w jego policzku.

- Rathskill na pewno nie.

- Na pewno. Przecież to przez niego znalazła się pani na moim statku.

- A ja jestem utrapieniem.

- Pani to powiedziała, panno Redmond.

- A pan to fircyk w zalotach.

- Zdecydowanie nie zwierzątko domowe - stwierdził grobowym głosem.

Zbyt często się uśmiecham, pomyślała, gdy on jest blisko mnie. A on, gdy jest ze mną. Nagle poczuła, że unosi się nad ziemią, jak księżyc, i jak księżyc świeci łagodnym światłem. Niebezpiecznie, rozkosznie uwolniona z wszelkich więzów.

Wachlowała się tylko po to, żeby czymś zająć ręce. Czują, jak między piersiami spływa jej kropelka potu, a ona, niestety, nie ma teraz służącej, która by wywabiła plamę z jedwabiu sukni.

- No dobrze - powiedziała po chwili. - Oto, dlaczego uważam, że miłość i lojalność są tym samym. Człowiek gotów jest oddać życie za drugiego człowieka zarówno z miłości, jak i z lojalności. Ale lojalność zakłada, że komuś podlegamy, prawda? Lojalne są na przykład psy. Albo że komuś coś zawdzięczamy. Lojalni są służący.

- Zakłada również uczciwość. I honor. I...

- Wierność - dokończyła, z bardzo niewielką domieszką ironii.

- Więc dla pani oba pojęcia są tożsame, panno Redmond? Miłość oznacza gotowość oddania za kogoś życia, lojalność zatem - to samo?

- Jak może być inaczej? Zamilkł.

Nie wiedziała, czy jej się badawczo przygląda. Jeśli się przygląda, to na pewno podobnie jak Miles, obserwujący jakiś interesujący obiekt, by wyciągnąć właściwe wnioski. A może, mimo wszystko, ją podziwia?

- Kapitanie Flint - zaczęła. - Jedno musi pan wiedzieć. Zrobię wszystko, dla mojej rodziny. Przed niczym się nie cofnę. Uczynię, co w mojej mocy, aby nie schwytał pan Lyona. I nigdy nie wybaczę nikomu, kto skrzywdzi kogoś, kogo kocham.

- A więc ludzie, których pani kocha, to szczęściarze - powiedział cicho. Była zdumiona. - I uważam, że dobrze się składa, iż kobiety nie chodzą uzbrojone. Zwłaszcza pani.

Odczekała strategiczną chwilę.

- Przynajmniej w tradycyjną broń - rzekła powoli. Przeciągnęła się leniwie, jak kot, i oparła na ławce. Z przechyloną do tyłu głową rozkoszowała się opływającym jej obnażony dekolt ciepłym, wonnym powietrzem. Prężyla ciało o jasnej, w kolorze kości słoniowej skórze, w pełni świadoma, że szczyty jej piersi, którym tak się wcześniej przyglądał, zapraszająco wychylają się ze stanika, a jedwabście gładkie ramiona nęcą mężczyznę, nawet takiego, który przyzwyczał się do egzotycznych wdzięków ciemnoskórej kochanki. Wiedziała, że mając po temu okazję, żaden mężczyzna, w którego żyłach płynie krew, a nie woda, nie oprze się pokusie napawania oczu jej urodą.

W jego żyłach płynęła krew. Wiedziała, że nie może oderwać od niej wzroku.

- Niech pani uważa, jak się pani tak przeciąga, panno Redmond. Może pani sobie zburzyć fryzurę. - Głos miał lekko ochrypły.

Znalazła jakiś zabłąkany kosmyk włosów i wsunęła go za ucho, a potem wyprostowała się, prawie instynktownie.

Jak żołnierz, którego dowódcą jest samo życie.

Odpowiedział uśmiechem. A potem odsunął się od zacienionego murku, powoli do niej podszedł i usiadł obok niej na ławce.

Zaparło jej dech w piersiach. Niemądrze było wodzić go na pokuszenie.

Nie sądziła, żeby cokolwiek robił bez rozmysłu. Był świadomy swojej siły i rozmiarów ciała, i wiedział, jak się nimi posłużyć. Usiadł w nakazanej przez dobre wychowanie odległości od niej, ale ich uda dzieliły zaledwie centymetry.

Widząc jego ogromną postać tak blisko siebie, uprzytomniła sobie, że nie jest człowiekiem w pełni cywilizowanym.

Zaczęła się zastanawiać, jak długo będzie się opierał pokusie, zanim po prostu weźmie to, na co ma ochotę.

Dłuższe utrzymywanie swobodnej pozy wymagało od niej niemało odwagi i całkiem sporego wysiłku.

Przestała się więc wysilać i położyła dłonie na kolanach, by odpocząć.

Ale teraz on przechylił się do tyłu i oparł ręce na kolanach. Dłonie miał lekko splecione, a w palcach nadal trzymał gałązkę jaśminu.

- Rozumie więc pani powody, dla których nic mnie nie powstrzyma, by postawić Le Chata przed obliczem sprawiedliwości. Lojalność. Honor. Dług wdzięczności. Wobec kapitana Morehearta. Ja też nie wybaczę nikomu jego śmierci.

Nie było w tych słowach ani groźby, ani melodramatyzmu. Tylko spokojne, niezbite przekonanie o słuszności własnego postępowania. Pewnie zrobiłoby na niej ogromne wrażenie, gdyby nie fakt, że mówił o Lyonie. A poza tym w jego głosie brzmiało coś w rodzaju przeprosin.

Nie miał wątpliwości, że uda mu się w końcu schwytać Le Chata.

Ani też, co ona będzie wtedy czuła.

Taki spokój panuje dokoła. A jednak zmroził ją strach. I przejął ogromny, gorzko-słodki żal.

Wdychała pachnące kwiatami nocne powietrze, ogarnięta strachem o Lyona, o to, że jest bezsilna w sytuacji, w jakiej się teraz

znalazia, grożącej aż nazbyt realnym niebezpieczeństwem. Bała się ambiwalentnych i całkiem dla niej nowych uczuć, które w niej wzbudzał ten mężczyzna.

Nie mogła pozwolić, by opanował ją strach. Leciutko uniosła brodę.

- Rozumiem - powiedziała cicho.

Spojrzał w stronę prostokąta światła, - tam, gdzie byli goście, wśród których znalazł się, na szczęście, jeden człowiek doskonale wychowany i opanowany - Lavay. Na pewno roztaczał teraz przed wszystkimi swój zniewalający czar, rozpływał się w przeprosinach i łagodził sprawę.

- Co powiedziało pani to dziecko?

Gwałtownie obróciła głowę w jego kierunku. Serce zaczęło walić w jej piersiach jak oszalałe.

- Już panu powiedziałam. Nazwał mnie mamą i wygadywał podobne głupstwa.

Przyglądał jej się w milczeniu.

- Nie mówi mi pani wszystkiego, panno Redmond - zauważył. W jego głosie brzmiał przepraszający ton.

Za to, że znowu będzie musiał być wobec niej bezlitosny. Nagle oddychanie zaczęło jej sprawiać trudność.

- Dlaczego pan tak twierdzi?

- Bo była pani taka... - wziął głęboki wdech, a potem, w długim wydechu, szukał odpowiedniego słowa - ...taka szczęśliwa.

Spojrzała na niego, zdziwiona.

Powiedział to takim tonem, jakby stał się świadkiem niezwyklego, wspaniałego zjawiska przyrodniczego, czegoś w rodzaju spadającej gwiazdy.

- Szkoda, że nie widziała pani swojej twarzy. - Wskazał na księżyc. - Promieniowała pani, panno Redmond, każdy by to zauważył.

Odwróciła od niego wzrok i wpatrywała się w swoje kolana. Wreszcie wzięła długi wdech, od którego aż zadygotała. Oczy piekły ją od powstrzymywanych łez. Nie była pewna, dlaczego chce jej się płakać. Ale wiedziała, że to, jak jej błyszczą oczy, nie ukryje się przed jego wzrokiem.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałem - stwierdził cicho. Z zadumą. Ale także z dziwnym przejęciem.



Nadal bacznie jej się przyglądał, ale ona nie była w stanie spojrzeć na niego.

- Przysłał pani wiadomość, prawda? Przez to dziecko?

Wciąż nie miała odwagi odpowiedzieć. I wiedziała, że jej milczenie jest odpowiedzią, ale nie mogła zaufać swemu głosowi, że nie zdrzy.

- Hardesty to pani brat? - zapytał cicho. Patrzył nie na nią, ale w stronę pałacu. Ręce miał złożone, a między palcami nadal trzymał jaśmin.

Gdyby powiedziała „nie”, mógłby ją odesłać do domu. Chciała odnaleźć brata. A jednocześnie czuła się jak zdrajczynie zarówno wobec hrabiego, jak i wobec Lyona.

Nagle ogarnęła ją chęć, aby powiedzieć temu mężczyźnie wszystko, co się tego wieczoru wydarzyło. Zastanawiała się, czy on to wyczuł i czy nie wykorzysta tego do własnych celów.

Co za okrutna ironia losu: ze wszystkich ludzi, których zna, tylko jemu może zaufać, że pomoże jej odnaleźć brata. Ten człowiek był zdolny do wszystkiego.

Więc w końcu wyjawiała mu prawdę.

- Chyba tak - potwierdziła półszepem.

Chwilę się zastanawiał. Zaciśnął usta. Potem skinął głową.

- Wie pani, dokąd teraz chce płynąć?

Wiedziała, że jeśli kiedykolwiek chce zobaczyć Lyona, musi mu powiedzieć.

- Wydaje mi się, że do Brestu. - Głos lekko jej się załamał.

- Czy chce zniszczyć „Caridad”? - To powiedział szybciej, bardziej gwałtownie.

- Nie wiem - szepnęła. - Naprawdę. Przysięgam. I proszę mnie nie pytać, skąd mam informacje, bo panu nie powiem. Znów skinął głową. Przez chwilę po prostu siedzieli obok siebie w ciszy. Potem odwrócił się, żeby na nią spojrzeć, a ona na niego.

Nagle pochylił się do przodu. Najpierw pomyślała, że chce wstać. Ale on się zawahał. Serce w niej zamarło.

Czy teraz... czy on zamierza...

Wolno, z wahaniem podniósł rękę. Leciutko, powoli przeciągnął gałązką kwiatów jaśminu po jej brodzie.

Wlepiła w niego wzrok, oszołomiona. Czuła kwiaty na całej skórze, jakby obsypał ją rozżarzonymi węgielkami.

Lekko przymknęła

oczy, gdyż wzbierała w niej nieznana, dzika, fizyczna tęsknota, której siła prawie pozbawiła ją oddechu.

„Mogę panią posiąść, kiedy zechcę, panno Redmond”. Te słowa nieustannie dźwięczały w jej głowie. Prawie cała jego twarz kryła się teraz w cieniu, ale widziała, że kąciki ust wygięły mu się lekko do góry. Ale ręce znowu miał na kolanach, a gałązka jaśminu kołysała się w palcach.

- Nie mogłem się powstrzymać - powiedział cicho. - Tak dumnie uniosła pani brodę. Wyglądała jak róg żagla.

Nie byłaby w stanie wydusić z siebie słowa, nawet gdyby z rosnącego przed nią drzewa nagle spuścił się Lyon i krzyknął: „Ahoj!” Przyglądali się sobie w całkowitej ciszy.

Rozpaczliwie zapragnęła poczuć pod palcami swoją brodę. Poczuc to, co on. Zapragnęła też przeciągnąć palcami po jego twardej, jak wyrzeźbionej w kamieniu szczęce.

Zobaczyła, że dłoń naprawdę jej się nieco uniosła, wysoko nad kolanem, więc ją opuściła.

Popatrzyła na nią i nagle pięć obleczonych w rękawiczki palców upodobniło się do płatków jaśminu.

- No cóż. Musimy pożegnać się z gospodarzami i wrócić na statek, jeśli chcemy dogonić pana Hardesty'ego w Breście. Ciekawe, czy „Olivia” podniosła kotwicę, gdy jedliśmy kolację.

Z pełną gracją lekkością podniósł się z ławki i podał rękę, aby pomóc jej wstać.

Wzięła ją. W jego dłoni jej drobna piastka prawie ginęła. Nagle zmieszała się. Poczowała się... onieśmielona.

Jeszcze nigdy w życiu nie była onieśmielona.

Przytrzymał jej dłoń, patrząc, zdziwiony, na obie te dłonie, męską i damską, tak się różniące. Zmarszczył lekko brwi i z komiczną wręcz szybkością ją oswobodził.

Oczy mu się rozszerzyły. Widziała to w ciemnościach. Odwrócił się od niej i wyprostował plecy.

Dużymi krokami ruszył w stronę pałacu.

Poszła za nim. Jeszcze tylko ostatni raz rzuciła przez ramię spojrzenie na fontannę.

### 13

Violet obudziła się o nieludzko wczesnej porze, gdyż ktoś głośno stukał w drzwi kajuty.

Niezgrabnie zwlekła się z pryczy. Miała uczucie, że spała w maglu. Mocniej naciągnęła na siebie koszulę nocną, niepewnym jeszcze krokiem podeszła do drzwi i odrobinę je uchyliła..

- Dzień dobry, panno Redmond - odezwał się jak zwykle wesołym głosem Greeber. - Dostała pani robotę. Będzie pani pomocnicą kucharza.

Sądząc po brzmieniu jego głosu, została nobilitowana. Pomocnicą kucharza? Czyli ma robić to, co ostatnio Rathskill?

- Mam być... przepraszam pana? - Przetarła oczy. Rozejrzała się w nadziei, że przyniósł kawę albo herbatę. Tęsknie pociągnęła nosem.

- Kiedy odszedł Rathskill, zostaliśmy bez pomocnika kucharza, a skoro pani jest kobietą...

Natychmiast się rozbudziła.

- Na miłość boską, to nie znaczy, że umiem gotować.

- Kapitan uważał, że świetnie pani się do tego nada.

Kapitan uważał! Więc z wdzięczności za to, że się za nim wczoraj ujęła, zagania ją do pracy?

Mało ją obchodzi, kim on jest. Ona jest z Redmondów. Greeber zrozumiał, co ona sądzi o poleceniu kapitana.

- Nie będzie pani musiała gotować - zapewnił. - Głównie chodzi o przygotowanie składników. I wrzucanie ich do garnka. Hercules wolałby przyrządzać coś bardziej wymyślnego, ale w końcu jesteśmy tylko na statku. Przeważnie trzeba wrzucać coś do garnka, mieszać i wydłubywać żuki i robaki. Takie tam. Będzie pani wybierała, co nadaje się do jedzenia, a co trzeba wyrzucić, bo zjadły to już żuczki. Ale w Londynie załadowaliśmy świeże zapasy, więc na razie nie powinno być kłopotów z robakami.

- Robaki? - Absolutnie nie miała ochoty być osobą, która wydłubuje z jedzenia robale.

- Mamy też warzywa, bo to krótka trasa - dodał wesoło. - Trzeba je obierać. Kapitan może nawet kazać zarznąć jedną z krów, bo za dużo piją. Byłaby świeża wołowina! - krzyknął z radością.

Krowy? To dlatego na pokładzie słyszała muczenie.

- A... ale ja...

- No i miałem jeszcze zapytać, czy umie pani szyć?

- Oczywiście, że umiem! - Sama nie wiedziała, dlaczego tak ochoczo przyznaje się do tej umiejętności. Szyć też niekoniecznie chciała. Od razu wyobraziła sobie, jak siedzi wśród sterty brudnych, podartych spodni, koszul i bielizny marynarzy.

Ale gdyby ktoś dał jej wybór między robakami a spodniami, wybierze spodnie.

Rozpromienił się.

- A więc może też pani zszywać żagle. Wszyscy szyjemy, panno Redmond. O to dbać trzeba bez ustanku! Żagle są bardzo ważne.

Ogarniała ją coraz większa rozpacz.

- Ale ja... przeważnie wyszywałam tylko inicjały na chusteczkach, kwiatki i takie tam rzeczy.

- Zapytam kapitana, czy pozwoli pani wyszyć na żaglach parę kwiatków, a może jego inicjały. Żeby pani sprawić przyjemność. Chyba nie będzie miał nic przeciwko temu. Kwiatki mogą nawet ładnie wyglądać na żaglu - rozważał wesoło. - Wspaniale czuć na statku kobiecą rękę.

Violet patrzyła na niego z bezsilną złością. On na nią zerkał z uwielbieniem.

Zamrugła zalotnie, szykując się do wyperswadowania mu tego pomysłu.

Chyba to go lekko przerażyło. Miał odwagę tylko na nią patrzeć. Na samą myśl o flircie drżał ze strachu.

- Poczekam tu na zewnątrz. Proszę włożyć suknię, którą można trochę zabrudzić, to zabiorę panią do Herculesa.

- Nie mam sukni do zabrudzenia - zaprotestowała.

- Niech się pani nie boi - uspokoił ją. - Hercules znajdzie dla pani fartuch. Nie chciałaby pani przecież mieć plam z wołowiny. Wszystkie pani suknie są takie piękne.

- Panie Greeber, dokąd teraz płyniemy?

- „Fortuna” płynie chyba do Brestu. - Mówiąc to, spojrział na sufit, kierując wzrok jak najdalej od jej piersi. - A my zaraz pójdziemy do kambuza, czyli naszej kuchni.

Zamknęła drzwi, przeklęła hrabiego i zaczęła się zastanawiać, która z jej sukni najmniej ucierpi, jeśli ją zabrudzi wołowina.

- Ja? Przyrowadzasz mi kogoś takiego? - Hercules wytrzeszczył oczy z niedowierzaniem.

Obejrzał ją od stóp do głów i twarz zmarszczyła mu się z przerażenia na widok szczupłej, bladej, wypiełgnowanej arystokratki.

- I co ja mam zrobić z czymś takim?

Z rozpaczy plasnął się dłońmi po obu stronach głowy, a potem nią pokręcił, jakby chciał ją zdjąć z tułowia i z rozpaczy wyrzucić za burtę. Był małym, przysadzistym człowiekiem, z szerokim torsem i ogromnymi dłońmi, całkiem przystojnym, o typowo greckich rysach.

- Rozkaz kapitana, Herculesie. Panna Redmond ma być pomocnicą kucharza.

Hercules rzucił wiązaną greckich przekleństw, a potem teatralnie westchnął.

Prawdę mówiąc, ciekawie było patrzeć, jak posłusznie marynarze wykonują rozkazy kapitana, nawet jeśli wcale im się nie podobają.

- Proszę pokazać mi ręce, panno Redmond.

Powoli wyciągnęła ręce, podejrzliwie przyglądając się tasakom ułożonym na długich stołach z grubymi blatami, które dla ułatwienia pracy ustawiono w literę L.

Chociaż pokrzykiwał głośno i dosadnie, dłonie Violet ujął nadzwyczaj delikatnie.

Przyjrzał się im od góry i od dołu, jakby to były kotlety, które ogląda przed kupnem. Podniósł każdą z nich po kolei i spod przymkniętych powiek przyjrzał się czubkom jej palców.

Greeber wiercił się, zdjęty zazdrością.

- Może chcesz wiedzieć, co ja o nich myślę - zaproponował. Nachylił się, by przyrzeć się dłoniom Violet.

Hercules zgromił go wzrokiem i odgonił gestem dłoni. Potem odsunął raptownym ruchem dłonie Violet.

- Do niczego! Miękkie jak masło, jak delikatna kozła skóra. Te ręce są bezużyteczne.

- Miękkie, mięk... - powtórzył Greeber, lekko się zacinając, jakby zakręciło mu się w głowie. - A może i mnie pozwoli pani je obejrzeć, panno Redmond? - Z nadzieją wyciągnął ręce w jej stronę.

Violet schowała dłonie za siebie i nieufnie popatrzyła na obu mężczyzn.

- To dłonie damy, panie Herculesie - poinformowała chłodno. Uniosła brwi, Hercules również. Miał najczarniejsze, najgrubsze

brwi, jakie kiedykolwiek widziała, i nos w kształcie okazałego ziemniaka, a szerokie, aroganckie usta ułożył w wielki, nieżyczliwy grymas niezadowolenia.

Zmierzyli się nawzajem pogardliwym wzrokiem.

- I co? Co potrafią te pani ręce? Machać wachlarzami? - Złączył kciuki i zamachał rozczapierzonymi palcami obu dłoni pod brodą, jakby się wachlował. - Pociągać za dzwonki, żeby wezwać służbę? - Tę scenę także odegrał: mocno pociągnął za coś niewidzialnego.

- Tak - zgodziła się spokojnie. - To wszystko, co potrafią. Przerwał. Potem spojrział na nią, zmrużywszy oczy.

A niech to. Jest bardziej inteligentny, niż jej się wydawało.

- Na statku każdy pracuje albo jest balastem, który wyrzucamy za burtę - stwierdził uszczypliwie.

Znów popatrzyli na siebie lodowatym wzrokiem. Musiał mocno wyciągać szyję, żeby spojrzeć jej w oczy. Czapka spadała mu ze spoczonej, łysej głowy, bo nie miała się na czym trzymać.

Greeber, wyraźnie zmartwiony, wodził oczami od jednego do drugiego.

- No tak! I dobrze! Jestem nieuprzejmy! Bardzo nieuprzejmy! - przyznał Hercules, wcale za to nie przepaszając. - Ale ciężko pracuję, muszę nakarmić załogę i nie zamierzam zawracać sobie głowy księżniczką, niemającą pojęcia o życiu. Rathskill był nieudacznikiem, o mało nie poodcinał sobie palców, rozlewał zupę, a teraz pani! Na pewno utnie pani sobie te miękkie białe paluszki tasakiem, chłopaki znajdą je w zupie i będą zażalenia. - Odkreślił się w stronę Greebe-ra. - Hej ty! - zapytał z nadzieją w głosie - Ty umiesz obierać ziemniaki. Pomożesz?

Był tak zdesperowany, że Violet zrobiło się go żal.

- Ja jestem pomocnikiem kwatermistrza, Herculesie. Przepraszam. Daj dziewczynie szansę. Rozkaz kapitana. A on głupi nie jest.

Podstępny łobuz, ale nie głupiec, z goryczą przyznała w myślach Violet. Wszystkie sprzeczne uczucia związane z kapitanem zlały się w jedno - w urazę.

- Gdyby to ode mnie zależało, panno Redmond, to naprawdę cały dzień bym panią nosił w lektyce i karmił specjalami - szczerze wyznał Greeber. Każdy z jego piegów potwierdzał te słowa.

O Boże. Ciekawe, co Greeber czyta w wolnym czasie albo z kim gawędzi.

- Hm... Dziękuję, panie Greeber.

- To rozkaz kapitana.

- A gdyby kapitan kazał panu skoczyć z dziobu statku do morza? - zapytała zgryźliwie.

- Tobym się zamoczył - powiedział wesoło. - No to idę, bo wytarga mnie za uszy, że nie pilnuję roboty! Życzę szczęścia. Mam nadzieję, że nie trafi pani do chirurga, panno Redmond.

I poszedł.

Zostawił Violet i Herculesa, przypatrujących się sobie w irytującej ciszy.

Palce nadal miała splecione za plecami, jakby się bała, że Hercules chwyci je i zacznie nimi coś robić bez jej pozwolenia. Rozejrzała się. W kambuzie znajdowała się podłużna kuchnia. Stół na żelaznych nogach miał gruby, poszczerbiony i poplamiony blat, gdyż cięto na nim niezliczone ilości ziemniaków i warzyw oraz mięsa, no i te kamienne suchary. Było tu gorąco i duszno i pachniało posiłkami dla marynarzy, które przygotowywano tam od lat.

Nie był to odrażający zapach. Tylko mocny, przytłaczający.

Z tyłu, przy ścianie, opierały się o siebie jak pijane worki z ziarnem. Były też pojemniki pełne ziemniaków i cebuli, chyba zrobione z rozłupanych beczek. Stało tam także kilka dużych beczek, na których widniały czarne stemple: na jednych „wołowina”, na innych „kapusta”. Na kuchni w ogromnych garach coś się gotowało. Podejrzewała, że przeważnie Hercules przyrządzał jakiś rodzaj zupy, ponieważ zawsze posiłki podawano w miskach.

Społo wiedziała o zarządzaniu dużym domem, bo matka uczyła ją, jak dysponować służbą i dbać o zapasy jada. Ale potrawy zazwyczaj pojawiały się na stole jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Przygotowywała je ich humorzasta kucharka - może wszyscy kucharze są tacy. Pewnie dlatego, że ciągle stoją przy kuchni albo palenisku.

Do jadalni jedzenie wnosili lokaje.

Nie wiedziała, od czego zacząć.

- To bardzo dobra kuchnia - zaryzykowała.

O kuchniach nie wiedziała absolutnie nic. Ale znała się trochę na ludziach i ich dziwactwach oraz na maszynach. Nie miała wątpliwości, że Hercules to dziwak.

Przyjrzał jej się podejrzliwie.

- To prawda. Lamb i Nicholson. Trzy palniki! Mięso i ziemniaki można gotować oddzielnie!

- Całe szczęście!

Nie miała najmniejszego pojęcia, dlaczego to takie niezwykle udogodnienie.

Jej zainteresowanie kuchnią nieco go udobruchało. Już nie był taki czerwony na twarzy i choć choleryk z charakteru, trochę się uspokoił.

- I można na niej destylować wodę. Cztery galony na raz!

- Jeszcze lepiej! - ucieszyła się.

Dłuższą chwilę na nią patrzył i całkiem się rozchmurzył. Sięgnął do beczki, wyciągnął coś okropnie wilgotnego, głośno plasnął tym o deskę i zaczął kroić na mniejsze kawałki. Mięso na gulasz. Skrzywiła się, gdyż bryzgało na wszystkie strony.

- Naprawdę nazywa się pan Hercules? - zapytała ostrożnie.

- Nie. Mówią na mnie Hercules, bo jestem niepokaźny, a oni są dowcipnisie - wyjaśnił rzeczowo. - Niepokaźny, ale nerwus. - Uśmiechnął się do niej. Miał wszystkie zęby, oprócz jednego u góry. Taki komplet uzębienia u marynarzy rzadko się spotykało, na ogół byli szczerbaci. - Moja żona na Cyprze nie narzeka na mnie - powiedział nieskromnie.

- Dlaczego nazywa się pani Violet? To znaczy przecież fiołek, a pani wcale nie jest mała jak ten kwiatusek.

Najwyraźniej Hercules nie miał zamiaru jej oczarować.

- Ponieważ pięknie pachnę...

Tasak zatrzymał się w połowie następnego walnięcia. Kucharz wlepił w nią wzrok. A potem wybuchnął gromkim śmiechem.

- To obieraj, kwiatuszku! - Gestem mokrej od mięsa dłoni wskazał pojemniki z ziemniakami i cebulą. - Obieraj!

Odrąbał kilka następnych kawałków wołowiny, nim zorientował się, że nadal się nie ruszyła.

- Czy pani... umie obierać ziemniaki? - zapytał z wahaniem. Słabym głosem. Jakby bał się usłyszeć odpowiedź, bo nie byłby w stanie znieść prawdy.



- Nie - przyznała.

Wymamrotał po grecku serię modlitw o siłę, a może epitetów albo inwektyw pod adresem jej rodziców, po czym westchnął teatralnie.

- Tak się to robi.

Z pojemnika wyłowił ziemniaka, wcisnął jej go do ręki, do drugiej włożył ostry nożyk, a potem stanął za nią w pozycji ogiera dobierającego się do kłaczy i bez żadnego skrepowania położył swoje dłonie na jej.

Tę scenę ujrzał hrabia, kiedy kilka sekund później wszedł do kam-buza.

Violet i Hercules zamarli. Biodra kucharza napierały na jej pośladki, a jego gorące palce ścisnęły jej palce.

Przez moment wszyscy troje gapili się na siebie w najwyższym zdumieniu.

- Nie chodzi o nic zwierzęcego - pospiesznie zapewniła Violet hrabiego słabym głosem.

- Przysłał mi pan panienkę, która nie umie obrać ziemniaka - dobiegł ją głos z tyłu.

Doprawdy, Hercules w każdej sytuacji potrafił dać wyraz zapiekłej urazie.

- Dlatego zaatakowałaś ją od tyłu, uprzednio wetknąwszy jej w rękę nóż, żeby walka była wyrównana? - zgadł hrabia.

Znała go dopiero od kilku dni, ale wiedziała, że chłodny, spokojny głos i wyprostowane sztywno plecy są oznaką niezadowolenia. Hercules też to wiedział.

- Pokazuję jej, jak obrać ziemniaki - bronił się. - Dlatego mam na niej rękę. O tak.

Nie tylko rękę, chciała powiedzieć. Wiedziała, że o tym samym myśli hrabia.

- To pomysłowa metoda - zapewniła hrabiego. Hercules nadal nie odrywał się od jej pośladków. Zdecydowała się wziąć stronę Herculesa, a nie hrabiego, ponieważ kucharz miał w ręku nóż, no i w końcu to hrabia wysłał ją do Herculesa. Do pracy. Szubrawiec.

- Pomysłowa? - To słowo zabrzmiało w ustach hrabiego jak „skorpion”.

Hrabia wyciągnął rękę.

- Dajcie mi tego ziemniaka. I nóż.

- Nie ma pan czym się martwić, kapitanie. - Hercules podał mu nóż, ale sam wyglądał na zmartwionego.

Violet oddała hrabiemu ziemniaka. Ważył ziemniaka i nóż w dłoniach.

- No pewnie, że nie mam - przytaknął trudnym do odgadnięcia tonem.

Kucharz i Violet przyglądali mu się nieufnie.

- Więc... jak jej to trzeba zademonstrować? Mam stanąć... o tak? Hercules odsunął się, a hrabia zajął jego miejsce za Violet. Chwilę się wahał.

Na krótko zapanowała niezręczna cisza.

- Mówiła, że pięknie pachnie - odezwał się Hercules. - Ale ja jej nie wahałem - dodał, jakby zachęcając hrabiego, aby sam się przekonał, czy mówiła prawdę.

Żałowała, że nie widzi twarzy hrabiego. Bo owiewał ją jego oddech. Na plecach czuła jego klatkę piersiową, unoszącą się i opadającą. Kołysała ją jak morze. Chciała zamknąć oczy.

Jakby we śnie, czuła jego ramiona powoli, nieodwołalnie obejmujące ją od tyłu. Były zadziwiająco twarde, a ich siła przerażająco oczywista. Pamiętała, jak zaledwie kilka dni temu jego palce zacisnęły się niczym kajdanki na jej ramieniu.

Teraz okazał się niezmiernie ostrożny. Delikatny. Poczowała się krucha - choć na pewno nie była kruchą istotą - i chroniona. Nie tak, jak chroniła ją rodzina, przez ściąganie wodzów, ale tak, jak chronią człowieka solidne budynki. Miał długie palce, zadziwiająco zgrabne. Ciepło jego ciała wzbudziło w niej pragnienie wsączenia się w niego, jak woda, która wsiąka w ziemię. Wzbraniała się przed tym pragnieniem jak przed narkotykiem podanym wbrew jej woli.

Milczeli tak długo, aż to milczenie stało się nieco krepujące.

Wreszcie się odezwał. Pięć cichych słów musnęło jej włosy.

- Proszę wziąć ziemniaka, panno Redmond. Czuła, jak głos wibruje w jego piersi.

- Och. - Powoli, bardzo powoli wyjęła ziemniaka spomiędzy jego palców. Był ciepły. Ogrzany ciepłem jego dłoni.

Hercules przyglądał się temu szeroko rozwartymi oczami. Stał bez ruchu, zafascynowany.

- Proszę wziąć nóż - polecił hrabia bardzo cicho.

Zawahała się, ale wzięła od niego krótki, ostry nożyk.

- A teraz ostrożnie. - Ostrzeżenie właściwie nie dotyczyło nożyka. Skierował je raczej do siebie samego, ponieważ jego naga dłoń powolnym ruchem objęła jej dłoń i całkowicie ją przykryła. Violet patrzyła na to z takim zdziwieniem, jakby jeszcze nigdy w życiu nie widziała niczyjej dłoni. Przez jej ciało przechodziły fale ciepła, rozchodzące się z miejsc, w których jego ciało stykało się z jej ciałem. Otoczona jego ramionami i dłońmi, nie mogła się powstrzymać przed wyobrażaniem sobie, jakby to było, gdyby objął ją całą.

Zrozumiała, co się między nimi rozgrywa. Następna partia szachów.

Zaczęła o północy w ogrodzie na pałacowym tarasie. Zamiast królowych i skoczków posługują się w niej kwiatami jaśminu, ziemniakami, wydekoltowaną suknią.

Jak się w tej grze wygrywa?

- Proszę nóż poprowadzić od siebie, o tak. - Powiedział to głosem cichym jak tchnienie i tak blisko jej uszu, że dostała gęsiej skórki, jakby usłyszała zupełnie inną instrukcję.

Powolnym ruchem prowadził jej rękę i wspólnie, z wielką precyzją, odkroili cieniutką niczym jedwab chusteczki, długą, skręconą spiralnie łupinę ziemniaczaną.

Jakby demonstrował jej, jak powoli, precyzyjnie przy najbliższej okazji będzie rozbierał ją do naga.

„Mogę panią posiąść, kiedy zechcę”.

Ale dlaczego nie pocałował jej w ogrodzie?

Wszyscy długo, w ciszy podziwiali łupinę. Idiotyczna sytuacja. Hercules stanął na palcach, żeby lepiej się obierze przyjrzeć.

Flint odchrząknął. Wyprostował się nagle. Odsunął się od Violet i zamrugał, jak wybudzony z lunatycznego snu somnambulik, zdziwiony, że znalazł się między ziemniakami.

Potem popatrzył na nią. Dziwnie, z lekkim wyrzutem. Oskarżycielko. Osądzające

- Każdy powinien czuć się potrzebny - oznajmił w końcu cicho. Nagle pokiwał głową, a potem odwrócił się i wyszedł z kambuza.

Hercules odwrócił się i badawczo przyglądał się Violet, zacisnąwszy usta i najeżywszy krzaczaste brwi.

- Teraz pani robi, a ja patrzę - rozkazał.

Ręce jej drżały. Oszołomienie bliskością hrabiego ustępowało wolno jak po laudanum, ale udało jej się samodzielnie zestrugać kawałek łupinki pod baczny wzrokiem Herculesa.

Westchnął i się odwrócił.

- Proszę obrać całego ziemniaka. Jeśli się pani zatnie, krew nie może dostać się do jedzenia.

Zabrał się do pracy. Znowu coś kroił i odmierzał ziarno do zmielenia, a Violet pracowicie obierała ziemniaka.

Wreszcie oznajmiła, że skończyła obieranie. Hercules koniecznie chciał sprawdzić, jak jej poszło. Był okropnie zawiedziony.

- Niech pani spojrzy. Więcej ucięła pani ziemniaka niż łupiny! No i proszę, ile go zostało! - Podniósł smętną resztkę warzywa. - Co się pani tak boi noża!

- Na pana miejscu nie zachęcałabym do tego, żeby nie bać się noża - powiedziała ponuro. Nie była przyzwyczajona, że ktoś ją krytykuje, i to w dodatku z powodu ziemniaków.

Wrócił do swojej pracy i zaczął śpiewać. Boże dopomóż. Znała tę melodię lepiej od innych. Piosenkę o Colinie Eversea, który uciekł spod szubienicy.

„Och, jeśliś kiedykolwiek myślał, że Colin Eversea zawisnął...”

Violet była z Redmondów i podobnie jak jej brat Miles ceniła precyzję i szczegół, choć rzadko kiedy miała okazję dać temu wyraz w czynnościach, którymi nie było haftowanie lub dbałość o swój wygląd. Naprawdę chciała być najlepsza we wszystkim, co robi. Drugiego ziemniaka obrała ze skórki cieniutko i dokładnie.

Hercules wziął go w dłonie i krytycznie obrócił na wszystkie strony, szukając dziury w całym.

- Doskonale - zawyrokował z zadowoleniem. - Teraz musi pani obierać szybciej. Trzeba nakarmić gulaszem dwudziestu chłopów.

Stopniowo mijał szok spowodowany tym, że została zmuszona do obierania ziemniaków. Co więcej, z niechęcią musiała przyznać, że ta czynność daje jej satysfakcję. Rosła sterta obranych przez nią ziemniaków, które Hercules energicznie kroił na mniejsze kawałki, by szybciej dało się je ugotować i podać załodze. Poczula się nedorzecznie zadowolona, że ma w tym udział, więc ośmieliła się rozpocząć rozmowę.

Oczywiście interesował ją jeden temat.

- Jak pan trafił do pracy u hrabiego?

- Uwolnił mnie z więzienia. - Pac!

- Więzienia! A co pan tam robił? - Proszę, niech pan tylko nie mówi, że zabił pan kogoś tasakiem, błagała w myślach.

- Obaj byliśmy w tym więzieniu. W Turcji. A potem... - pomachał tasakiem, jakby odgrywał walkę, zapewne z udziałem szpad, noży lub tasaków - uciekliśmy. Miałem chorą nogę, wie pani?

O Boże. Historia życia hrabiego mogła się równać z *Odyseją*, sławiącą czyny Ulissesa.

Udało jej się zadać następne pytanie.

- Och. Chora noga. Ale co obaj robiliście w więzieniu?

- Służyliśmy na statku, który przechwycili piraci. Zabrali cały towar, a załogę wsadzili do więzienia. Liczyli na wzięcie za nas okupu, ale obaj z Flintem byliśmy biedni jak myszy kościelne, więc resztę załogi wypuścili, a my dalej gniliśmy w pace. Ja ledwo chodziłem. Postrzał w nogę. Kapitan? Był ranny. Ale nie tak bardzo. W każdej chwili mógł uciec. Strażnicy byli głupi i leniwi. - Pac! - Flintowi do pięt nie dorastali. Ale nie chciał mnie zostawić. Chyba z rok tam siedzieliśmy.

- Za kratkami? Rok? I nie zostawił pana?

Nie mogła sobie wyobrazić tego silnego mężczyzny, przyzwyczajonego do swobodnego żeglowania na morzu, zamkniętego w kamiennej celi.

- Kratek było mało. Głównie mury. I okienko, o takie. - Zakreślił ręką w powietrzu nieduży kwadrat. - Ale pozwalali nam spacerować po więziennym dziedzińcu. Raz dziennie widzieliśmy słońce. Zrobiliśmy sobie broń z kawałków kamieni, które odpadły od ściany. Noc w noc je ostrzyliśmy. - Znów zrobił gest tasakiem, aby to zilustrować. - O ścianę. Aż nadawały się do zabijania. W końcu pewnej nocy przedostaliśmy się przez mur. Zaatakowaliśmy rękami, nogami i naszą bronią. Zabiliśmy strażników, tylko dwóch.

Znów zakreśliło jej się w głowie.

- Tylko dwóch? - powtórzyła z ironią. Tacy są mężczyźni.

Taki jest człowiek, który ściga jej brata. Tam, gdzie dla innych mury były nie do pokonania, on dojrzał możliwość wydobywania się z nich. Hercules nie dostrzegł ironii.

- Kapitan Flint wiedział, że potrafię i walczyć, i gotować i że wszędzie za nim pójde. No, więc jestem.

On wciąż kogoś ratuje. Bo nikt jego nie uratował? Ale ona przecież przyszła mu z pomocą. I zrobiłaby to znowu. A co robi, jeśli zaatakowałby go Lyon?

O Boże. Zacisnęła mocno oczy, przerażona sytuacją, w jakiej się znalazła. Jak do tego doszło?

- A czym się zajmowaliście w więzieniu? - Zastanawiała się, czy przypominało ono więzienie w Sussex.

- Och, on czytał książki. Czytał i czytał. Więźniowie przychodzili i odchodzili, ciągle się zmieniali. Czasem piraci wsadzali do więzienia dżentelmenów, dostawali za nich okup i ich uwalniali. A oni zostawiali książki. Flint mi czytał. Połykał te książki. Z nich się uczył. Ja uczyłem się angielskiego. On zna dużo języków, nasz kapitan. Z wielu krajów. Przeważnie brzydkie słowa. - Mrugnął z przesadą. - Dla marynarza takie są najprzydatniejsze.

Violet nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości.

- Niech pani obiera, panno Redmond, jeśli chce pani dziś jeść - powiedział nagle ostro. - I dziękuję - dodał dość sztywno.

Wiedziała, że ją zaakceptował.

- Nie ma za co - odparła chłodno.

Hercules gwałtownie zebrał ze stołu pokrojone mięso i wrzucił je do garnka, by się gotowało.

„Każdy powinien czuć się potrzebny”.

I gdy tak pracowała - pracowała! - ręka w rękę z człowiekiem, którego jej matka unikałaby jak ognia i przeszłaby na drugą stronę ulicy, by się z nim nie spotkać, ogarnęło ją absurdalne wzruszenie. Zrozumiała, że Flint lepiej od niej wiedział, czego jej potrzeba... i znalazł sposób, żeby sobie to uświadomiła. Oczywiście tak, by on też miał z tego korzyść. Właśnie w ten sposób uratował Lavaya i zyskał pierwszego oficera, a potem Herculesa, dzięki czemu do końca życia będzie miał kucharza, choć trzeba przyznać, że nieco humorza-stego.

Zaczęła rozumieć, dlaczego ludzie chcieli z nim być i poszliby za nim w ogień.

Był niebezpiecznie, cholernie bystry.

A o swoich dbał tak, jak nikt nigdy nie zadbał o niego.

Ciepło zaczęło wnikać do jej serca.

## 14

Flint postanowił spożyć wieczerzę w kantynie z załogą, a panna Redmond posilała się w swojej kabinie. Tak czyniła od początku, odkąd wkradła się na statek. Kiedy wyszedł z kantyny, zostawiwszy marynarzy pochłoniętych grą w karty, niebo było już rozgwieżdżone. Fioletoworóżowe chmury ślizgały się po powierzchni wschodzącego księżyca, jak ekipa sprzątaczy, chcąc go wypolerować aż do połysku.

Zobaczył ją. Stała oparta o balustradę statku. Jakby na niego czekała.

Kosmyk włosów wesoło powiewał wokół jej ust. Wyzwodził się ze starannie upiętej fryzury, wreszcie wolny, jak ona, kiedy uciekła od rodziny. Chciałby, aby reszta włosów też się wyzwodziła.

Był już przy niej. Wystarczyły dwa kroki. Pochwycił kosmyk w palce i poskromił jego niespokojne trzepotanie.

Włosy prześlizgiwały się między palcami jak jedwab. Przytrzymał go dłużej, niż powinien. Nic na to nie mógł poradzić. Obezwładniła go intensywna przyjemność, jaką mu to dawało.

- Odfrunął z wiatrem jeden z pani loków, panno Redmond - cicho zażartował.

Jej oczy skrywał cień. Ale widział, że usta lekko jej się wygięły. I mimo szumu morza słyszał, jak oddycha.

Szybciej niż zwykle. Co znaczyło, że jej serce też bije szybciej. To przez niego. Miłe uczucie.

Powoli uniosła rękę, żeby zabrać mu ten kosmyk. Wiedział, jak nieprawdopodobnie miękkie są jej dłonie, ponieważ dziś przykrył je swoimi szorstkimi dłońmi podczas incydentu z ziemniakami. Całym ciałem czuł, jaka jest miękka.

Jej delikatna skóra świadczyła o życiu w komforcie, pod kloszem. Całkiem inne było jego życie.

Chciał jeszcze raz jej dotknąć.

Przypuszczalnie mógł to zrobić.

I przypuszczalnie nie powinien.

Ich drżące dłonie dzieliła odległość nie większa niż grubość włosa. Dziwił się, że nie strzelają z niej iskry.

W końcu wzięła ten kosmyk, nawet nie dotykając jego dłoni.

Był tak dotkliwie zawiedziony, że uleciały mu z głowy wszystkie myśli.

Pochyliła głowę i zatknęła kosmyk z powrotem za ucho gestem, jego zdaniem, wprost nieznosnie zmysłowym. Wytłumaczył sobie, że to bardzo kobiecy gest, a on już od dawna nie miał okazji cieszyć się urokami kobiecego ciała. Zastanawiał się, czy jej dbałość o siebie i ogólna schludność świadczą o próżności, czy też chce ona przez to wprowadzić nieco porządku do chaosu świata. Być może wprowadzanie porządku było jedyną dostępną dla panny Redmond formą kontroli nad rodzinnym domem. I może dlatego trzepotała się w murach tego domu jak robaczek świętojański w słoiku, aż wreszcie wylądowała na statku z hrabią dzikusem.

Nigdy w życiu nie zastanawiał się dotąd tyle nad żadną kobietą.

To z pewnością nie wyjdzie mu na zdrowie.

- Dziękuję - powiedziała, kiedy zrobiła porządek z włosami. Starła się okazywać chłodne rozbawienie. A on z satysfakcją usłyszał, że jej głos drży.

Pomyślał, że dłuższe przebywanie na statku żeglującym po morzu pozbawi ją, być może, otoczki konwenansów, którą się osłoniła. Zacznie się od kosmyka, a potem odsłoni się stopniowo cała, od stóp do głów.

Chyba jednak nie jest mądre z jego strony dopuszczanie do siebie takich myśli.

Bez wątpienia nie miało to nic wspólnego z mądrością.

- Dzisiejsze ziemniaki smakowały mi bardziej niż zwykle - zaczął podstępnie.

- Nie jestem w stanie wyrazić, jak bardzo mnie to cieszy, kapitanie.

Uśmiechnął się. Odwzajemniła uśmiech. Zastanawiał się, czy prowadzą rozmowę w ciemnościach nocy dlatego, że oboje czują się wtedy bezpieczniej. Trudno wtedy zobaczyć wyraz twarzy rozmówcy, więc można go interpretować dowolnie, tak jak się chce.

- Uznał pan, że muszę nauczyć się pracy, kapitanie? Stąd te ziemniaki.

Nawet jest dowcipna!

- Bardzo chciałbym panią nauczyć pracy. - Głos miał cichy, niski, a znaczenie słów było dla niej oczywiste.

Usłyszał, że przestała oddychać. Wytrącił ją z równowagi. Sama się wytrąciła.



Zmieszany, gwałtownie odwrócił się od niej i spojrzał na morze. Ręce oparł na balustradzie. Dotykanie statku zwykle go uspokajało. Bezwiednie zaczął wodzić palcem po kroplach wody, które zebrały się na balustradzie.

- Panno Redmond, dowodzenie statkiem wymaga bezustannego opracowywania strategii. Powinna pani wiedzieć, że jestem w tym dobry.

Bardziej poczuł, niż zobaczył jej lekki uśmiech. Zrozumiała zarówno podtekst, jak i ostrzeżenie.

- Ziemniaki to strategia?

- I to bardzo skomplikowana. Hercules prosił o dostarczenie mu większej ilości przypraw i o przydzielenie nowego pomocnika do pracy w kuchni. Nie stać mnie teraz ani na jedno, ani na drugie. Już się pani przekonała, jak niemądrze jest zadzierać z Herculesem. Pomyślałem, że pani... ucieszy się z... nowego zajęcia. Z tego, co wiem, znudzona Violet Redmond potrafi nieźle narozrabiać. I przyszło mi na myśl, że zastąpienie panią pomocnika kuchennego, którego przekupiła pani, żeby znaleźć się na tym statku, to rzecz godna poematu. Poza tym, panno Redmond, dobrze wiem, jak czuje się człowiek, znalazłszy się w otoczeniu ludzi, dla których jest intruzem. Więc poszukałem rozwiązania.

- Sprytne - cicho przyznała po chwili. Nie oponowała. Mówiła to absolutnie szczerze. I ze zdziwieniem. Tak mu się w każdym razie wydawało.

Za nic w świecie nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego jej pochwała aż tak go ucieszyła.

- Dziękuję za wyjaśnienie - stwierdziła spokojnie. I z niezwykłą u niej pokorą. Miał wrażenie, że jest zaskoczona.

Poczuł się zakłopotany.

Ale potem szybko dodała, jakby dopiero teraz przyszło to jej do głowy:

- Nie stać pana?

Roześmiał się, choć niezbyt wesoło.

- Nie każdy jest Redmondem. Moja fortuna zawsze zależała od powodzenia w handlu lub od wysokości nagród. Król usłyszał o mnie, no, powiedzmy... gdy moja dobra passa się urwała. Otrzymałem szlachecki tytuł, ale moja przyszłość, dochody i wszystko, czego chcę, całkowicie zależy od tego, czy schwytam Le Chata.

W pewnym sensie było to następne ostrzeżenie. Dał jej chwilę na oswojenie się z tym, co powiedział.

Nagle i ona gwałtownie odwróciła się w stronę morza.

Jej łokieć znalazł się bardzo blisko jego. Prawie go dotykał. To śmieszne, ale nigdy w życiu nie był tak świadom bliskości kobiecego łokcia. Powoli nabierał przekonania, że większy sens ma dotknięcie jej niż niedotknięcie. Co z pewnością było przekonaniem niebezpiecznym.

Stała zamyślona, bez ruchu. Miał nieprzyjemne uczucie, że coś knuje.

- Skoro mówimy o strategii, kapitanie Flint. Jestem ciekawa, czy statki, obrabowane i zatopione przez Le Chata, należały do kupców, którzy nimi płynęli, i czy to oni finansowali te wyprawy? Czy też finansował ktoś inny albo inni? To znaczy grupa ludzi?

- Dlaczego pani... - Zauważył, że trochę nazbyt mocno ściska balustradę. - Wie pani coś, o czym ja nie wiem - rzekł ostro.

Wahanie.

- Może.

- A może wyrzucę panią przez burzę, jeśli mi pani wszystkiego nie powie.

- Gdyby miał pan taki zamiar, zrobiłby pan to już dawno. - Godne podziwu udawanie znudzonej niefrasobliwości.

- Zrobię wszystko, co konieczne, by osiągnąć strategiczny cel, panno Redmond. Może się pani sama o tym przekonać.

Odwróciła się do niego.

- No dobrze, kapitanie. Powiem panu. Jeśli do końca tygodnia... zamieni się pan ze mną kajutami. I będzie pan spał w Kajucie dla Wytwornych Gości.

Próbuje się targować?

- Jeśli będzie pani obierać ziemniaki bez utyskiwania, nie utnie sobie palca nożem i nie wda się z Herculesem w żadną awanturę, trzeciej nocy pozwolę pani spać w mojej kajucie. Ja będę spał w mysiej... w Kajucie dla Wytwornych Gości przez jedną noc - odparował natychmiast. Przecież, ostatecznie, jest kupcem.

- Zgoda - odpowiedziała krótko.

- To proszę mi powiedzieć, co pani wie.

- Nie tyle wiem, co podejrzewam. Mój ojciec szefuje bardzo ekskluzywnej grupie inwestycyjnej. To Klub Merkurego. Bardzo ostro se-

lekcjonują członków, tylko bardzo bogatych, bardzo sprytnych ludzi zaprasza się do wstąpienia do tego klubu. Żeby zostać członkiem, trzeba zyskać aprobatę wszystkich. Pan jako kupiec wie, że całe grupy finansują wyprawy handlowych statków, a potem dzielą się zyskami, które albo reinwestują, albo je sobie wypłacają. Kiwnął głową.

- Więc co pani sugeruje?

- Podobno pan Hardesty zajmuje się legalnym handlem. Wicehrabia Hebert nie waha się robić z nim interesów, bo zna go od dawna. Czemu więc pan Hardesty miałby przeistaczać się w Le Chata? I co dzieje się z towarami, które zrabował?

- Piraci zawsze rabują z chciwości i dlatego że nadarza im się okazja. Zresztą nieważne, z jakich to robią pobudek. To, co wyprawia Le Chat, pani brat, jest złe i niegodziwe.

Chwila ciszy.

- Chyba że nie jest. Odebrało mu mowę.

- Jak można... - Przerwał. Jego cierpliwość już się wyczerpała. - Jak w ogóle można zakładać taką ewentualność?

- Lyon nie jest zwyczajnym... przestępcą. Znam mojego brata.

- Albo pani znała. Opuścił rodzinę, prawda? A pani uważała, że nigdy nie będzie zdolny tego uczynić. Czyż nie? Milczała.

Nie zamierzał być dla niej miły. I nie było mu przykro. No, może niezbyt przykro.

Ale chciał, żeby wiedziała, dlaczego on nie daruje temu człowiekowi.

- Niech pani postara się wyobrazić sobie następującą scenę. Oto nie pierwszej już młodości, sterany życiem kapitan statku ostrzem szpady jest zmuszony do opuszczenia własnego statku, każe mu się wsiąść do łodzi i wysła go na niemal pewną śmierć na pełnym morzu. Proszę mi powiedzieć, co w tym jest dobre i godziwe.

Nerwowo przestąpiła z nogi na nogę.

- A może Le Chat kradnie bogatym, aby rozdać biednym? - rozpaczliwie podsunęła niepojęte wytłumaczenie.

- Twierdzi pani, że Le Chat to Robin Hood? Mój Boże, panno Redmond.

- A skąd wiadomo, za ile pirackich napadów naprawdę odpowiada Le Chat?

- Tego nie wiemy - odparł zniecierpliwiony. - Statki są okradane i zatapiane. I to jest najważniejsze. Wiem natomiast, że właścicielem statku „Steadfast” był kapitan Moreheart. Trudno mi powiedzieć, czy kapitan należał do grupy inwestorów. Nie wiem też, jak było z innymi statkami.

- Jak możemy czegoś się dowiedzieć o pozostałych zatopionych statkach? - nie ustawała w dociekaniach. - Co przewoziły, kto finansował ich podróże? Nie jest pan tego ciekawy, kapitanie Flint?

Była uparta. Dokuczliwa jak chwast.

Przyglądali się sobie w milczeniu. Westchnął boleśnie i z roztargnieniem wycierał palcem poręcz balustrady, rysując coś na jej wilgotnej powierzchni. Głowę przechylił do tyłu i wpatrzył się w migoczące na niebie gwiazdy, jego przewodniczki. Zobaczył gwiazdozbiór Oriona. I Syriusza. Starzy przyjaciele i partnerzy - on, gwiazdy, jego seks-tans i mapy. Ale gwiazdy miały do zaoferowania tylko swoje piękno i niezawodną pomoc w wytyczeniu drogi w jego wędrówce po ziemi.

Żadna mu nie powie, co powinien zrobić z tą straszną kobietą.

Zaledwie kilka dni temu zadanie, którego się podjął, było takie proste. Teraz zaś, choć podejrzewał, że pozwolił sobie na uleganie mrzonkom, a z kolei ona straci złudzenia co do swego brata... po prostu nie chciał jej rozczarować. Nie chciał być tym, kto odbierze jej nadzieję. Podziwiał ją. I jej zazdrościł.

Nagle zapragnął być tym, kto sprawi, że jej twarz rozjaśni się szczęściem.

- Porozmawiamy z panem Musgrove'em w Breście i popytamy w porcie. Może uda nam się czegoś dowiedzieć o tych statkach.

- Mogę panu towarzyszyć podczas rozmowy z panem Musgrove'em?

- Tak - odpowiedział zwięźle i dopiero po chwili. Nie patrzył na nią. Ale wiedział, że promienieje radością i triumfuje. Jest dzięki niemu szczęśliwa.

Lecz kiedy zrozumiał, że sam jest z tego powodu szczęśliwy, zirytował się.

Znów wymknął jej się ten kosmyk. Wesół powiewał dookoła jej głowy, zachłystując się wolnością.

- Będzie pan pamiętał o naszej umowie? - upewniła się. Miała na myśli zamianę kajut i spanie w jego znacznie wygodniejszej kapitańskiej kajucie, jeśli dobrze wywiąże się z obowiązków pomocnicy kucharza.

Wyobraził ją sobie w swoim łóżku, z rozrzuconymi w nieładzie na poduszkach puklami jedwabistych włosów.

- Jak mógłbym zapomnieć? - odparł.

Opuścił wzrok. Nagle zdał sobie sprawę, co rysuje na mokrej balustradzie: profil prześlicznej Violet Redmond.

Z przerażeniem wlepił wzrok w rysunek. I energicznie wytarł balustradę do sucha.

- Dobranoc, panno Redmond. Najlepiej będzie, jak zejdziesz już pani na dół.

Wyrażnie zdziwiła się, że tak nagle się jej pozbywa.

- Dobranoc, kapitanie.

Przyglądał się, jak odchodzi. Wyprostowana, niczym żołnierz na warcie. I oczywiście znów zatykała za ucho niesforny kosmyk.

## 15

Była to najdziwniejsza umowa, jaką kiedykolwiek zawarła, ale przez trzy dni obierania ziemniaków udało jej się niczego sobie nie uciąć i nie wszczynać awantury. Wytrzymała także jeszcze dwie bezsenne noce na nierównym materacu w mysiej dziurze.

Przez dwa dni hrabia był trudno uchwytny. Przynajmniej dla niej.

Wiedziała, że tamtej nocy, kiedy opuszczała pokład, jego cierpliwość została wystawiona na ciężką próbę. I choć bardzo się ucieszyła, że ustąpił jej w sprawie dotyczącej Lyona, radość mąciła obawa, że go do siebie zniechęciła. A może go znudziła.

Była przygnębiona. Niemniej podnosiła ją na duchu bliska perspektywa wyspania się wreszcie w wygodnym łóżku, w pokoju pachnącym czystym hrabią, a nie w pomieszczeniu wypełnionym nieusuwalnym zapachem Ważnych Gości, których czystość pozostawiała

wiele do życzenia. Zatem kiedy nadszedł trzeci wieczór, zapukała do drzwi kapitana. I czekała. Nikt nie odpowiadał, więc przekręciła gałkę klamki.

Wśliznęła się do środka i zamknęła za sobą drzwi. Włożyła koszulę nocną, wyjęła zapinki z włosów i pokręciła głową, aby włosy opadły na plecy, jak u Roszpunkki z dobrze jej znanej baśni. Rozdzieliła włosy na dwa grube pasma i wyszczotkowała każde z nich przed lustrem hrabiego - po pięćdziesiąt razy - aż zaczęły lśnić i przelewać się przez palce jak woda. Zapaliła lampkę nocną stojącą na stoliku przy łóżku. Chybotliwy płomyk świecy oświetlił pokój równie skutecznie, co światełka robaczków świętojańskich. Pomyślała, że przed snem chwilę poczyta i dopiero potem zgasi lampkę.

Najlepiej zasypiało jej się przy książce Milesa.

Podeszła do szafki z książkami. Były tam tomy gramatyki angielskiej, które studiował hrabia. Jeden ukradkiem zdjęła i przekartkowała z czułością, jakby zaglądała mu do serca. Na marginesach widniały jego notatki, początkowo pisane niepewną, mało wprawną ręką. Nie wiadomo, dlaczego bardzo ją wzruszyły. Później pismo stawało się coraz swobodniejsze, bardziej zdecydowane.

Oto dowód, że nie wyłonił się z morskich odmętów niczym Posejdon. Z niezłomną siłą woli zdobywał wiedzę, kształcił się latami, i dzięki temu osiągnął wysoką dzisiejszą pozycję.

Palcem przejechała po okładkach książek w języku hiszpańskim, nie całkiem jej obcym. *Don Kichot*. Dziwne, że ma tę książkę w swoim księgozborze. Hrabia na pewno nie walczył z wiatrakami. Przeciwnie, to jej ufność w prawy charakter i niewinność Lyona uznał za rodzaj donkiszoterii. Miał też kilka książek po francusku, który dobrze знаła. Na przykład *Le roman de la Rose*. Coś takiego, kapitanie Flint! Rozbawiło ją to, gdyż twierdził, że nie jest romantykiem. No, ale jest to także książka przygodowa, pełna akcji. Na innych grzbietach były wytłoczone tytuły po arabsku lub po grecku. Dla niej te obce litery stanowiły niezrozumiałe hieroglify.

Naprawdę był wszędzie. Nic dziwnego, że chciał wreszcie do jakiegoś miejsca przynależeć, osiąść w nim na stałe. W końcu zdjęła z półki książkę swego brata o Lacao i wzięła ją do łóżka. Podciągnęła koc. Utrwalił się w nim zapach hrabiego tak mocno, że poczuła, jakby się wtuliła w jego ciało. Zapach mydła i zapach

mężczyzny. Oparła głowę na kolanach i z zapartym tchem wyobraziła sobie, jak by to było znaleźć się w jego ramionach.

Książka spadła jej z kolan i sama otworzyła się w miejscu, w którym Flint chyba zaznaczył, gdzie przerwał czytanie. Być może tam, gdzie są opisy kobiet nagich od pasa wzwyż? Wiedziona ciekawością, włożyła w to miejsce palce. Na kolana spadła jej gałązka jaśminu.

Patrzyła na nią oniemiała ze zdziwienia, jak na spadającą gwiazdę.

Spraszane kremowe płatki kwiatów błyszcząły na tle jej śnieżnobiałej koszuli nocnej.

Delikatnie, bardzo delikatnie, położyła książkę na łóżku. Ujęła spraszane kremowe kwiaty w dwa drżące palce, jak elfa z bajki.

Pod wpływem impulsu, z zamkniętymi oczami, delikatnie przeciągnęła ukwieconą gałązką po brodzie. Tak jak on na ogrodowym tarasie. Jakby chciał na zawsze zapamiętać jej rysy.

Poczuła w piersiach słodkie drgnienie. Jakby nagle w jej sercu rozwinął się zbyt mocno stulony kwiatowy pąk.

O Boże. Przecież on zachowuje tylko to, co jest dla niego bardzo ważne. Najważniejsze.

Olśniona, czuła to samo, co wtedy, gdy pierwszy raz ujrzała z pokładu statku morze. Nieskończoność, trwogę, wspaniałość. I ogromną niepewność.

Nagle dobiegł ją odgłos zmierzających w stronę kabiny charakterystycznych kroków.

Usiadła, wyprostowana. Do diaska!

Chwyciła książkę, kwiaty wsunęła z powrotem między kartki, w panice oceniła odległość między łóżkiem a półką z książkami, aż w końcu postanowiła wsunąć książkę pod łóżko, po czym podciągnęła koc pod samą szyję.

Otworzyły się drzwi i do środka wszedł kapitan Flint, a ona zastygła w półmroku. Już po drodze jedną ręką odpinał guziki koszuli, drugą stawiał na stoliku zapaloną lampę, którą oświetlał sobie drogę. Wyciągnął koszulę ze spodni, zdjął ją przez głowę i rzucił na poręcz krzesła, a potem stanął przed lustrem.

Dobry Boże.

Na widok męskiego piękna jego nagiego torsu mięśnie brzucha Violet mimowolnie się napięły. Szerokie barki, które już wcześniej wzbudziły jej podziw, górujące nad harmonijnie zwężającą się ku

dołowi muskularną klatką piersiową, wąska, mocna talia. Obrócił się nieco, by strzepnąć i rozprostować leżącą na krześle, niedbale rzuconą koszulę, a wtedy zadrgały serią subtelnych przesunięć mięśnie pleców pod śniadą, gładką, miejscami poznaczoną bliznami skórą. Ta biała cienka szrama - może od cięcia nożem w utarczce o Lavaya? A tamta, w dole pleców, blisko talii, ogromna, okrągła i wypukła, ze śladami szwów, o nierównych, poszarpanych brzegach - może to pamiątka po ucieczce z więzienia? Wspomniała ową damę na przyjęciu u wicehrabiego, zachwyconą romantyzmem piractwa.

W przemocy, w gwałcie nie ma niczego romantycznego.

To, w czym ona widziała brutalne piękno, dla niego było po prostu zbroją, użyteczną w życiu, jakie prowadził kapitan Flint. Ciało służyło mu do tego, by się rzucać w niebezpieczeństwo, tańczyć, sterować statkiem i uratować komuś życie.

I kochać się z Fatimą.

Od tej myśli wołała uciec.

Zasuszył gałązkę jaśminu w książce.

Coś takiego mógłby zrobić mężczyzna sentymentalny, wrażliwy. A tam, przed lustrem, stał półnagi wojownik.

Podniosła dłonie do twarzy, dotknęła jej, stwierdziła, że ma rozpalone policzki, i opuściła dłonie. Całe ciało płonęło dziką świadomością jego obecności i tęsknotą. Znów poczuła, że mu nie dorównuje. Choć pragnęłaby dorównać.

- Jest jak V. - Chciała to powiedzieć tylko w myślach. A kiedy zrozumiała, że niechcący zdanie to wyszeptała, było już za późno.

## **16**

Flint znieruchomiał. Jej słowa rozległy się w półmroku kabiny niczym odgłos świadczący o niepanowaniu nad własną fizjologią. Musiała się z nich wytłumaczyć.

Proszę, nie zwracaj na to uwagi, proszę, proszę, błagała w duchu.

Odwrócił się bardzo, bardzo wolno. Wlepił w nią wzrok. Pięścią przyciskała do siebie koc. Z jednego ramienia zsunęła się biała nocna



koszulka. Powietrze chłodziło jej nagą skórę w odsłoniętych partiach ciała. Reszta ciała płonęła.

- V? - Przyglądał jej się z powagą. Wcale nie wyglądał na zdziwionego.

Miał imponująco potężną klatkę piersiową. Wspaniale zarysowane mięśnie aż prosiły, żeby przeciągnąć po nich palcem, wytyczając trasę, jak na mapie kompasem. Był niezbyt gęsto owłosiony, ciemne pasmo porastające tors znikało poniżej talii w spodniach.

Nie mogła skupić myśli, nie była w stanie wypowiedzieć słowa, pochłonięta jego widokiem.

- Zapomniała pani, jak się mówi pełnymi zdaniami, panno Redmond? Proszę powiedzieć, że się mylę. Świat odniósłby niepowetowane straty. - Czekał z bezlitośnie uniesionymi brwiami.

- V - powtórzyła słabym głosem, choć nieco już poirytowana. - To kształt...

Nie mogła dokończyć zdania. Do niczego dobrego to nie doprowadzi. A na pewno do niczego, co by jej odpowiadało.

- Kształt pana - przyznała, zrezygnowana. Grymas zdziwienia na jego twarzy jeszcze się pogłębił.

Więc usiadła i przestała ścisnąć koc. Zsunął się z niej aż do kolan, a jego złaknione, wcale niespeszone oczy natychmiast skupiły się na odsłoniętych częściach jej ciała. W świetle lampy koszula nocna była prawie przezroczysta. Reszta ciała Violet skrywała się w kuszącym mroku.

Była niezmiernie rada.

Jednym palcem, powoli, zaczęła rysować w powietrzu literę V o szeroko rozwartych ramionach. Zaczęła od muskularnego lewego barku, a potem wolno wykreślała skośną linię schodzącą do umięśnionej, pokrytej złotą skórą z białymi bliznami talii, i kreśliła dalej, w górę, aż doszła do cudownej wypukłości prawego barku.

Być może jest to najwspanialsze V na całym świecie.

Flint stał jak zaczarowany. Jakby ujrzał sam siebie w rozedrganym powietrzu między nimi.

A potem odrzucił głowę do tyłu i ciężko usiadł na łóżku, odwrócony do niej plecami. Z pewnością twarz go piekła dlatego, że noc była gorąca i duszna. Nagle wydało mu się, że musi zdjąć buty, czymś się zająć, koniecznie. Jego zwinne ręce wydały mu się ogromne

i niezgrabne. Ciągnął but, a but tkwił na nodze jak zaklęty. Zrezygnował z daremnego trudu i położył ręce na udach. Dlaczego się rozbiera? Powinien wyjść.

Całkiem zapomniał, że dziś to ona miała, zgodnie z umową, spać w jego kajucie.

Na pewno zapomniał?

Zapadła cisza, lekka jak motyl i zarazem ciężka jak głaz.

Odwrócił się, żeby spojrzeć na nią ponownie. W świetle lampy jej skóra miała złotawy odcień. Dziewczyna w jego łóżku była niepokojąco odmienna od kobiety, którą poznał kilka dni temu - delikatna, miękka, egzotyczna i... absolutnie niedbająca o porządek. Stworzona do tego, żeby wprowadzać nieporządek.

- Skąd też przyszło pani do głowy coś takiego? - udało mu się odezwać normalnym głosem.

- Wszystkie angielskie młode damy uczy się rysunku, a wtedy trzeba patrzeć na świat w kontekście brył i kształtów. Zauważyłam, że pański tors ma kształt litery V. - Wzruszyła ramieniem.

Niewiadomo dlaczego, ruch ten go zirytował.

- Chce pani powiedzieć, że jestem dziełem sztuki, panno Redmond?

Znow skupił uwagę na swoich butach. Były doskonałej jakości, wygodne. Pedantycznie o nie dbał, gdyż cenił rzeczy piękne i przydatne. A mimo to na palcach jego stóp zostawiły bolesny ślad wędrówki po świecie, który przemierzył niezliczonymi krokami. Stawiał je na pokładach statków, na ziemiach obcych krain, w salach balowych. Gdyby mógł te kroki zliczyć, wiedziałby, jak wielkie przebył odległości - podobnie jak z liczby słojów pnia drzewa poznaje się jego wiek.

Ale... dlaczego teraz miał wrażenie wkroczenia na całkowicie mu nieznanym terenie, na którym nigdy przedtem jego stopa nie stanęła?

Jest tylko kobietą, powiedział Lavay.

Dłuższy czas nie słyszał odpowiedzi, więc gwałtownie podniósł wzrok. Był pewny, że tylko śmiertelny atak apopleksji powstrzymałby ją od ciętej riposty.

Patrzył i oczom nie wierzył. Violet... Dobry Boże, czyżby się zarumieniła?

Jeśli tak, to chyba zdarzyło jej się to po raz pierwszy, bo gdyby miała doświadczenie, zarumieniłaby się ładniej. A tymczasem jej

twarz aż po brwi była pokryta czerwonymi plamami, a ona tak mocno ściągnęła brwi, że na czole pojawiły się dwie głębokie zmarszczki. Nawet nie podniosła ręki, by je wygładzić.

Tak go to zaniepokoiło, że niemal sięgnął ręką, aby zrobić to za nią.

Wreszcie w kompletnej ciszy udało mu się ściągnąć but. Kiedy głośno upadł na podłogę kajuty, oboje, nie wiadomo dlaczego, podskoczyli. Zaczął zdejmować drugi, z równym wysiłkiem, co pierwszy. Zrezygnował. Przecież jest, na miłość boską, hrabią. Może jednak powinien zatrudnić służącego, żeby wykonywał zamiast niego czynności, które dotąd przez całe życie musiał wykonywać sam.

Spojrzał na nią.

- Zarumieniła się pani - stwierdził w końcu niegrzecznie.

- Nonsens - oznajmiła. Rumieniec prawie natychmiast zniknął, jak na komendę. Czoło wygładziło się, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. ,

Oboje odzyskali zimną krew, a kiedy się odezwała, mówiła swoim zwykłym głosem.

- Każda dziewczyna instynktownie szuka rozrywki, kiedy zabraknie takich, które dobrze zna. Szczegóły nabierają wtedy większego znaczenia. Łatwiej je zauważyć. - Znów wzruszyła ramieniem, nonszalancko, gestem typowym dla Francuzów. Flint wręcz zeszywniał tak bardzo ten gest przypominał mu Lavaya. Poczł irracjonalną awersję do swego pierwszego oficera, nie mogąc mu darować, że wywiera na nią widoczny wpływ. Zupełnie jakby patrzył, jak tamten mężczyzna jej dotyka.

- Rozumiem - powiedział w zamyśleniu. - Ładnie pani rysuje, panno Redmond?

- Nie - zaprzeczyła natychmiast. Chciał jej podokuczać.

- Może twórczo panią zainspiruję. Dzięki memu V stworzy pani coś wspaniałego.

- Na pana miejscu nie liczyłabym na to - odparła szybko. Uśmiechnął się, zadowolony. Człł się znacznie swobodniej, kiedy się droczyli.

A potem nieoczekiwanie położył się na łóżku. Nagie plecy z przyjemnością zetknęły się z lekko drapiącym wełnianym kocem, a materac kusił go jak syreni śpiew. Własne łóżko pasowało do jego ciała

równie dobrze jak buty. Żaden człowiek tak by do niego nie pasował. Materac chętnie przyjął jego ciało. Znał wagę i zmęczenie swego użytkownika. Zamknij oczy, śpiewał. Poddaj mi się.

Prowokował go. I wtedy dziewczyna, która od tyłu dni z nim się drażniła, leciutko się poruszyła.

Jego ciało nagle stało się wyjątkowo czujne: własne kontury, krążenie krwi, temperaturę odczuwał teraz znacznie ostrzej, wiedząc, że dziewczyna obserwuje go... całego... w kontekście... kształtów.

I w dodatku jest tuż obok niego.

Potrafiłby wymyślić dla niej kilka rozrywek.

Powinien wyjść.

- Kiedy byłem w tureckim więzieniu, kolega z celi, Turek, nie znał ani słowa po angielsku, więc dla zabicia czasu uczyłem go angielskiego. Pokazywałem mu różne rzeczy, na przykład nos, oczy, i mówiłem, jak nazywają się po angielsku. On robił to samo, nazywając je po turecku.

Bardziej wyczuł, niż zobaczył, że się uśmiechnęła. Ucieszył się, zdecydowanie niewspółmiernie do sytuacji.

- Jest pan jedyną znaną mi osobą, która tak normalnie mówi: „kiedy byłem w tureckim więzieniu”.

Teraz on się do siebie uśmiechnął.

- *Senin guzel bir burnun var* - mruknął.

- A cóż to za turecka obelga?

- Nie obelga. To znaczy, że ma pani ładny nos.

Podniósł wzrok i zobaczył, że dotyka dłonią nosa, jakby po raz pierwszy go odkryła, po czym opuszcza dłoń. Prawie słyszał, co myśli: Oczywiście, że mam ładny nos. To prawda. Każda część jej ciała jest ładna: i razem, i oddzielnie. Dobrze o tym wiedziała.

Obojgu nie brakowało pewności siebie. Znowu się uśmiechnął.

Opuścił głowę aż na poduszkę. Uniósł głowę ponownie i znów ją na poduszce złożył delikatnie, jak porcelanową filiżankę.

Westchnął, starając się, by jego oddech był swobodny.

Pomyślał, że być może jeszcze nigdy nie leżały obok siebie dwie tak spięte osoby. Zastanawiał się, jak daleko chce się posunąć i jak to się odbędzie.

- Skąd ma pan tę okrągłą bliznę? - spytała nagle. Nie takiego pytania się spodziewał.

- Postrzelono mnie - padła zwięzła odpowiedź.

Wciągnęła głęboko do płuc powietrze, jakby to ją właśnie postrzelono. , . Zrobiło mu się przykro. Niepotrzebnie był taki bezpośredni.

- Wpadliśmy w pułapkę podczas misji handlowej w Indiach. Ucichła.

- Bardzo bolało? - mówiła dziwnym głosem. Jakby siłą woli opanowywała jego drżenie.

To zabawne rozmawiać, nie patrząc na siebie.

- Kula przebiła na wylot mięsień. Bardzo krwawiłem, ale na czas zdążyłem się uchylić, więc nie uszkodziła żadnych ważnych organów. Jednak rana bardzo bolała. To dziwne. Siła uderzenia pocisku powala człowieka na ziemię. I jest to chwila odrętwienia, zdziwienia. I dopiero potem zaczyna się prawdziwy ból.

Już więcej o nic nie pytała. Ale nie on.

Podniósł się na łokciu i spojrzał w dół.

- Same kąty? - szepnęła.

Wahanie. Jego nagi tors był tuż przy niej. Nie patrzyła na niego: wzrok miała wbity w sufit. Zahipnotyzowany, patrzył, jak jej piersi unoszą się i opadają, unoszą się i opadają, w miarę jak coraz szybciej oddycha. Przez koszulę nocną przeświecał zarys jej sutków.

Zaszeleściła poduszka pod jej głową. Pokręciła głową przecząco. Nie. Zrozumiała, o co pyta.

To zabawne, że ona zawsze wie, o co chodzi. A głównym tematem tego wieczoru są, być może, kształty.

- Więc co jeszcze?

- Krzywizny - przyznała zwięźle.

- Krzywizny? - Udał zaskoczenie. - Nie jestem pewien, czy rozumiem - prawie wyszeptał.

Zastygła bez ruchu. Wpatrywała się w sufit, zdecydowanie me w niego, i prawie przestała oddychać. Zastanawiała się. Niebezpiecznie, kiedy Violet Redmond się zastanawia. W końcu głęboko westchnęła i skapitulowała. Powoli odwróciła się w jego stronę. Długie, ciemne włosy opadały kaskadą jak wodospad, a on poczuł w sobie głęboką, dojmującą słodycz. Być może nigdy przedtem nie zaznał czegoś tak cudownie zmysłowego.

Wspaniale było w końcu zobaczyć jej wszystkie włosy na wolności. Chciał okręcić je wokół dłoni.

- Na przykład... - Wolno podniosła dłoń i wskazała ciemne, wełniste zagłębienie jego pachy. - Tutaj.

Palcem, którym go prawie dotykała, ale nie dotknęła, zaczęła bardzo wolno, wolniutko obrysowywać kontury zagłębienia: ścięgna i mięśnie, ilustrując rozmiar zagłębienia. Patrzyła na niego w skupieniu, błękitnymi oczami, usta nieco rozchyliła, z twarzą na wpół zasłoniętą kurtyną włosów, których końce muskały jej piersi.

Znieruchomiał.

Jego skóra rozgrzewała się tam, gdzie wodziła nad nią w powietrzu palcem, jakby czubek jej palca płonął niczym ognek świeczki. Na szyi czuł gęsią skórę. Mięśnie brzucha napięły się w zmysłowym oczekiwaniu, pachwiny złowroźnie zeszywniały.

A ona nawet go nie dotykała.

Bardzo dobrze wiedziała, co się z nim dzieje. Jej oddech także był krótki, przerywany. Było to dla niej nowe doświadczenie, ale nie tchórzyła. Sprawdzała granice swojej władzy nad nim i jego opanowanie.

Coraz bardziej zapuszczała się na głębokie wody sztuki uwodzenia. Jak daleko się posunie? Dla panny Redmond wszystko było sprawdzianem jej władzy nad innymi. Być może doprowadzi ją to do klęski.

Przestanie, kiedy on ją powstrzyma. Powinien ją powstrzymać.

- I gdzie jeszcze? - szepnął. Zachęca ją, by brnęła dalej.

- I... tutaj... - odparła cicho. Zafascynowany tymi słowami, przyglądał się jej ustom.

Wskazała twardą, złotobrazową wypukłość barku. Nieśmiało, tuż nad skórą, w powietrzu obrysowała jego ramię i bicepsy. Powolotku. A jemu, Boże dopomóż, wszystkie włosy na ramionach stanęły dęba.

Poruszył się, by zrobić miejsce na coraz większe wybrzuszenie między nogami.

Skupił się na czymś tak naturalnym, jak oddech, i się przeraził. Dech zapiera mi w piersiach.

To i tylko to określenie było odpowiednie do opisanego Violet Redmond, która odkrywa swą zmysłowość.

- ...i tutaj... - Jej dłoń w bolesnej niepewności zawisała w powietrzu, a potem opadła tuż nad jego talią i nad podnoszącym się w erekcji członkiem.

Wiedziała. Teraz prawie dygotał. Krople potu spływały mu po plecach, tam, gdzie była ta okrągła, biała, rozległa blizna, widoczna aż na brzuchu. A potem jej gorący jak zapalona zapalka palec uniósł się nad blizną i wolno ją okrążył.

I się zatrzymał. Patrzyli na siebie. Oddychał chrapliwie. I kiedy jej dłoń odsunęła się od jego ciała, przycisnęła ją do swojego biodra, jakby chowała broń do pochwy.

Natychmiast ogarnął go żal, że jej palec już nie krąży nad jego ciałem.

Przez chwilę udawał, że się zastanawia.

- Chyba teraz rozumiem - powiedział normalnym tonem, bardzo cicho. - Krzywizny. A więc, według pani... czy to... też jest krzywizna?

Powoli, tak żeby, jeśli zechce, mogła odwrócić głowę, zbliżył czubek palca do jej ust. Przyglądała mu się, jak urzeczona, niemal zezując nad czubkiem nosa.

On nie jest wstydlivy. Nie jest żółtodziobem.

Ma zamiar ją dotknąć.

Nie igraj ze mną, panno Redmond.

Palec wylądował na jej ustach. Jakby odnalazł drogę do domu. Lekko drżąc, leciutko obrysował ich kształt. Zdziwiło go, że był mu znajomy. Dolna warga, wygięta w pełny łuk, elegancki i zmysłowy, była niewiarygodnie miękka, tak delikatna, że gorący pocałunek chybaby zerwał ją, jak płatek kwiatu. Górna warga wygięta w lirycznym kształcie serca.

Nie spodziewał się, że tak go to zahipnotyzuje. Że oprócz dobrze znanego pulsowania w pachwinach poczuje ból tam, gdzie bije serce. Że będzie chciał szeptać jej imię, jakby było refrenem piosenki.

A jednak od tyłu już dni ta dziewczyna przenikała do jego krwiobiegu, powoli, jak dym z opium.

Zatrzymał czubek palca na środku jej warg. I podniósł brew, przypominając jej, że zadał pytanie.

- Tak - szepnęła w końcu.

Czubkiem palca czuł, że coraz szybciej oddycha. Odsunął rękę, żeby mogła wyraźnie odpowiedzieć.

- Co pani powiedziała? Odchrząknęła.

- Tak - wyjaśniła. - Krzywizna.

- Bardzo dobrze - powiedział cichutko. - Bardzo dobrze. Może jestem prostym człowiekiem, niezbyt pojętnym, panno Redmond, ale teraz wszystko zrozumiałem. Ale dla pewności. Czy to też jest krzywizna?

Powiódł palcem po jej niewyobrażalnie miękkiej, jedwabistej szyi. Leciutko, leciutko, powoli. Coraz niżej. Z rozkoszą przyglądał się gęsiej skórcie, która pojawiała się w reakcji na jego dotyk.

- ...tutaj?

Pod koszulką, równie miękką i delikatną jak jej skóra, na szczycie krągłej piersi wznosił się ciemny zarys sutka. Nie spowalniając wędrówki palca, odchylił koronkę koszuli i wędrował dalej, niżej, aż ukazała się jej pierś - piękna, pełna i naga.

Dreszcz wstrząsnął jej ciałem. Traciła oddech. Starła się zachować opanowanie, ale czuł pod palcami ruchy jej klatki piersiowej, coraz szybciej unoszącej się i opadającej.

Oczy jej się rozszerzyły. Teraz się bała.

I była zahipnotyzowana, jak on.

Wiedział też, że jest ogromnie podniecona.

Wolniutko przeciągnął palcem po miękkim, wrażliwym łuku jej piersi. Stłumił jęk. Krew pulsowała mu w głowie, w pachwinach, a bolesny tumult w jego ciele absolutnie nie pasował do precyzji, z jaką palec dążył do celu.

Wiedział, że jest pierwszym mężczyzną, który tak ją kiedykolwiek dotknął, co niesłychanie go podnieciło.

Zatrzymał czubek palca na czubku sutka... i wolno, leniwie obrysował go kolistym ruchem.

Odchyliła głowę do tyłu. Zęby wbiła w wargę w odruchu rozkoszy.

Patrzenie, jak tego doświadcza, podnieciło go jeszcze bardziej. Tak bardzo, że zacisnął wargi, aby stłumić jęk.

Oderwał palec od jej piersi równie spokojnie, jak go przedtem na niej położył, ale teraz drżały mu ręce.

Popatrzyła na niego ogromnymi, ciemnymi oczami. Usta miała lekko rozwarte.

Pragnął jej tak boleśnie, że go to przeraziło. Nagle, znów nie wiadomo dlaczego, wpadł we wściekłość.

Dosyć tego. Trzeba przerwać te gry. Powiedzieć stop. Odkąd zakradła się na jego statek, utracił równowagę ducha.

Znał najpewniejszy, najszybszy sposób, by ją odzyskać. Pokazać, kto tu panuje. Udowodnić, że jest taką samą kobietą, jak każda.



Pocałuje ją. To wystarczy.

Powoli pochylił się nad nią. Całował kobiety już przedtem wiele, wiele razy. Z ustami tuż nad jej ustami dostrzegł, jak zmysłowo pociemniałe oczy dziewczyny rozszerzyły się, a usta rozchyliły ze zdziwienia.

Dotknął ich wargami. Wtopił się w nie. Jej usta były cudem ciepła, jedwabistej miękkości i oddania. O Boże.

Popęlnił błąd.

Przejmujące doznanie przeszło go na wskroś jak błyskawica, ogarnęło falą paniki i zarazem radości. Jakby skoczył z masztu na pokład i nie tylko rozkoszował się lotem, ale przetrwał upadek bez jednego draśnięcia.

Odsunął się, nabrał powietrza do płuc i wcisnął się w dobrze sobie znane wgłębienie w materacu, wyrobione przez jego ciało, spoczywające tu nocami od lat. Dłonie ułożył pod głowę, w nadziei, że w takiej pozycji będzie wyglądał swobodnie, całkowicie rozluźniony, lecz tak naprawdę chciał uwięzić ręce. Nagle przestraszony, co mogą one zrobić. Zagarnąć ją. Pieścić. Poznawać. Dobry Boże! Brać, brać, całą ją brać.

Nie ruszał się. Serce boleśnie waliło mu o żebra. Krew zgęstniała jak gorący likier, w głowie miał mętlik.

Słyszał jej ciężki oddech tuż przy nim. Wiedział, że palcami dotyka swoich ust. Tak jakby chciała się upewnić, że je pocałował.

Wsluchiwał się w urywany rytm tego oddechu. Stanowił kontrapunkt dla nieustających westchnień morza. Z jakiegoś powodu nie chciał na nią patrzeć. Zamknął oczy i wyobraził sobie jej rozsypane na poduszce, ciemne jak cień włosy, drżenie jej rzęs na policzkach, kształt i dotyk ust, uległych, otwierających się dla niego, jej oddech mieszający się z jego oddechem.

Starał się pojąć, na czym polega różnica między tym a wszystkimi innymi pocałunkami w jego życiu. Na próżno. Nie potrafił.

To nim wstrząsnęło.

Łatwo byłoby mu odzyskać poczucie władzy. Wystarczyłoby przetoczyć się na nią, podwinąć jej koszulę, dłonie i usta wypełnić jej piersiami, a zanim, zdumiona, zdąży nabrać tchu, wsunąć dłonie pod jej gładkie jak jedwab pośladki, bo takie na pewno są, mocno, zdecydowanie rozewrzeć nogą jej kolana, wcisnąć tam tors w kształcie litery V i zmusić ją, by owinęła go w pasie nogami, wbiła paznokcie

w jego ramiona i mocno go trzymała, kiedy on zagłębi się w jej rozkoszną, wilgotną... Zeskoczył z łóżka, jakby uciekał przed armatnim ogniem, i stanął sztywno, bez ruchu, nie spuszczać z niej wzroku. I na pewno z dzikim wyrazem twarzy, bo na jej twarzy najpierw pojawiła się niepewność, a potem coś dla niego zagadkowego, nieodgadnionego. Takiej jej jeszcze nie znał. Gdzieś się podziela jej wyniosłość. Nagle wydała mu się boleśnie ludzka. Inna.

Nie mniej ponętna, ale o wiele bardziej niepokojąca.

Wzrok skierowała na imponującą wypukłość w jego podbrzuszu i nie mogła od niej oderwać oczu. Ten widok przyciągał ją niczym magnes.

A potem odwróciła wzrok w drugą stronę, jakby niechcący zobaczyła zaćmienie słońca.

Powinien się roześmiać. Sięgnął ręką do tyłu, wymacał koszulę, którą zostawił na krześle, schwycił ją, wsunął rękawy, byle jak zapiął guziki, na wpół wcisnął ją w spodnie. Schylił się i chwycił buty za cholewy, jak złodziej podczas ucieczki.

I poszedł spać do mysiej dziury. Drzwi zatrzęsnały za sobą mocniej, niż to było konieczne, jakby chciał się odciąć od wszystkich niechcianych uczuć, które go ogarnęły, zanim opuścił swoją kajutę.

Violet leżała bez ruchu. Tylko oddechu długo nie mogła opanować. Koszulę nocną nadal miała rozchyłoną na piersiach, lecz nie nasunęła na siebie koca. Leżał tam, gdzie się zsunął. Dopóki czuła na swojej skórze jego dotyk, nie chciała, aby dotykało jej cokolwiek innego. Zdawało jej się, że całe jej ciało żarzy się jak świeżo rozpalony węgiel. Podniosła rękę do piersi i dotknęła jej, aby poczuć to, co on. A potem rozpamiętywała to doznanie. Jego jędrne usta, oddech, ciepło ciała tuż nad nią. Osłabła z tęsknoty, graniczącej z gniewem. Pragnęła zaspokojenia. Rozpalono w niej ogień, a ona, dziewczyna, której niczego w życiu nie odmówiono, chciała, by dalej w niej płonął. Aż zostanie ugaszony.

Pocałowałam hrabiego. Emocje i doznania przewijały się jak w kalejdoskopie, nie potrafiłaby skupić się tylko na jednym. Radość, strach, dzikie pożądanie, zdumienie przechodziły jedno w drugie, powracały kolejnymi falami. Aż zwyciężył pragmatyzm. Podszyty tchó-

rzostwem, gdyż podszeptował jej: Nic więcej nie ma prawa się wydarzyć. Utrzymuj dystans.

Uciekł, jakby i on nagle otrzeźwiał. Może jednak trzeba podjąć grę od nowa. Może hrabia wybiegł z kajuty, mimo że ogarnęło go pożądanie, o czym świadczyła imponująca erekcja - lady Peregrine miała rację co do ud - ponieważ, choć już jej dotknął, nie był w stanie dotknąć jej ponownie. Może go odstręczała.

Nie mogła w to uwierzyć.

Całą noc nie spała.

## 17

Violet wstała z łóżka przed świtem, gdyż sen oczywiście nie przyszedł.

Powinna zabrać się do pracy. Obowiązki czekają. Herculesa może w kambuzie nie ma, ale ziemniaki są na pewno.

Zamiast jednak do kambuza poszła na pokład. Wstał piękny dzień, słoneczny i wietrzny. Przez szum wiatru, skrzypienie desek pokładu i łomot żagli przebijał się basowy głos hrabiego i zanim uświadomiła sobie, co robi, instynktownie skierowała się w jego stronę.

Stała, by przyjrzeć mu się z daleka.

Pochylił głowę i słuchał, co mówi Hercules, który energicznie gestykulując, wymachiwał rękami. Koliber trzepoczący skrzydełkami przy potężnym drzewie. Narzeka na nią? Chwali? Z Herculesem nigdy nic nie wiadomo.

Natychmiast wiedziała, że hrabia wyczuł jej obecność. Nie odwrócił się. Nie odrywał oczu od Herculesa.

Ale jego ciało niezauważalnie się napięło, jakby każdą komórką się dostrajał do odbioru fal od niej płynących.

Hercules wreszcie sobie poszedł, mamrocząc coś pod nosem po grecku, teraz dla odmiany wesoły. Może dziękował kapitanowi za nowego pomocnika. Miała taką nadzieję. Hercules jej nie zauważył. Na pewno uda się na poszukiwania zguby, kiedy nie zastanie jej w kambuzie.

Flint odwrócił się i chwilę jej się badawczo przyglądał. Oceniał ją.

Nic nie mówił. Tylko patrzył. Kosmyk włosów, oswobodzony porywem wiatru, uderzył ją w usta i przylgnął do warg. Ach, ten wiatr, zawsze narobi bałaganu.

Jeśli nawet wcześniej naszyły ją skryte myśli o wykorzystaniu swej moralnej nad nim przewagi, wystarczyło jedno spojrzenie na niego, by takie myśli się rozwiały.

Przyglądała mu się, ciekawa, jak jemu się dzisiejszej nocy spało. Wiatr zgarniał jego włosy i rozwiewał wokół głowy na wszystkie strony. Oprócz włosów panował nad resztą. Wszystko było pod jego pełną kontrolą. Koszulę miał rozpiętą przy szyi, podwinięte rękawy odsłaniały silne ramiona. Błyszczące, doskonale wypolerowane buty opinały jego mocne uda i długie nogi. Nakazała mu w myślach podejść bliżej, choć jednocześnie bała się, że to zrobi. Jeszcze nigdy nie czuła tak wielkiego strachu i zarazem podniecenia.

Ruszył zdecydowanie ku niej, a kiedy się zatrzymał, opuścił wzrok. Odgarnęła włosy, żeby nie zasłaniały widoku. Bez słowa, nie zastanawiając się, otoczył dłonią jej łokieć, odwrócił ją i poprowadził pokładem. Jakby był pewny, że pójdzie spokojnie za nim wszędzie, gdziekolwiek zechce ją zabrać. Skręcili w stronę łodzi i szalup, tam gdzie, jak dobrze wiedział, nikt ich nie zobaczy, ani marynarze na pokładzie, ani wspinający się wysoko na linach.

Dokładnie wiedział, co ma robić. Był zdecydowany.

Stanął, a właściwie przytłoczył ją swą wielką postacią, całkowicie zasłaniając sobą niebo, morze, słońce, pokład. Pozostało jej do wyboru albo oglądanie pokrytej skręconymi rudymi włoskami złocistej skóry jego torsu w kształcie litery V, wyłaniającego się spod dwóch odpiętych guzików koszuli, albo spojrzenie mu prosto w twarz.

Może o dwie sekundy za długo zwlekała, zanim uniosła wzrok.

Jego niebieskie jak morze oczy patrzyły na nią z napięciem, pełne życia, promieniujące. Być może dlatego odniosła takie wrażenie, że nagle stały się dla niej jedynym źródłem światła. Jego ciało emanowało ciepłem jak rozpalona kuźnia.

Odczuła to - odczuła go - jak gorączkę ogarniającą całą jej skórę.

Zaczerpnęła głęboko powietrza, drżąc.

Za nimi wiatr szarpał żagle, krzyczała mewa, któryś z członków załogi zaklął do kogoś na dole. Nie potrafiłaby powiedzieć, jak długo stali jak zaczarowani. Pewnie kilka sekund. Może wieczność.

Podskoczyła, kiedy uniósł ręce. Przyglądała im się nieufnie, a serce jej waliło tak, że aż szumiało jej w uszach. W powietrzu drgającym od upału i jego palce lekko drżały, jak jej się zdało.

Ale kiedy położył dłonie u nasady jej szyi, były spokojne. Nie drżały. Po twarzy przemknęło mu coś w rodzaju zdziwienia i, co dziwne, prośby. Jakby sprawdzał, czy spotka się z akceptacją, lub jakby badał własne odczucia. Zdumiony nimi. Westchnął.

Dopiero teraz zrozumiała, że wstrzymywał oddech.

Ona także.

Jego dłonie przesuwały się powoli, bardzo wolno, do góry. Dotyk ich był tak niespodziewanie delikatny, że trudno byłoby go odróżnić od tchnienia oddechu na jej skórze. I równie delikatnie, na podobieństwo zwabionej śpiewem zaklinacza kobry wyłaniającej się z kosza, coś leniwie, powoli rozwinęło się w jej żyłach. Obudził to w niej wczorajszej nocy, a teraz znów ożywił dłońmi.

Gdyby miała to jakoś nazwać, powiedziałyby, że to rodzaj głodu.

Całe jej ciało natychmiast zareagowało - uniosły się włoski na karku, pojawiła gęsia skórka na rękach, sutki zeszywniały i wyprężyły. Oddychanie stało się rozkoszną walką o nabranie tchu w płuca. Powieki nagle zrobiły się zbyt ciężkie, by utrzymać je otwarte. Kiedy poczuł pod palcami szybki puls tętniący w jej szyi, przytrzymał na nim dłoń, aby dłużej się napawać jego rytmem. A potem wsunął dłoń w jej włosy i przeczesał palcami ich pasma, co sprawiło, że po jej skórze przebiegły iskry, a w zadziwiających miejscach ciała rozpały się drobne ogniki. Jednym powolnym, miękkim ruchem przechylił jej do tyłu głowę i ustami przywarł do jej warg.

Całował ją, jakby badał nowy teren. Musnął jej wargi ustami, leciutko je nacisnął i delikatnie rozwarł, a kiedy się otworzyły, przylgął do nich. Cudownie. Przecudownie. Zakręciło jej się w głowie od kalejdoskopu doznań. Jego oddech, jędrne usta i ciepły, wilgotny aksamit ust.

A kiedy jego język delikatnie dotknął jej języka, przeszła ją błyskawica pożądania. Z siłą tak porażającą jak ból, lecz całkiem odmienna.

Jęknęła.

Wtedy nagle przerwał pocałunek.

Dłonie nadal miał mocno wczepione w jej włosy. Opuścił wzrok na jej przyćmione pocałunkiem oczy. Znów stwierdziła, że drżą mu dłonie, ale pewnie dlatego, że cały świat się kręcił.

- Violet - szepnął, jakby próbował powiedzieć nowo przyswojone słowo, może tureckie. Dosłyszała w jego tonie cień żalu. Cień ostrzeżenia.

A potem westchnął i roześmiał się ponuro.

- Och, Violet.

Pociągnął ją za włosy i mocno przywarł wargami do jej ust.

Były gorące i już otwarte. Poczwała, że bezwstydnie, z ulgą jęczy, a jej jęk odbija się echem w jego ustach. Boże. Aby nie stracić równowagi, wczepiła się palcami w szorstki len jego koszuli, ogrzany ciepłem jego skóry i wilgotny od potu i bryzgów morskiej wody. O upajającym jak narkotyk, nowym dla niej, męskim zapachu. Jego usta były źródłem nieskończonych doznań. Smakowała jego wargi i język jak prawdziwa Redmondówna, wiedząc, że ma pełne prawo do zaznawania rozkoszy. Brała, tak jak tylko ona potrafiła, nie zważając na następstwa. Ich usta atakowały, zwodziły, ślizgały się, szczypały, kąsały. Języki zmagaly się i splątywały, zęby zderzały ze sobą. Pocałunki nie były dość głębokie.

Wyjęczał coś, co brzmiało jak przekleństwo w jakimś obcym języku, dłońmi objął jej pośladki, uniósł ją do góry i przycisnął do swego twardego członka, który wypychał mu spodnie. O niebiosy, jakież to cudowne. Napierał na nią, miażdżąc rytmicznymi ruchami ciała, jednocześnie ustami wodząc po jej szyi od ucha do obojczyka, a dłońmi po plecach. Drugą dłonią wczepiła się teraz w jego włosy. Były wilgotne, ciepłe i jedwabiste, jak u małego chłopca. Jego gorące usta, język, zęby bezlitośnie znaczyły jej szyję. Serce w niej łomotało, grożąc wyskoczeniem z piersi. Wygięła się do tyłu, by zachęcić go i ośmielić. Ugiął kolana i sunął ustami po jej ciele niżej, coraz niżej, i dotarł do rowku między piersiami. Językiem zlizwał kroplę potu. A potem zerwał z niej bluzkę, pochwycił sutek w usta i ssał. Zachłysnęła się powietrzem i mocniej przycisnęła do siebie jego głowę. Wyrwał się z jej uchwytu i wcisnął ją w ścianę, w sam róg. Teraz byli już tylko niewyraźnym kłębowiskiem splątanych ciał. Być może pocałowała go w powiekę, a na pewno w skroń. Lizała jego obojczyk, poczuła w ustach smak soli i skóry, zanim jego usta znów zagarnęły jej wargi. Chciała go ugryźć, lecz tego nie zrobiła. Znów cichutko jęknęła w desperacji, ponieważ nie wiedziała, czego chce, i drżała z nadmiaru doznań, jakby pochłoneła ją śmiertelna gorączka, którą uwielbiała

i której się bała. Kolana się pod nią ugięły, ale mocno trzymał ją dłońmi, a twarde wybrzuszenie w spodniach tak mocno w nią się wbiło, że aż ją zabolalo, kiedy miażdżył ją ciałem, pragnąc, pragnąc, pragnąc.

Zaczął jej podnosić spódnice i, o niebiosy, w jakiś sposób rozpiął już dwa guziki spodni.

- Pragnę cię - wychrypiał w jej ucho.

- Ja... - Własny głos ją zszokował. Był szorstki, bezdźwięczny, i otarł się o jego usta jak ostra szeleszcząca lupina.

Jeszcze raz unieruchomił ją w zaborczym pocałunku, nie pozwalając dokończyć zdania, przeciwko czemu nie protestowała, bo i tak już nie pamiętała, co chciała powiedzieć. Dłoń wsunął jej pod udo i uniósł je, przyciskając do napierających na nią bioder.

- Ja tylko... Nie, też nie to.

Pragnę - tylko to było prawdą. Ale czego pragnęła?

Nagle znalazła w sobie siłę, a może odwagę, aby go odepchnąć, chociaż palce dalej miała wczepione w jego koszulę, jakby były to resztki rozbitego statku, a ona z pewnością by utonęła, gdyby je puściła. Dygotała, głośno dysząc.

Spojrzała w dół i zobaczyła swoje odbicie w jego wypolerowanych butach.

Spojrzała w górę. Przyglądał się jej. Wyszarpnął jej z rąk koszulę i mocno ściągnął jej dłonie w dół po mokrej od potu koszuli, ocierając je o nierówności guzików, i prowadził dalej po stalowych mięśniach swojej wąskiej talii.

Do twardej wypukłości członka. Tam przycisnął jej dłonie.

Zszokowana, szarpnęła głową do tyłu. Odruchowo zaczęła walczyć, by uwolnić dłonie.

Trzymał ją mocno. Uważnie jej się przyglądał zmrużonymi oczami, z zaciśniętymi szczękami, ciężko oddychając.

Poczuła... że jest bezlitosny. Obcy, męski i ogromny. Zrozumiała, jak niebezpiecznie daleko zabrnęła. Otrzeźwiło ją to, jakby ktoś chlusnął jej w twarz zimną wodą.

Znów mocno szarpnęła dłońmi.

Nie chciał jej puścić.

- Popatrz na mnie - rzucił krótki rozkaz.

Zrobiła to. Miała rozpaloną twarz. Konsekwencje tego pocałunku, doznanie jego ciała, tego, co chciał z nią zrobić, jego przytłaczającej męskości, prawie jak płomień sparzyły jej dłoń, nawet przez spodnie. Pierś falowała mu krótkimi, niemal wściekłymi oddechami. Za nimi bezustannie falowało morze, jakby ich przedrzeźniało.

Pochylił się do przodu; czołem dotknął jej czoła. Skórę miał zaskakująco gorącą. A potem jego usta, jego oddech znalazły się w jej uchu i znów sprawiły, że włosy na ciele stanęły jej dęba, znów na szyi miała gęsią skórę, a oczy same jej się przymknęły. Na pomoc! - wzywała w myślach daremnie, a wezwanie było skierowane do nikogo i do wszystkich. Jej oddech owiewał jego pierś.

Odezwał się, ochryplym, delikatnym głosem, który był niemal pieszczotą. Ale słowa były dobitne i stanowiły dla niej przestrożę. - Nie wolno ze mną igrzać, panno Redmond. Głowa opadła jej do tyłu. Błękitne oczy spotkały błękitne oczy. Wiedziała, że to ostrzeżenie. Nie jest domowym zwierzątkiem. I nie jest służącym. Nie jest cierpliwym.

Wyraźnie dawał jej do zrozumienia, że reguły życia towarzyskiego, które tak ją kępowały - a teraz zrozumiała, że także chroniły i pozwalały jej prawie bez konsekwencji folgować kaprysom i zabawiać się w gierki, będące specjalnością dziewic - jego nie obowiązują.

Mimo wspaniałego tytułu, który mu nadano, ma własne reguły i nie przejmuje się regułami jej świata.

„Nie zdaje sobie pani sprawy, że mogę panią posiadać...” - powiedział.

Dobry Boże. Właśnie chciał to zrobić. A ona prawie mu pozwoliła.

Żona jej brata, Cynthia, kiedyś, jeszcze przed zamążpójściem, chciała zrobić wrażenie na jakimś konkurencie i przechwalała się, że świetnie strzela, choć było to nieprawdą. Skończyło się na tym, że kulą wystrzeloną z muszkietu okaleczyła marmurową kopię posągu Dawida i o mało nie przyczyniła się do śmierci Bogu ducha winnego człowieka, który nieźle oberwał w głowę odstrzelonym od posągu penisem.

Violet właśnie odkryła swój metaforyczny muszkiet: uwolnioną z rygorów towarzyskich ograniczeń namiętą naturę. Wiedziała, że pozwalanie sobie na to, by ogarniało ją pożądanie, to z jej strony całkowita lekkomyślność, a odwaga dorównuje hrabiemu Ardmay i jeśli



nie będzie ostrożna, ktoś na pewno oberwie, choć nie będzie to marmurowy penis.

Nigdy mu się nie podda. Nawet ona wie, że stałoby to się przyczyną jej zguby. Ale wiedziała też, co przez to traci, i wydało jej się to szczytem okrucieństwa. A przedtem tak niewielu rzeczy musiała sobie odmówić.

Wiele się nauczyła w tej krótkiej podróży.

Powoli podniósł ręce i ją uwolnił. Jej dłonie były teraz gorące -jakby je przepalił własnym ogniem. I nadal był równie twardy i imponujący.

Nadal był to człowiek, który chciał posłać jej brata na szubienicę, aby zrealizować przez to swoje ambitne plany.

Z udawaną obojętnością odsunęła dłonie stamtąd, gdzie je przytrzymał. Ale kiedy musnęła nimi jego podbrzusze, westchnął z sykiem, bezwiednie dając wyraz rozkoszy. I mimo wszystko jej ciało zareagowało podobnie, na rozkosz - rozkoszą.

Kusiło ją, by obejrzeć uwolnione dłonie i zobaczyć, czy się zmieniły. No bo przecież, nie do wiary, dotknęła męskiego penisa w stanie erekcji. I choć tylko przez ubranie, jakaś dziecinna część jej natury, rozradowana nowym doznaniem, wręcz się tym chciała chełpić. Ale nie zrobiła tego. Z opuszczonymi dłońmi odwróciła głowę w stronę prawej burty, by widok bezmiernego, obojętnego, przytłaczającego błękitnego oceanu przyniósł jej ukojenie. Czuła się zagubiona. Po raz pierwszy w życiu jest całkiem sama. Nikt, nawet Miles ani perfidny Lyon, nikt jej nie pomoże. Musi polegać tylko na sobie, słuchać własnych rad, a dobrze wie, ile one są warte.

Flint zgiął palec i podniósł nim jej brodę, a potem gwałtownie odwrócił jej głowę do siebie.

Jego przenikliwe spojrzenie przyjęła z chłodną dumą, którą na pewno pochwaliliby jej wyniośli przodkowie.

- Dosyć tego. Oto reguły tej gry, panno Redmond. Moje plany się nie zmieniły. Kontynuuję powierzona mi misję.

Nie odwiedzie mnie pani od niej. Będziemy się kochać czy nie będziemy? Proszę zdecydować.

„Będziemy się kochać”. Twarz nadal ją paliła.

„Jego plany”.

Schwycić jej brata i doprowadzić przed sąd, i prawie na pewno na szubienicę. Ożenić się z wierną Fatimą.

Zamieszkać w Ameryce.

Odzyskała rozsądek. Wpatrywała się w niego, oniemiała. Nie mogła opanować drżenia ciała.

Została głęboko zraniona. Nie wiedziała dlaczego. Ale odzyskała mowę.

- Zdecydowałam, że może pan iść do diabła, kapitanie Flint.

Jego twarz zrobiła się bez wyrazu. Patrzył na nią pustym wzrokiem. Ktoś by pomyślał, że zadała mu cios.

A potem kącik ust wygiął mu się w pełnym żalu półuśmiechu. Cmoknął z drwiącym współczuciem i wolno pokręcił głową.

Wyszarpnęła spod jego palca brodę.

Jeszcze chwilę badawczo jej się przyglądał. Potem krótko, chłodno kiwnął głową, odwrócił się i odszedł.

Patrzyła, jak się oddala. Miał szczęście, że w zasięgu jej rąk nie było niczego, czym mogłaby cisnąć w te jego potężne łopatkę. Czowała się porzucona i ciągnęło ją do niego z równą siłą, jakby oplątał ją siecią i włókł za sobą.

Uświadomiła sobie, że się cała trzęsie.

A niech tam. Cholerne łzy. Energicznie przetarła oczy piąstkami. Ale kiedy patrzyła, jak on odchodzi, kilku rzeczy była absolutnie pewna: Nikt nie drży, jeśli nie jest wzruszony. A kapitan Flint drżał, kiedy jej dotykał. I zasuszył ją w książce jej brata.

Wiedziała też, co przemknęło lotem błyskawicy przez jego twarz. Nabożny podziw.

Och, kapitanie. Drogi hrabio. Chyba jednak mogę z panem igrać.

Zrozumiała, że on też się boi, jak ona. I jeszcze jedno pojęła - że władza nad mężczyzną, który jest niepokonany, przeraża ją bardziej, niż gdyby nie miała nad nim żadnej władzy.

## 18

Trzy dni później dzwony na statku oznajmiły, że wpłynęli do spokojnej, zjawiskowo błękitnej zatoki, nad którą znajdował się port w Breście.

„Olivia” stała przycumowana wśród innych statków handlowych. Tajemnicza, zgrabna i wesoła... oczywiście oprócz czterech armat, w które była uzbrojona.

Statku „Caridad”, który miał przypląć do Brestu z Hawru, nigdzie nie było widać.

Przez trzy poprzednie dni Violet wprawiała Herculesa w najwyższe zdumienie. Prawie nie wychodziła z kambuza. Z coraz szerzej otwartymi ze zdziwienia oczami przyglądał się, jak do czysta szorowała kuchnię, garnki, wyposażenie kambuza, stoły i pozostały sprzęt. Meła ziarno. Obierała i kroїła warzywa i to, co jej kazano. Zszywała żagle.

Chciała tak się zmęczyć, żeby zapaść się w sen jak w czarną otchłań.

Okazało się jednak, że jej ciało mniej pragnie snu niż hrabiego Ardmay.

Zamiast zatopić się w kojącym śnie, wołało ono miotać się w gorączce, trawione żalem i pożądaniem.

Wmawiała sobie, że nie ukrywa się w kambuzie.

Nigdy w życiu przed niczym i nikim się nie ukrywała.

Oczywiście, kiedy tylko zobaczyła hrabiego Ardmay, zrozumiała, że to nieprawda.

Na jego widok traciła na moment oddech.

Musiała jednak przyznać, że w ciągu ostatnich dni, ku jej zdziwieniu i niezadowoleniu, trochę się... zaniedbał. Na podbródku pozostawił leciuteńki zarost, choć zwykle bywał gładko, starannie ogolony. Oczy miał podkrążone. Być może noce spędzał na pijaństwie.

Bardzo długo na nią patrzył, bez żadnej emocji. Wytrzymała to spojrzenie chłodno i odważnie, chociaż kolana się pod nią lekko ugiwały.

Najwyraźniej postanowił, że nie ma co tracić słów dla kogoś, kto mu jasno i wyraźnie powiedział, żeby szedł do diabła, bo się do niej w ogóle nie odezwał. Gdy opuszczano ich do łodzi, mówił tylko do załogi i tylko po to, żeby wydać rozkazy. Lavay powiosłuje do „Olivii” z Greeberem i Corcoranem, żeby sprawdzić, czy jest tam Hardesty. Rozejrzą się, bo może na statku albo wśród załogi zauważą coś ciekawego. Potem, o ile to możliwe, porozmawiają z marynarzami w porcie. Może uda im się dowiedzieć czegoś o właścicielach statków, które Le Chat do tej pory napadł, albo o ich załodze.

On i panna Redmond złożą razem wizytę panu Musgrove'owi, jak jej obiecał.

Z hałaśliwej portowej karczmy wysłali do kupca posłańca, aby go poinformować o ich przybyciu i celu wizyty. Nie minęła godzina, a nadjechało lando kupca, które po nich przysłał, i pięknymi, ruchliwymi ulicami Brestu zawiozło ich do willi z różowego kamienia, mniej więcej dwa razy większej niż przeciętny dom w Londynie, jak stwierdził Musgrove, hrabia zasługiwał chociaż na takie powitanie.

W czasie tej krótkiej podróży w powozie panowała chłodna atmosfera. Violet i hrabia siedzieli naprzeciwko siebie i przez okna powozu przyglądali się mijanym ulicom i domom jak uprzejmi turyści. Milczeli.

Pan Musgrove osobiście przywitał ich w drzwiach domu i zaprosił do środka.

- Przepraszam za marnej jakości wino, które panu podam, kapitanie Flint. Wysłałem po nie Fentona. W Zatoce Biskajskiej Le Chat zatopił „Caridad” i zrabował wspaniałe sherry, na które oczekiwałem dwa dni temu. Jak rozumiem, właśnie dostał pan szlachecki tytuł? Jest pan hrabią? Proszę mi wybaczyć. Pozwoli pan, że pogratuluję i złożę ukłony, zanim zacznę się skarżyć na tragedię, która mnie spotkała. Zapominam o przestrzeganiu konwenansów, ale miałem bardzo, wprost niezwykle bolesne przeżycia.

Spóźnili się z ratowaniem statku.

Wiadomość tak ją zszokowała, że poczuła ucisk w brzuchu.

A potem przeszedł ją dreszcz podniecenia. Okazało się, że przewidziała bieg wypadków i nie myliła się co do Brestu i statku „Caridad”.

Spojrzała z ukosa na hrabiego. Drgnęły mu palce, ale od razu mocno oparł je na udach. Profil miał jak wykuty z granitu.

Gniew był z pewnością zbyt łagodnym określeniem tego, co czuł, dowiedziawszy się, że spóźnił się z przybyciem do Brestu.

Musgrove niczego nie zauważył.

- Kim jest ta młoda dama? - Odwrócił się w jej stronę. Z irytacją pomyślała, że dziś dla wszystkich jest kimś mało ważnym.

- Moja podopieczna, panna Violet Redmond. - Pięć zwięzłych, pozbawionych emocji słów.

Podopieczna? No dobrze. Jest jego podopieczną. Dygnęła.

- Aaa pana podopieczna? - Pan Musgrove był najwyraźniej zbyt przejęty własnym nieszczęściem, by nią się dalej interesować, a nazwisko Redmond chyba nic mu nie mówiło. - Bardzo mi miło.

Guziki jego doskonale uszytego surduta z ledwością utrzymywały razem obie poły na okazałym brzuchu. Violet przezornie odsunęła się od pana Musgrove'a, w obawie, że któryś wystrzeli jej w oko, kiedy tamten będzie się kłaniał. A on nosił przed sobą brzuch niczym trofeum - był symbolem jego sukcesu. Kroczył majestatycznie.

Poszli za nim.

Szli długo. Dom był ogromny. Jego właściciel, naśladowując gust wyższych sfer, umeblował go i udekorował przedmiotami, które zapewne kupił od uciekających przed gilotyną francuskich arystokratów. Wszędzie aż kapalo od złociń, a stoły i krzesła były zbyt delikatne aby unieść ciężar kogoś o jego posturze. To były również trofea.

Pan Musgrove miał niezdrowe rumieńce koloru wiśni i pocił się jak kowal w Hadesie. Co chwila delikatną chusteczką wycierał strumyczki potu, spływające z jego czoła.

W Breście dzisiaj nie było zbyt gorąco. Kupiec najwyraźniej miał zszarpane nerwy.

- Poniósł pan druzgocącą stratę - zgodził się hrabia.

- Jak najbardziej, lordzie Flint! Jak najbardziej. Towar wart przynajmniej pięć tysięcy funtów. Chętnie zgilotynowałbym tego drania Le Chata. To już mój drugi statek, który przejął i zatopił. On mnie przesiaduje - Jęknął.

- Prześladowuje! Czy pozwolicie państwo, że usiądę?

Opadł na krzesło z wysokim oparciem, które zaskrzypiało pod nim ostrzegawczo, i oparł stopy na czerwonym, pluszowym stołku. Violet zauważyła, że jego drobne stopy spuchły i wylewają się z pięknie uszytych butów. ,

- Dziękuję, Fenton - zwrócił się do służącego w peruce i w olśniewającej liberii, który wszedł cicho jak kot, wnosząc butelkę i jeszcze dwa kieliszki. Postawił je na stole i cichutko wyszedł.

Hrabia i Violet usiedli nieco ostrożniej niż ich gospodarz, ponieważ pan Musgrove spoczął na krześle najbardziej solidnym ze wszystkich stojących w pokoju, a im zostawił delikatne, obite jedwabiem.

Spojrzał na nich, ale sądząc z jego zaszępienia i skrajnego zdenerwowania, nie mieli co liczyć na potraktowanie ich przez gospodarza z obiecaną gościnnością.

Tak więc, kiedy się w końcu uśmiechnął, był to wymuszony uśmiech.

- Skąd ma pan pewność, że to Le Chat zatopił „Caridad”? - Głos hrabiego brzmiał zadziwiająco spokojnie.

- Z tego, co słyszałem, on i jego ludzie, uzbrojeni w szpady i pistolety, napadli na moją załogę i solidnie ją poturbowali. Potem powsadzali moich ludzi do szalup. Ten Le Chat nosi jakąś diabelną maskę, słyszeliście? - Z kciuków i palców wskazujących zrobił kółka i przyłożył je do oczu. - Żeby ukryć twarz. Głupota, co? Ech, piraci! - Z niedowierzaniem gwałtownie pokręcił głową, a wtedy interesująco zatrzęśły mu się włosy i policzki. - Ale moi ludzie w łodziach dotarli jakoś do brzegu. Prawie nieżywi i z pragnienia, i z głodu, i śmiertelnie wystraszeni. Chcę dorwać tego Le Chata! Pan także kogoś ostatnio stracił, prawda, kapitanie Flint? Przez Le Chata? Był pan związany z kapitanem Moreheartem?

Związany. Hrabia rozważał to słowo, wolno łykając porto. Violet przyglądała się jego dłoniom. Drżały, kiedy mnie dotykał, pomyślała. Silne ręce potężnego mężczyzny.

Wyobraziła sobie, że jego palce muskają jej szyję. Na wpół przymknęła oczy, miotana burzą doznań. Teraz ręce miał spokojne. Ale ona już nie. Ostrożnie odstawiała kieliszek.

- Tak, „Steadfaster” zatopiono. Podobno to sprawka Le Chata. Załoga zaginęła.

Musgrove cmoknął i pokręcił głową.

- Moreheart był cholernie dobrym człowiekiem. Przepraszam, panno Redmond. Za to cholerowanie. Ojej, jeszcze raz przepraszam. Wiem, bo robiłem z nim interesy. Tak więc jedziemy na tym samym wózku. Obu zależy nam na tym, żeby skończyć z tym łajdakiem. Życzę panu powodzenia, kapitanie Flint, bo podobno jest pan najwłaściwszą osobą, aby tego dokonać. Wypijmy za głowę Le Chata!

Podniósł kieliszek, hrabia uniósł swój. Violet sączyła wino, nie zamierzając spełnić toastu za ucięcie głowy własnemu bratu, choćby nawet i symboliczne.

- Czy można porozmawiać z kimś z pana załogi, panie Musgrove? - zainteresował się kapitan. - Są jeszcze w porcie czy zaciągnęli się na inne statki? Pamięta pan, kto dowodził „Caridad”?

- Hrabia szuka nowego pomocnika kucharza - niewinnie wtrąciła się Violet. - Jeśli taki się znajdzie.

- Ten, którego mam teraz, jest tani, ale nienawykły do pracy, choć tak sumienny, że prawie nie opuszcza kambuza - odparował kapitan. Nadal na nią nie patrzył.

Przynajmniej zauważył, że nie wychodziła na pokład. Żałosna pociecha. Ale dobre i to.

Pan Musgrove zbyt był przytłoczony swoimi zmartwieniami, żeby przejąć się ich strapieniem.

- Nie wiem, co się stało z załogą, kapitanie. Pewnie rozpiechli się na cztery strony świata i mogą już być w drodze do Ekwadoru. Nawet nie pamiętam, jak się nazywali. A panu życzę szczęścia. Niech pan rusza z Bogiem. Szkoda, że nie przybył pan tu wcześniej. - W jego głosie nie było oskarżenia, tylko gorzki smutek.

- Też żałuję, panie Musgrove.

Hrabia wyjął zegarek i sprawdził godzinę, a potem wsunął go z powrotem do kieszeni surduta.

- Ciekaw jestem, czy któryś z pańskich ludzi zdążył przyjrzeć się statkowi pirata? O Le Chacie krążą głównie pogłoski.

Musgrove pokręcił głową i skrzywił się, smakując wino. Violet uważała, że jest całkiem dobre, choć nie miała zamiaru pić więcej. Co innego, gdyby podano szampan... albo... sherry...

- Oczywiście była noc. I mgła, jak to w Zatoce Biskajskiej. Nikt nic nie wie na pewno. Wszystko odbyło się bardzo szybko. Bardzo profesjonalnie - zrelacjonował szyderczo. Wypił resztę wina, skrzywił się i trochę zbyt mocno postawił kieliszek na stole, pewnie mającym co najmniej ze sto lat.

Jeszcze raz obdarzył ich bladym uśmiechem i westchnął.

- Panie Musgrove... - niepewnie zaczęła Violet. - Powiedział pan, że robił pan interesy z kapitanem Moreheartem ze „Steadfastera”.

Hrabia spał się prawie niezauważalnie.

- Tak, panno Redmond. - Musgrove po raz pierwszy dokładnie jej się przyjrzał. Jego bystre, brązowe oczy z aprobatą oceniły to, co zobaczył, od fryzury po pantofelki. Pewnie jako rasowy kupiec poznał się na wartości jej ubrania, bo raczej nie podejrzewała go o to, że potrafił ocenić jej kobiece walory.

- Należał pan do jakiejś grupy inwestycyjnej? Mój ojciec jest w takiej grupie i inwestuje w podobne przedsięwzięcia - oznajmiła.

- Czyżby? Straciłem dwa statki, ale zostało mi jeszcze trochę kapitału. Może porozmawiam na ten temat z pani ojcem, moja droga. -Najwyraźniej ujęło go, że swoją kobiecą główkę zaprzęta interesami.

Pochyliła się do przodu jak pilna uczennica.

- W co inwestuje pan zyski? - zapytała.

Pan Musgrove nalewał sobie wino. Z tyłu za nim zegar wybijał godzinę. Jedno uderzenie, drugie...

Tylko trzy razy, ale wystarczyło, by nabrała przekonania, że specjalnie zwleka z odpowiedzią.

- Oczywiście w nowy towar, panno Redmond. - Znowu się uśmiechnął. - Jeszcze wina?

- Nie, dziękuję.

Zerknęła na hrabiego, żeby zobaczyć, czy też zauważył, że Musgrove zawahał się, co jej odpowiedzieć.

Tak. I był na tyle bystry, by zadać mu pytanie.

- Dokąd miał „Caridad” płynąć po dostarczeniu towarów do Brestu? - zagadnął kupca.

- Planowałem wysłać go do Kadyksu po hiszpańskie sherry, no wie pan, amontillado. Wspaniały trunek. Teraz inny z naszych inwestorów wyśle z La Rochelle po ten towar statek „Prosperar”.

- W jakie towary przeważnie pan inwestuje? - zapytała. Była bardzo zainteresowana odpowiedzią.

- Różnie bywa, droga moja. - Spojrzał na nią, a wtedy stanął jej przed oczami ojciec, Isaiah Redmond. Też tak na nią patrzył, przywołując ją do porządku i z pobłażliwością. W ciągu minionego tygodnia na morzu ani razu za tym spojrzeniem nie zateęskniła.

- Pewnie interesują panią najmodniejsze jedwabie. Dlatego pani pyta?

- Oczywiście. - Roześmiała się figlarnie i opuściła wzrok, udając zakłopotanie.

Choć dopiero teraz, hrabia jednak w końcu na nią popatrzył. Bez wątpienia zdumiony, ale przynajmniej na nią patrzył. Odezwał się.

- Ciekawy jestem, panie Musgrove, czy spotkał pan w porcie pana Hardesty'ego? Mieliśmy się z nim zobaczyć na przyjęciu u znajo-



mych w Hawrze, ale niestety rozminęliśmy się, a powinniśmy porozmawiać o interesach.

- A, Hardesty. - Musgrove oparł się na oparciu krzesła. - Podobno, aby zobaczyć się z panem Hardestym, wystarczy poszukać żony swego najlepszego przyjaciela. On będzie z nią w łóżku. - Zachichotał, ale nagle przerwał, gdyż przypomniał sobie o Violet. - Mój Boże, przepraszam, panno Redmond. Trudno panować nad językiem, kiedy człowiek stracił pięć tysięcy funtów i statek!. Jestem zszokowany! Zszokowany! - mruknął. - Jeszcze raz wytarł czoło, bo znowu pojawiły się na nim krople potu. - Co do podbojów miłosnych pana Hardesty'ego, to krążą o tym tylko plotki. Bardzo panią przepraszam, panno Redmond. Ale słyszałem, że kobiety płaczą przez niego i z rozpaczy rozdierają szaty. Jest pan przyjacielem pana Hardesty'ego, kapitanie Flint? - Powiedział to, jakby nie bardzo w to wierzył.

- Znajomym. W Hawrze byłem na kolacji u wicehrabiego Heberta i miałem nadzieję, że będę tam miał okazję porozmawiać z panem Hardestym o pewnym interesie, ale nie mógł przyjść. Miał inne sprawy. Myślałem, że w tutejszym porcie uda mi się przekazać mu wiadomość od wicehrabiego.

- Niech pan poszuka go w karczmach. Albo powiosłuje na „Olivię”. Ktoś przecież chyba wie, gdzie go szukać. Ja spotkałem się z nim tylko raz. Nikt nie powinien być taki przystojny. Z tym wyglądem musi łamać kobiece serca. Czyja żona lub córka może być przy nim bezpieczna? Kobiety są w końcu tylko kobietami. Bardzo panią przepraszam, panno Redmond. Znow strzeliłem gafę. Jeśli chodzi o handel, nie da sobie w kaszę dmuchać. Na „OHvii” są cztery armaty. Szybka łajba. Na pewno prześcignie Le Chata.

- To prawda, szybka bestia.

Violet wiedziała, że kiedy mówi „bestia”, ma na myśli także i ją.

Kiedy wracali landem Musgrove'a, hrabia wcisnął na głowę swoją czapkę z bobra.

Była to dla niej pierwsza wskazówka, że złości się bardziej, niż jej się przedtem zdawało.

Następną otrzymała już po chwili.

- Czego mi pani nie mówi, panno Redmond? Co jeszcze pani wie? Nie lubię, jak robi się ze mnie durnia.

Widząc, jak jest rozgniewany, nie odezwała się ani słowem. A więc jego milczenie było ciszą przed burzą. Kipiał gniewem.

- Jeśli natychmiast mi pani wszystkiego nie powie, zostawię panią w porcie.

- Lordzie Flint, na mnie się pan złości, czy na to, że za późno dotarł pan do portu?

O Boże. Dlaczego się z nim drażni? Nigdy nie potrafi się od tego powstrzymać.

Zmrużył oczy i wręcz warknął.

- Jeśli zataiła pani przede mną coś, co mogłoby pomóc... - Groźba zawisła w powietrzu.

Dosyć tego. Nie pozwoli mu na takie zachowanie. Nikomu nie wolno takim tonem zwracać się do Redmondów.

- Mówię panu wszystko, co wiem, wstrętny, arogancki człowieku, i powinien mi pan być za to wdzięczny.

Przysięgam na moją rodzinę, że nic nie zataiłam. Czy to wystarczy? Ubolewam, że „Cari-dad” zatopiono. I nie sądzę, że to robota mego brata. Ale miałam rację co do Brestu. Czy nie świadczy to o mojej uczciwości? Co więcej, lordzie Flint, znam własnego brata. I to wszystko nie jest takie proste, jakby pan chciał. Słyszał pan wahanie w głosie Musgrove'a, kiedy zapytałam go o towar, prawda? Coś ukrywa!

Zrozumiała nagle, że w którymś momencie przestał słuchać, co ona do niego mówi, i zaczął jej się po prostu przyglądać. Widać było, że myśli o czymś innym.

- Prawda? - zapytała już nieco cichszym głosem. Te cholerne, niebieskie oczy.

Nadal przyglądał jej się badawczo.

- Panno Redmond?

- Słucham? - warknęła.

- Okropnie pani wygląda. - Stwierdził bez ogródek. Podskoczyła, jakby ją uderzył.

Jej pierwszą myślą było: to niemożliwe. Ona? Violet Redmond? Zaczął na palcach wyliczać mankamenty jej urody:

- Ma pani podkrążone oczy, które, nawiasem mówiąc, są czerwone jak u królika. Jest pani blada. Mizerna. Jakby pani od dawna nie sypiała. Zastanawiam się, dlaczego? Może coś panią trapi?

Patrzyła na niego oczami zwięzonymi ze złości.

- Ale fryzurę ma pani w idealnym stanie - dokończył zjadliwie. Łajdak!
  - Nie gryzie mnie sumienie z powodu czegoś, czego panu nie powiedziałam o Le Chacie, jeśli to ma pan na myśli - wypaliła.
  - Wiem. I nie o to mi chodziło.
- Zmarszczyła brwi. Ale po chwili rozchmurzyła się i wygładziła zmarszczki palcami.
- Pan też nie jest okazem zdrowia, kapitanie. Ta ziemista cera i cienie pod oczami. Strasznie pan zmizerniał. Otworzył usta, udając przerażenie.
  - Chyba nie jest tak źle!
  - Jeszcze gorzej. - Ale nie była w stanie wykrztusić z siebie, że wygląda jak dzikus.
- Jego głos stał się przerażająco miły.
- Wiesz, co mi dolega, Violet? - mówił z ironią. - Bo ja wiem. Oto, co. Jestem kapitanem „Fortuny”. Odpowiadam przed załogą i teraz jeszcze przed cholernym królem Anglii. Kurczą mi się fundusze. Moja reputacja i cała przyszłość zależą wyłącznie od tego, czy uda mi się schwycić tego pirata i dostać nagrodę. Tymczasem...
- Powoli, bardzo powoli, konfidencyjnie pochylił się w jej stronę. Ręce złożył swobodnie na kolanach, w jednej z nich trzymał czapkę. Im bardziej pochyłał się ku niej do przodu, tym bardziej ona odchyłała się do tyłu, aż wcisnął ją w, co prawda bardzo wygodne, siedzenie landa.
- Każdą sylabę cedził ciężko, ze zmęczeniem i ironią.
- ...tymczasem nie mogę w nocy spać, bo tak cię pragnę. Żaden prawnik nie przedstawił oskarżenia równie dramatycznym głosem. A jednak słysząc w nim było nutę goryczy.
- Wlepiała w niego wzrok. A potem odruchowo przytknęła pięści do oczu, jak dziecko. Chciała uciec przed własną frustracją i przed pożądaniem, które zobaczyła w jego znużonej twarzy.
- A ponadto przejął ją strach, że wykazał się tak silną wolą, silniejszą od jej. Przyznanie się do tego było z jego strony daleko idącym ustępstwem.
- Oderwała dłonie od oczu, aby zademonstrować udawaną obojętność.
- Powiedz, że mnie nie pragniesz - rzekł, kiedy na niego spojrzała. Bezpośrednie żądanie.

Jej dłonie poszukały i odnalazły siebie nawzajem, a potem splotła je mocno. Nie, nie dotkniecie go. Przechylił się jeszcze bardziej do przodu i niespokojnym szeptem ją namawiał.

- Powiedz mi, że tak nie było. Że się mylę. Że nie leżałaś każdej nocy, nie mogąc zasnąć, bo wyobrażałaś sobie moje ręce na swoim ciele. I moje usta pieszczące twoje piersi. I mnie w sobie, Violet. Mój członek. Rozchyliła usta, z których wydarło się tylko stłumione „Och”. Żar ogarniał jej ciało.

Dokładnie wiedział, co się z nią dzieje. W jego ramionach już się raz zatraciła, w dzikim zapamiętaniu. Dobrze wiedział, czego ona pragnie. I jak jest namiętna.

- Nie sądzę, żeby pana członek był obiektem mojego zainteresowania - odparła.

Nigdy w życiu nie wypowiedziała na głos tego słowa. Była rozpaczliwie podniecona i rozemocjonowana, zupełnie jakby wymachiwała naładowaną bronią palną. Ale to on tę broń włożył jej do rąk.

W pewnym sensie.

Otworzył szeroko oczy ze zdumienia, skonsternowany. Był urażony, bez wątpienia. Znów uświadomiła sobie, że ma nad nim władzę. Taką, która budziła w nim niepokój, a w niej, o dziwo, chęć chronienia go. Zawsze.

Nie chcę oglądać cię takim, pomyślała z rozpaczą.

Ale nie wiedziała, jakim chciałaby go widzieć.

- No dobrze - przeciągał każde słowo. - W takim razie wyjaw mi, którą częścią mojego ciała jesteś zainteresowana i myślisz o niej, kiedy jesteś sama? Może posłużę się nimi, żeby sprawić ci przyjemność. Wiem dużo, bardzo dużo na temat rozkoszy, Violet. I wiem, że lubisz przygody.

Powinnaś już wiedzieć, że nie możesz z nim igrać, powiedziało jej sumienie, kręcąc ze znużenia głową.

Słyszała teraz własny oddech. Był płytki i urywany, bo dyszała z niepoohamowanej wściekłości. I, szczerze mówiąc, dzikiej żądzy.

Jak on. On także cierpiał piekielne męki. Ale potrafił się przystosować. Już tyle razy w życiu piekło zmieniał w niebo.

Ona była w tym nowicjuską.

Uśmiechnął się lekko.

- Proszę, Violet. Powiedz, że mnie nie pragniesz. Spraw, abym w to uwierzył.

- To niesprawiedliwe - mruknęła.

- Niesprawiedliwe? - Był chyba szczerze zdziwiony, prawie rozczarowany, że wymyśliła jedynie tak bezbarwne słowo.

- Sprawiedliwość? Co sprawiedliwość ma wspólnego z... tym wszystkim? - Tak mocno ścisnął brzeg czapki, że aż zbieleły mu kłykcie.

Tym wszystkim. Czyli z pożądaniami. Z piratami. Jego kurczącymi się funduszami. I tym, że nie mogliby być w większym konflikcie w sprawie przyszłego losu Lyona Redmonda.

- To nie moja wina - tłumaczyła rozpaczliwie. Ja też cierpię.

- Bzdura - zaoponował.

No cóż. Powiedział to jak Amerykanin. Niezbyt uprzejmie. Ale miał rację. Trochę była winna. Od początku go uwodziła.

- Proszę tylko, żebyś spojrzała mi w oczy i wyraźnie to powiedziała, Violet. Tak, żebym ci uwierzył.

Łobuz.

Odważnie popatrzyła mu w oczy. Poczula, że serce jej się ścisną, kiedy zobaczyła te cienie pod oczami i wyostrome przez zmęczenie zmarszczki. Twarz miał napiętą od emocji. Wiedziała, że częściowo jest to frustracja, a częściowo coś przerażającego i zaskakującego nowego dla nich obojga. I co miało wiele wspólnego z powodem, dla którego zasuszył jaśmin.

Ale pożądanie było łatwiej zrozumieć, więc nazwali to pożądaniami.

Pochyliła się nieco do przodu, tak jak on.

- Nie... Nie pragnę... ciebie.

Rzeki płynęły w górę z mniejszym trudem, niż jej przyszło wypowiedzieć to zdanie.

Kiedy już to zrobiła, poczuła się całkiem wyczerpana. Powiedzeniem tych słów, wygrała. Już więcej kłamać nie potrafię, pomyślała. Gdyby poprosił mnie, żebym to powtórzyła, nie byłabym w stanie. Mógłby mnie teraz wziąć.

Oślabła, nie była zdolna ruszyć ręką ani nogą.

Zamrugnął.

Na jej oczach ustępowało z niego napięcie. Do kłykciów znów napłynęła krew. Rozluźnił uchwyt czapki i delikatnie odłożył ją na ławce pojazdu. I w milczeniu obserwował Violet.

Zbyt wyczerpana, tylko patrzyła na niego bez słów i bez siły.

Po chwili oparł się o siedzenie i zamyślane spojrzenie przeniósł za okno powozu.

W drodze do karczmy więcej się nie odezwał.

Nie mogła nie zauważyć, że kiedy się zamyślał, był równie przystojny jak... w każdej innej sytuacji.

Słoneczny Lavay był absolutnym przeciwieństwem hrabiego. W karczmie od razu go wypatrzyli. Jego włosy świeciły jak wypolerowana złota moneta we wrzaskliwej, zadymionej, mrocznej karczmie. Siedział wygodnie rozparty. Długie nogi wyciągnął przed siebie i miał tak pański wygląd, że porysowany stół i poobijany stołek wyglądały jak tron. W ręce trzymał kufel piwa, a nad nim pochylała się barmanka, która mu je przyniosła. Zupełnie jakby za chwilę miała usiąść mu na kolanach. Sądząc po kwaśnych, obrażonych twarzach mężczyzn w otoczeniu, a także po stanie ich kufli, prawie pustych, przebywała przy nim odrobinę za długo.

- O! Siadajcie, przyjaciele - przywitał ich radośnie. - Polly przyniesie wam po piwie, prawda, Polly?

Polly z wyraźną niechęcią wyprostowała się, by spojrzeć na przyjaciół Lavaya. Jej piersi ujęte w gorset wykonywały przy tym ruchy górotwórcze, a kiedy ich właścicielka usiadła spokojnie, jeszcze przez chwilę drżały. Zwinięte w loki rude włosy wystawały spod brzegów białego czepka, a skórę, jeszcze jaśniejszą od skóry Violet, pstrzyła galaktyka piegów. Brwi i rzęsy miała tak jasne, że prawie niedostrzegalne.

Szybko zmierzyła wzrokiem postawnego hrabiego. Na jej okrągłej twarzy malował się aż przesadny podziw.

- Dla pana wszystko. *Mon grandpere* Ned warzy najlepsze piwo w Breście.

Rękę podniosła do piersi, jakby chciała przysiąc, a hrabia podążył wzrokiem za tą ręką.

- Ja proszę o whisky - zamówiła Violet. - I siedem dużych piw. Trzy zdziwione pary oczu zwróciły się w jej stronę. Bo tyle trzeba, żebym się choć trochę zaczęła uspokajać. Ale mimo zdenerwowania i złości coś zaczęło do niej powoli docierać.

Skrzywiła się. Barmanka nazywa się Polly. A jej dziadek Ned? Córka Neda Hawthorne'a nazywa się Polly. Obsługuje gości w pubie Pod Świnią i Ostem, a od ślubu Colina Eversea ciągle jest nie w humorze. Ned Hawthorne to właściciel pubu Pod Świnią i Ostem w Pennyroyal Green!

Polly i Ned nie są francuskimi imionami.

- Przynieś mi kufel ciemnego piwa, Polly, merci - powiedział nie-zmieszany hrabia, otwarcie delektując się widokiem biustu Polly jak każdym pięknym tworem natury. Barmanka była wyraźnie do tego przyzwyczajona. - A nasza znajoma żartowała z tą whisky. Wypije jedno słabe piwo.

Jedną ręką wyciągnął dla Violet krzesło, drugą zaś wskazał, by usiadła.

Lavay był uprzejmy podkurczyć nogi, aby hrabia mógł usiąść na krześle obok niego.

Polly i Ned. Po grzbiecie przeszły jej ciarki. Violet bez tchu schyliła głowę i skrycie rozejrzała się po sali. Wokół pili marynarze. O tym, że są to marynarze, świadczyły ich ogorzałe, nieogolone twarze, zawiązane w węzły chusty na szyi i brudne, lniane bluzy w pasy, z podwiniętymi rękawami. Kilku mężczyzn, odzianych przyzwoicie, podobnie jak hrabia, przy piwie czekało na odpłynięcie statków. W karczmie rozlegał się wielojęzyczny gwar.

Oczywiście, nigdzie nie dostrzegła Lyona.

Zmęczona i sfrustrowana zamknęła oczy. Wszędzie doszukiwała się od niego znaków. Zwykle to ona sprawiała innym niespodzianki, a nie inni jej, więc nerwy miała napięte jak struny.

Była tak wyczerpana, że powieki same jej się zamykały. Zmęczenie okazywało się silniejsze od siły woli. Chciałaś przygód, pomyślała zgryźliwie.

W końcu otworzyła oczy. Zobaczyła, że hrabia odwraca wzrok od jej twarzy. Przyglądał się jej.

Rozejrzał się po sali, być może, by zobaczyć, kogo szukała, a przy okazji przesunął nogę i kolaniem otarł się pod stołem o jej kolano.

Równie dobrze mógłby przeciągnąć palcem po jej nagim udzie. Poczwała, że uda tęsknie rozwierają jej się pod stołem. Z dużym trudem mocno je zacisnęła.

Nie ma oporów przed nieczystą walką. Tak Lavay powiedział o hrabim. Szczerze wątpiła, czy otarcie się ich kolan było przypadkowe; dobrze wiedział, jak zareaguje.

Kiedy zobaczył jej oskarżycielski wzrok, jedna brew drgnęła mu w udawanym zdziwieniu. Wyciągnął szyję, by z zadowoleniem obserwować Polly przeciskającą się z jego piwem przez tłum gości.

Za to Lavay w ogóle nie zwracał uwagi, w jakim nastroju są jego współtowarzysze. Może dlatego, że zdążył już wypić trochę piwa.

- No, więc muszę wam powiedzieć, że powiosłowałem do „Olivii” z Corcoranem i Greeberem. Przywitało nas kilku bardzo uprzejmych i małomównych marynarzy, a żaden z nich nie był ułomkiem. Ładnie się wystawiali, ! byli po zęby uzbrojeni. Nasza załoga chlubiłaby się takimi ludźmi. Odpowiedzieli, że pana Hardesty'ego nie ma na pokładzie. Jest na brzegu. Nie, nie wiedzą, dokąd się udał. Pewnie na jakieś spotkanie, bo jest bardzo ważnym kupcem. Nie mieliśmy dowodów, które uprawniałyby do przeszukania statku, więc... oczywiście powiosłowaliśmy z powrotem. Ale...

Przechylił się do tyłu z wyraźnie zadowoloną miną.

- Co? - Flint nie był w nastroju pozwalającym na spokojne oczekiwanie, co się wydarzyło.

- Ale nim odpłynęliśmy, zostawiłem dla pana Hardesty'ego zaproszenie na dzisiejszy wieczór na kolację, na której będziemy ja, kapitan Flint i kochanica kapitana Flinta, Violet Redmond.

- Kochanica? - Violet aż się zakrztusiła. Hrabia nawet na nią nie spojrział. Lavay jakby lekko się zdziwił.

- Oczywiście, panno Redmond. Przecież zgodziła się pani być...

- Doskonale - przerwał mu hrabia. - Lavay wie, że na samym początku zgodziliśmy się, że pani brat byłby, powiedzmy, przeciwny temu, aby pokalał panią ktoś w moim rodzaju. Dzięki temu jest pani znakomitą przynętą. Stąd ten fortel. Bardzo go pochwalam.

Trochę zanadto rozsmakował się w słowie „pokalał”. Niezbyt uprzejmym wzrokiem ostrzegł ją, aby przyjęła to ze spokojem. Lavay nie był głupi i bacznie jej się przyglądał szarymi oczami. Łatwo mógł wyciągnąć niepożądane wnioski na temat jej relacji z hrabią.

Więc jednak zwabiają Lyona do pułapki, w której ona będzie przynętą.

Dłonie stały się lodowate.



- Przecież dlatego pani z nami dalej płynie, prawda? Zgodziła się pani być przynętą? - kontynuował hrabia z nieznośnym spokojem.

Lavay jeszcze nie skończył swojej relacji.

- Wspomniałem też, że Violet Redmond bardzo niechętnie przyjmuje względy hrabiego, ale hrabia lubi za każdym razem przełamywać jej opór, więc uznał to za jej dodatkową zaletę. Ponadto chętnie podzielił się jej wdziękami z panem Hardestym, jeśli tamten uzna, że jest mu potrzebne towarzystwo niewiasty z temperamentem. - Lavay był z siebie dumny.

- Świetna robota, Lavay.

Perfidia tego planu przeraziła Violet.

- Ale... taka wiadomość... to cios w samo serce Lyona. Nie pogodzi się z tym. Będzie chciał was... zabić.

- O to właśnie chodzi - nieco zbyt radośnie powiedział Lavay. -Ale wszystko zrobimy, aby do tego nie doszło. Po prostu go schwytaamy.

Kolano hrabiego znów lekko przesunęło się w jej stronę, gdyż odwrócił się, by powitać barmankę, jakby była jego starą przyjaciółką.

Tym razem Violet nie miała najmniejszego kłopotu, aby się od niego odsunąć. Była wściekła, że jej dotknął.

Czym, na miłość boską, poprzednio myślała?

Na pewno nie mózgiem.

Oczywiście ci dwaj mężczyźni byli absolutnie zdecydowani, aby schwytać Lyona. Jak hrabia sam przyznał podczas jazdy landem, cała jego przyszłość zależała od tego, czy doprowadzi Le Chata przed oblicze sprawiedliwości.

A w Anglii sprawiedliwość prawie zawsze oznacza śmierć przez powieszenie.

Violet ucichła. Pożądanie uleciało, wyparte przez obraz brata dyndającego na sznurze albo z pistoletem przystawionym do skroni.

Barmance Polly nagle jakby wyrosło osiem rąk, a w każdej trzymała kufel spienionego piwa. Schyliła się, by postawić wszystkie kufle na stole.

- Proszę bardzo, monsieur, świetne, ciemne piwo, które pan zamówił, a dla mademois... och!

Pełny kufel jasnego piwa wylała Violet na bluzkę. Violet westchnęła i odskoczyła do tyłu, aż przewróciła krzesło.

Pusty kufel ze stukotem potoczył się do jej stóp.

Wyciągnęła ręce przed siebie i patrzyła na mokrą bluzkę, która prawie się do niej przylepiła.

Zmierzyła barmankę wściekłym wzrokiem. Mężczyźni też zaczęli wstawać zza stołu. Polly paplała, niepokieszona:

- *Mon Dieu, mademoiselle*, strasznie przepraszam, jestem taka niezgrabna! To straszne! Musi pani...

Po czym zaskakująco mocną dłonią chwyciła Violet za ramię i pociągnęła ją do baru przez tłum obmacujących Violet wzrokiem i chichoczących mężczyzn. Chwyciła ścierkę i zaczęła wycierać jej bluzkę, a przy okazji cicho mówiła do niej z szybkością karabinu maszynowego czystą arystokratyczną angielszczyzną:

- Cicho. Szybko. Krótkie odpowiedzi. Jest czy nie jest pani kochanicą hrabiego?

Serce Violet na chwilę się zatrzymało.

- Szybko! Tak czy nie?

- Nie. Pracujesz dla...

- Tak. Na miłość boską, niech pani nie mówi jego imienia... - za-syczała.

- Naprawdę nazywasz się Polly? - Sprytny Lyon!

- Ja zadaję pytania. Czy jest pani z hrabią dobrowolnie?

- To jest jedwab. Proszę uważać. Tak.

Polly wycierała ją teraz nieco mniej energicznie.

- Dlaczego?

- Zeby znaleźć Lyona. Hrabia chce go złapać. Ja chcę go znaleźć. Mam być przynętą.

Polly nadal wycierała bluzkę.

- Naprawdę jest pani cała i zdrowa?

Pytania i odpowiedzi były krótkie, mówione półszepem, urywane.

- Hrabia mnie nie skrzywdzi. To dobry człowiek. Król powierzył mu zadanie schwytania Le Chata.

Będzie sprawdzał moją siłę woli, będzie burzył mój sen, zmusi mnie do obierania ziemniaków, sprawi, że będę łaknąć jego dotyku albo chociaż spojrzenia, ale nie, nie skrzywdzi mnie.

Ale dlaczego czuję się tak, jakbym zdradzała tego niegodziwca?

Polly jeszcze raz machnęła ścierką, poddała się i rzuciła ścierkę na blat baru.

- Jeszcze dwa duże jasne i ciemne! - wrzasnęła. Violet położyła dłoń na ramieniu Polly.
- Co, do diaska, ten Lyon wyprawia? I dlaczego? Proszę mu powiedzieć, żeby wracał do domu. Dlaczego nie mogę się z nim zobaczyć? Proszę. Proszę mi powiedzieć.
- Ma jeszcze trochę roboty - ucięła Polly. - Już cicho. Cicho.
- Dokąd chce teraz płynąć? Co znaczy „jeszcze dwa”? Proszę powiedzieć mi przynajmniej tyle. Dwa statki?
- Dostyc. - Polly zacisnęła usta. - Skończone. Proszę iść i usiąść przy stole. Przyniosę pani następne piwo. I proszę nic o tym nie mówić.

Violet ruszyła do stolika, mokra, oszołomiona, szczęśliwa, wściekła i kompletnie obojętna na piwoszy pożądliwie spoglądających na jej bluzkę, która zdecydowanie zbyt prowokacyjnie oblepiała jej ciało.

Jej krzesło stało na swoim miejscu. Usiadła, nadal oszołomiona. Czuła, że oczy hrabiego przewiercają ją na wylot. Do Lavaya i hrabiego dosiadł się kościsty, ogorzały mężczyzna o naznaczonej czerwonymi żyłkami twarzy, z potarganą, jasną czupryną. Miał na sobie dobrze uszyty, czarny surdut. Jeden rękaw był rozcięty, jakby od cięcia szpada.

- Panno Redmond, to kapitan William Gullickson. Ostatnio służył na „Caridad”. Lavay poznał go dziś po południu i zaprosił do naszego stołu.

Aha. Kapitan statku, którego nie zdążyli uratować. Gullickson uniósł się nieco z krzesła i niezgrabnie skinął w jej stronę głową.

- Bardzo mi miło, panno Redmond.

Głos ochrypl mu od dymu i alkoholu, ale akcent nosił ślady dobrej angielskiej szkoły, do której pewnie kiedyś uczęszczał. Z zażenowaniem przeczesał dłonią włosy. Miał brudne paznokcie. Ostrożnie wciągnęła nosem powietrze, bo chyba niezbyt często się kąpał.

- Nie jestem pewny, czy jest to rozmowa, którą powinna słyszeć dama. - Podniósł wzrok na Violet i raptem nieśmiało go odwrócił. Zbyt długo pływał po morzu, stał się zbyt nieokrzesany, żeby dobrze czuć się w towarzystwie tak wyrafinowanej damy.

Znowu zjawiła się Polly i postawiła na stole dwa kufle piwa.

- Bezpłatne, proszę panów, z przeprosinami za to, że mi się rozlało.

Mrugnęła do hrabiego, a na Violet nie zwróciła najmniejszej uwagi.

- Panna Redmond jest odporną osobą, niełatwo ją przerazić - zapewnił Flint kapitana Gullicksona. - Może pan przy niej mówić.

Stwierdziła, że nadal ma wilgotną bluzkę i trzęsie się z zimna. Spojrzała niżej i zobaczyła, że sutki jej się wyprężyły - prosto w stronę hrabiego.

Podążył za jej wzrokiem. Natychmiast zbielały mu kłykcie palców zaciśniętych na kuflu z piwem. Gapił się.

Ironicznie wznosił do niej toast, pokręcił lekko głową, podniósł kufel i wypił jego zawartość jednym znieczulającym haustem.

Patrzyła, jak rusza mu się grdyka. A potem zmusiła oczy, by spojrzeć w dół, na własne kolana. Zrobiła wdech i wydech. Lyonowi dzisiaj nie grozi ani hrabia, ani Lavay.

Ma jeszcze trochę roboty, powiedziała Polly. Ale co za robotę wykonuje Lyon?

W tej chwili miała serdecznie dosyć wszystkich mężczyzn w swoim życiu.

- Chce pan wiedzieć, jak to było? - zaczął Gullickson. - Z Le Chatem. Napadli na nas we mgle, więc nie widzieliśmy ich statku. Przedostali się przez burty, cicho jak koty. Prawdziwy z niego Le Chat. - Pokręcił głową. - Potem zobaczyliśmy, że podpłynęli do nas w łodziach. Otoczyli nas tak szybko, że ledwo zdążyliśmy wyciągnąć szpady czy pistolety, a potem walczyli jak diabły. Na szpady. Pistoletów użyli później, zmuszając nas do wsiadania do łodzi.

Honorowo. -Roześmiał się, a potem splunął na ziemię, tak że Violet aż podskoczyła.

- Wszyscy byli w maskach. Jak w jakimś sennym koszmarze. -Podniósł wzrok w poszukiwaniu oznak współczucia.

Lavay i Flint skinęli ze zrozumieniem głową. - Ale on był dżentelmenem. Tego się nie da ukryć, co? - Jeszcze raz

brzydko się roześmiał. - Nigdy tego nie zapomnę. Powiedział: „To dla dobra wszystkich, kapitanie Gullickson”. -

Gullickson powtórzył te słowa, naśladowując arystokratyczny akcent. - Czy to może być prawda, niech to piekło pochłonie? Pytam was. Okradanie i zatapianie statków? I skąd wiedział, że to mój

statek. Potem usłyszałem strzały armatnie i „Caridad”... no cóż, na własne oczy widziałem, jak tonie. Od tamtej pory cały czas piję.

Dopił piwo i mocno walnął kuflem o stół, na znak, że chce następne, po czym wyciągnął szyję, wypatrując barmanki. Flint nie miał ochoty stawiać mu kolejnych piw. Violet podejrzewała, że kapitan Gullickson zaczął pić na długo przed zatonięciem „Caridad”, a napad na statek jest dla niego dobrym pretekstem do pijaństwa.

- Widział pan, jak wygląda Le Chat? - spytał Flint. - Wszelkie szczegóły mogą okazać się pomocne.

- Nie. Było ciemno. Mgła. Jest wysoki, prawie taki, jak pan, lordzie Flint. Szczupły. Ciemne włosy. Widziałem. Niedłgie. Ogolony. Dandys. Oprócz tej nedorzecznej maski.

Nadal nie mogła sobie wyobrazić Lyonsa w masce. Jonathan nieźle by się uśmieł.

- Kolczyki? Tatuże? Blizny?

Papugi? - chciała zapytać Violet, pamiętając napad wesołości Jonathana.

Wzruszył ramionami.

- Nic z tych rzeczy nie widziałem. Ale, jak mówiłem, było ciemno. Świeciły się tylko lampy statku.

- Jak zmusił was, żebyście wsiedli do łodzi? - spytał Lavay.

- Jego załoga bardzo szybko zabrała nam towary. A potem kazał nam przejść przez burzę pod groźbą użycia szpady albo pistoletu. Nie wątpię, że zrobiłby z nich użytek, gdyby któryś z nas choćby mruknął. Podskakiwaliśmy na falach, jak jakieś cholerne jabłka, bo puścił nas na wodę bez kompasu. Wzięła nas na pokład „Lilibeth”, która była w drodze do Brestu, bo inaczej na pewno byśmy zginęli.

Długie palce hrabiego pukały o brzeg pustego już kufła.

- To pasuje do wszystkich innych opisów Le Chata, jakie do tej pory mieliśmy. Bez potrzeby nie bywa brutalny, jest uprzejmy i, łobuz, rabuje wszystko, a potem zatapia statki. Więc pewnie możemy ufać dotychczasowym opisom.

- Mnie może pan wierzyć. Życzę powodzenia w złapaniu łajdaka. Ma dziewięć żyć. Jak kot.

- U kogo pan pływa, kapitanie Gullickson? - spytała nagle Violet. - Kto jest pana pracodawcą?

Wszystkie głowy ze zdziwieniem zwróciły się w jej stronę.

Nadal wykazywał brak pewności siebie. Odwrócił się do niej tylko częściowo: kiedy odpowiadał, nie chciał patrzeć jej w oczy. Uderzyło ją, że zachowuje się jak człowiek, który robi coś, z czego nie w pełni jest dumny. Może zresztą nie chce, by czuła się skrępowana, bo nadal miała wilgotną suknię.

- Kiedy wracam z rejsu, dostaję polecenie wypłaty z firmy, która ma siedzibę w La Rochelle. Trochę dalej, też na wybrzeżu, na pewno wiecie. Nazywa się Kompania Dreieck. Podobno jest to grupa inwestorów. Z jednym z nich jadłem wczoraj wieczorem kolację. To pan Musgrove. Może go znacie. Strasznie się zdenerwował. Stracił tysiące funtów. Nawet mnie groziło nieotrzymanie należnej zapłaty. Ale bym mu dał popalić, gdyby mi nie zapłacił. - Uśmiechnął się nieprzyjemnie.

Violet zaczęła marszczyć brwi. Natychmiast przestała, gdyż hrabia dał jej spojrzeniem znak, by nie reagowała na te słowa.

Musgrove wcześniej powiedział im, że nie pamięta nazwiska kapitana ani nikogo z załogi.

Tymczasem Gullickson i Musgrove nie dawniej jak wczoraj wieczorem jedli razem kolację.

I Musgrove powiedział, że z La Rochelle wysła statek „Prosperar”, aby kupić sherry, gdyż „Caridad” zatopiono.

- Zna pan pana Hardesty'ego, panie Gullickson? Też jest znanym kupcem. Dowodzi „Olivia”. - To pytanie zadał Lavay.

- Spotkałem się z nim gdzieś tak z rok temu w tej karczmie. Właśnie wróciłem z Ameryki. Pan Hardesty podobnie. Wymieniliśmy się informacjami.

Więc Lyon był w Ameryce? O Boże. Ciekawe, gdzie jeszcze bywał. Gullickson znów walnął kuflem o stół tak, że Violet podskoczyła. Rozejrzała się za Polly. Ale ta zniknęła, jakby nigdy jej tutaj nie było.

- Na jakim statku był pan wtedy kapitanem? - To pytanie hrabiego. Łagodne, rzucone prawie od niechcienia. Zadając je, wyglądał przez okno w stronę portu, jakby myślał o własnym statku.

Gullickson jeszcze raz się zawahał.

- Duży towar, kapitanie. - Uśmiechnął się. Powstrzymał się od odpowiedzi na resztę pytania. I nie podał nazwy statku.

Flint i Lavay wymieli tajemnicze spojrzenia. Gullickson wlepił teraz wzrok w hrabiego. Czerwone żyłki w jego oczach stanowiły uzupełnienie żyłek na policzkach.

Violet zrozumiała, że nie jest to miły człowiek.

- Przy dobrej pogodzie do La Rochelle płynię się jakieś dwa dni wzdłuż wybrzeża - rzucił od niechcienia Flint. - To piękna podróż, naprawdę. Dziękuję, że poświęcił nam pan tyle czasu, i życzę powodzenia w dalszych rejsach... kapitanie.

Gullickson tęsknie rozejrzał się za barmanką i zrozumiał, że nie ma co już liczyć na darmowe piwo od hrabiego.

- Wręcz przeciwnie, to ja panom dziękuję za piwo i za rozmowę z kolegami po fachu, lordzie Flint i lordzie Lavay. -

Gullickson odsunął krzesło, wstał i ukłonił im się. Ale odszedł nieco chwiejnym krokiem.

- Flint... - Lavay mówił dziwnym głosem. - Dreieck to po niemiecku trójkąt.

- Wiem. - Flint spochmurniał.

- Dlaczego ten trójkąt jest taki ważny? - zapytała Violet. Lavay spojrzał na hrabiego. Hrabia skinął głową i pozwolił Lavay owi odpowiedzieć na jej pytanie.

- Słyszała pani o handlu trójkątnym, panno Redmond?

- Tak się składa, że tak. Czytałam o tym w jednym z pamfletów, które Olivia Eversea zostawiła w pubie Pod Świnia i Ostem. - Pewnie bardzo się tego wieczoru nudziłam, że to przeczytałam, pomyślała. - To ma coś wspólnego z niewolnictwem, prawda?

Dwaj mężczyźni się nie odezwali. Wolno pili piwo.

Kiedy zaczęła to rozumieć, w brzuchu poczuła gulę strachu.

Niewolnictwo.

Grupa Dreieck. Zapowiadało to zetknięcie się z jakąś złowrogą sprawą.

- Ale co to znaczy?

- Jeszcze nie wiem - powiedział hrabia zduszonym głosem. Najwyraźniej chciał wreszcie się dowiedzieć.

Spojrzał na swój kufel i przekonał się, że już go opróżnił, więc tylko bawił się kuflem.

Słońce zniżało się w stronę morza. Zachód miał dziś kolor ogromnej pomarańczy. Niebo nie podzielało ich nastroju, gdyż było kolorowe jak cyrkowy namiot.

- Panno Redmond... - zagadnął nagle hrabia. Podniosła na niego wzrok wyczekująco.

- Co pani powiedziała barmanka, kiedy zaprowadziła panią do baru? A niech to.

Lavay ze zdziwieniem odwrócił się w stronę hrabiego. Potem do niej. Patrzyły na nią dwie pary podejrzliwych oczu.

- Oprócz *je regrette* i *mon dieu*? - spytała lekko.

Wiedział. Na pewno wiedział. Taka szczęśliwa, powiedział jej w ogrodzie. Niemal ze smutkiem. Pewnie zauważył, jak ożywiła jej się twarz, kiedy Polly mówiła o Lyonie.

Jaki użytek może mieć ze mnie Lyon, jeśli nie potrafię ukryć swoich uczuć?

Nic nie mówiła. Przynajmniej tyle może zrobić dla Lyona.

- Pani brat już nie obawia się, że jest pani moją kochanką, prawda, panno Redmond? - Był nieomal rozbawiony. Ale w jego głosie nie było nawet cienia ciepła.

Nie odpowiedziała. Lavay przenosił wzrok z jednego na drugie. Najwyraźniej był rozczarowany, że nie zrobią jakiegoś przedstawienia albo nie stoczą walki podjazdowej.

- Nie - przyznała słabym głosem.

- Ale może powinniśmy popłynąć do La Rochelle - dodała, kiedy stało się jasne, że Flint i Lavay będą się odtąd jej przypatrywać zimnym wzrokiem, z podejrzliwością. Pamiętali, że choć jest tak czarująca, przede wszystkim jest ich wrogiem.

Ale i tak nie mogła powstrzymać się od uwag.

- Może będzie pan jednak musiał wziąć pod uwagę, kapitanie Flint, że on nie tylko napada i zatapia statki. Że może realizuje plan, którego nie wolno całkowicie potępiać.

Patrzyli na nią.

- A jakie znaczenie ma to dla naszej misji, panno Redmond? - zapytał w końcu uprzejmie Lavay.

Zobaczyła, że kąciki ust hrabiego lekko drgnęły. Z wdzięczności, że przyjaciel przyszedł mu z pomocą. Znów zamilkła.

Podejrzewała, że hrabia zastanawia się, jak to możliwe, że nie śpi po nocach, ogarnięty pożądaniem kobiety, która jest zdeterminowana nie dopuścić do tego, by dostał w swoje ręce niosącego zagładę pirata. Odsunął się lekko i wyprostował, by zwiększyć dystans między nimi dwojgiem.



A więc postanawiamy trzymać się od siebie na dystans, kapitanie. Odetchnęła z ulgą.

Ale jakie to dziwne, że ulga jest tak ponura.

- Oczywiście, że popłyniemy do La Rochelle. - Uniósł w jej stronę pusty kufel w geście toastu.

Sprawił wrażenie człowieka, który jest zdecydowany wygrać, nie bacząc na koszty.

## **19**

Solidaryzując się z nastrojem Violet, od chwili, kiedy opuścili Brest, pogoda zrobiła się niespokojna i zmienna.

Pierwszego dnia błękitne niebo zasnuło się smugami chmur, następnego - pojawiła się niebezpiecznie gęsta poranna mgła, która po południu ustąpiła i powietrze stało się przejrzyste jak szkło. Nadal każde wyjście z kambuza na pokład sprawiało Violet wielką przyjemność. Nigdy nie dało się przewidzieć, jakiej pogody się spodziewać i jak będzie wyglądał bezkres morza i nieba.

Nie dziwiło jej, że na pokładzie nie spotyka hrabiego. No tak, widziała go. Dwa razy. Krótko. Przemknął jak widmowy galeon, żeglujący daleko na horyzoncie. Jeśli ją nawet zobaczył, przekonująco udał, że jej nie dostrzega. Był przecież człowiekiem potrafiącym narzucić sobie bezwzględną dyscyplinę i, odzyskawszy trzeźwość sądu, bez wątpienia uznał ją ostatecznie za niewygodny towar - niechciany, ale nietykalny.

Lavay nadal dwa razy dziennie zabierał ją na spacer po pokładzie, co należało do jego obowiązków. Ale nawet jego czar przestał na nią działać. A i on, wyglądało na to, nie miał do niej pełnego zaufania.

Hercules twierdził, że kapitan Flint swoim zachowaniem wzmaga napięcie. Zmuszał załogę do żeglowania „Fortuną” tak szybko, jak tylko się dało bez narażania statku na niebezpieczeństwo. Zarówno Hercules, jak i Violet w milczeniu obserwowali powolne znikanie zapasów ziarna, ziemniaków i kapusty, ale z poczucia lojalności

Hercules nic nie mówił. W La Rochelle kapitan będzie pewnie musiał nieźle główkować, żeby zapłacić załodze i na dokładkę przez następny tydzień ją karmić.

Jeszcze jeden tydzień i nadejdą ciężkie czasy.

Wszyscy kierowali wzrok ku La Rochelle.

Trzeciego dnia, kiedy Violet wyszła z kambuza, stwierdziła, że niebo jest szare, ołowiane i ugina się pod ciężarem złowróźbnych chmur. Poniżej, wokół statku, rozciągało się płaskie, matowe morze. W jego głębinie wody buzowały i pieniały się jak w kotle.

Była dziewczyną ze wsi. Wiedziała, że zbiera się na burzę.

Głęboko wciągnęła w płuca naelektryzowane powietrze, a gorący wiatr targał jej suknią i groził potarganiem upiętych spinkami włosów. Uniosła ręce, aby ratować fryzurę. Nie była przerażona nadciągającym sztormem, przeciwnie, chciała być świadkiem potęgi żywiołów.

Nagle hrabia trzema susami znalazł się przy niej. Jakby zapomniał, że była przyczyną jego bezsenności, że trzymał się od niej na dystans i unikał jej wzroku, gdy siedząc naprzeciwko niej w kantine, zjadał obrane przez nią pracowicie ziemniaki.

Jeśli chciał coś powiedzieć, na jej widok zaniemówił.

Wiatr śmiesznie zjeżył mu włosy i wydymał koszulę.

Patrzyła na niego.

A on na nią.

Ale jestem głupia, pomyślała z nagłą, przerażającą jasnością umysłu. Był znacznie bardziej rzeczywisty niż cokolwiek wokół niego. Świat dla mnie istnieje tylko wtedy, kiedy jestem przy nim. W tej przedziwnej chwili wszystko, co wydarzyło się przed spotkaniem z nim, wydało jej się niewyraźnym snem.

Podejrzewała, że wszystko, co wydarzy się po nim, będzie takie samo. Już poniosła klęskę.

Gdy to sobie uświadomiła, doznała dziwnego uczucia opadania, opadania, euforii i rozpacz. To niesprawiedliwe.

Słowo, z którego by się śmiał.

Jej serce natychmiast zaczęło bić jak młotem.

Nadal wyglądał na wyczerpanego; cienie pod oczami jeszcze się pogłębiły. Opanowała impuls, aby je wygładzić.

Zastanawiała się, czy odgryzłby jej palce, gdyby spróbowała go dotknąć. Sądząc po jego minie, pewnie coś takiego by zrobił.

Czy jej twarz ją zdradza? Gdy się odezwał, wyczuła, że sporo wysiłku kosztuje go mówienie do niej neutralnym tonem.

- Zaraz rozpęta się burza. Niech pani idzie na dół, panno Redmond, i zostanie tam, aż powiem, że można wyjść na pokład. Bez narażania się na niebezpieczeństwo.

Minęła chwila, zanim ochłonęła ze szczęścia, że słyszy jego głos. Napawała się jego dźwiękiem. Znaczenie słów zrozumiała dopiero po chwili.

- Już widziałam w życiu burze, kapitanie. Może się do czegoś...

- Proszę się ze mną nie spierać. Tylko iść. Na dół, panno Redmond - mówił szybko, pośpieszając ją. Nerwy miał napięte do granic wytrzymałości.

Wzdrygnęła się. Wiedziała, że nie ma prawa się obrażać, ale jego ostre słowa pozbawiły ją tchu. Zrobiła kilka kroków w stronę drabiny. .. Potem odwróciła się w jego stronę.

- Ale jak długo będzie niebezpiecznie...

Obrócił się i krzyknął przez cały pokład, aż podskoczyła:

- Panie Corcoran! Proszę odprowadzić pannę Redmond na dół, do jej kabiny, i upewnić się, że nie wyjdzie stamtąd, a potem natychmiast wrócić na pokład. Będą potrzebne wszystkie ręce.

- Tak, kapitanie! - Buciorzy Corcorana już tupały po pokładzie. Hrabia po raz ostatni obrzucił ją długim spojrzeniem. Potem okręcił się na pięcie i odszedł, mrużąc:

- Cholerna Zatoka Biskajska. Cholerni piraci. Cholerna, cholerna, cholerna...

Ostatniego słowa nie dosłyszała. Podejrzewała, że powiedział baba.

Corcoran tak szybko chwycił ją za łokieć, że westchnęła. Chociaż jeszcze spoglądała przez ramię, bez zbędnych słów pociągnął ją w stronę drabiny i prawie pogonił w dół, jak kura kurczaka.

Cały czas protestowała i zadawała mu pytania.

- Co jest z tą Zatoką Biskajską, panie Corcoran? Czy zawsze jest niebezpieczna? Kiedy wypływaliśmy, było tak spokojnie.

Czy Flintowi grozi niebezpieczeństwo?

- Cóż, Zatoka Biskajska ma swoje humory, panno Redmond - powiedział, by ją uspokoić. - Ale niech się pani nie boi. Żeglowaliśmy już przy różnej pogodzie. Idzie burza, to wszystko. Kapitan zna statek. Niech pani robi, co każe, a nic złego się nie stanie.

Ale sam był niespokojny, a jego poważna mina zadawała kłam słowom.

- Ale skąd pan wie, że sztorm będzie aż taki straszny? Widziałam już w życiu burze, panie Corcoran. Co powinnam...

- Powinna pani tu siedzieć, jak kapitan kazał. - Czy on uważa, że to starcza za wszelkie wyjaśnienia?

Szybko, nieszczerze się uśmiechnął, ostatni raz uchylił czapki i mocno zamknął drzwi. Usłyszała, jak tupie, biegnąc na pokład.

Patrzyła na zamknięte drzwi. Aż za dobrze знаła to uczucie. Prowadzano ją i dawano jej rozkazy jak domowemu zwierzątku.

Dziwne, że kiedy ktoś każe ci się nie martwić, właśnie wtedy zaczynasz się martwić.

Przez okno widziała, że niebo jest tylko o jeden odcień jaśniejsze niż węgiel drzewny, a światło wręcz niesamowicie rozmyte. Niedawno minęło południe, ale chmury zjednoczyły swe siły, by nie przepuszczać słońca.

Wyglądało to groźnie. Jak dotąd, nie było sztormu. Jeszcze nie.

Dobrze. Skoro została tu na jakiś czas uwięziona, poczyta sobie.

Pierwszą prawdziwą falę poczuła, kiedy szła po książkę, którą pożyczyła od kapitana, ale jej uderzenie było prawie tak delikatne jak jej oddech. Usadowiła się na łóżku i spostrzegła, że i łóżko, i cały statek unoszą się coraz wyżej, wyżej i wyżej. Zakręciło jej się w głowie.

Nagle ciężkie łóżko przesunęło się do przodu i prawie ją z siebie zrzuciło.

Zeskoczyła na podłogę i patrzyła na łóżko, jakby nagle przeistoczyło się w potwora. Ostrożnie zrobiła kilka kroków w tył. Wtedy grzmot rozsadził eksplozją statek.

Tak to odczuła. Siła grzmotu była apokaliptyczna. Westchnęła i objęła ramionami głowę. Przykucnęła ze strachu, a „Fortuna” unosila się i trzęsła jak maltretowany pies. Dźwięk odbijał się w głowie Violet niemożliwym do wytrzymania echem, aż ścichł. Słyszała tylko warczenie.

Płaskie, szare jak skalny łupek niebo oślepiającą bielą rozdarła błyskawica. W kajucie zapadła ciemność. Przed oczami migwały jej jakby nadpalone zarysy mebli. Wiatr wył w korytarzu, a drzwi łomotały, jakby wielki stwór, który uciekł burzy, dobijał się do kajuty. Statek znów szarpnął do przodu, aż zrobiło jej się niedobrze. Objęła się

ramionami w pasie, aby przytrzymać żołądek, który unosił się coraz wyżej, zdany na łaskę monstrialnej fali.

Zanim zdołała się czegoś chwycić, szarpnęło nią tak mocno, że zatoczyła się do tyłu, jak pijak, i uderzyła o łóżko.

Kiedy statek gwałtownie opadł, tyłem poturlała się po materacu.

Znów kajuta rozgorzała światłem błyskawicy.

A potem ktoś garściami rzucał w okno gwoździe. Tak bezlitośnie walił w nie deszcz.

Jak okno to wytrzymuje?

Jak ktokolwiek na pokładzie jest w stanie ustać na nogach? Nagle poraził ją przeogromny, bezgraniczny, niemal oczyszczający strach.

Hrabia mówił coś o trzymaniu się szczątków rozbitego przez burzę statku. Mocno zacisnęła oczy.

Lepkimi od potu dłońmi przywarła do kołdry. Powietrze było gęste, ale strach ją chłodził. Szczękała zębami. Kufer pośliznął się na ukos w jej stronę, a potem się przechylił, gdyż znów unieśli się na rozwścieczonej fali. Przyglądała mu się nieufnie.

I pomyśleć, że zawsze uważała to, co nieznanne i niepewne, za ekscytujące.

Brzuch morza unosił się pod nią i coraz wyżej unosił statek... a potem rzucał nim w dół. Przez niesamowitą chwilę unosiła się w powietrzu. Żołądek twardo wylądował jeszcze przed resztą jej ciała. Powstrzymała odruch wymiotny.

Nocnik prześliznął się na drugą stronę kajuty. Ze stukotem zatrzymał się na przeciwległej ścianie.

Pomyślała, że Flint być może toczy się gdzieś po pokładzie.

Później nie pamiętała, jak wyszła z kajuty. Pamiętała tylko tyle, że z trudem szła korytarzem. Dłońmi przytrzymywała się ściany, żeby dać opór przechyłom statku. Wicher wdzierał się każdą szparką i hulał bez opamiętania. Chwyciła drabinę, która prowadziła na pokład dziobowy, ale nawet drabina zachwiała się i wysliznęła jej się z dłoni, kiedy statkiem bezlitośnie szarpnęła fala.

Z trudem się podniosła. Na pokładzie rozpaczliwie, z całej siły trzymała się drabiny, gdyż targał nią gwałtowny wicher. Fale wokół niej przypominały monstrialne, czarne ściany. Siekący z boków deszcz w ciągu kilku sekund przemoczył ją do szpiku kości i palił jej skórę.

Słodki Jezu.

Gdzie on jest? Dobry Boże? Gdzie?

- Violet, co ty tu do cholery robisz?

Ledwo go dostrzegła przez ścianę deszczu i swoje splątane włosy, które nagle powchodziły jej do oczu. Żył.

Wrzeszczał. Wściekły.

Statek opadł nagle w dół, aż ją zemdlilo. Szukała równowagi, ale stopy się pod nią ślizgały. Zobaczyła go przez ukośne strugi deszczu. Był przemoczony do szpiku kości, włosy przyklepione miał do czaszki. Walczyli, by utrzymać żagle w górze. Nie wolno dopuścić, by burza połamała reje.

- Idź na dół! - ryknął. - Mówiłem ci, żebyś została... Krzyknęła coś w odpowiedzi, ale w ryku szalejących żywiołów z trudem słyszała własny głos. Wiatr przechwycił jej głos, zmienił go w coś poszarpanego, słabego...

- Bałam się...

Fala runęła nie wiadomo skąd. Ciemny potwór łukiem ogarniał statek. Nie była w stanie nic zrobić. Patrzyła tylko, jak nieuchronnie się zbliża. Brutalnym uderzeniem woda podcięła jej nogi i wyszarpnęła z rąk drabinę.

Jej krzyk przepadł w huku wiatru i ryku morza. Kilkakrotnie, raz po razie i znowu, znowu, znowu... przeturlała się po pokładzie.

Lądowanie było twarde. Pozbawiło ją oddechu. Kręciło jej się w głowie. Nie była pewna, czy stoi, czy leży płasko na pokładzie, a nawet czy jeszcze żyje. Wokół panowała ciemność. Odsunęła z oczu włosy i nieco się rozjaśniło. Miała pod sobą twardą powierzchnię pokładu, walczyła, żeby stanąć na nogach. Czy wciąż jeszcze jest na pokładzie? Płuca nie chciały jej się wypełnić powietrzem, a mokra suknia uwięziła nogi.

- Violet!

To krzyk Flinta. Usłyszała w nim przerażenie, które wstrząsnęło nią mimo własnego przerażenia. Czy on żyje?

Odsunęła włosy od oczu i zobaczyła pokład. Maszt. Jakim cudem znalazła się przy sterze? Kaszlnęła.

- Flint!

Nie była w stanie wydobyć z siebie tego słowa. Płuca nadal walczyły o powietrze.

Statek podskakiwał na falach jak zabawka, a ona znów się ślizgała. Rękami bezskutecznie szukała uchwytu, czegokolwiek, czego mogłaby się przytrzymać.

Brzuch dziko jej falował. Wymiotowała strugami wody. Cichutko jęczała.

Podniosła oczy, kiedy zaczęła się do niej zbliżać następna wielka, zakręcona fala.

- Flint!

Tym razem wydobyła z siebie głos. Ale było za późno. Płakała z przerażenia i machała wokół ręką, na próżno szukając uchwytu.

Nagle objęło ją coś mocnego i miękkiego. Człowiek. W tej samej chwili poczuła uderzenie, które zatrzęsło pokładem. Krzyknęła. Tak jej się przynajmniej wydawało, choć usłyszała tylko słaby urywek dźwięku. Flint chwycił ją w talii, szarpnął do góry jej rękę, podniósł jej nogi i wziął ją w ramiona.

Walił w nich deszcz, lecz on stał na pokładzie, wrośnięty niczym drzewo.

- Trzymaj się! - wrzasnął jej do ucha.

Chociaż słaba, objęła jego szyję ramionami i z całej siły do niego przylgnęła. Głowę wtuliła w jego mocarną pierś. Przebiegały przez nią dreszcze zimna i przerażenia. Statkiem znów szarpało do przodu. Było jej niedobrze. Flint pośliznął się, zanim odzyskał równowagę, i o mało oboje nie upadli. Stanął mocniej i zaklął. Zobaczyła, że wokół pasa jest obwiązany liną, którą przywiązano do masztu.

O mój Boże.

- Nic jej nie jest? - To Lavay. Cztery wykrzyczane, równo wymierzone słowa, które wiatr chciał mu wepchnąć z powrotem do ust.

- Jeśli jeszcze żyje - krzyknął Flint - to ją zabiję!

Po tych słowach Violet otrzeźwiała. Przecież Flint dobrze wie, że żyje.

- Przejmę ster, kapitanie! - krzyknął Lavay. - Niech pan się nią zaopiekuje.

Flint jakoś uwolnił się od liny. Zamknęła oczy. On się wszystkim zajmie, pomyślała leniwie. Podała się.

W mokrych ramionach Flinta mozolnie powędrowała pod pokład. Niósł ją tak delikatnie i trzymał tak mocno, jakby chodziło o jego życie.

Kiedy ją tak trzymał, czuła jego oddech, jakby zamiast płuc miał miechy. Siedmiomilowymi krokami kierował się w stronę swojej kajuty. Nigdy nie była leciutka jak piórko, a teraz jej ubranie nasiąknęło wodą i była dwa razy cięższa. Powoli zaczynała współczuć Flintowi, że tak ją dźwiga.

Pod dłońmi, którymi mocno się go trzymała, czuła, że serce wali mu z siłą rozszalałych fal. Policzek przycisnęła do jego piersi i poczuła, jak ciężko pracują mu płuca. Pod jego skórą tętniło życie. Usłyszała też bicie własnego serca, pompującego z całą mocą krew. Szumiało jej w uszach.

Popchnął drzwi, aż się otworzyły, i położył ją na podłodze, tak delikatnie, jakby była łatwo tłukącym się jajkiem. Rozplotła uczeplone jego szyi sztywne palce.

Potem powoli się rozłączyli, jakby każde bało się, że Violet się przewróci.

Nic takiego się nie stało.

- Jesteś ranna? Możesz stać o własnych siłach? - Choć był prawie bez tchu, głos miał spokojny, rozkazujący.

Odgarnął sobie włosy z twarzy.

Ciałem Violet wstrząsał kaszel. Walczyła o to, by normalnie oddychać. Ona też odgarnęła z twarzy kilka pasm włosów.

Udało jej się kiwnąć głową. Tak, mogę stanąć na własnych nogach.

Jego zwykle złota cera teraz była szara ze strachu i z zimna. Skórę twarzy miał napiętą do granic możliwości. Oczy błyszczały jak obsydian. Z włosów i ubrania strugami lała się woda i spływała na piękny czerwono-kremowy dywan. Przypominał fontannę.

- Naprawdę? - zapytał.

- Naprawdę - spróbowała powiedzieć. Zdziwiła się, kiedy zamiast swego głosu usłyszała tylko chrypienie.

Na policzku miał smuzkę krwi. Jest ranny! Wyciągnęła ręce w jego stronę.

Nagle był przy niej i dłońmi szybko, wprawnie obmacywał jej ręce, nogi, żebra, twarz, szyję. Dłonie też miał zimne.



- Jestem cała i zdrowa. - Wciąż jeszcze z trudem łapała powietrze, ale wypowiadała wreszcie rozpoznawalne słowa.  
- Zabrakło mi tchu, mam posiniaczone kolana. Poza tym nic mi chyba nie jest. Tylko się przewróciłam. I byłam w szoku.

Określił się i poszperał pod łóżkiem.

Wyjął manierkę, odkorkował ją i wcisnął jej do ręki.

- Szybko weź dużego łyka.

Zrobiła, jak jej kazał. Jakby połykała ogień. Natychmiast spłynął jej do żył. Odkasznęła.

Wziął od niej manierkę i sam się napił. Dwa łyki. Wytarł usta grzbietem dłoni, zakorkował manierkę i rzucił na stolik z szachownicą, który przesunął się na drugi koniec pokoju.

Statek falował. Znów było jej mdło. Unosił się na szczyt fali. Łóżko przesunęło się nieco w ich stronę, jak nieśmiałe zwierzątko. Niepewne, jak będzie przyjęte.

- Dziękuję. - Westchnęła. Wytarła usta. - Uratowałeś mi życie.

- Tak - odparł zwięźle.

Nie była w stanie zgadnąć, w jakim jest humorze. Przyglądali się sobie w ciszy.

- Asher. - Mimowolnie zwróciła się do niego po imieniu. - Masz krew... - Wyciągnęła dłoń w jego stronę.

Odsunął gwałtownie twarz, jakby jej dłoń mogła go oparzyć. Zmieszała się. Opuściła dłoń.

Była to dla niej pierwsza wskazówka, że dzieje się z nim coś bardzo niedobrego.

## 20

Nic mi nie jest, przysięgam - wymamrotała, szcękając zębami. - To coś niezwykłego. - Wyciągnęła dłońie uspokajającym gestem, żeby dotknąć jego piersi. - Spadałam i spa...

Chwycił jej nadgarstki jedną ręką, zanim zdołała go dotknąć, i unióś je brutalnie nad jej głową, zmuszając ją, żeby się cofnęła do ściany. Przyglądał jej się wściekłym wzrokiem, jakby wyobrażał ją

sobie - z przyjemnością - przykutą łańcuchami do obślizgłej ściany lochu.

- Jak mogłaś postąpić tak rozpaczliwie głupio? Gdybyś była mężczyzną, kazałbym cię wychłostać za nieposłuchanie rozkazu. Przywiązać do masztu. Wrzucić do lochu. Jeszcze mogę to zrobić.

Nigdy nie widziała takiej pałającej furii. Każde słowo padało jakby wyrwane rozgrzanymi do czerwoności cęgami kowala. Jeszcze chwilę trzymał ją mocno. Gwałtownie puścił jej dłonie.

Opuściła je powoli, żeby nagłym ruchem nie prowokować go do gwałtownych poczynań. Potarła obolałe nadgarstki, odpowiadając gniewnym spojrzeniem na gniewne spojrzenie; ich przerywane oddechy wtórowały burzy na zewnątrz. Odsunął włosy z oczu. Dyszał ciężko.

Patrzyła na niego w milczeniu, drżąca i przestraszona.

- Ściągaj suknię - odezwał się bezbarwnym głosem. Zamarła.

- Słucham? - Szczekała zębami.

- Ściągaj suknię.

- Ja...

Z szybkością błyskawicy jego ręka sięgnęła za jej plecy, rozwiązując jednym szarpnięciem tasiemki sukni.

Ze zdumienia straciła oddech. Próbowała przemówić, ale głos uwiązł jej w gardle.

- Dokończ - rozkazał opanowanym głosem. - Bo inaczej sam to zrobię.

Ton jego głosu upewnił ją, że nie powinna czekać, aż on to rzeczywiście uczyni.

Odsunął się, żeby miała dość miejsca na wykonanie polecenia. Czekał, nadęty zarozumialec, jakby nie miał cienia wątpliwości, że go posłucha. Ale palące ciepło jego ciała wciąż ją otulało, doprowadzając jej krew do wrzenia, a jego kolano przesunęło się lekko, naciskając miejsce, gdzie łączyły się jej nogi; podstępny, niebezpieczny gest, którego uniknęłyby, gdyby mogła. Którego powinna uniknąć.

Teraz jednak tylko o tym była w stanie myśleć - o tym kolanie, ciepłe jego ciała, swoim strachu i jego rozkazie.

„Mogę cię posiąść, kiedy mi się spodoba”.

- Ani myśl...

- Zrób to. Natychmiast - odezwał się o wiele za spokojnie. Dawał jej jasno do zrozumienia, że jego cierpliwość już się kończy.

Uniosła ręce i sięgnęła za szyję. Serce biło jej tak szybko, że niemal się dławiła. Niezręcznie dokończyła to, co on zaczął, rozsuwając tasiemki sukni, tak że stanik zaczął się osuwać. Śledził jej ruchy jak strażnik więzienny.

Pociągnęła w dół rękaw, odsłaniając nagie ramię i górną część piersi.

Przerwała, uświadamiając sobie, co robi. .

- Drugi rękaw. Zawahała się.

- Gdybyś się odwró...

- Drugi... - Zaklął cicho i szarpnął drugi rękaw.

Suknia, i tak luźna, zsunęła się gwałtownie, zatrzymując się na biodrach. Moką, należało dodatkowo pociągnąć, więc to zrobiła, aż opadła wokół kostek. Wyszła z niej, pocierając ciało o jego kolano. Ponownie ogarnęło ją uczucie słodkiej, niebezpiecznej przyjemności. Wpatrywał się w nią czarnymi, nieprzeniknionymi oczyma.

Ze złością kopnął suknię, odrzucając ją na bok, zdając sobie bez wątplenia sprawę, że równie dobrze mógłby kopnąć dziewczynę, skoro jej ubranie budziło w nim tak gwałtowne uczucia.

Stała przed nim w wiązonym z przodu koronkowym gorsecie, pończochach i koszuli.

- Gorset.

- Mój panie...

- Gorset - powtórzył z naciskiem. Wydawał się nie wierzyć, że śmiała się odezwać po tym, jak wydał jej rozkaz.

Posłuchała. Podniosła ręce do sznurówek między piersiami. Patrzył jak nadzorca, kiedy je luzowała. Rozwiązała gorset. Uwolniła z niego ramiona. Jej piersi, niedawno uwięzione i uniesione były teraz nagie pod niemal przezroczystą koszulką.

Patrzył niewzruszony, jak powoli obnażała się przed nim; ciemne sutki jej piersi napierały na wilgotny materiał.

- Koszula.

- Nie mogę... - szepnęła.

- Jeśli nie chcesz, żebym ją zerwał, zdejmij koszulę - wycodził powoli, starannie wymawiając każde słowo.

Ścisnęła kurczowo cienki, wilgotny materiał, z bijącym szaleńczo sercem. Usiłowała przeniknąć otaczającą go niczym zasłona furię, szukała znaku, że blefuje, czegokolwiek, co pozwoliłoby jej odzyskać kontrolę.

Odwzajemnił jej się jedynie palącym, mrocznym, zmysłowym spojrzeniem. Jego gniew miał określony cel.

Zrozumiała teraz, jak była dziecinna i na jak groźnego trafiła przeciwnika.

Wciągnął ostro, niecierpliwie powietrze w nozdrza, przesuając się ostrzegawczo w jej stronę.

Zsunęła koszulkę przez głowę i odrzuciła daleko od siebie. Spłynęła na podłogę jak duch.

Kopnął ją.

Stała w pończochach i podwiązkach, zakrywając nagość skrzyżowanymi ramionami.

- Opuść ręce, panno Redmond.

Przełykając ślinę w podnieceniu, powoli opuściła ręce, odsłaniając piersi przed jego oczami.

Wtedy nagle sięgnął za siebie, chwycił leżący na łóżku koc i zarzucił na nią niczym całun, odsunął od jej twarzy, a następnie delikatnie, ale energicznie, zaczął wycierać do sucha jej zmarznięte ciało, szorując kocem po ramionach, pod mokrymi włosami, po plecach, piersiach, wzdłuż żeber, rąk i palców. Ukłękawszy, wycierał jej nogi, naciskając zręcznymi dłońmi mięśnie, ścięgna, chcąc się upewnić, czy istotnie nie odniosła żadnej rany.

Krzyknęłyby z bólu, gdyby doznała jakiegoś obrażenia.

To nie wyglądało na uwodzenie. Jej brat wycierał w ten sposób zmokłego psa.

- Czy coś cię boli? - zapytał, klęcząc na podłodze i mając przed oczyma jej białe uda i przemoczone satynowe podwiązki. Z kocem w ręku ściągnął kolejno pończochy z jej zimnych ud i mokrych stóp, odrzucając je na bok.

- Nie - odparła ulegle, głęboko zmieszana.

Widok jej ponownie zaróżowionej skóry, warg, które straciły siną barwę, i braku oznak jakiegokolwiek złamania zadowolił go wreszcie. Od jego zabiegów czuła mrowienie w całym ciele, onieśmielona, zaszokowana, zawstydzona i niezwykle podniecona.

Odsunął się od niej, ściągnął z siebie koszulę i mocno wytarł własne, piękne ciało i włosy. Patrząc na niego, czuła gorąco. Straciwszy cierpliwość, zaklął i cisnął na ziemię koc i koszulę.

Stali bardzo blisko jedno od drugiego, oddychając ciężko, targani sprzecznymi uczuciami. Burza uspokoiła się, fale łagodnie kołysały statkiem. Nieszczęsne figurki szachowe grzechotały po podłodze, skrywając się w końcu pod łóżkiem.

Violet odsunęła z twarzy mokry kosmyk włosów, wkładając go za ucho. Objęła się jedną ręką, zakrywając nagość.

- Ty krwawisz - szepnęła. Powtórzyła to, dotykając swojego policzka, żeby mu pokazać, w którym miejscu.

Oparł powoli, szorstkim, zimnym tonem.

- To twoja krew, ty... stuknięta... panno.

Dotknął szybko, delikatnie kciukiem jej policzka. Zabolało. Podniósł rękę - krew.

Patrzyła zdumiona. Przytknęła palce do policzka. Także się zakrwawiły. Dziwne, że krew się nie zmyła.

- To zadrapanie. Chirurg nie będzie musiał cię zszywać jak żagiel czy sieć. Nie zostanie żaden ślad - mówił wciąż szorstko. I z ironią. - Mogłaś zginać, ale przynajmniej bez blizn na ciele.

Opuściła rękę.

Przez długą chwilę stali w milczeniu, jedno zupełnie nagie, drugie półnagie; dzieliło ich parę cali, ale w istocie cały świat, jego kolano nadal między jej kolanami. Siła jego pożądania, jego wściekłość i inne, nienazwane uczucia, którym ulegał, odbierały jej odwagę. Ale nigdy w życiu nie pragnęła niczego bardziej niż stopić się z mm. Ukoić go, otrzymać i dać pociechę.

Chciała tego równie mocno, jak się bała.

Wiedział o tym. Przysunął kolano odrobinę bliżej, a ona odczuła palącą przyjemność, jakby po jej ciele rozlała się whisky.

- Gdzie chcesz, żebym cię dotknął? - zapytał niskim, napiętym głosem. Wszędzie.

- Nie chcę, żebyś mnie dotykał - szepnęła.

- Przestań kłamać.

- Ja nie...

Podniósł rękę. Wzdrygnęła się.

Trzymał je nieruchomo, jakby oddawał broń po przegranej walce. Ofiarując je, żeby ich użyła. Jego oczy lśniły wściekłością, brwi wygięły się z ironią. Patrzył na jej nagie, białe ciało z arogancką pewnością siebie, jakby miał do tego prawo od zawsze. Jakby była daniem na uczenie, a on jedynym gościem.

Czuła się piękna.

I nierządna.

W tej chwili go nienawidziła. Karał ją za nieroztropne postępowanie z własną naturą, naturą, którą odkrył. Trudno o odpowiedniejszą karę. Chciało jej się płakać, miała ochotę uderzyć go pięścią. Poznał ją tak dobrze, o wiele lepiej niż ktokolwiek inny dotąd, uniemożliwiając jej jakiegokolwiek podstępne sztuczki, aż stała się całkowicie bezbronna.

Pragnęła go.

Wiedziała, że jedno silne uderzenie kolaniem w jego słabe miejsce położy kres tej nieznośnej sytuacji.

Przynajmniej na parę minut. Póki jej nie złapie.

Statek, z cichym jękiem, przechylił się łagodnie na bok, potem na drugi.

- Pokaż mi, Violet, to miejsce - szepnął, kusząc ją jak wcielony diabeł, głosem tak pełnym zrozumienia, tak drażniącym pewnym swego. Oszłamiał jak hipnotyzer. A jego kolano poruszyło się znowu ledwo zauważalnie między jej nogami i znowu straciła dech z rozkoszy. Przełknęła ślinę. - Pokaż mi. Albo powiedz, jak przedtem, żebym poszedł do diabła, i pójdę.

Wiedział, och, wiedział, za co sprzedałaby diabłu duszę w tej chwili. Widział z pewnością, jak krew pulsuje jej w szyi, widział jej rumieniec, na sobie czuł jej przerywany, tak samo jak jego, oddech. To wszystko ją zdradzało.

Z pewnym wysiłkiem odwróciła od niego głowę. Wiedziała, że śledzi jej każdy ruch.

Ale odwracając głowę, uniosła dłonie, tak jakby dawała im swobodę, żeby robiły, co chciały, kiedy nie patrzyła.

Podniosły się, lekko dotykając jego dłoni.

Kiedy ponownie na niego spojrzała, wyraz jego twarzy się zmienił. Przez chwilę oboje wydawali się zahipnotyzowani kontrastem, jaki tworzyły jej białe palce przy jego smukłych, brązowych palcach, jej

gładkość wobec jego szorstkości. Unikała jego oczu, wpatrywała się uważnie we własną dłoń, przesuając powoli opuszki palców w dół w pieszczocie, która wydawała się kradziona, była próbą uspokojenia go i obnażała głębszą, bardziej złożoną prawdę kryjącą się za tymi wszystkimi gwałtownymi uczuciami targającymi nią w tej chwili.

Jakby bezwolnie splótł swoje palce z jej palcami, dodając jej pewności siebie. Potem rozplótł je powoli, ale wciąż dłoni nie odsuwał od jej dłoni. Nie zamierzał darować jej kary.

Czy też pozbawić nagrody.

Ich oczy się spotkały. Czas stanął w miejscu. Zbierała się na odwagę. Wciągała głośno powietrze w płuca, jak w szlochu, i równie głośno je wydychała. Czowała na sobie jego gorący oddech, jakby chciał nim pomóc jej oddychać. Zamknęła oczy, chwyciła jego dłonie, przyciągając go powoli do siebie, a jego ciało przylgnęło do niej, zakryło je opiekuńczo, napełniając ciepłem, niemal przeprasząc za to, że kazał je obnażyć.

Położyła jego ręce na swoich piersiach.

Tutaj.

Spodziewała się triumfu w jego oczach. Ale on tylko westchnął przeciągle. Przytulił głowę do jej szyi, jakby nadal niepewny jej decyzji, i gotów umrzeć, gdyby ją zmieniła.

- Tutaj? - szepnął jej chrapliwie do ucha; jego głos był pieszczotą. Nawet powietrze wokół nich było przesiąknięte erotyzmem, czuła je na skórze. Poruszył ostrożnie dłońmi, żeby napawać się ciężarem jej piersi.

- A czy mam robić to? - Pogładził kciukami jej boleśnie ściągnięte sutki.

Poddała się rozkoszy, odrzucając głowę do tyłu.

- Tak. - Z trudem wydobyła z siebie słowa. - Tak, proszę. Poruszyła się niespokojnie, natknęła się na jego kolano i potarła

o nie. Przejęła ją rozkosz. Oparła głowę o ścianę z półprzymkniętymi oczami, odsłaniając szyję; pocałował ją tam. To nie był nieśmiały pocałunek. Gorący, czuły dotyk ust, szorstkość zarostu, delikatne muśnięcie językiem pulsusa na gardle. Twarde, zmysłowe, zaborcze. Pocałunek, o którym pewnie myślał przedtem, planował całymi dniami. Jego ręce wprawnie pieściły jej piersi, sprawiając, że po jej ciele rozchodziły się fale rozkoszy.

Dotyk jego nagiego ciała był cudowny. Jak zwykle, promieniował ciepłem, niczym człowiek słońce.

- Violet - szepnął przy jej ustach, zanim ją pocałował. Przywarła ustami do jego ust, niemal szlochając z ulgi, jakby od

ich pocałunków minęły lata, nie dni. Wsunął język łapczywie w jej usta, bawiąc się jej językiem, a jej dłonie zsunęły się w dół, na jego szczupłe biodra, przyciągając go mocno. Proszę.

Odchylił się do tyłu, unikając jej dotyku, odmawiając jej w tej chwili upragnionej rozkoszy i sobie odmawiając rozkoszy.

Zsunął się na dół, wygiął ją w tył w ramionach, ujmując wargami jej sutek.

Ścisnął delikatnie zębami.

Słodka Matko...

Zaczął ssać.

To doznanie, szokujące, ale wciąż niedające zaspokojenia, rozpaliło jej krew. Płonęła. Wplątała dłonie w jego mokre włosy, kierując nim, zachęcając.

Ale wciąż chciała więcej, choć nie potrafiła powiedzieć czego. Nie mogła się temu przeciwstawić. Kolana ugięły się pod nią, chwyciła go rękami za ramiona.

- Flint... - To była prośba.

- Wiem - odparł chrapliwie; w jego głosie była obietnica, męka i triumf, ponieważ właśnie zrozumiał, że może torturować ją, jak długo zechce, bo tylko on jeden zdolny był ją wybawić.

Zsunął dłonie z jej piersi i gładząc po kolei krągłości jej ciała, dotarł do pośladków i ścisnął je.

- Czy mam ci pokazać?

- Nie wiem... - Słowa uwięzły jej w gardle. Całym ciałem chłonęła pieczętę jego rąk.

- Czy mam ci pokazać, czego pragniesz? - szepnął.

- Nie.

Jednak jego ręce nie ustawały w pieczętotach, nie przestały muskać leciutko, rozpalając ogień wszędzie tam, gdzie dotarły. Płonęła z pożądania i sprzeciwiała się, gdyby przerwał choć na chwilę.

Jego dłonie przykryły kędziorki między jej nogami. Przycisnęła się do jego silnej dłoni.



Tak, tak, tak.

- Nie - szepnęła głośno, ale to słowo zabrzmiało jak pełne zapachu „tak”.
- Nie? - zagadnął cicho. A potem wsunął palec między wilgotne włoski.
- Dobry Boże - wydusiła z siebie z trudem. - Chciałam powiedzieć...
- Chciałaś powiedzieć: „jeszcze”? Nie krępuj ąę i kiwnij głową, jeśli to prawda.

Drań wydawał się rozbawiony. Nawet jeśli głos mu drżał z hamowanej żądy.

Skinęła głową. Do diabła z dumą. Liczył się teraz tylko jego dotyk.

Nie chciała się zastanawiać, skąd wiedział, gdzie i jak jej dotykać. Zależało jej tylko na tym, żeby to robił i nie przestawał.

- Och Boże. - Czy rozkosz może być nie do zniesienia? Ta niemal była.

Czuła, że to jeszcze nie wszystko. Instynktownie wsunęła mu ręce w spodnie, a potem ściągnęła je z jego bioder.

Chciała go. Syknął zaszokowany. Wydał jęk.

- Violet... lepiej, żebyś nie...

„Mogę cię posiąść, kiedy mi się spodoba”. Tak przecież powiedział. Och, mógł to zrobić. Był do tego zdolny. I chciał tego.

Ale nie zrobi tego. Uświadomiła sobie, że broni jej przed sobą. I przed nią samą.

Albo przynajmniej próbował. Nie ułatwiała mu tego.

Jak mogła chcieć czegoś, czego nie powinna chcieć? Miała ochotę krzyżeć na tę niesprawiedliwość.

- Proszę - jęknęła.

Jednak przestał. Oddychał z trudem.

- Dosyć. Violet, błagam cię, uważaj. - To było ostrzeżenie i groźba. Oboje oblewali się potem.

Flint błagał. To ją otrzeźwiło. Pożądała przyjemności za wszelką cenę, ale jemu sprawiała piekło, każąc nad sobą panować. Ze względu na nią. Powinna to przewidzieć.

- Zaufaj mi - szepnął. Odsunął się, ale wciąż podtrzymywał jej uniesione udo.

Zesztywniała, czując jego palec we wnętrzu. Pieścił ją umiejętnie, wywołując dreszcze rozkoszy.

- Tak...

Spróbowała spojrzeć mu w twarz, utkwić wzrok w jego niebieskich oczach, ale głowa opadła jej do tyłu; oddychała przerywanie, poruszając się w rytm ruchów jego dłoni, prosząc o więcej, pokazując, jak ma ją dotykać. Wiedział i tak.

- Flint...? - To było pytanie. Słyszała swój drżący głos. Pragnienie upewnienia się.

Pragnienie czegoś więcej.

- Jestem - powiedział cicho.

Chciała, żeby przestał, ponieważ wszystko w niej zmierzało do czegoś wspaniałego, przerażającego i nieuniknionego, czego jednak potrzebowała. Chciała wiedzieć.

- Boże, Flint...

- Trzymam cię. Trzymam. Nie bój się.

- Nie przestawaj.

Najważniejsze polecenie, jakie w życiu wydała.

- Ani mi się śni - mruknął.

Nie przestał. Dyszała, pożądanie w niej narastało, aż zatrzęsała się gwałtownie, bezwstydnie, pod jego zręcznymi palcami; wbiła paznokcie w jego twarde ramiona. Z pewnością go raniła. Nie dbała o to.

Był tutaj, och, był tutaj, tak jak wcześniej na pokładzie, żeby ją uratować i dać to, czego potrzebowała.

Rozkosz niemal pozbawiła ją przytomności, czuła, że się rozsypuje milionem lśniących iskier. Tak długo na to czekała.

Burza ucichła.

Statek kołysał się teraz lekko; sprzęty przestały się przesuwac. Pionki szachowe wciąż grzechotały po podłodze.

Książka przesunęła się z miejsca, na które wypadła z szafki.

Ruch. Wszystko w ustawicznym ruchu.

Trzymał ją delikatnie. Zatopiła twarz w jego piersi. Spokorniała i zdumiona, bezwolna i syta. Zmieszana i szczęśliwa.

- To jest... - szepnęła.

Znowu, tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy ujrzała morze, zabrakło jej słów na opisanie tego, co się właśnie zdarzyło. Brzmiałyby chyba tak: „Chciałabym jeszcze”.

- Nieprawdaż? - zgodził się kpiąco. Ponowne ostrzeżenie.

A niech to.

W końcu naprawdę zrozumiała, co chciał jej przekazać. Częściowo dlatego to zrobił. Żeby wiedziała, dlaczego mężczyźni gotowi są zabić dla kobiety, dlaczego mężczyźni i kobiety poświęcają dla siebie życie.

Teraz w pełni to do niej dotarło. Zrozumiała także, jak niebezpiecznie jest z tym igrać. A ona igrała. Próbował ją ostrzec. Czowała się prawdziwie zakłopotana.

Wiedziała, co należało powiedzieć. I co pewnie zaraz powie. Ale nie chciała na razie tego mówić.

- Powinieneś zdjąć te mokre spodnie - szepnęła.

Wygiął usta w uśmiechu. A potem uśmiech znikł. Znowu ogarnął go gniew.

Odsunął się.

- Dlaczego, Violet? Podniosła wzrok.

- Dlaczego? Co masz na myśli? Pokręcił głową.

- Wydałem ci rozkaz. Wiem, że go usłyszałaś. I rozumiałaś. Ale i tak wyszłaś na pokład. Wiem, co trzeba robić w takich okolicznościach. Dlaczego tak postąpiłaś? Czy tak niewiele masz dla mnie szacunku?

- Nie! - zdziwiła się. - Jak możesz tak myśleć?

- Powiedziałem ci, co masz robić. Jak mogę myśleć inaczej? Wystawiasz mnie na próbę raz za razem. Wiem, jak zapewnić ci bezpieczeństwo. Dowodzę statkiem prawie dwadzieścia lat. Wydałem ci rozkaz, bo wiedziałem, że dzięki temu zachowam cię przy życiu. A gdybyś znalazła się w niebezpieczeństwie, wyciągnąłbym cię z niego. Czy przyrzekniesz, że będziesz słuchać moich rozkazów, dopóki pozostaniesz na pokładzie mojego statku? Nie ruszysz się spod pokładu w razie jakiegokolwiek niebezpieczeństwa?

- Będę słuchać twoich rozkazów na statku. Zostanę pod pokładem, jeśli uznasz, że na górze coś mi grozi - powtórzyła, jakby wypowiadała przysięgę. Żeby go uspokoić. - Ufam ci.

Odsunął się jeszcze dalej. Żałowała, że już nie czuje jego ciepła.

Jego kubrak wisiał na oparciu krzesła, sięgnął po niego i zarzucił jej na ramiona. Kubrak był wielki, suchy i przesiąknięty jego zapachem. Wsunęła w niego rękę. Ponownie dowiedział, że wie, jak zapewnić jej bezpieczeństwo, jak ją chronić.

- Dlaczego więc to zrobiłaś, Violet? - nalegał. Nieubłagane. Z dziwnym napięciem w głosie.

Jakby znał odpowiedź i czekał na nią, wstrzymując oddech. Zawahała się. Poznała odpowiedź dopiero wtedy, gdy usłyszała ją z własnych ust.

- Nie... nie mogłam się powstrzymać. Musiałam się dowiedzieć... musiałam wiedzieć, czy byłeś... czy nic ci...

Stał bez ruchu. Z płonącymi oczami. Niemal ostrzegając, żeby milczała.

- ...się nie stanie.

Słowa padły. Padły w absolutnej ciszy.

Jakaś nieodparta siła kazała jej wyjść na pokład, żeby go szukać. To nie był umysł.

Pomyślała o swoim niezwykle dżentelmeńskim bracie Milesie, który wymierzył lordowi Argosy'emu cios w twarz z powodu Cynthii Brightly.

Lekkie kołysanie statku sprawiło, że książka, ukryta pod łóżkiem, zaczęła sunąć po podłodze w ich stronę.

Hrabia spojrział na książkę. Nadal stał nieruchomo. Jakby zobaczył jadowitego pajaka. Zerknął przelotnie na Violet.

Zrozumiała natychmiast, że wyraz jej twarzy zdradził, że wiedziała doskonale, co znajdowało się w książce Milesa.

Zrezygnowany, schylił się powoli, żeby ją podnieść. Trzymał książkę, wpatrując się w podłogę.

Milczeli długo.

- Violet... - zaczął. Patrzyła, jak jego muskularna pierś unosi się i opada w długim oddechu. Zbierał się na odwagę.

Jeszcze chwila minęła, zanim odważył się spojrzeć jej w oczy. A potem spojrział; twarz miał przygaszoną.

- Violet... - odezwał się ostrożnie, sucho. - Poczulbym coś o wiele więcej, niż ukłucie żalu, gdyby cię zmyło z pokładu.

Zamknęła na chwilę oczy. Powtórzył znowu jej słowa z ich pierwszej, poważnej rozmowy.

Pomyślała o kwiatach jaśminu. Wiedziała teraz, że gromadził wspomnienia o niej, tak jak zatrzymał tamte kwiaty.

I ona zachowywała w pamięci wrażenia z nim się łączące.

Zaśmiał się krótko sam z siebie. Śmiech zabrzmiał boleśnie.

Słowa zdawały się wisieć w powietrzu i odbijać echem w kajucie. Pozornie niewinne. Nieprawdopodobnie ważne.

Milczała, a on chwycił mokry teraz koc i owinał się nim wokół bioder. Usiadł na łóżku i, zniechęcony, skwapliwie wyciągnął spod niego zdjęte spodnie, nie afiszując się nagością, a potem, piękny i strudzony, podszedł do szafy, żeby wydobyć inną koszulę i spodnie. Jednak nie zdecydował się na ubieranie się w jej obecności.

Odrzucił się, trzymając ubranie przed sobą. Wydawało się, że czeka, żeby coś zrobiła albo powiedziała.

Wciąż oszołomiona, zapięła kubrak i zgarnęła przemoczone ubranie. Zerknęła na swoje stopy.

- Moje pantofelki wpadły do morza - zauważyła żałośnie.

Nie był jeszcze gotów śmiać się z jej niedawnej morskiej przygody.

Wsunęła ręce głęboko w kieszenie kubraka, który tak mocno pachniał nim, że równie dobrze mogłaby znajdować się w jego ramionach. Myślała, że serce pęknie jej w piersi.

- Violet... to... - Przerwał, choć oboje wiedzieli dokładnie, co miał na myśli, mówiąc „to”. Innymi słowy, ich nieopanowana, zmysłowa gra. - To musi się skończyć.

Usłyszała nagle dziwny dźwięk, jaki wydała z siebie. Jakby zniecka wyrwał jej drzazgę spod paznokcia.

- Wiesz o tym równie dobrze jak ja - dodał cicho.

Oddychała gwałtownie, w milczeniu. Zalała ją innego rodzaju fala. Przez moment zanurzyła się w mrocznej otchłani dezorientacji, która okazała się osobliwym ratunkiem.

Mogłaby go oskarżyć, że znowu ogarnął go lęk, gdyby nie doznała owej przedziwnej ulgi.

Miał, oczywiście, rację. Oboje zdawali sobie sprawę, że „to” mogło się jedynie skończyć zdradą - jedno z nich musiałyby niewybaczalnie

zdradzić drugie, jeśli chodziło o Lyona Redmonda. Już nie wspominając jej niemal pewnej kompromitacji i ruinie jego planów, które nie miały z nią nic wspólnego.

Po co ciągnąć coś, co mogło się skończyć tylko źle? A naprawdę nie mogła sobie wyobrazić, żeby sprawy potoczyły się inaczej.

Koniec przygody.

Ale wciąż nie mogła wydobyć głosu.

On także nie wydawał się, doprawdy, w lepszej formie.

- Oczywiście - wykrztusiła wreszcie. Zaskoczył ją własny głos. Brzmiał słabo, ale pewnie. Miała wrażenie, że wydobywał się spod wody, co nieźle pasowało do okoliczności. - Oczywiście, że musi się skończyć. Zachowamy... dystans.

Spojrzała na niego, szukając potwierdzenia.

Skinął ponuro głową, zgadzając się, że to mądry plan.

- Dystans - powtórzył.

Tak więc rozstał się kocioł z garnkiem. Violet udała się do swojej mysiej dziurki. A kiedy szła do siebie, coś jej przyszło do głowy: Lyon żeglował zapewne w tej samej, co oni, burzy. Ale aż do tej chwili nie pomyślała, czy nic mu się nie stało.

## 21

W następnych dniach trzymali się na dystans. Pogoda poprawiła się, ale tylko na tyle, że nie szalał sztorm. Można by powiedzieć, że się dąsała. Niebo zachowało groźną szarość żelaza, nad głową wciąż wisiały deszczowe chmurzyska. Niespokojne morze sprawiało wrażenie bezkresnego bagna.

Jak zwykle, pogoda znakomicie współgrała z nastrojem Violet. Jedynym sposobem, żeby nie pogrążyć się w bagnie emocji, było trwanie w nadziei, że odnajdzie Lyona. I czekanie na odkrycie prawdy w La Rochelle.

Wreszcie zerwał się wiatr.

Niósł ich szybko w stronę La Rochelle.

Przepłynęli Pertuis d'Antioche w dniu, kiedy słońce grzało mocno przez chmury, i zarzucili kotwicę w porcie. Jak zwykle ona, hrabia i Lavay popłynęli na brzeg szalupą.

Mijając, co było do przewidzenia, „Olivie”. Smukłą, piękną, zakotwiczoną. Szydzącą z ich niewiedzy enigmy. Gdy dotarli na brzeg, Lavay i dwaj marynarze z załogi ruszyli do miasta, żeby zebrać informacje o statkach przebywających obecnie w porcie i o ich ładunku oraz żeby uzupełnić zapasy.

Wynajęty powozik toczył się po starych brukach miasta, deptanych niegdyś przez hugenotów i templariuszy, dowożąc ich do prawdziwie angielskich biur Haymana, Haymana i Littlemonta na Rue d'Eglise.

Przejażdżka trwała krótko, a rozmowa Violet z hrabią była absurdalnie uprzejma, sztywna i obojętna.

Chudy jak szkielet Anglik w okularach, o znękanym wyrazie twarzy, ubrany tylko odrobinę lepiej niż podrzędny gryziopiórek - w niebieski kubrak z mosiężnymi guzikami - przedstawił się jako pan Littlemont i wprowadził ich do salonu z solidnym, angielskim umeblowaniem. Zadzwoił po herbatę. Przyniosła ją, w delikatnym, malowanym w kwiaty angielskim czajniczku, pokojówka.

Violet, zaskoczona, wbiła wzrok w różowe kwiatuszki na porcelanie. Wydawały się artefaktem z odległego świata, jej świata. Wyjechała zaledwie przed niespełna dwoma tygodniami, udając się rzekomo na przyjęcie do domu lorda i lady Peregrine.

Nic nie przypominało mniej takiego przyjęcia niż czas, jaki spędziła w towarzystwie hrabiego.

Włożyła do filiżanki cztery kostki cukru, ponieważ je podano i ponieważ mogła sobie na to pozwolić.

Pili herbatę bardzo wytwornie. Bardzo po angielsku.

Violet zwróciła uwagę, że hrabia nie przedstawił się nowym tytułem. Z pewnością ze względów strategicznych.

Przedstawił się po prostu jako kapitan Flint. Sądząc, że pan Littlemont będzie rozmawiać z większą swobodą z kapitanem niż z kimś, kto należy do kręgu znajomych angielskiego króla.

- Jak rozumiem, jest pan handlowcem. Być może także potencjalnym inwestorem, kapitanie Flint? - Littlemont był pełen nadziei. -

Jeśli tak jest, to interesuje pana zapewne element ryzyka, mogę zatem uczciwie stwierdzić, że aż do zeszłego roku nasz kapitał miał się całkiem dobrze. Od tamtego czasu szczęście zaczęło nas opuszczać. Piraci zadali nam ogromne straty, kapitanowie nie chcą już dla nas pracować. Być może pańska odwaga zachęci innych. Hrabia odchrząknął.

- Tak, ale pan Musgrove w Breście i monsieur Fountaine w Hawrze sugerowali, żebym porozmawiał z panem o możliwościach zatrudnienia i inwestycji, a ja ufam ich słowu bez zastrzeżeń.

- ...podobnie jak kapitan Moreheart - wtrąciła niewinnie Violet. - Nieprawdaż, kapitanie Flint?

Hrabia nagle zeszywniał, jego palce zadrżały na filiżance. Och, rozgniewała go. Filiżanka wydawała się niezwykle delikatna w jego ręce. Mógł ją zmiażdżyć, ściskając lekko.

Musiała to powiedzieć. Nie chciała udawać, że jego wspaniały kapitan Moreheart jest poza podejrzeniem, że nie mógł należeć do grupy inwestorów, których podejrzewano o nieczyste sprawy. O handel ludźmi. Musiała też, dla swojego i Lyonsa dobra, wierzyć, że jej brat stał się piratem nie tylko z chciwości i żądz niszczenia.

Littlemont, nieświadom subtelnych podtekstów, się rozpromienił.

- Oczywiście. Także kapitan Moreheart. Moreheart to porządny człowiek.

Z twarzy hrabiego powoli odpłynęła krew.

Spuścił wzrok na swoje kolana, trzymał się prosto. Przyjął cios.

Och Boże. Tak mi przykro, Flint.

Ale miała rację.

Poczuła nadzieję, której nie miała prawa żywić, nadzieję, która niewiele miała wspólnego z Lyonem, za to cała wiązała się z hrabią.

Hrabia znowu popatrzył na niczego nieświadomego Littlemonta, dochodząc do siebie z szybkością, którą Violet podziwiała niemal boleśnie. Przywykł do ciosów.

- Ostrzegano mnie także przed niebezpieczeństwami związanymi z inwestowaniem - ciągnął gładko hrabia - jestem jednak przekonany o ogromnych możliwościach zdobycia majątku. A niewiele jest rzeczy, przed którymi bym się cofnął, wiedząc, że przyniosą zysk.



Obaj panowie roześmieli się wesoło. Violet rzuciła mu z ukosa zdumione spojrzenie. Jest lepszym aktorem ode mnie. Ale cóż, od lat grał rolę dżentelmena, nigdy się nim nie czując.

Violet podniosła filiżankę, żeby łyknąć pokrztającego płynu.

- No i, to oczywiste, ryzyko nie jest mi obce - mówił dalej hrabia z wyrazem zadowolonej z siebie arogancji. - Jednak wiele waszych statków zatoneło. Wspomniano, o ile się nie mylę, „Caridad”, „Stead-fast”... - Wyciągnął rękę, wyliczając. †

To była próba. Sprawdzanie, ile informacji da się z Littlemonta wyciągnąć.

- „Maria Louisa”, „Temperance” i „Oceanus” - potwierdził ponuro pan Littlemont. - Te właśnie statki. Wszystkie należące do nas. Obawiam się, że wkrótce zbankrutujemy. A interes rozwijał się tak obiecująco. Zostały nam w tej chwili tylko dwa statki. „Prosperar” w tym tygodniu wyrusza do Kadyksu, a „Grey Guli” popłynie do Calais.

- Oto dlaczego kapitan Moreheart, niech jego dusza spoczywa w pokoju, pomyślał o mnie jako ewentualnym kapitanie - stwierdził poważnie hrabia. - Jeśli ktoś potrafi obronić statek przed piratami i zniechęcić ich do dalszych napadów, to ja i moja załoga.

- Czy spodziewał się pan objąć dowództwo jednego ze statków w handlu przybrzeżnym, czy też takiego, który przewozi duże ładunki, kapitanie? Statki z dużym ładunkiem wydają się dla pana stosownym wyzwaniem i zapewniają znacząco wyższą płacę. Jak również część zysków.

Violet zauważyła, że hrabia się waha.

- Cóż, to ciekawe pytanie, panie Littlemont. Nie jestem pewien. To może zależeć od rodzaju podróży. Większe statki kierowały się do...

Serce Violet zabiło szybciej. Nie śmiała spojrzeć na Littlemonta. Przyglądała się kwiatuśkom na filiżance.

- Cóż, większe statki wracają z Ameryki, ale nie jestem pewien co do wszystkich przystanków w ich podróży. Sądzę, że Indie Zachodnie stanowią jeden z celów. Celem statków żeglujących wzdłuż wybrzeża jest zakup towaru dla większych statków, ale o naturze owych zakupów, także mi nic nie wiadomo. Pieniądze ze sprzedaży przechodzą przez ręce pana Musgrove'a i trafiają do naszej firmy, a my nimi dysponujemy i inwestujemy je według wskazań. W tej sprawie musi pan porozmawiać z panem Musgrove'em. Teraz jednak

mamy tylko jeden statek, a ten jest na morzu. To tak, jakby Le Chat odcinał nam po kolei wszystkie członki.

Mocno poruszona Violet wciągnęła głośno powietrze i delikatnie odstawiła filiżankę na talerzyk.

Lyon usiłował powstrzymać handlarzy niewolników.

Robił to dla Olivii.

Miała rację! Nie chodziło tylko o rabunek i rozbój! Z najwyższym trudem powstrzymała się, żeby przynajmniej nie stuknąć hrabiego łokciem.

Littlemont nie przestał mówić.

- Tak więc przyплыw kapitału byłby mile widziany. Może zechciałby pan oddać cześć pamięci kapitana Morehearta, idąc w jego ślady. Ponieważ, jak mi wiadomo, kapitan Moreheart właśnie tym się zajmował - dowodził statkami i inwestował pieniądze, i aż do niedawna świetnie mu się wiodło; ma pan zatem dobry przykład.

Pan Littlemont wykazał niemal wzruszającą gorliwość. Złożył na kolanach szczupłe, długie dłonie, jakby w geście modlitwy.

- Być może powinienem pomówić znowu z panem Musgrove'em i innymi członkami grupy, zanim zdecyduję się włożyć w to pieniądze - zauważył hrabia.

- Proszę dać nam znać najszybciej, jak to tylko możliwe, kapitanie.

- Lyon napada na te statki, ponieważ one skupują niewolników? - Violet była wstrząśnięta. - Grupa Dreieck handluje niewolnikami.

Jeśli spodziewała się, że te wieści poprawią hrabiemu nastrój, to była w błędzie.

- Wiele wskazuje na to, że istotnie Grupa Dreieck handluje niewolnikami - odparł spokojnie. Twarz miał pochmurną i zamyśloną. Rytmicznie uderzał kapeluszem w dłoń, gdy powóz zmierzał z powrotem do portu.

- On to robi dla Olivii Eversea, Flint. Żeby dowieść swojej wartości w jej oczach. Tak musi być. To, ostatecznie, sprawa bliska jej sercu. Dobry Boże, to... to jest...

- Tylko nie mów „romantyczne” - parsknął hrabia. Dokładnie to miała na końcu języka.

Zamrugnęła. I nagle zamilkła. Poniewczasie uświadomiła sobie, że jej radość, triumf i ulga były bezmyślne: hrabia otrzymał cios.

Potrzebował czasu, żeby przywyknąć, że jego bohater okazał się pospolitym łajdakiem.

Błagała go w duchu. Proszę, z pewnością możesz to Lyonowi wybaczyć.

Spędziła dwa dni, tłumiąc w sobie nadzieję. Przyjmując rzeczy takimi, jakimi są. A teraz nadzieja znowu się pojawiła.

- Violet, nie zapominaj, że o Le Chacie mówi się, że obrabował i zatopił także inne statki. Nie tylko te finansowane przez Grupę Dreieck. Przypomnij sobie rozmowę w Hawrze przy stole wicehrabiego Heberta.

Chciała nim potrząsnąć. Chciała, żeby uchwycił się tej nadziei tak samo jak ona.

- Dlaczego jednak miałyby ścigać te statki, statki niewolnicze, jak się wydaje, przez całą drogę, aż do portu? On wymienił tylko pięć. Mają jeszcze dwa. Zostały dwa do zatopienia. Grupa Dreieck ma już tylko dwa statki. Z pewnością widzisz...

- Przestań - powiedział cicho, gwałtownie. - Przestań natychmiast.

Zaszokował ją.

Zamknął powoli oczy, targany uczuciami, po czym znowu je otworzył.

- Violet, mnie nie obchodzi, dlaczego on to robi. Ja czy ty możemy myśleć, że Le Chat wymierza jakąś tam sprawiedliwość, ale to w istocie sprawa Marynarki Brytyjskiej. A nie jednego, samowolnie działającego człowieka.

- Ten człowiek to mój brat. Licz się z tym, Flint. Proszę, licz się.

Dla mnie.

Zaśmiał się boleśnie.

- Przypominasz mi o tym nieustannie.

- Ale Flint... on to robi dla niej. I odstrasza innych handlarzy niewolników.

- To i tak jest złe. Był nieugięty.

Nadzieja znikła, zostawiając pustkę.

- Oczywiście. - Gorycz tego słowa paliła jej język. - Zapomniałam, że liczy się łup. I twoje plany. Lyon, mój brat, ktoś, kogo kocham, powinien wisieć. Skąd możesz wiedzieć, jak to jest, Flint,

skoro sam nigdy nie miałeś rodziny? Nawet jeśli twój czcigodny kapitan Moreheart był zamieszany w te niegodziwości i zasłużył na swój los.

Hrabia odwrócił głowę w jej stronę bardzo, bardzo powoli. Siła jego pełnego wściekłości zdumienia niemal wbiła ją w ławę, przez chwilę naprawdę była przerażona. Wyraźnie starał się panować nad sobą.

- Wybaczę ci to. - To brzmiało jak ostrzeżenie.

Milczała. Wiedziała, że posunęła się za daleko. Chciała go zranić. I dopięła swego.

Skinęła głową, przeprasząc.

- Violet... - Roześmiał się niespodziewanie. Nie rozumiał, dlaczego nie może przemówić jej do rozsądku. - Jeśli kapitan Moreheart był zamieszany w handel niewolnikami, jest to naganne. Myśl o tym budzi we mnie wstręt. Nie wiem, co nim powodowało. To nie pasuje do człowieka, którego znałem, ale ludzie dla pieniędzy robią szalone i rozpaczliwe rzeczy, na przykład ścigają piratów wzdłuż wybrzeży Europy, i to mógł być powód. Może nigdy się nie dowiem. Ale tak samo, jak ciebie nigdy nie obchodziło, czy Lyon jest przestępcą, czy też wypełnia jakieś szlachetne zadanie, tak mnie nie obchodzi, dlaczego Moreheart to zrobił. Choć powinno. Jednak ty wolałaś wierzyć w szlachetne pobudki Lyona. A teraz możesz nazywać to, jak chcesz. Ale i tak próbowałam go uratować przede mną i przed szubienicą, gdyby był przestępcą. Powiedz, że się nie zgadzasz z tym, co powiedziałem.

Zgadzała się. Więc nie odezwała się słowem.

- Jeśli Moreheart zginął na szalupie, po tym jak Le Chat zatopił „Steadfast”, to został zamordowany, tak jakby Le Chat przebił go szpadą. Powierzono mi zadanie, które przyniesie mi korzyść i pozwoli go pomścić. Obaj na to zasługujemy. Do diabła, kapitan Moreheart był dla mnie ważny.

Wciągnął głęboko powietrze, podnosząc dłoń do oczu. Starał się uspokoić.

Potem opuścił rękę. Twarz miał bladą ze znużenia i emocji. Zmusił się, żeby mówić spokojnym tonem.

- I jest mi przykro. Naprawdę przykro, jeśli myślałaś, że będzie inaczej. Okoliczności są takie, jakie są, Violet.

Sądziłem, że jasno ci to przedstawiłem. Wybacz, jeśli coś w moim postępowaniu skłoniło

cię, żeby myśleć inaczej. Ale uczciwie mówię, że nie było to moim zamiarem.

Patrzyła na niego niewidzącym wzrokiem, jak ogłuszona.

Moreheart był dla ciebie ważny.

A Olivia jest ważna dla Lyona.

Tak jak ja chciałabym być ważna dla ciebie.

Pojęła teraz, że niezależnie od kwiatów jaśminu, po prostu nigdy nie będzie dla niego dość ważna. Ostatecznie, nie miał żadnego doświadczenia z miłością.

Znał tylko lojalność. I wierność.

Zobaczył jej twarz. Westchnął i oparł się na ławie. Zaśmiał się gorzko.

- Och Violet, przeżyłem gorsze rzeczy niż nienawiść. Przeżyję twoją. Wiem od jakiegoś czasu, że twoja nienawiść będzie ceną mojego powodzenia, i wierz mi, nie sprawia mi to przyjemności. Naprawdę myślałem, że rozumiesz. I to jest jedyne, czego żałuję: że mogłaś myśleć inaczej. Nienawidź mnie zatem, skoro musisz. To mnie nie zmieni.

Czekał, żeby się odezwała.

Ale nie było już nic więcej do powiedzenia.

## 22

Mroczna, nieustępliwa, owiana złą sławą mgła znad Zatoki Biskajskiej zawisła w powietrzu w chwili, kiedy nieodwołalnie zniszczył wszelkie względy, jakie Violet Redmont żywiła wobec mego. Flint czuł się paskudnie. Mgła odbijała jego stan wewnętrzny. Nie dało się tego uniknąć. Zniesie to.

Nie był taki pewny, czy ona to zniesie. Widział weselsze miny u ludzi, których właśnie zastrzelono. Ale nigdy jej nie okłamywał.

Przyjął pogodę jako karę, sposób unaocznienia mu, że zanim poznał Violet, pływał w mętnej wodzie bez żadnego celu. Przez dwa dni po opuszczeniu La Rochelle żeglowali w tej mgle. Flint zbyt wiele przeżył, żeby uznać ją za romantyczną czy tajemniczą. Natura

zmawiała się z rabusiami, uciekinierami i szmuglerami, jeśli nawet nie powodowała katastrof morskich. A choć przy tej części wybrzeża był w stanie żeglować bez większego wysiłku - inni żeglarze przed nim starannie je zbadali, zaznaczając na mapie każdą podwodną skałę, która mogła zatopić szkuner - Flint we mgle zawsze wyteżał słuch. Dźwięk był mylący, mgła go tłumiała i zmieniała, wprowadzając w błąd nasłuchujących. A ponieważ Flint skupił uwagę, usłyszał od strony sterburty serię następujących po sobie szybko dźwięków. Plaśnięcie. Stuk. Znowu stuk.

- Do broni! - wrzasnął.

Wiedział, że to ńapad, zanim jeszcze zobaczył mężczyzn wspinających się po burcie statku. Z nożami w zębach, pistoletami za pasem, szpadami kołyszącymi się u boku. Znał te odgłosy tak dobrze, jak własny oddech: plaśnięcie to Greeber uderzony kolbą w czoło, jeśli już nie cięty nożem po gardle, stuk - łoskot ciała upadającego na deski, kolejny stuk to pirat lądujący na pokładzie „Fortuny” obiema nogami.

Gdzie jest Violet?

Modlił się, żeby siedziała pod pokładem.

To była ostatnia myśl, jaka mu przyszła do głowy, zanim jego ludzie wypadli zewsząd na pokład. Słyszał dźwięk odciąganych kurków pistoletowych, świst dobywanych szpad, tupot stóp uderzających o deski pokładu, kiedy biegli, żeby atakować i się bronić. Flint skoczył z przedniego pokładu, wbijając but w pierś pirata, który przełożył nogę przez burtę „Fortuny”; ciało napastnika wzbilo pióropusz wody, kiedy pochłonęło go morze.

Jego ludzie, Boże błogosław ich cudowne, czarne serca, byli straszliwymi, doświadczonymi wojownikami i cięli ręce, które śmiały przywrzeć do burty jego statku, jakby to były pnącza w dżungli, odcinając sznury, jakich piraci użyli do wspinaczki. Rozlegały się krzyki i przekleństwa, plusk spadających do wody ciał. Szczęk stali i odgłos ciał zderzających się w walce.

- Działa, Corcoran! - krzyknął. - Stań przy nich!

- Tak jest, kapitanie! - Corcoran szybko zajął pozycję.

Bo gdzie byli piraci, tam był i ich statek, a kiedy napadnięci odeprą atak, piraci niezwłocznie zaczną ostrzeliwać „Fortunę”.

Violet i Hercules, w nagrzanej kuchni pod pokładem, spierali się, jak należy przyrządzić mięso na kolację, kiedy nad ich głowami rozległ się łomot, jakby po pokładzie przepędzono stado bydła.

Violet znieruchomiała, zaskoczona, odchylając głowę do tyłu.

Hercules pobladł. Tasak zawisł w powietrzu.

A kiedy powoli, bardzo powoli, jego wargi ułożyły się w złowieszczy grymas, zrozumiała, co to znaczy, że komuś włosy stają dęba na głowie, bo jej właśnie stanęły. .

- Co to jest? - zapytała słabym głosem. Potem do ich uszu doszły stłumione krzyki.

Upuścił tasak z łoskotem i zanurkował pod stół, wydobywając się spod niego z czymś, czego nigdy przedtem nie widziała - był to bułat, zakrzywiona szabla turecka, zaostrzona, żeby zadawać śmierć. Ostrze pobłyskiwało groźnie w przyćmionym świetle lampy.

Nóż wysliznął jej się z dłoni. Ręce zwilgotniały ze strachu.

- Hercules, co się dzieje!

- Piraci. Zostań tutaj.

Wszyscy inni powiedzieliby to z mniejszym ukontentowaniem.

Szybki jak złośliwy terier wypadł z kuchni na pokład.

Dobry Boże. Myślała gorączkowo mimo paniki. Czyżby to był Le Chat? Ale jak to możliwe? Nie wieźli ładunku.

Wiedział, że ona jest na pokładzie?

Co się, do licha, działo?

Flint zabiłby ją, gdyby wyszła na pokład. Dosłownie. Ale jeśli wśród piratów rzeczywiście był Lyon, nie skrzywdziłby Flinta, gdyby ją zobaczył.

Dotknęła noża, potem zerknęła na tasak. Zdecydowała się na to drugie.

Kiedy mrozący krew w żyłach krzyk przebił się przez hałas bitwy, Flint uśmiechnął się, wiedząc, że za chwilę ukaże się pędzący po schodach z kuchni, wywijający szablą Hercules. Wydając swój niepowtarzalny okrzyk wojenny, Hercules skoczył ku piratowi zabawnie wystrojonemu w pasiastą koszulę, celującemu w niego z pistoletu, i ciął szablą pod ręką mężczyzny. Pistolet zatoczył spiralę w powietrzu i uderzył o pokład, ślizgając się po deskach. Zatrzymał się u stóp Violet.

Chwyciła go odruchowo i skuliła za długą łodzią, ledwie oddychając ze strachu. Wokół rozbrzmiewały okrzyki bólu i wrzaski: „Schyl się, Greeber! i „Uważaj, kapitanie!” Wsunęła głowę między kolana, żeby stać się mała i możliwie niewidoczna, musiała się jednak przekonać, czy Flintowi nic się nie stało i czy Lyon jest na pokładzie, więc wyjrzała. Skuliła się znowu, kiedy, jak jej się wydało, napotkała błyszczące, bursztynowe oczy pirata, patrzącego na nią z drugiego końca pokładu. Ale to był tylko płaski owal słońca, przebijający się przez chmury, którego promienie odbiły się od pirackich ozdób.

W chwilę potem ujrzała, jak rozbrojony pirat trzyma się za zakrwawiony nadgarstek, podczas gdy Corcoran i Hercules chwytają go pod pachy. Kopał i przeklinał w języku, jakiego dotąd nie słyszała, wypchnięty przez nich za burtę. Jego wrzaski umilkły, kiedy morze się nad nim zamknęło.

Matko miłosierna.

Jeśli przeżyje, to przysięga, że nigdy nie będzie szukać wrażeń.

Podniosła się na kolana, obserwując pokład tuż nad krawędzią łodzi. Patrzyła z przerażeniem i podziwem, jak Flint rzuca się nieustraszenie w wir walki, jak przyjmuje i zadaje ciosy, wymachując wielkim mieczem i odbijając ostrza skierowane ku niemu w morderczych intencjach. Chwytał piratów, rzucał ich na deski i rozprawiał się z nimi bezwzględnie; zręcznie, niemal radośnie, unikając pchnięć szpad i ciosów pięści. Czyjaś krew zachlapała mu koszulę.

Nie widziała Lyona.

Zobaczyła za to wśród piratów złotą głowę Lavaya, potężną postać Corcorana i lśniące, rude włosy Greebera. Nie zniosłaby, gdyby któryś z nich został ranny.

Na chwilę odwróciła się tyłem do rozgrywających się na statku scen, opierając o łódź, zaciskając powieki, oddychając ciężko. Zebrała się w sobie. Oddychała nerwowo, oglądając pistolet. Był odbezpieczony. Cud, że nie wypalił, kiedy upadł na deski. Nie miała czasu, żeby go otworzyć i sprawdzić, czy jest naładowany. Jeśli już z niego strzelano, był bezużyteczny.

Zawsze mogła go użyć, żeby kogoś uderzyć albo nim rzucić.

Wyjrzała znowu i zobaczyła złotą głowę Lavaya lśniącą jak gwinea, kiedy usiłował rozbroić człowieka, który wymierzał mu ciosy szpadą.



Zobaczyła to, czego on nie mógł zobaczyć - pirata biegnącego za jego plecami ze szpadą w ręce.

Zakryła usta dłonią, wydawszy krzyk, który mógł rozerwać jej gardło.

Ale wyostrzone zmysły Flinta, zdolność zauważania wszystkiego wokół sprawiły, że skoczył tam jednym susem.

Ostrze znajdowało się o parę cali od pleców Lavaya, kiedy Flint przebił mieczem pirata na wylot. .

Wyciągnął miecz; ciało opadło na pokład, jakby nigdy nie było w nim życia.

Lavay podziękował za ratunek skinieniem głowy; jego szpada migotała wdzięcznie w śmiertelnych zapasach jeszcze przez sekundę czy dwie, zanim rozbroił drugiego pirata i także przebił go na wylot.

To wszystko było takie dzikie i okropne, wspaniałe i obsceniczne... zachwycające.

Zadrzała. Nie mogła znieść widoku i nie była w stanie się ruszyć, modliła się tak, jak nigdy przedtem, szczerze i z zapalem.

Ukucnęła, kiedy po ogłuszającym ryku, gryzący dym zmieszał się z mgłą. Fontanna wody wzbiła się nad lewą burta - piracki statek do nich strzelał.

- Ognia! - wrzasnął Flint, odpierając jednocześnie ciosy dwóch napastników. - Corcoran!

Ludzie przy działach usłuchali natychmiast. Wzdłuż lontu przebiegł płomień i „Fortuna” zadrzała od armatniego strzału. Potem rozległ się triumfalnie trzask łamanego drewna.

Główny maszt pirackiego statku rozstał przecięty, jego szczyt wciąż dyndał jak człowiek na końcu liny.

Nagle obok paniki u Violet pojawiło się nowe, nieznane uczucie: żądza krwi. Chciała, żeby zwyciężyli.

Byli w stanie zwyciężyć.

Choć załoga „Fortuny” ustępowała piratom liczebnością.

Pokład zaścierały porozrzucane jak gałgany ludzkie ciała. Zobaczyła błyszczącą niczym kolba pistoletu głowę

Herculesa, kiedy wymachując kordelasem, bezlitośnie ciał jeszcze dwóch piratów, którzy ze wszystkich sił starali się go zabić. Ale niemal w tej samej chwili rzuciło się na niego dwóch kolejnych. Był zaiste straszliwym wojownikiem, choć niewielkiego wzrostu.

Och, Hercules.

Flint zdążył jednak na czas - jak to możliwe, żeby poruszał się tak szybko? Razem z Herculesem szybko i krwawo pozbyli się piratów.

Ale kiedy kapitan się odwrócił, stanął oko w oko z piratem, który mierzył z pistoletu w jego pierś.

Flint zamarł.

Och, Boże, och Boże, och Boże.

W parę sekund wieść o tym rozeszła się po pokładzie.

- Zaprzestańcie walki! - ryknął pirat.

- Stać! - krzyknął Flint do swoich ludzi.

Rozkaz okazał się zbędny. Poza jękami ludzi leżących na pokładzie panowała cisza. Czekano, co nastąpi; niektórzy mamrotali coś po cichu.

Flint trzymał miecz nieruchomo przy boku. Pistolet miał zatknięty za pasem.

Sięgnięcie po niego oznaczałoby natychmiastową śmierć.

- Poddaj się, kapitanie Flint. Złóż broń, a zostaniesz naszym zakładnikiem. Nie zabijemy cię. Ale jeśli któryś z twoich ludzi choćby mrugnie, zastrzelę cię na miejscu. Czy komuś chce się mrugać?

Kapitan piratów mówił z tajemniczym akcentem; w charakterystyczny sposób wymawiał „l”. Był wysoki, chudy i kanciasty; płaszcz zwisał z jego ramion jak flaga na linie. Na głowie nosił czerwoną opaskę; tłuste czarne włosy miał związane w kucyk. Czarne oczy patrzyły bez wyrazu. Podejrzewała, że ten człowiek już dawno nauczył się zabijać bez wyrzutów sumienia, a może nawet to lubił.

Violet przypomniała sobie opis innego pirata, który usłyszała przy stole wicehrabiego. Nazwano go brzydalem. To musiał być on. Niewątpliwie pasował do opisu.

A zatem Le Chat nie miał z tym nic wspólnego.

Flint chłodno ocenił sytuację. Jego pierś wznosiła się i opadała szybko ze zmęczenia po walce; Violet oddychała w rytm jego oddechu, jakby miała nadzieję, że uda się jej oddychać za niego. Koszula przywierała do niego od potu i krwi, własnej i innych ludzi.

Nigdy dotąd nie widziała go na łasce kogokolwiek czy czegośkolwiek.

To się kłóciło z naturą, tak jakby słońce topiło się w morzu. Nie powinno do tego dojść.

- Kapitanie Flint. Oddaj mi broń, a moi ludzie zaprzestaną walki. Wiesz, że mamy przewagę.
  - Mieliście przewagę. Policz ciała na pokładzie. Teraz jest nas po równo.
  - A jednak to ja celuję z pistoletu w kapitana „Fortuny”, więc życie kapitana jest w moich rękach, a to oznacza, że zwyciężyliśmy. Daj spokój, kapitanie Flint, złóż broń, a załadujemy twoich ludzi do szalupy i zajmiemy twój statek. Skoro byłeś tak nieuprzejmy, że zniszczyłeś nasz.
  - Skąd znasz moje nazwisko? - zapytał Flint z taką swobodą, jakby siedzieli przy kwarcie piwa w oberży.
  - Twoja legenda cię wyprzedza, kapitanie. Wiemy, że dowodzisz „Fortuną” i przewozisz bogaty ładunek, a wiemy to od kapitana Gul-licksona. Chcemy mieć ten ładunek. Z pewnością nie muszę ci tego wyjaśniać. Nie pierwszy raz masz styczność z piratami.
- Violet wiedziała, że nie przewożą bogatego ładunku. Gullickson napuścił na nich piratów! Widocznie życzył im śmierci.
- A z kim mam przyjemność mówić? - Słowo „przyjemność” wyszło z ust hrabiego jako arcydzieło ironii.
  - Mówisz do samego Le Chata, monsieur.
- Ciszę pełną zdumienia przerwał tylko łoskot kolejnej części masztu pirackiego statku, który spadł na pokład. Co, rzecz jasna, nie złagodziło złości pirata.
- Co za bzdura. - Flint wydawał się rozbawiony.
- O Boże, Flint. Nie staraj się rozgniewać tej kreatury.
- Dlaczego obrażasz mnie w taki sposób, kapitanie Flint? - syknął pirat z pozorną nonszalancją. Violet zauważyła, że jego zęby były pełne dziur. Z pewnością, gdy mówił, opryskiwał Flinta śliną niczym morską pianą.
  - O ile wiem, Le Chat i jego załoga nie walczą jak przerażone robactwo - stwierdził Flint swobodnym tonem. - Innymi słowy, nie biją się byle jak, nie dbając o honor. Nie jesteś Le Chatem.
- Nie drażnij go, nie drażnij go, nie drażnij go. Kapitan piratów zeszywniał.
- Piękne słowa z ust człowieka, który w tej chwili ma wszystko do stracenia, kapitanie Le Smarku.
- Piraci na pokładzie zachichotali.

Czy postanowił dać się zabić? Violet spływała potem ze strachu. Ręce miała wilgotne, w żołądku czuła bryłkę lodu. Pirat zmrużył oczy ze złości, oceniając hrabiego wzrokiem, i niespokojnie przestąpił z nogi na nogę. Starannie wycelował pistolet prosto w serce Flinta. To samo serce, którego bicie czuła pod palcami, kiedy znosił ją po schodach do kabiny po tym, jak o mało się nie utopiła. Które biło przy jej sercu, kiedy ją całował.

Bryłka lodu przepłynęła do gardła.

To nie może się dzieć naprawdę.

Zmierzwiona broda pirata drgnęła, kiedy wykrzywił grube wargi w pogardliwym grymasie.

- Kapitanie Flint, koniec pytań. Złóż broń. Jeśli tego nie zrobisz, obawiam się, że będę musiał cię zastrzelić.

- Flint - odezwał się cicho Lavay. To było ostrzeżenie.

Pirat przyłożył czubek szpady do gardła Lavaya. Ukazała się tam lśniąca w promieniach słońca, czerwona kropla krwi.

Violet dotknęła własnego gardła. Wzbierała w nim wściekłość.

- Och, poddałbym się mężczyźnie - odparł obojętnie Flint. - Ale czułbym się raczej głupio, poddając szczurowi, panie. Tak więc obawiam się, że to niemożliwe.

Och, Flint.

Stał niewzruszony jak jego statek. Z ręką na rękojeści miecza. Jak wspaniały, schwytyany dzikus, z pozoru spokojny, na łasce tamtego człowieka. W istocie gotów do skoku niczym dzika bestia, nawet jeśli miałoby go to kosztować życie.

Violet zagryzła mocno wargi, żeby nie wykrzyczeć jego imienia.

Chciała spojrzeć mu w oczy jeszcze raz, zanim zginie.

Ponieważ wiedziała to, co zapewne wiedział Flint - i tak zginie z rąk tego wstrętnego człowieka, który nie kłopotał się czymś takim, jak poczucie honoru. Wiedziała, że jego ludzie są skazani bez względu na to, co on zrobi, ani na to, co powie pirat. A więc nie pozwoli wykorzystać łajdakowi swojego poczucia honoru jako broni przeciwko niemu samemu i nie da mu satysfakcji, siląc się na udawanie choćby pozorów szacunku. Pirat był robakiem. Po prostu miał szczęście i tyle.

A potem ludzie Flinta zginą z rąk piratów, ujrawszy najpierw, jak ich kapitan ginie z honorem.

A potem z pewnością piraci ją znajdą. Nie łudziła się co do tego, co z nią zrobią.

- Dobrze więc - warknął pirat. - Policzę do pięciu i masz złożyć broń.

Violet wiedziała instynktownie, że pirat był jednym z tych, którzy wystrzelą, doliczywszy do czterech. A potem nad ciałem Flinta będzie się śmiał z własnego sprytu.

- Raz...

Wszystko, wydało się jej, nagle znieruchomiało. Załoga „Fortuny” stała sztywno, bezradnie, bez tchu. Wyżej, pod wpływem słońca i świeżego powiewu wiatru, mgła i dym armatni rozpląły się bez śladu. Promienie słońca wydobywały z cienia nieruchome szpady i kolby pistoletów, połyskujące koleczki pod brudnymi włosami.

- ...dwa...

Dźwięki rozlegały się boleśnie czysto, wyraźnie. Pluskanie wody przy burtach statku. Nagły trzepot mewich skrzydeł. Pisk ptaka ulatującego w dal. Dźwięki i obrazy raniły zmysły Violet.

Wstała powoli. Nie wiedziała, jak jej się to udało. Miała zdrętwiałe kończyny.

- ...trzy... Huk.

Cisza wybuchła, echo wystrzału nie milkło.

Okrzyki wściekłości, mrozące krew w żyłach wrzaski wojenne rozdarły powietrze. Ale jęki rozpaczy i protesty przeszły w zdumione pomruki. Zapanowała niesamowita cisza, kiedy to, co niemożliwe, okazało się prawdą: Flint nadal trzymał się na nogach.

Ale twarz miał bez wyrazu. Trzymał się nieruchomo, z ręką na rękojeści miecza.

Chwila zdumienia przed agonią, pomyślała Violet.

Wtedy do ludzi na pokładzie dotarło to, co się naprawdę stało.

I wszystkie spojrzenia zwróciły się na kapitana piratów.

Jego zarośnięta twarz miała wyraz niemal komicznego zaskoczenia.

Kiedy zrozumiał, wykrzywił twarz ze zdumienia i ze zgrozy. Potem jego rysy zwiotczały, palce rozwarły się; pistolet upadł na deski. Krew płynęła z jego serca, brocząc koszulę, bulgotała w kącikach ust.

Niczym żagiel pozbawiony wiatru jego ciało zapadło się i runęło na pokład. Martwe.

Natychmiast rozległ się szczeł żelaza i szuranie; załoga szykowała się do pojmania każdego pirata, który nie był martwy.

Każdy człowiek na pokładzie zdolny się poruszać odwrócił się w stronę, skąd padł strzał.

Violet opuściła pistolet w drżących dłoniach.

Błękitne oczy Flinta - słowo żyje, żyje, żyje rozbrzmiewało hosanną w jej sercu - wbiły się w nią. O mało nie padła na kolana. Czuła się pozbawiona ciężaru z radości, że po prostu istniał.

Później pomyśli o tym, co zrobiła, żeby zachować go przy życiu.

Twarz miała pobladłą, skórę napiętą. Jego wzburzenie pozwoliło jej zachować przytomność.

To był człowiek, który zdołałby ruszyć świat z posad.

- Przepraszam za złamanie rozkazu, kapitanie - powiedziała cicho.

Odwróciła się i znikła na drabinie, furkocząc spódnicą.

## 23

Flint wiedział z długiego doświadczenia, że szum krwi i podniecenie walką ustępują bardzo powoli, wzniesione jak czerwona fala, dopóki ich nie „wychodzi”, przemierzając pokład w tę i z powrotem aż do krańcowego znużenia.

Violet. Violet. Violet. Jej imię dźwięczało mu w głowie jak bębny wojenne, wzywając go. Oczyma wyobraźni zobaczył ponownie jej kochaną, jedyną na świecie twarz, przerażoną, wściekłą, wyrażającą zdecydowanie.

Musiał jednak wypełnić obowiązki kapitana.

Wydał Corcoranowi krótkie, oficjalne polecenie, żeby sprawdził, czy Violet jest bezpieczna pod pokładem. Tamten wrócił szybko z wieścią, że jest. Poleciał także wyrzucenie za burtę dwóch martwych piratów. Rannych marynarzy odesłano do pokładowego chirurga, żeby ich opatrzył i pozszywał. Żaden z jego ludzi nie zginął w walce,

ale wielu odniosło poważne rany; Mcevoy dostał kulę w udo i co najmniej tydzień musiał zostać w lazarecie, wyglądało jednak na to, że będzie mógł chodzić.

Chłodno, sprawnie wydał rozkaz zebrania i uporządkowania broni, zmycia pokładu, sprawdzenia żagli i olinowania; wyraził uznanie załozdze za dzielność, rannych pocieszył i podziękował im za odwagę. Na statku nie było miejsca, żeby trzymać w niewoli piratów, a nie obchodziło go, czy przeżyją, czy nie. Mgła ustąpiła na tyle, żeby odsłonić przechylony na bok statek piracki, z połamanym głównym masztem, nabierający wody przez dziurę wybitą kulą armatnią. Musiał zatonać, chyba że piraci go naprawią, jeśli będą w stanie to zrobić.

Nie dbał o to.

Dwóch piratów zostawił na pokładzie „Fortuny”: topornego, zadziwiająco owłosionego dzikusa, który nie mówił słowa po angielsku, a po wielu eksperymentach ze strzepami różnych języków, z którymi Flint się zetknął, okazał się Portugalczykiem; oraz chłopca, Anglika, nie więcej niż dwunastoletniego, przeraźliwie chudego, brudnego i przerażonego.

- Czy mam ich wyrzucić za burtę, panie? - zapytał Greeber, na którego czole wykwitł granatowy siniak, tam, gdzie jego czoło zderzyło się z rękojęścią szpady.

- Panie, proszę, panie... S-s-służyłem u prawdziwego Le Chata. Mogę wam pomóc go znaleźć!

Chłopiec wił się jak schwytyany owad. Ogromne brązowe oczy, zaróżowiony, wąski nos. Przez brudną koszulę przebijały kości obojczyków. Byłby to ładny, może nawet bardzo ładny chłopak, gdyby go odrobinę podtuczyć.

- Nie kłamiesz, chłopcze? Wylecisz prosto przez burtę, jeśli tak jest.

Dla zilustrowania groźby Greeber schwycił go za kark, podniósł i przekazał Lavayowi jak worek ziemniaków; Lavay ujął chłopaka za pasek od spodni i za kołnierz, udając, że chce go wyrzucić za burtę.

- Nie, panie! Proszę, panie!

- Och, doskonale. - Lavay postawił go znowu na nogi. W jego głosie brzmiało zniecierpliwienie.

- A zatem co zrobimy z tym szubrawcem? - Flint kiwnął brodą w stronę martwego kapitana piratów. Podnosiło go właśnie dwóch

ludzi z zamiarem wrzucenia do morza. Każdego, kto zginął w służbie Flinta, chowano godnie, z odczytaniem wersów Biblii.

Piratów - nie; ale to nie spędzało Flintowi snu z powiek.

- Kapitan Abrega wykradł mnie z portu La Rochelle, panie. Potrzebował chłopaka i mnie porwał. Co mogłem zrobić? Le Chat płacił mi dniówkę.

- Och? Jak nazywa się statek Le Chata?

- „Olivia” - odparł chłopak bez wahania.

Mężczyźni zastanawiali się chwilę. To była chwila rozstrzygająca. Z drugiej strony, wieści o statku Le Chata nie stanowiły tajemnicy.

- To piękny statek - dodał niepotrzebnie chłopiec.

- Jak długo służyłeś?

- W trzech portach, panie.

- Ostatnie dwa porty?

- Hawr i Brest. Znowu zapadła cisza.

- Dokąd żeglowała „Olivia”, kiedy cię zabrano? - badał chłopca Flint.

- Do Kadyksu - padła szybka odpowiedź.

Flint znieruchomiał. Zmrużył oczy. Chłopiec zadrżał znowu. Flint - wściekły, zakrwawiony i spocony - bez wątpienia robił straszne wrażenie.

Skąd chłopiec mógł to wiedzieć z całą pewnością? Ale jak mógł na oczekaniu wymyślić taki akurat cel?

- Wierzysz temu małemu bękartowi, kapitanie? - Greeber dźgnął chłopca łokciem.

- Zdradziłbyś dawnego kapitana, chłopcze, mówiąc nam, dokąd się udaje? - powiedział chłodno Flint. - Jak mogę ci ufać?

Podstępne pytanie dla chłopca, który chciał ocalić życie, a zapewne dostawał od życia same cięgi, odkąd się urodził. Obecne życie mogło z niego uczynić albo niezłomnego, uczciwego człowieka, albo bandytę. Flint nie byłby w stanie tego przewidzieć, gdyby nie służył pod kapitanem Moreheartem.

Grdyka poruszała się nerwowo w chudej szyi chłopca.

- Chcę pracować, panie. Będę ciężko pracować za utrzymanie. Bez płacy.



- Ale czy przed chwilą nie wskoczyłeś na pokład, żeby na rozkaz swojego kapitana zabijać moich ludzi?
- Tak, panie. Ale on by mnie zabił, gdybym nie posłuchał. A teraz on nie żyje, prawda?
- Tak, nie żyje. Powinieneś się nauczyć, co to znaczy wierność.

Lojalność.

- Nie mogę się tego nauczyć od trupa. Może pan mnie tego nauczy - odparł chłopiec niemal bezczelnie.

Lavay trzepnął go lekko w ucho.

- Do kapitana Flinta masz się zwracać z najwyższym szacunkiem, ty mały gnojku. To hrabia Ardmay. Masz się kłaniać i zrób to teraz.

Chłopiec pobladł i potarł ucho, w które oberwał. Wstrząśnięty wpatrywał się we Flinta, jakby nad jego głową pojawiła się aureola albo wyrosły mu rogi, albo jedno i drugie.

Skłonił się niezręcznie.

- Wybacz, panie. - Był onieśmielony, ale zafascynowany.
- Czy byłeś już w Kadyksie z Le Chatem?
- Tak, panie. Panie, znajdziesz go w karczmie El Cisnę Blanco.
- Jeśli kłamiesz, chłopcze, nie chciałbym być w twojej skórze. -Swobodny ton niósł także groźbę, chłopiec to zrozumiał. - A szybko się tego dowiemy, czyż nie?

Grdyka znowu skoczyła w górę i w dół. Brązowe oczy rozbłysły wyzywająco, a potem pociemniały. Chłopak opuścił powieki, przestraszony i posłuszny.

- Co będzie robić w Kadyksie? Cisza.

Greeber potrząsnął chłopcem.

- Handlować jedwabiem. Kupiec nazywa się Rodriguez i spotka się z nim na Plaža de Mina. Nie wiem o której.
- Greeber, zabierz chłopca. Jak ci na imię, chłopcze?
- Mathias, panie.
- Zabierz Mathiasa pod pokład i zamknij go. Weź Corcora-na i razem przerzućcie tego... włochatego łapserdaka... przez burtę i sprawdźcie, czy zdoła wleźć na którąś z ich łodzi i dostać się na statek. Jego los mnie jakoś szczególnie nie interesuje. A z chłopcem pogadam później.

Włochaty łapserdak mrucał pod nosem jakieś bez wątpienia straszliwe obelgi po portugalsku, podczas gdy Greeber zawołał Corcorana, żeby mu pomógł wypełnić rozkazy.

Flint, spełniwszy obowiązek, odwrócił się w końcu.

- Lavay, statek jest twój, ja schodzę na dół. I... - Zastanowił się ale tylko przez chwilę. - Dopilnuj, żeby panna Redmond nie usłyszała o chłopcu.

Ponieważ to los zesłał mu dzisiaj piratów. A dzięki chłopcu, los być może, wyda Le Chata w jego ręce po całych tygodniach pościgu za zjawą.

Wiedzieli, że tak to się skończy. Niezależnie od tego, jakie szalone, szlachetne motywy kierowały Lyonem Redmondem, Flint robi, co do niego należy.

A sądy zadecydują o losie Lyona Redmonda. Niech zwycięży lepszy gracz.

Lavay zrozumiał. Wahał się tylko chwilę, a potem skinął krótko głową. Z rezygnacją. Ironicznie uniósł brew.

- Tak jest, kapitanie. Czy wspomniałem już, że cieszę się, że żyjesz?

- Twoja serdeczność porusza mnie do głębi, Lavay. Czy mogę odwzajemnić się tym samym?

Lavay znowu kiwnął głową, jakby walka o to, żeby nie zostać zabitym, stanowiła ich codzienność.

- A zatem zmieniamy kurs?

Konieczność podejmowania błyskawicznych decyzji i przyjmowania odpowiedzialności za ich skutki była częścią jego życia, odkąd skończył osiemnaście lat.

- Tak. Płyniemy do Kadyksu. Szedł już w stronę drabiny.

- Znajdziemy się także bliżej Maroka - zauważył od niechcienia Lavay, już za plecami Flinta.

Flint rzucił mu zdumione spojrzenie przez ramię, nie zatrzymując

Od wielu dni nie pomyślał o Fatimie.

Wcześniej nie raz śmierć zaglądała mu w oczy. Wiele opowiadano o tym, co też człowiekowi staje przed oczyma w ostatnich chwilach

życia. Ale aż do dzisiaj Flint nie zobaczył nic szczególnego, a dzisiaj zobaczył tylko ją i tylko ją pragnął teraz widzieć.

- Kapitanie?

Znowu Lavay. Zatrzymał się i obrócił na pięcie.

- Tak? - rzucił szorstko.

- Znowu miała szczęście, co?

Flint skrzywił się, Lavay parsknął śmiechem, a potem Flint niemal rzucił się z drabiny.

Prawie pobiegł do kajuty gościnnej. Poruszył klamką Kajuty dla Wytwornych Gości.

- Violet! - Zapukał i otworzył drzwi. Pokój był pusty.

Ach. A więc poszła do jego kajuty, być może instynktownie, a może dlatego, że dzięki temu była dalej od sceny gwałtownej śmierci. Pobiegł do kapitańskiej kajuty i zatrzymał się przed własnymi drzwiami; zapukał ostrożnie, uświadomił sobie, że to śmieszne pukać do siebie, i nacisnął klamkę.

Drzwi się otworzyły.

Zatrzymał się na progu. Violet, z wielkimi, przerażonymi oczami, siedziała w nogach łóżka. Na jego widok starała się opanować i odwróciła się bez słowa. Widział wyraz jej twarzy w prostokącie lustra: napięty, zamyślony.

Nie czekał na zaproszenie do własnej kwatery. Zamknął drzwi za sobą, przekręcił klucz w zamku i spokojnie usiadł obok niej na łóżku.

Nie mógł sobie przypomnieć pierwszego człowieka, którego zabił; to było podczas bitwy, strzelał z muszkietu, twarz tego człowieka była tak daleko, że wydawała się anonimowa; miał tylko jedno imię: wróg. Pamiętał jednak, co było potem. Koszmary. Drżenie całego ciała.

Violet widziała twarz zabitego przez nią człowieka, kiedy tamten chciał zastrzelić Flinta. Prawdopodobnie do końca życia jej nie zapomni.

- Zabiłam człowieka - powiedziała w końcu. W jej głosie brzmiało bezgraniczne zdumienie.

- Tak - zgodził się cicho.

Nie był pewien, co powinien powiedzieć, w jaki sposób, jeśli w ogóle, próbować ją pocieszyć. Z wahaniem, na próbę, ujął jedną

z jej dłoni. Nie dotykał jej od kilku dni, a wydawało się, że dłużej, strasznie długo. Ten zwykły dotyk przyniósł dziwną ulgę. Tak, jakby niedotykanie jej było wbrew naturze. Dłoń Violet leżała w jego ręce bezosobowo, jak rękawiczka, chłodne palce nie były jednak zbyt zimne. Nie była w szoku. Nie puszczał jej jednak. Miał dowód, że żyła i nic jej się nie stało. Przejęła go wdzięczność, przez chwilę poczuł się słabo.

Nie cofała ręki.

- Gdzie on teraz jest? - Jej głos dobiegał jakby z oddali. Jakby tłumiła w sobie przemożne uczucia. Nie wiedział jeszcze jakie. - Człowiek, którego zabiłam?

- Jest karmą dla rekinów.

- Ach.

Nie patrzyła na niego. Studiował jej profil, ten wdzięczny zarys, który obwiodł pewnej nocy palcem, kiedy stali razem na pokładzie. Szukał oznak szoku czy hysterii; wiedział, że je rozpozna. Bardzo szybko zmarszczenie brwi, układ ust, sposób, w jaki jej oczy rozbłyskiwały albo nie w odpowiedzi na to, co zobaczyła, czy też, co on powiedział, stały się kolejnym językiem, jaki opanował.

- Żona mojego brata, Cynthia, odstrzeliła kiedyś przypadkiem penisa posagowi - oznajmiła.

- Czy tak? - zdziwił się.

- Ale ja nigdy nie strzelałam z żadnej broni. To był pierwszy raz.

- Naprawdę? - odparł łagodnie. - Masz dobre oko. To rzeczywiście niezwykle.

Kącik jej ust zadrgał.

- Dziękuję ci, tak przy okazji, za uratowanie mi życia - dodał. Przez krótką chwilę jej usta wygięły się w uśmiechu.

Potem

uśmiech zgasł.

- Cynthia chciała wyrzucić wrażenie na mężczyźnie. To już brzmiało nieco sensowniej.

Odrobinę. Zamilkli.

- Zabiłby cię. - Teraz usłyszał w jej głosie rosnące napięcie. - Ten... - Szukała odpowiedniego słowa. Zadowolona się takim, które wyraźnie uznawała za nieodpowiednie. - Ten człowiek zabiłby cię.

Słowo „człowiek” nigdy nie brzmiało tak obraźliwie.

- Chciał to zrobić, tak jest - stwierdził obojętnie. - Ale nie zrobił. Dzięki tobie.

Nie dodał, że to było tylko jedno z niezliczonych wydarzeń, w których mógł stracić życie. Mógł zginąć na milion sposobów: od kuli armatniej, tureckiego miecza, pięści, z głodu, w katastrofie okrętowej. Taki był los mężczyzny, a zwłaszcza takiego mężczyzny, jak kapitan Asher Flint, świeżo upieczony hrabia Ardmay, i był pewien, że wolałaby o tym teraz nie usłyszeć.

Nagle spojrzała na niego, wprost, uważnie, a ón, zaskoczony, patrzył, jak na jej policzki wypływa rumieniec.

Odwróciła się szybko, jakby nie mogła znieść jego widoku.

Potem bardzo głęboko zaczerpnęła tchu, przycisnęła dłonie do oczu i jeszcze parę razy wciągnęła powietrze. Jej ramiona unosiły się w rytm oddechu.

Zaniepokoił się.

- Violet? - odezwał się cicho i ukradkiem zaczepił butem o krawędź schowanego pod łóżkiem nocnika, na wypadek gdyby zebrało jej się na wymioty na skutek szoku.

Odsunęła dłonie od twarzy i spojrzała przed siebie szeroko otwartymi oczami. .

- Nie mogłabym tego znieść - powiedziała łamiącym się głosem, w którym brzmiało zdumienie i... wściekłość.

Niezbyt podobało jej się to co właśnie sobie uświadomiła. Znowu zwróciła twarz ku memu, jej] oczy miały dziwszy wyraz niż oczy wojownika. Było w nich oskarżenie i coś przenikliwego, surowego, wytrącającego z równowagi, tak jakby widziała go po raz pierwszy i nie była zadowolona z tego, co zobaczyła. Zerknęła na jego rękę, w której spoczywała jej dłoń, i roześmiała się cicho. Jej dłoń w końcu ożyła. Chwyciła jego rękę, odwróciła ją i zaczęła wodzić palcem po jej liniach, a potem odłożyła ją na jego udo, jakby to była jakaś krucha rzecz, którą jej pożyczył tylko na chwilę.

Żałował, że nie potrafi odczytać jej nastroju. Czuł się zagubiony. Jeszcze niedawno tak pewny siebie w roli wojownika, teraz był niemal zupełnie bezradny.

- Taka straszna rzecz, zabić człowieka. - Głos jej drżał, jakby coś w niej mogło pęknąć.

Teraz zrozumiał. To ją dręczyło, to, że odebrała komuś życie. Nawet jeśli zrobiła to po to, żeby go uratować. Była tylko młodą kobietą,

nie zaś wojownikiem. Nie można było oczekiwać, że szybko o tym zapomni.

- Violet... zabijanie nie jest łatwe nawet dla kogoś zaprawionego w bojach. Mogę sobie tylko wyobrazić, jak się czujesz. Tak mi przykro. Żałuję, że musiałaś...

Odwróciła się gwałtownie w jego stronę.

- Cicho, głuptasie - odezwała się wściekłym, ochryplym głosem. -Cicho. - Teraz w jej oczach pojawiły się łzy, które zaczęły spływać po policzkach. Starła jedną wierzchem dłoni, jakby to był kolejny mężczyzna mierzący z pistoletu do Ashera. - Nie mogłabym tego znieść, gdyby cię zabił. Ciebie. Nie mogłabym żyć. Po prostu... przestałabym oddychać. Zabiłabym'go jeszcze z dziesięć razy. Z radością. Dla ciebie.

Głos jej się załamał przy ostatnim słowie. To on przestał oddychać.

Wydawała się kulić w sobie. Złożyła ręce na kolanach, wyprostowała się sztywno, zacisnęła szczęki, usiłując opanować chaos uczuć i zamęt po krwawej bitwie. Nie mogła jednak opanować łez. Wzbierały, kleiły się do jej rzęs i rzucały w dół jak samobójcy.

Próbował coś powiedzieć. Odebrała mu mowę.

- Violet... - szepnął oszołomiony.

Dotknął jej policzka. Miała skórę rozpaloną z emocji; przejmował ją gniew, że nie potrafi okiełznać wściekłości. Znał tyle słów, w tylu różnych językach, często przypadkowych i bluźnierczych, ale teraz żadne nie przychodziło mu do głowy. Może jej wściekłość i rozpacz miały związek z czymś, co ona rozumiała o wiele lepiej od niego -jak przerażające jest kogoś kochać. Ponieważ słodycz miłości w dużej mierze bierze się z brutalnej prawdy, że można ją stracić w mgnieniu oka, na przykład wtedy, gdy w potrzebie dłoń nie znajduje nabitego pistoletu. Oto, co miłość uczyniła z nią, co przed nią odkryła - była kimś, kto mógł zabijać. Była zdolna do ogromnej miłości, ale raz już przegrała i teraz gotowa była zabić, żeby to się nie powtórzyło. A jednak wiedzieli oboje, że to się musi skończyć rozdarcie serca, kiedy Flint pochwyci Lyona. A on go pochwyci.

Jednak miłość - do brata, Lyona, człowieka, którego musiał pokonać - spowodowała, że w ogóle tu się znalazła.

- Violet - powtórzył głosem bardziej szorstkim, niż zamierzał. Nagle przestraszył się delikatności. Odsunął jej włosy z czoła stanow-

czym gestem, bojąc się, że czułość wytrąci ją z równowagi. Położył dłoń na jej karku, wsuwając palce w rozpuszczone, pozbawione szpilek włosy.

Spojrzała na niego i jej żarliwa czułość i niepewność pokonały go.

Przysunął usta do jej ust. To wszystko, co mógł teraz zrobić.

Jego wargi znalazły się blisko jej ust, musnęły je, język dotknął ich kącika. Smakowały słono. To był smak jej strachu, wściekłości i miłości. Nie pozwoliła mu się odsunąć, przytrzymała jego usta rozchylonymi wargami, szukała jego języka. Jej namiętność gwałtownie go podnieciła i przeraziła, gdyż zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

Ponieważ ona wiedziała, jak kochać. On był neofitą.

Chciał ją uspokoić i pocieszyć, ale skrywane pożądanie obudziło się nagle niczym wulkan.

Szukała językiem jego języka. Jęknął. Drżał z pożądania tej, tylko tej kobiety. Na oślep sięgnął do jej piersi. Pchnął ją na łóżko.

- Szszsz - szepnęła przy jego ustach. Znowu zaczęli się całować. Tak, jakby to on potrzebował wsparcia, wtulił twarz w jej szyję, ucałował pulsujące miejsce, potem powieki, czując słony smak. Uniósł się nad nią na drżących ramionach, uwięził ją, patrząc w jej roziskrzane oczy, bladą, przejętą twarz i dziko splątane włosy; ona zaś wyciągnęła mu koszulę ze spodni, podciągając ją do góry, żeby przesuwając palcami po jego piersi. Poruszył się, chcąc ściągnąć jej suknię z ramion. Dotyk nagiego ciała doprowadzał do szaleństwa. Tego właśnie chcieli.

Z nieoczekiwaną zręcznością rozpięła mu spodnie.

- Violet...

Mówił chrapliwie, miała wrażenie, że głos dobiega skądś poza jego ciałem. Była w nim radość, ale i ostrzeżenie, jednak nie zamierzał się powstrzymywać. Nic by go do tego nie zmusiło. Ani słowa, ani czyny. Potrzeba posiadania jej była zapewne tak silna, jak jej potrzeba dawania, a konsekwencje mogły poczekać.

Zsunęła mu spodnie, pieszcząc go.

Syknął przez zęby.

- Słodka Matko...

To ona brała go w posiadanie.

- Proszę - powiedziała.

Narobili zdumiewającego bałaganu. Podciągnął jej suknię, tak że zwinęła się bezładnie powyżej talii; na szczęście nie miała pantalonów i nie musiał się z nimi mocować. Zauważył błysk - otworzyła szeroko oczy, kiedy wprawnie uniósł jej kolana, jedno po drugim, żeby się między nimi usadowić; zauważył satynowe podwiązki przytrzymujące pończochy. Przesunął palcami po nieprawdopodobnie delikatnym wnętrzu jej białych ud i bardziej je rozsunął. Ciało Violet wygięło się w łuk, wiała się pod nim, szukając więcej przyjemności.

Uniósł się nad nią i wprawnym ruchem wszedł w jej ciasne wnętrze. Oczy Violet rozszerzyły się i przyjęła go, poddawszy się mu w błogim oczekiwaniu.

Ból szybko minął. Chciała poświęcić się dla niego. Chciała krwawić. Unosił się nad nią, czekając, aż dojdzie do siebie po szoku. Wydała niemal zwierzęcy jęk rozkoszy.

- Boże... Chcę... Musisz...

Ich spojrzenia się spotkały. Drżał, jego wzrok palił.

Oddychał przy jej wilgotnej szyi, wywołując gęsią skórkę na jej ciele. Nad jego górną wargą perlił się pot, zęby przygryzały dolną wargę. Czowała siłę jego pożądania, czuła ją w drzeniu twardych mięśni pod palcami, w gorączkowym cieple skóry, w gwałtownym unoszeniu się i opadaniu szerokich ramion. Powiodła palcem wzdłuż jego żeber, trafiła na kroplę potu i podniosła ją do ust. A potem zsunęła mu ręce na biodra, tam gdzie ich ciała połączyły się triumfalnie.

Jego źrenice rozszerzyły się, w oczach miał noc.

Wysunął się z niej, wpatrując się w jej twarz, obserwując reakcję. Jego oczy rozbłyły triumfalnie, kiedy odrzuciła głowę do tyłu, rozchylając usta i wydając westchnienia rozkoszy. Chwyliła go za ramiona, nie wiedząc, co mogłaby innego zrobić. Pchnął ją ponownie, a ona jęknęła, zdumiona. Już się nie powstrzymywał. Znów się w niej zagłębił. Objęła go nogami. Chciała jęczeć, krzyczeć, że to za mało, że chce czuć go w sobie jeszcze głębiej. Chciała być nim. Stopić się z nim w jedno. Poruszali się we wspólnym, pierwotnym rytmie, coraz szybciej, aż nadeszło spełnienie. Trzymała go, kiedy znieruchomiał ponad nią i chrapliwie, radośnie, wykrzycał jej imię.



Nawet najbardziej fantastyczny zakład w księdze zakładów u White'a nie śmiałyby przewidzieć, że Violet Redmond zabije człowieka... i straci dziewictwo... przez wojowniczego hrabiego... gdzieś daleko na morzu...

Wszystko jednego dnia.

Leżeli obok siebie, razem, ale każde osobno. Krąg słonecznego światła pojawił się na jego brzuchu, jak tarcza strzelecka.

Kim teraz jestem?

Nie Violet Redmond, córką Isaiaha i Fanchette - niewinną, bogatą, nietykalną, pożądaną zdobyczą na rynku matrymonialnym, źródłem rozkosznych spekulacji w związku z jej skłonnościami do szaleństw. Nie Violet Redmond, która z nudów, pokłóciwszy się o jakiś drobiazg z wielbicielem, groziła, że rzuci się do studni, i została odciągnięta za łokcie. Nie Violet Redmond, rozpieszczaną całe życie, zawsze mogącą liczyć na pomoc i opiekę braci i rodziców.

W jej życiu zapanował chaos. Nie obchodziło jej to. Nie dbała o pogniecione ubranie czy rozczochrane włosy. Była kobietą, która mogła zabić, jeść twarde chleb, przeżyć zalanie przez ogromną falę, mieszkać w mysiej norce. Ten człowiek zapanował nad nią, zmienił ją całkowicie. Chciała tylko jego i nagle życie stało się zwyczajnie i nieznośnie piękne i smutne. Oddała mu wszystko. Cieszyła się z tego. Jednak Violet poczuła się nagle tak zawieszona w powietrzu i samotna, jak Asher Flint musiał się czuć całe życie.

Do kogo czy czego teraz naprawdę należała? Właśnie odcięła się od korzeni, nie mając żadnej gwarancji na przyszłość, ponieważ wiedziała, jak to się skończy, a skończyć się musiało.

A jednak nie cofnęłaby tego, co się stało.

Pochylił się, wsparty na łokciu, uśmiechając się leniwie, o boleśnie błękitnych w słońcu oczach, i podniósł kosmyk jej włosów, które były po prostu wszędzie - rozrzucone na poduszce, przyklejone do jej warg, do jego spoconego ciała.

Przeciągnął go powoli między palcami, spojrział przez włosy, jakby to była sieć, w którą go schwymano.

Uśmiechnęła się. Zaczął mówić. Zawahał się.

- To może być dla ciebie przyjemniejsze - powiedział w końcu szorstko.

- Chciałam tego - odparła szybko. Na wypadek gdyby czuł się winny czy miał wyrzuty sumienia. Wymagała tego także jej duma.

Chciałam ciebie.

Chciałam? Dobry Boże. Jej matka nie posiadałaby się z dumy, słysząc te słowa.

- Nigdy bym się nie domyślił - szepnął kpiąco. Jakże nie po dżentelmeńsku.

Uśmiechnęła się jednak, akt miłosny zamienił ją w rozpustnicę; przewróciła się na plecy, wyciągając ręce nad głowę.

Jej piersi unosiły się do góry.

Oczy mu pociemniały z pożądania, bezwstydnie pał oczym widokiem.

- To może być dużo lepsze - szepnął. Pochylił się, obejmując jej pierś ustami, rysując na niej językiem leniwą ósemkę.

W jej żyłach popłynęły strumienie ognia.

- Och - westchnęła, wsuwając mu palce we włosy.

Poruszyła niespokojnie nogami, chcąc znowu owinać się wokół niego; w dole brzucha poczuła znajomy już ból pożądania. Z pewnością zaspokoili już swoje żądze. Z pewnością, myślała z pewnym niepokojem, ten głód nie mógł pozostawać wiecznie niezaspokojony.

Pomyślała o ludziach uzależnionych od opium i o pijakach, i o tym, jak więcej i więcej nigdy nie wystarczało.

- Połóż się na boku - polecił szeptem.

Rozczarowało ją, że nie zamierzał pieścić jej piersi, ale posłuchała bez sprzeciwu.

Zebrała w dłoń rozczochrane włosy i przerzuciła je przez ramię, niczym Roszpunka z bajki. Kiedy odwróciła się plecami do niego, roz-sznurował suknię, którą przedtem potraktował tak brutalnie.

- Podnieś ramiona.

Posłuchała. Zsunął jej suknię przez głowę, zwinął w kłęb i odłożył na bok. Pocałował jej kark powoli, delikatnie. Na całym ciele miała gęsią skórę.

- Załoga nie będzie się zastanawiać, gdzie jesteś? - szepnęła.

- Załoga wie, gdzie jestem. Sądzą, że cię pocieszam. Uśmiechnęli się oboje.

Rozsznurował jej gorset, zdjęli go wspólnymi siłami.

Leżała teraz kompletnie naga, z wyjątkiem pończoch, w dusznym powietrzu, z promieniami słońca na skórze i dłońmi mężczyzny na ramionach, mężczyzny, który kładł je tam z tak nabożną delikatnością, jakby nosiła skrzydła. Muskał jej plecy palcami, całując je z góry na dół, jakby to była droga do zbawienia. Nie odzywali się. Słyszała jego oddech, cichy, ale nierówny, czuła rosnące podniecenie; cieszyło ją, że wie, jak na niego działa zwykły dotyk jej ciała. Z trudem panowała nad pożądaniem, ale chciała zdobyć taką wiedzę o swoim ciele, o uwodzeniu, jaką on miał. Podejrzewała, że była to wiedza ogromna jak morze.

Czy on mnie kocha? Czy chociaż o tym wie?

Przypomniała sobie jego twarz na pokładzie, po tym, jak wystrzeliła z pistoletu. Nie panował nad jej wyrazem. Jego spojrzenie wyrażało wszystko, co czuł.

A jeśli tak? To po prostu nie miało znaczenia. Kochała go. A miłość była potężniejsza od niej.

Violet, buntowniczką, poddała się jej.

Jak kiedyś powiedział, to niczego nie zmieniało. On chciał uwięzić Le Chata, a ona chciała, żeby tamten był wolny. W końcu któreś z nich będzie musiało zdradzić drugie.

A więc jest tylko teraz, pomyślała. Powiedziała sobie, że to wystarczy.

Jego dłoń przesunęła się po jej talii do wzniesienia biodra, potem w dół brzucha, jęk uwiązał jej w gardle. Poruszyła nogami.

- Zaraz - szepnął, tłumiąc przewrotny śmiech.

To jej nie pomogło, teraz niemal trzęsła się z podniecenia na myśl o tym, co zamierzał... „zaraz” zrobić. Delikatnie pociągnął jej biodro, tak że przewróciła się na plecy; chłonał oczami jej nagość, a ona, jak sobie później uświadomiła, wspominając tę scenę, nie czuła ani odrobiny wstydu.

- Myślę, że najbardziej mi odpowiada, kiedy leżysz na plecach - oznajmił po chwili. Wiedząc, że zmarszczy się gniewnie.

I tak się stało.

Uśmiechnął się jak mały, psotny chłopiec, i to ją wzruszyło głęboko.

- Jesteś pewna, że nie lubisz najbardziej leżeć na plecach? - ciągnął bezlitośnie, z udaną troską, przesuwał palcami wzdłuż jej ud, rozsuwając je. Poddała się temu ochoczo.

- Ciiicho - sapnęła. Dąsanie się było zdecydowanie nie na miejscu, kiedy to, co robił, sprawiało jej taką rozkosz i wcale nie chciała, żeby przerwał.

- Bo jeśli zgadzamy się co do tego... mogę pomyśleć, jak zatrzymać cię tutaj... godzinami... godzinami... i godzinami. Z każdym słowem jego głos brzmiał ciszej, a przy ostatnim był tylko szeptem, oddechem między jej pępkiem a trójkątem włosów.

Zadrzała gwałtownie, czując dotyk jego języka między nogami. Ten dotyk był cudowny, aksamitnie gorący. Flint okazał się geniuszem w dziedzinie pieszczot.

Ukląkł między jej kolanami, poruszał się leniwie, patrząc w jej rozmarzone oczy, uniesione ramiona, splątane włosy. Krzyczała jego imię niczym pieśń dziękczynną; chciałby jej słuchać wiecznie.

Potem położył się obok i wziął ją w ramiona.

Nie był pewien, kiedy zaczęła szlochać. Ze w ogóle szlochała. Jak każdy mężczyzna, bał się kobiecych łez, a ona wydawała się o tym wiedzieć.

- To tylko wzruszenie. - Pociągnęła nosem i otarła dłonią oczy. - Nie jestem smutna.

Tylko wzruszenie.

Miłość, strach, strata i tęsknota, świadomość straty w przyszłości. Niezwykła dziewczyna. Biło w niej wojownicze serce, ale w tak młodym wieku wszystko, co przeżyła w krótkim czasie, przerosłoby nawet twardego mężczyznę, a co dopiero kobietę.

Szeptał coś uspokajająco z czułością, która dla niego samego była odkryciem. Pogłaskał jej włosy. Utulił ją mocno w ramionach i trzymał, póki nie zasnęła.

24

Chłopiec Mathias miał rację. Po dwóch dniach żeglowania po łaskawie spokojnych wodach „Fortuna” wpłynęła do Kadyksu. Wśród statków w porcie stał „Prosperar”. I, naturalnie, „Olivia”.

Flint stał na pokładzie, patrząc, jak lśniący klejnot portu rośnie w oczach. Rozkazał rzucić kotwicę. Spodziewał się, że ogarnie go podniecenie bitewne. Miał wreszcie przewagę nad Le Chatem, a Flint potrzebował sprytu i odrobiny przewagi.

Zamiast tego, myślał o dwóch nocach, kiedy to Violet Redmond krzyczała z rozkoszy pod jego dłońmi. O jej uśpionym ciele w jego ramionach.

Czując się jak zdrajca, zszedł pod pokład, żeby ją obudzić dokładnie tak, jak to robił przez ostatnie dwa dni miłości. Violet zauważyła cztery rzeczy, świadczące o tym, że w tej wyprawie na ląd było coś zdecydowanie niezwykłego.

Po pierwsze, Flint obudził się przed nią, wykąpał i ubrał, przypiął całą broń, którą miał, i wyszedł z kajuty, nie całując jej na dzień dobry. A w ciągu dwóch ostatnich magicznych, zmysłowych nocy wydawało się, że niemal nie mógł przestać jej całować, kiedy byli sami.

Po drugie, wrócił pośpiesznie, żeby ją zobaczyć, i kochali się, zdejmując tylko to, co niezbędne, i ten pośpiech także uprzytomnił jej zbliżający się koniec.

Po trzecie, spuszczone dwie szalupy. Nie jedną. Z jakiegoś powodu Flint zabierał większość załogi, pozostawiając zaledwie kilku marynarzy na pokładzie „Fortuny”.

A po czwarte, wśród załogi zauważyła chłopca, którego nigdy przedtem nie widziała.

Był to chudy, smutny wyrostek.

Jej podejrzenia potwierdziło polecenie Flinta, żeby została na statku.

- Nie - oświadczyła stanowczo.

- Dziś może być bardzo niebezpiecznie - powiedział bezbarwnym głosem.

Odwrócił się do niej plecami, skupiając na widoku miasta.

- Asher... kim jest chłopiec?

Zerknął na nią. Szeroko otworzył oczy, ostrzegając, żeby nie używała jego imienia. Poczula, że u jej stóp otwiera się przepaść: życie bez niego. Zaczynało się szybciej, niż miała nadzieję.

- Niech zwycięży najlepszy gracz, Violet - stwierdził cicho. - Czyż nie zgodziliśmy się co do tego?

Poczuła chłód.

- On coś wie o Le Chacie. Ten chłopak! Prowadzi cię do niego!

- Zjawił się na pokładzie z piratami. - Po chwili padło wyjaśnienie. - Wzięliśmy go do niewoli.

- A on coś wie!

- Być może. - Wydał jej jedynie chłodne, obojętne polecenie, obserwując, jak pracują jego ludzie.

Chciała go uderzyć. Nie mogła zachowywać się jak dziecko, tupać nogami, chociaż ją to kusiło.

- Więc zabierz mnie ze sobą

- Obawiam się, że to niemożliwe. - Odwrócił się powoli, zamierzając dopilnować czegoś, co się działo na pokładzie.

Położyła rękę na jego ciepłym, twardym ramieniu. Nie obchodziło jej, kto to zobaczy.

- To mój brat. Boisz się, że jeśli tam będę, zdołam cię jakoś powstrzymać? Czy też, że będziesz miał mniejszą ochotę go zastrzelić?

- Zobaczysz go, kiedy go aresztujemy - powiedział tylko.

- Do diabła, Flint - przekleństwo i podniesiony głos spowodowały, że przynajmniej uniósł brwi - wiesz, że to nie jest w porządku. Chcesz wygrać w ten sposób? Powiedziałam ci wszystko, co wiem. Byłam tak otwarta, jak ty. Żądam, żebyś mnie traktował uczciwie.

Spojrzał na nią, a ona wiedziała, że mimo wszystko nie potrafi jej odmówić.

- Zróbcie miejsce na szalupie dla panny Redmond! - zawołał.

Parę pytań w porcie wystarczyło, żeby dowiedzieć się, że El Cisne Blanco znajduje się koło Plaza de Mina, o dziesięć minut spaceru skąpanymi w łagodnym hiszpańskim słońcu, tłoczonymi od kupców, pamiętającymi odległe czasy ulicami miasta.

Żyłasty mężczyzna o zaspanych oczach pochylał się nad biurkiem.

- Zaprowadzi nas pan do pokoju pana Hardesty'ego, *por favor*? Karczmarz podniósł wzrok.

- Ach, senior Hardesty. Wyszedł. - Ciemne oczy niemal wychodziły mu z orbit z niepokoju i podejrzliwości. Co mogło mieć jakiś związek z bronią, którą byli obwieszani.

- Wyszedł? - Flint przeszył karczmarza nieufnym spojrzeniem.

- Przysięgam, senior. Dwadzieścia minut temu. Może wcześniej. Jakim sposobem? Ludzie Hardesty'ego mogli obserwować morze

przez lornetki i ostrzec go, że „Fortuna” wpływa do portu.

Skąd jednak mógł wiedzieć, że skierują się wprost do tej karczmy?

Chyba że ją także mieli na oku. Chyba że zauważyli chłopca.

- Chcielibyśmy dostać pokój, który on ostatnio zajmował.

- Jeszcze nie jest posprzątany.

Flint skrzywił się z pogardą i rzucił na kontuar garść szylingów.

- Nieważne - warknął.

Karczmarz otworzył szeroko oczy na widok stosu pieniędzy i połyskujących w słońcu szpad i pistoletów, w które byli uzbrojeni groźnie wyglądający mężczyźni.

- Sam pan się przekona, przysięgam. Trzeci pokój po prawej, oto klucz - powiedział pośpiesznie, zsuwając szylingi do fartucha.

Flint wyrwał mu klucz z ręki.

Podjął szybką decyzję. Jeśli w pokoju było nadal coś, co należało do Lyona Redmonda, jeśli pozostał po nim jakiś ślad, Violet z pewnością to zauważy.

- Panna Redmond i ja pójdziemy do pokoju. Połowa z was pilnuje wejścia na schody - rozkazał. - Reszta ma do jutra dokładnie zwiedzić Plaża de Mina.

Znaleźli pokój. Drzwi zastali lekko uchylone. Z wyciągniętym pistoletem Flint pchnął je i zajrzał do środka.

W pokoju mógł mieszkać każdy; nie było tam nic szczególnie pirackiego.

Jedyną rzeczą wskazującą na to, że ktoś opuszczał go w pośpiechu, była lekko wysunięta szuflada biurka i tam właśnie hrabia skierował się natychmiast. W pokoju stało małe łóżko, nieco zapadłe w środku i starannie pościelone. Na drewnianej, wolnej od kurzu ramie widniały miejscami rysy i dziury - ślady kolejnych lokatorów. Duże okno zasłaniały zniszczone okiennice, szeroko otwarte, tak że w pokoju było jasno, co ułatwiało przeszukiwanie. Na małym stoliku obok łóżka, na talerzyku, stał ogarek świecy.

Hrabia schylił się, zaglądając pod łóżko, i dlatego Violet zobaczyła pudełko z drzewa różanego, zanim on je spostrzegł.

Króciutkie włoski na jej karku się zjeżyły.

Był to zwyczajny, nieozdobny, nierzeźbiony prostokąt długi jak oprawiona książka i głęboki na dwie, prawie takiego samego koloru jak stół, na którym stało. Dzięki temu nie rzucało się w oczy. Wieko na zawiasach było zamknięte.

Pudełko miało zamek, który dałoby się otworzyć szpilką do włosów, i fałszywe dno odskakiwało, jeśli nacisnąć właściwe miejsce. Violet wiedziała gdzie, ponieważ była wyjątkowo ciekawską i zręczną młodszą siostrą, i widziała raz, jak Lyon to robił. Powtórzyła to z ciekawości, kiedy wyszedł z pokoju.

Miała ochotę rzucić się na stół i zakryć pudełko własnym ciałem. Jakby stał tam sam Lyon, uśmiechając się do niej. Targała nią złość i równa jej siłą miłość do brata.

Lyon opuścił rodzinę bez słowa.

Jednak, przez sentyment, zabrał przeklęte pudełko ze sobą.

Podejrzewała, że zostawił je tutaj, żeby je znalazła. Ponieważ ona mogła się domyślić, że coś w nim ukrył. Ale co?

Jej bezruch zwrócił uwagę hrabiego tak samo, jakby gwałtownie wciągnęła powietrze.

Wyprostował się nagle.

- Violet? Czy coś jest nie w porządku?

- Skądże. - Jej wargi wydawały się dziwnie oddzielone od ciała; czuła, jak się poruszają. Miała nadzieję, że uśmiech nie wypadł tak ponuro, jak jej się wydawało.

- Jesteś blada.

- Urodziłam się blada. To cecha rodzinna.

Mogła przewidzieć wygięcie jego warg. Wszędzie jesteś blada, czytała w jego myślach. Twoje gardło, piersi, długie, długie nogi. Jednak uśmiech zamierał, w miarę jak jej się przyglądał. Zastąpiła go delikatna pionowa bruzda między brwiami, zapowiedź prawdziwego marsa na czole.

Violet skupiła wszystkie siły, żeby nie tylko odpowiedzieć spokojnie na jego spojrzenie, ale także unieść zalotnie brew. Jakby bawiło ją jego badawcze spojrzenie.

Na ścianie zatańczyło, odbite od wody w dole, drżące światło.

Asher odwrócił się, żeby spojrzeć na morze, które, jak zwykle, przyciągało go jak magnes.



Potem westchnął i przeciągnął się, niemal dotykając palcami ścian po przeciwnych stronach małego pokoju. Wyciągnął zegarek i sprawdził godzinę, spojrzął na drzwi, jakby zastanawiał się nad wyjściem, westchnął znowu i schował zegarek w poprzednie miejsce... a potem podszedł, nieco zbyt nonszalancko, do stolika przy łóżku.

Cóż, dlaczego nie? Wpatrywała się przecież w niego.

Naśladowując jego nonszalancję, podeszła do okna i wyjrzała; zobaczyła bezkresną wodę i udała zamyślenie. Jakby różane pudełko nie obudziło w niej czujności. Patrzyła kątem oka.

Asher niemal niedbałym gestem podniósł świecę. Zważył ją w dłoni, opuścił ponownie. Obok szkatułki.

Violet zeszywniała.

- Zimna - stwierdził sucho. - Prawie się nie paliła. A zatem nie zdmuchnął jej tuż przed naszym przyjściem i nie uciekł w popłochu.

Zdołała się na kolejny, słaby uśmiech, pół obracając do niego. Przesunął w zamyśleniu palcem po wieczku różanej szkatułki. Poczowała lód w żołądku. Chłód w kończynach.

- Poznajesz tę szkatułkę? - zapytał obojętnie.

- Nie - wykrztusiła. To była, ostatecznie, jedna sylaba.

Kiedy próbował unieść wieczko, zagryzła mocno wargę, żeby ożywić krążenie krwi. I zapobiec omdleniu. Wieczko się opierało.

Znała je za dobrze, żeby wiedzieć, że za wcześnie na ulgę.

- Zamknięte na kluczyk? - W jej głosie brzmiał zadziwiający spokój, lekko zabarwiony ciekawością. Ale w jej uszach odezwał się dziwnym echem, jakby dobiegał gdzieś z daleka.

Nie spojrzął na nią.

- Tak się wydaje. Ale z pewnością dałoby się otworzyć szpilką do włosów. Czy zechciałabyś pożyczyć mi jedną?

- Violet? - Odwrócił się szybko w jej stronę, kiedy nie odpowiedziała. Cokolwiek zobaczył na jej twarzy, nagle na ten widok znieruchomiał. Tak jakby na skutek nagłego ruchu mogła odezwać się jakaś stara rana.

- Oczywiście - wydusiła w końcu. Bała się, że skóra na jej twarzy popęka od wysiłku zachowania obojętnego wyrazu. - Tylko... tylko pozwól mi jakąś znaleźć...

Wydawało się, że jej mózg potrzebował wyjątkowo dużo czasu, żeby przekazać polecenie „znajdź szpilkę” do dłoni, a jej dłoń z kolei okazała się wyjątkowo niezręczna, kiedy już podniosła się do włosów. Jakby w ogóle do niej nie należała. Jakby tylko ją pożyczyła, żeby szukać szpilki.

Ruszył w jej stronę. Dwoma powolnymi krokami. Kiedy stanął obok, pomyślała, że jego zapach, tak niezwykle męski i odurzający, będzie ją oszalał do dnia śmierci. Będzie w stanie go rozpoznać, odnaleźć źródło z zawiązanymi oczami pośród tysiąca mężczyzn. I kiedy tak zwyczajnie stał obok niej, wdychała ten zapach, jakby to było po raz ostatni, bo, jak zdawała sobie sprawę, tak właśnie miało być.

Poddała się i opuściła rękę.

Jego twarz nie zdradzała żadnych myśli, ale oczami badał jej twarz. Nagle poczuła straszny gniew z powodu jego przebiegłości. Jeśli jednak wyciągnął jakieś wnioski albo cudownym sposobem odgadł bieg jej myśli, to nie pokazał tego po sobie. Podniósł tylko szybko rękę.

Zamrugnęła, ale nie zdołała się uchylić. Wsunął rękę w jej włosy, wyraz jego twarzy zmienił się lekko, ale nie poddał się uczuciom, które zawsze budziły się w nim, kiedy jej dotykał. Uczuciom, którym nie pozwalał dojść do głosu.

Znalazł, naturalnie, szpilkę.

Potem wyciągnął ją z jej włosów delikatnie i zbyt powoli, przyglądając się jej twarzy, jakby śledził odległą burzę na horyzoncie. O Boże. Wiedział, że coś jest nie tak.

- Dziękuję - powiedział z ironią. - Nie wzburzyłem ci włosów. Tylko nie kichaj, bo się rozsypią.

A potem musiała stać i czekać spokojnie, podczas gdy on odwrócił się i włożył szpilkę do zamka.

Następnych parę chwil było piekłem oczekiwania; ciszę mąciły jedynie metaliczne zgrzyty - to kapitan Flint, hrabia Ardmay, usiłował przeniknąć tajemnice kolejnego Redmonda. Chociaż jeszcze nie wiedział, że właśnie to robi.

Aż w końcu hrabia wyjął szpilkę i cofnął się, wpatrując w szkatułkę.

Alleluja! Nie udało mu się! A ona, rzecz jasne, nie miała najmniejszej ochoty mu pomagać.

Flint spojrzął na wydłużające się pod wpływem zachodzącego słońca cienie na podłodze.

- Robi się późno. Może powinniśmy zabrać szkatułkę ze sobą i później spróbuję.

Nie czekał na odpowiedź. Wsunął szkatułkę pod ramię, odwrócił się i powiedział uprzejmie:

- Dziękuję za pożyczenie szpilki. - Wyciągnął rękę ze szpilką w jej stronę.

Zatrzymał jej dłoń w uścisku. Pułapka! A niech go.

Musiał czuć jej szalejący puls w nadgarstku.

- Twoja ręka jest lodowato zimna, Violet. Niebieskie oczy badały uważnie jej twarz.

Czy nauczył się mojej twarzy na pamięć, tak jak ja nauczyłam się jego? Czy drgnienie powieki zdradza mu moje myśli, tak jak zmiana światła nad wzgórzami Sussex zapowiada zmianę pogody?

Była pewna, że z jej twarzy nic nie wyczytał. Ponieważ dowiedziała się niedawno, do czego jest zdolna, żeby chronić ludzi, których kocha. I nieważne, czy oznaczało to zastrzelenie człowieka, żeby uratować kochankę, czy też zachowanie twarzy pokerzysty, żeby ocalić życie bratu.

- Zmęczenie - odparła niedbale. Wzruszając jednym ramieniem, na co lekko zmarszczył brwi.

Trzymał jej rękę jeszcze chwilę, ściskając mocno, jakby była czołnem, które wypłynie w morze, jeśli je puści. Twarz miał napiętą, myślała, że coś powie. Potem odwrócił od niej wzrok. Być może cienie w pokoju dodawały tej scenie więcej dramatyzmu. Przez ułamek sekundy wydawało jej się, że zobaczyła na jego twarzy jakąś rezygnację, poczucie straty, które zaraz zniknęły, jakby ich nigdy nie było.

Puścił jej rękę.

Patrzyli na siebie.

- Flint? - zapytała z wahaniem.

- Tak?

- Dlaczego kazałeś załodze zapoznać się do jutra z Plaža de Mina?

- A jak myślisz, Violet? Patrzyła na niego. Skinęła głową.

Wygiął brew do góry i szarmancko wskazał, żeby wyszła przed nim z pokoju.

Tortury dla Violet zaczęły się tego wieczoru po kolacji w kwaterze, którą hrabia wynajął dla siebie w podobnej, choć wygodniejszej karczmie, nieco dalej na Plaža. Załoga, pod wodzą Lavaya, oddawała się przyjemnościom, które Kadyks oferował w nocy, zwiedzając przy tym wszystkie zakamarki Plaža de Mina, Violet zaś musiała zmierzyć się z daniem złożonym z kurczaka, groszku i ryżu, zanurzonych w ciemnym, mocno przyprawionym sosie, popijając dobrym, jak ją zapewniono, hiszpańskim winem. Ledwie była w stanie przełknąć cokolwiek. Hrabia połknął wszystko, co miał na talerzu.

Odsunąwszy pusty talerz, Flint zabrał się do otwierania szkatułki szpilką do włosów z zapalem artysty rzeźbiącego w drewnie; a przy tym jeszcze gwizdał.

Gwizdał! Drań gwizdał przy pracy.

Tak więc, powstrzymując histeryczny chichot i przerażenie, była zmuszona wysłuchać mieszanki morskich melodii, czekając, aż dowie się, czy szkatułka zawiera dowód obciążający Lyona.

Jej bracia powiedzieliby zapewne, że zasłużyła na tortury, których teraz doświadczała, że sama to na siebie sprowadziła.

Kiedy szkatułka poddała się wreszcie z cichym trzaskiem, mogłaby przysiąc, że to urwał się czubek jej głowy.

Asher zerknął do szkatułki. Potem przechylił ją i mocno klepnął. Uwieczony wewnątrz zapach tytoniu wydobył się i zmieszał szybko z wiszącym w powietrzu zapachem pieczonego kurczaka.

- Puste - stwierdził.

Tak ci się wydaje.

Choć może tak rzeczywiście było. Jednak znając Lyona, mocno w to wątpiła.

Przez chwilę współczuła Flintowi rozczarowania. Potem znowu przeważyło zmęczenie, rozdarcie między bratem a kochankiem podkopywało jej siły.

Zachował się nieznośnie po dżentelmeńsku, odwracając się plecami, kiedy wkładała nocną koszulę. Sam też, z całym spokojem, rozebrał się, jak zwykle, do naga i wśliznął do łóżka, tak jakby jedno spojrzenie na surowe piękno jego ciała nie odebrało jej tchu i nie kazało

trwać w bezruchu przez dobrych parę chwil. Podciągnął koc do piersi krzyżując ramiona nad głową; kiedy rozpuściła i wyczesła włosy, w milczeniu ułożyła się tak samo, zastanawiając się, czy tak właśnie postępują żony czy kochanki - wsuwają się do łóżka z mężczyznami, jakby to była naturalne następstwo czesania włosów czy mycia zębów. I czy przypadkiem nie wkroczyła w obszar bycia „utrzymywaną albo upadłą” i czy istniała jakaś etykieta, którą powinna znać.

Poklepała poduszkę, żeby ją zmiękczyć, i pozwoliła głowie opasc, wiedząc, że nie zaśnie, dopóki różana szkatułka stoi w pokoju obok. Wydawała się puchnąć, owa szkatułka, nabierając niezwykłego znaczenia.

Dopiero potem, gdy zgasła lampę, zastanowiła się, dlaczego nie kochał się z nią tej nocy. Być może ich ostatniej.

Pięć minut po zgaszeniu lampy przekonała się, że martwiła się zbyt wcześnie.

Przekręcił się na bok, patrząc na nią z góry. Dotknął palcem jej ust i przeciągnął nim delikatnie do linii szczęk. Oczy mu błyszcząły w mroku.

Przez ostatnie dwa dni sięgał po nią jak mężczyzna pewny dobrego przyjęcia albo taki, który nie dbał o jej przychylność w tym momencie, wierząc niezachwianie w moc swego uroku. Jego dotyk był dziwnie ostrożny.

Dotykał jej, jakby stała się kimś obcym. Coś podejrzewa. . Chwycił jego dłoń, kiedy gładził jej ucho. Trzymała ją mocno przez sekundę czy dwie. Zarówno po to, żeby go podrażnić jak i po to żeby przypomnieć sobie jego siłę. Ale nawet kiedy jej myśli pochłaniała różana szkatułka, jej ciało wiedziało, czego chce. Przesunęła paznokciami po jego pokrytym włoskami przedramieniu, kładąc płasko ręce na jego piersi, wyczuwając bicie serca. Jego wargi niecierpliwie dotknęły jej ust, które przyjęły pocałunek z zachwytem. Równie niecierpliwie podciągnął jej koszulę, ściągnął ją przez głowę i rzucił na podłogę tak, jakby to ona go pierwsza zaatakowała. Nie poznawała samej siebie: chciała rozwinąć się jak kwiat, kiedy jej dotknął, obejmując go rękami i nogami, szczęśliwa, że może brać i dawać. Dobry Boże, jakim żalosnym stworzeniem była przedtem, pół-człowiekiem. Nie wiedziała, kim się stała teraz.

To było co najmniej wyuzdane - pragnąć go, podczas gdy okoliczności mogły ją zmusić do zdrady. Nagle przykrył ją swoim ciałem, uczynił to tak gwałtownie, że niemal gniewnie. Czowała tuż nad sobą jego ciepło i ciężar, jak groźbę: „Mogę cię posiadać, kiedy zechcę”. Przesunęła dłonie po jego piersi, przywarła do niego, dając mu do zrozumienia, że podda się chętnie, że może ją wziąć tak, jak mu się podoba. Chciała szybko; pragnęła go, ale także chciała, żeby zasnął. Wiedział o tym. Nie zamierzał dać się ukoić. Podniósł się szybkim ruchem, klękając między jej nogami, kładąc je sobie na ramionach. Splótł palce dłoni z jej palcami i przycisnął je do pościeli nad jej głową, więżąc ją, nie pozwalając się dotykać. Wydawał się działać według planu. Niech go. Wygięła się, ponagłając, pożądanie stawało się nie do zniesienia, drapieżna bestia. Nie dawał jej tego, czego chciała. - Asher!.. - błagała. To właśnie chciał usłyszeć. Tym razem wszedł w nią, ale powoli, tak boleśnie powoli, że nie miała wyboru, jak tylko doświadczać jego ciepła i siły, tak jak za pierwszym razem. Podniecenie i pożądanie były jak wezbrana rzeka, grożąca zerwaniem tamy. Patrz na mnie. Odczuwaj mnie. Tylko mnie. Taki był jego zamysł. Odsunął się i powoli wsunął z powrotem. - Boże... - jęknęła. - Proszę, Asher. - Bezwstydne słowa. Przesunął się nieznacznie. Strategicznie, z pewnością, ponieważ następny ruch wywołał w niej falę rozkoszy tak dojmującej, że niemal straciła przytomność. A zatem była to zmysłowa napaść, podbój. Walczyła w duchu z myślami: To tylko przyjemność, przyjemność trwa krótko, pragnienie zostaje zaspokojone i mogę żyć bez niego. Poruszył się znowu, w ten sam sposób. I znowu. I znowu to powtórzył. Tak powoli, że wydała głęboki jęk, na pół z rozkoszy, na pół z bólu pożądania.

Była zgubiona, on wygrał. Istniał tylko Flint i to, co mógł jej dać.

Błagała, wykrzykując jego imię na przemian z groźbami, żeby uwolnił ją od męki niezaspokożenia. Roześmiał się. Odrzuciła głowę do tyłu, walczyła, żeby uwolnić ręce, wbić w niego paznokcie, ponaglić go.

Trzymał ją w pułapce.

Nie miał litości.

Wiedział, jak intensywna może być rozkosz. Nie zamierzał dać jej ani trochę mniej.

Poruszył się znowu, tym razem poruszyła się razem z nim.

Czuła, jak walczy z własnym pragnieniem, jego oddech stał się poszarpany; jego dłonie były gorące i wilgotne z wysiłku. Drżał.

Rozkosz w niej wciąż narastała.

- Asher... Boże... Ja... - Była rozgorączkowana, wznosiła się na szczyt, o jakim nigdy by nie przypuszczała, że istnieje.

Jęknął, był jak człowiek, który ubiegł śmierć, walcząc o swoje albo jej życie, a ona uleciała razem z nim. Krzyknęła, jakby zadano jej śmiertelny cios. Jakby właśnie przyszła na świat.

Cisza, pot, nagość, ciemność.

Wrażenia kłębiły się jak robaczki świętojańskie. Czuła się syta. Bezwładna. Zmordowana, upokorzona w najprzyjemniejszy możliwy sposób. Boże, krzyczała z rozkoszy.

Asher.

Różana szkatułka. A niech to.

- Violet.

- Mmm?

- Powiedziałybyś mi, gdyby coś było nie tak? Serce jej zabiło. Oprzytomniała całkowicie.

- Nie tak? Pogoda, jedzenie, to, jak postępujesz z moim ciałem, takie rzeczy?

- Tak. Albo twoje zdrowie. Takie rzeczy.

Mówił lekkim tonem. Ale za pytaniem kryło się coś poważnego.

Z początku wątpiła, czy istotnie chciał je zadać. Może miał nadzieję, że będzie się z nią kochać tak długo, aż stanie się oddaną niewolnicą, gotową odpowiedzieć na każde pytanie. Podejrzewała, że to

może być początek przesłuchania, którego bała się całą noc; że będzie ją zarzucać drobnymi pytaniami, aż wyda tajemnicę, którą ukrywała głęboko w sobie.

Martwił się o jej zdrowie? Wzruszające.

Ale...

Oooh. Jej zdrowie.

Była kobietą rozpieszczaną, ale nie tak ściśle trzymaną pod kloszem, jak chciałaby wierzyć jej matka, i dokładnie wiedziała, do czego mogła prowadzić miłość cielesna. Tak samo, jak on.

Nieślubne dzieci.

Ogarnęła ją wdzięczność, że panuje noc, ponieważ jej skóra musiała nabrać w tej chwili szkarłatnego koloru.

Wstydziała się. Od wyuzdanej miłości... do macierzyństwa? Odsunęła się od niego nieznacznie. Na taką odległość, żeby móc się zastanowić, co to miało znaczyć.

Cena śmiałości. Zerwania się ze smyczy, na jakiej trzymała ją rodzina. Uświadomienia sobie, kim jest. Ale chciała mieć rodzinę. A on - założyć dynastię.

Jednak dla nich to było niemożliwe, ponieważ jutro miało położyć kres ich przygodzie.

- Powiedziałabym ci, gdyby coś było nie tak.

Co było kłamstwem, bo nie była pewna, czy tak by zrobiła. Nawet gdyby nosiła dziecko, mogłaby mu nie powiedzieć dla jego i swojego dobra.

Ale to było to, co chciał usłyszeć. Rozmowa się urwała.

Chwilę później przesunął powoli palcem wzdłuż jej pleców, wyczuwając każdą wypukłość kręgosłupa. Delikatnie.

Pieszczotliwie. To była miłość. Posiadanie. Prośba.

To nic nie zmienia, pomyślała, wiedząc, że on też o tym wie.

Będę rozpaczać przez niego, pomyślała. Serce biło jej gwałtownie.

Wkrótce potem zasnął.

Kiedy zasnął głęboko, o czym świadczyło chrapanie i zmieniony, nie do podrobienia oddech, wyśliznęła się z łóżka i zakradła do sąsiedniego pokoju, gdzie ogień wciąż jeszcze nie wygasł.



Szkatułka stała na małym biurczku, otwarta, wydzielająca zapach tytoniu. Dotknęła jej i przejęło ją poczucie winy, tak jakby znowu była małą dziewczynką, zakradającą się do sypialni Lyonsa, żeby poznać tajemnice brata.

Ha, Lyon. Tym razem mogę uratować ci życie.

Chwyciła szkatułkę i ukucnęła przy ogniu.

I wtedy jedno z jej kolan wydało skrzypnięcie głośniejsze niż wystrzał z pistoletu. †Do wszystkich...!

Zamknęła mocno oczy. Znieruchomiała. W chwilę później ogień, niczym drugi spiskowiec, strzelił równie głośno, rozsypując wokół deszcz iskier.

Na szczęście mężczyzna w sąsiednim pokoju nadal chrapał.

Ustawiała szkatułkę na kolanach, na nocnej koszuli, i przesunęła palcami po jej dnie, naciskając precyzyjnie, pewnie, jak doktor szukający źródła bólu. Upływające minuty sprawiły, że jej nerwy napięły się jak struny fortepianu, tak że przelotny podmuch wiatru mógłby wygrać na nich menueta. W końcu nacisnęła kciukami miejsce przy prawym dolnym rogu. Dno pudełka otworzyło się, a jego zawartość wypadła Violet na kolana.

Wzięła pierwszą rzecz, książkę, której róg wpił jej się w udo. Podniosła ją do góry; zapachniało wiekową stęchlizną. Przejrzała ją szybko, stwierdzając, że zapisano ją pewnym, zamaszystym pismem. Był to rodzaj dziennika. Obróciła książkę, żeby obejrzeć okładkę; przysunęła się bliżej ognia.

Ziemia się pod nią rozstała.

Spadając, odczytywała wciąż na nowo te same słowa. Własność kapitana Morehearta, dowódcy „Steadfast”. A niech to piekło pochłonie.

Dowód. Dowód, że właściciel szkatułki rzeczywiście zatopił „Steadfast”.

Szybko podniosła drugą rzecz, która wypadła jej na kolana. Z góry wiedziała, co to jest. Znalazła to pierwszego i ostatniego dnia, kiedy zaglądała do pudełka. A był to ostateczny dowód, że Lyon i Le Chat to jedna i ta sama osoba. To właśnie Violet odkryła, co trzymał pod fałszywym dnem, kiedy był chłopcem. Była to także pierwsza tajemnica, którą zatrzymała dla

siebie, ponieważ w jej oczach czyniła starszego brata prawdziwie romantycznym bohaterem, a nawet jako mała dziewczynka zdawała sobie sprawę, jak ich ojciec potraktowałby Lyona, gdyby się o tym dowiedział. Zastanawiała się teraz, jak inaczej ułożyłoby się życie wielu ludzi, gdyby nie dochowała tajemnicy.

Trzymała w ręku miniaturkę Olivii Eversea, kobiety, która wysłała Lyona w świat, kobiety, która pośrednio spowodowała, że Violet kulila się tutaj w ciemności. Natomiast syty miłości hrabia, którego kochała bardziej niż własne życie, chrapał w sąsiednim pokoju. Obrazek nie różnił się od innych miniaturowych portretów tym, że nie oddawał tego, co najistotniejsze w modelu. Tę kobietę Violet знаła, odkąd sięgała pamięcią. Widziała ją w kościele w każdą niedzielę, z wyjątkiem kilku razy, kiedy choroba zatrzymała ją w domu. Jej osoba była nierozłącznie związana z rodzinną historią Redmondów. Twarz Olivii Eversea miała lekko sercowaty kształt; w jej podbródku i oczach była jakaś przewrotna niewinność, coś ze skrzata. Malarz, oddając barwę oczu, użył błękitu, jaki miał akurat pod ręką. Nie był to, jak wiedziała Violet, najodpowiedniejszy odcień. Miękkie, ciemne włosy miała upięte w trochę zbyt przypadkowy, jak na elegancki gust Violet, sposób. Miała długą, białą szyję z zawieszonym na niej medalionem. Sportretowano ją w zielonej sukni z głębokim dekoltem.

Eversea nie byli brzydkimi ludźmi.

Violet kusiło, żeby rzucić w ogień miniaturkę Olivii razem z książką i szkatułką.

Teraz jednak, kiedy poznała miłość i wiedziała, jaka bywa niemożliwa, niewłaściwa, niewygodna, pochłaniająca, raniąco poważna i śmieszna, nie mogła się na to zdobyć. Olivia była szaleństwem Lyona i jego nieszczęściem. Tak samo jak hrabia dla niej. Choćby broniła się przed tą myślą ze wszystkich sił, wrzucić podobiznę Olivii do ognia to było tak, jakby wrzucić tam serce Lyona.

Ogarnęła ją wściekłość, kiedy zaczęła sobie wyobrazać, jak jej brat, Lyon Redmond, dziedzic rodziny, zostaje zmuszony do ucieczki tak szybkiej, że pozostawia za sobą rzecz, jak wiedziała, najcenniejszą dla siebie.

Chyba że to się zmieniło.

Albo zostawił specjalnie.

Ale dlaczego, dlaczego?

Nagle nabrała pewności, że zostawił specjalnie po to, żeby wpadła właśnie w jej ręce. Potrząsnęła lekko książką i wypadła z niej prostokątna kartka papieru.

*Jakoś się nie dziwię, że to Ty mnie znalazłaś, chociaż w naszej rodzinie odkrywcą jest Miles. Ojciec, rzecz jasna, zabije Cię, kiedy wrócisz do domu. Bo Ty wrócisz do domu. A kiedy zaczniesz czytać dziennik kapitana Morehearta, zrozumiesz, dlaczego robię to, co robię, i dla kogo to robię. Dowiesz się także, kiedy dotrzesz do końca, dlaczego ja nie mogę wrócić do domu - jeszcze nie - i dlaczego przypuszczam, że wrócisz do domu i nikomu nie powiesz, że mnie widziałaś ani też, co tu przeczytałaś. Ale to zostawiam twojej decyzji. Los tego dziennika również.*

*Czy wiesz, co mi powiedziała? „Brakuje ci prawdziwej odwagi, Lyon. Nigdy byś o nic nie walczył Jesteś wymysłem swego ojca i dostaniesz ojca pieniądze. Jak mogę cię kochać, skoro nie wiesz, kim jesteś?”*

*Teraz wiem trochę więcej o tym, kim jestem. Ale nie jestem tym, kim spodziewałem się być. Powierzam Ci jej podobiznę. Z wyrazami miłości*

Tak więc szybko zabrała się do czytania dziennika. Parę stron potwierdziło jej najgorsze obawy: Grupa Dreieck istotnie uczestniczyła w lukratywnym, nielegalnym, przerażającym Handlu Trójkąta -sprzedawała istoty ludzkie. A kapitan Moreheart nie raz dowodził statkami owej Grupy. Znalazła wykazy zakupionych i sprzedanych niewolników.

Dopiero jednak, kiedy zobaczyła nazwisko na ostatniej stronie dziennika, pojedyncze nazwisko na liście inwestorów, zrozumiała, dlaczego Lyon, choć z pewnością wyruszył, żeby dokonać bohaterских czynów, musiał obecnie ukrywać powody, dla których robił to, co robił - dopóki nie rozpędzi całej Grupy Dreieck.

I dlaczego nie mógł po prostu podzielić się swoim odkryciem z władzami.

O Boże.

Kręciło jej się w głowie od niemożliwej mieszaniny skrajnego wyczerpania, podniecenia nerwowego i wysiłku umysłowego w celu połączenia faktów. Musiała się skupić, ale zmienne uczucia, wściekłość,

miłość i strach, walczyły w jej umyśle o lepsze, nie zostawiając wolnej przestrzeni na jakąkolwiek rozsądną myśl. Zakryła twarz dłońmi, niemal się policzkując, i zaczęła głęboko oddychać. Myśl jak mężczyzna.

Przypomniała sobie, co Asher mówił o stanie człowieka tuż po tym, jak ugodzi go strzał, o chwili błogosławionego oświecenia, zaskoczenia, zanim odezwie się rozdzierający ból.

Z pokoju obok dobiegał regularny oddech. Przez jeden moment oszołomienia ich oddechy zgrały się ze sobą, tak jakby ona oddychała dla niego, a on dla niej.

Skuliła się przy ogniu, obejmując rękami kolana, zaskoczona własną siłą. Mogła podziękować za to hrabiemu.

Pozostała w tej pozycji, póki jej zeszywniałe, zmarznięte palce u stop i rąk nie uświadomiły jej, że ogień przygasł na tyle, żeby nie dawać więcej ciepła. Wyprostowała się, wciągnęła głęboko powietrze i odsunęła włosy z oczu.

Ogarnęła ją złość na samą siebie, kiedy stwierdziła wilgoć na dłoniach. Przekleństwo, przekleństwo, przekleństwo.

Mogła myśleć jak mężczyzna, ale przecież była kobietą, a kobiety płaczą.

A potem robią to, co należy zrobić.

Spokojnie otworzyła biureczko, wyjęła pióro i buteleczkę atramentu, który nie zdążył wyschnąć, i napisała dwa liściki. Jeden głosił:

*Wybacz mi. Ale wiem, że rozumiesz, dlaczego to zrobiłam. Drugi zaś:*

*On wie, że jutro będziesz na Plaža de Mina. PS Kocham go, Lyon. Czy przyszło ci kiedyś do głowy, że coś takiego może się zdarzyć?*

*Całuję cię, twoja siostra Violet*

Oba posypała piaskiem.

Pierwszy zostawiła tam, gdzie był, na biureczku.

Drugi złożyła na pół i trzymała w zaciśniętej dłoni, wślizgując się pośpiesznie w suknię; sznurówki zostawiła niezawiazane. Liczył się czas. Chwyciła buty i płaszcz. Wiedziała, że nie może zwlekać, pocałować go cicho czy rzucić mu ostatnie tęskne spojrzenie, kiedy

spał, ponieważ on zawsze czuł, kiedy go obserwowała. Nie wątpiła, że obudziłby się pod jej namiętym spojrzeniem, mimo że zasnął wyczerpany.

Tak więc zebrała siły w nadziei, że serce jej nie pęknie, zanim dokona tego, co musiała zrobić. Na palcach wyszła za drzwi, słuchając spokojnego oddechu człowieka, którego kochała.

## 26

Flint obudził się przed świtem i zanim jeszcze otworzył oczy, wiedział, że odeszła.

Odeszła, zostawiła go.

Nie słyszał jej oddechu. Nie czuł jej obecności. Szybko dotknął ręką jej części łóżka; była chłodna, nie mogła po prostu wstać, obudziwszy się wcześniej.

Wyskoczył z łóżka i nagi wszedł do sąsiedniego pokoju. Ogień wygasł, pokój tonął w szarym półmroku, a różana szkatułka leżała na podłodze.

Ukląkł, jakby to było ciało. Podniósł ją ostrożnie.

Zatem miała drugie dno. Dlaczego o tym nie pomyślał?

A ona przyglądała mu się wczoraj wieczorem, kiedy otwierał szkatułkę szpilką do włosów. Przez cały czas musiała wiedzieć o istnieniu fałszywego dna.

Co w niej znalazła?

Trzymał szkatułkę, uświadamiając sobie nagle, że cały jego plan to zwykła farsa.

Myślał o tym, żeby ułożyć sobie życie od nowa. Myślał o rzeczach, które trzymał w kabinie na statku. Obraz.

Szachownica. Trofea. Skarby w oczach innych ludzi. Wszystko to wydało mu się teraz śmieszne. Nic niewarte bibeloty w świetle prawdziwej miłości, takiej jak miłość Violet do brata. I jego miłości do niej.

Całe jego życie stanie się teraz bez niej imitacją życia.

Violet to jedyny człowiek, z którym kiedykolwiek czuł się w życiu związany.

Rozpacz sprawiła, że nie był w stanie się poruszyć. Potem znalazł list.

Wybaczyć jej? Miał ochotę zgnieść kartkę i cisnąć przez pokój.

Wyglądził ją delikatnie kilka razy, nie myśląc, co robi. Może to była ostatnia rzecz, której ona dotknęła.

Sam dał jej okazję do zdrady: wiedziała, że załoga przeszukuje Plaza de Mina. Nie była głupia. Znalazła coś w szkatułce; zdumiewająco zaradna Violet znalazła sposób, żeby dać bratu znać, że Flint z załogą zjawia się, żeby go aresztować. Podejrzewał, że w pewnym sensie chciał się przekonać, co robi, mając okazję, żeby go zdradzić.

Nie miał prawa używać słowa: zdrada.

Powlókł się do sypialni, jak ktoś, kto otrzymał cios w głowę, z rozwaloną szkatułką w dłoni. Usiadł ciężko na brzegu łóżka. Gdzieś na dnie, wśród uczuć, które nim zawładnęły, odnalazł to, którego teraz potrzebował: wściekłość.

Skupił się na niej, rozdmuchał, aż buchnęła płomieniem, aż pod jej wpływem wstał gwałtownie z łóżka i szybko się ubrał. Wpychając koszulę w spodnie, odsuwając jedną dłonią włosy do tyłu, ruszył gorączkowo korytarzem, waląc w drzwi pokojów, żeby obudzić swoich ludzi.

Mogła wybrać to, co uważała za słuszne. Ale to nie znaczyło, że wygrała.

Załoga Flinta wywiązała się rzetelnie z obu zadań: szukania przyjemności i przeprowadzenia zwiadu na Plaza de Mina. Dowiedzieli się, że pan Hardesty, goszcząc w Kadyksie, często bywał w gospodzie Los Tres Pescaderos.

Trzy Ryby okazały się pozbawionym uroku, mrocznym, zbudowanym z cegieł przybytkiem, w którym sufit podtrzymywały grube, najeżone drzazgami drewniane kolumny. Dym z cygar, z kuchni, z fajek mieszał się w powietrzu, sprawiając, że twarze ludzi trudno było rozpoznać. Mężczyźni pochylali się nad szklanicami z trunkiem albo siedzieli wygodnie, gawędząc z sąsiadami. Wyśmienite miejsce na tajemne spotkania.

Kiedy dostrzegł, poprzez dymne opary, w głębokim cieniu przy barze, dumnie wyprostowane plecy i elegancki zarys profilu, serce skoczyło mu do gardła. Nie posiadał się z radości.

A potem dym się rozwiął, jak chmury na niebie. Pomylił się.

- Poczekaj na zewnątrz - zwrócił się do Lavaya. - Zawołam cię, jeśli będę cię potrzebować.

Lavay zawahał się, po czym skinął głową.

Odbezpieczył pistolet przed przyjściem. Czując głucho uderzenia swojego serca, przedzierał się w tłumie obcych w stronę mężczyzny przy stoliku w głębi.

Charakterystyczny dla Redmondów profil odwrócił się od niego.

Stał, póki Lyon Redmond, ani trochę nie zaskoczony, nie podniósł oczu i nie uniósł brwi na powitanie. Oczekiwano go.

W istocie przystojny jak diabli, jak twierdził Musgrove. Miał niebieskie oczy siostry, błyszczące nawet w mroku.

Arystokratyczne rysy twarzy także ją przypominały, tyle że jego twarz była twarda, męska, z lekkim zarostem.

- Dzień dobry, kapitanie Flint. Zamierza pan mnie aresztować? Zastrzelić mnie? Czy coś bardziej dramatycznego? - obojętnie wyliczał możliwe scenariusze.

Flint spojrzał na jego kielich.

Lyon leniwie wyciągnął nogę i odsunął krzesło od stołu, zapraszając go, żeby usiadł.

Flint usiadł. Przysunął się blisko do stołu, na tyle blisko, żeby ukryć pistolet, który wysunął z kubraka i położył sobie na kolanach. Podniósł rękę, wzywając barmankę. Przyzwyczaiła się zapewne do otoczenia, podobnie jak stworzenia żyjące w jaskiniach, ponieważ zauważyła go od razu. Podeszła, kołysząc spódnicą na biodrach, jakby była na zawiasach.

- Ciemne, por favor.

Lyon pozostał bez ruchu. Nie postukiwał nawet palcami w stół. Nie wydawał się szczególnie napięty.

Obaj mężczyźni milczeli, póki kobieta nie przyniosła piwa i Flint wypił pierwszy łyk.

- Myślałem, że Violet będzie próbowała cię ostrzec - zaczął Flint. To rozbawiło Lyona.

- Próbowała? Jak dotąd powinieneś poznać ją lepiej. Udało jej się przesłać mi ostrzeżenie. Dostałem list od niej dziś rano. Zwięzły i wiele mówiący. Pomysłowa jest ta moja siostra. Zapłaciła komuś

w dokach, żeby przewiózł list na „Olivie”, a jeden z moich ludzi mi go przekazał. Oni zawsze wiedzą, gdzie mnie znaleźć.

Flint się nie zdziwił. Ostatecznie sztuka wymowy otworzyła jej drogę na jego statek.

- Ale... dlaczego zatem...

- ...jestem tutaj? Jestem tutaj z powodu postscriptum, które dopisała w liście, kapitanie Flint. Uznałem, że muszę ujrzeć cię we własnej osobie. Co do Violet, jest teraz w drodze do Anglii. Zapewniłem jej bezpieczną podróż. Będzie w domu za dwa dni, chyba że znowu wpadnie na jakiś szatański pomysł.

Flint o mało nie zerwał się z miejsca. Wyjechała, a on wiedział dokąd!

Powstrzymał się, uświadamiając sobie, co robi.

Zauważył, że Redmond jest tak samo, jak on, gotów do działania i zapewne tak samo uzbrojony. Prawdopodobnie też trzymał na kolanach odbezpieczony pistolet.

Zmusił się, żeby zostać. Jego zadaniem było schwytać Redmonda.

- Powinieneś wiedzieć, że na zewnątrz czeka dziesięciu uzbrojonych marynarzy, którzy przyjdą po ciebie na jedno moje słowo, Redmond.

- Hardesty - sprostował z chłodną uprzejmością. - Tutaj, w każdym razie. Jest z wami Mathias? Chłopiec? Jest bezpieczny?

- Jest z nami. Porwał go portugalski pirat, który wdarł się na mój statek. Zatrzymaliśmy go. Okazał się użyteczny.

- Abrega. Słyszałem, że podaje się za mnie. - Redmond uśmiechnął się ironicznie.

Flintowi trudno było patrzeć na Redmonda, a jednak nie mógł oderwać od niego oczu. Tak bardzo przypominał siostrę, że Flinta przyprawiało to o cierpienie.

- Abrega nie będzie już tak twierdził.

- Ach. - Lyon uniósł lekko brwi z podziwu. Zrozumiał, że w ten sposób Flint dał mu do zrozumienia, że Abrega nie żyje.

Znowu zapanowała cisza.

Flint przyglądał się ciekawie swojej zdobyczy.

- Dlaczego to zrobiłeś?



Lyon patrzył na niego długo z półuśmiechem na twarzy. A potem się ożywił.

- Och! Wybacz. Spodziewałeś się, że odpowiem na to pytanie. Wyznam wszystko. A ja słyszałem, że jesteś sprytny. Podniósł kufel do ust i pociągnął łyk piwa, odwracając się na krześle.

- Oto, co ci powiem, kapitanie Flint - zaczął niemal przepaszająco. - Czekałem na ciebie, zamiast ponownie cię wyprzedzić. Miałem swoje powody. Jeśli jednak spróbujesz mnie uwięzić, nie poddam się bez walki. I zapewniam cię, że jeden z nas, jeśli nie obaj, zginie. Bez względu na wszystko.

Dwaj mężczyźni siedzieli w milczeniu naprzeciwko siebie. Pozornie wydawali się parą przyjaciół, znajomych, prawdziwych dżentelmenów odbywających pogawędkę.

Pod stołem obaj, zaciskając palce do białości, ściskali odbezpieczone pistolety.

- Niech tak będzie - odparł Flint opanowanym głosem.

- A zatem kochasz moją siostrę?

Flint jęknął cicho. Czy był to szok, czy ból, nie mógł nad tym zapanować.

Lyon Redmond poruszył się żywo na krześle i wyprostował.

- Kochasz ją.

Wydawał się zdumiony tym odkryciem. Jak to brat. Asher przez chwilę poczuł zarazem rozbawienie, jak i zazdrość z powodu długiej, głębokiej, naturalnej miłości, jaką darzyli się nawzajem Redmon-dowie.

Słyszał, jak Lyon Redmond wciąga powietrze, a potem skrzypnięcie krzesła, kiedy tamten oparł się na nim. Podniósł głowę i jego profil - podbródek znamionujący upór, prosty nos - tak bardzo przypomniały mu Violet, że poczuł jakby ukłucie sztyletu. Odetchnął głęboko, wciągając tylko stary i nowy dym. Chciał odnaleźć w sobie gniew i stanowczość. Zwalczyć odczucie, że właśnie został trafiony i niczym statek, będzie tonąć i tonąć bez końca.

Uparcie milczał.

- Czy mogę o coś zapytać, kapitanie Flint? Flint skinął ostrożnie głową.

- Dlaczego ją kochasz? - To znowu była tak braterska troska, że Flint o mało się nie roześmiał, chociaż pytanie go zaskoczyło.

- Co masz na myśli?

- Ja ją kocham. Muszę ją kochać. Jest moją siostrą. Kocham ją wbrew niej samej, niech Bóg ma ją w opiece. Wiem, że jest uparta, kapryśna i, obawiam się, zbyt rozpuszczona, żeby być dobrą żoną dla jakiegokolwiek mężczyzny, a to z winy moich rodziców i braci. Ma intuicję i jest niezwykle inteligentna, choć Bogu wiadomo, że nigdy nie wykorzystwała tej cechy w żadnym konkretnym celu. Zabiłbym dla niej i zabiłbym każdego, kto by ją zranił. Miałem powody, żeby wątpić w jej rozsądek w przeszłości, jeśli nie w jej wytrwałość. To moja krew. Chcę wiedzieć, dlaczego ją kochasz.

Flint wciąż nie mógł się zdobyć, żeby powiedzieć to głośno. Czy kochał Violet, czy nie, to była sprawa między nim a Violet, być może w tej chwili sprawa sporna. A jednak... to był człowiek, w którym płynęła jej krew. Który miał przywilej znać ją przez całe życie. Interesowało go tylko dobro Violet.

- Mam bardzo niewielkie doświadczenie w tym, co nazywają delikatnymi uczuciami, panie Redmond. Nie mam twojego talentu do pięknych słów... Mogę tylko powiedzieć...

Jak, na Boga, opisać Violet? To tak, jakby próbował opisać własne serce, którego przecież nigdy widział. To było tylko pojęcie, jego serce; czuł, jak w nim bije, jak dzięki niemu w jego żyłach pulsuje życie. Potrzebował go. I to wszystko.

- Nie znasz jej, panie Redmond, ani trochę bardziej niż własne wnętrze. Jest częścią ciebie. Musiałem... się jej nauczyć. Ona sama musiała się siebie nauczyć. A Violet... ma... wspaniałe serce. Serce walecznego wojownika. Nie wystarczyłoby jej nigdy... nic... pospolitego, małego. Ani życie w Sussex, ani zwykły angielski, arystokratyczny mąż, ani dni spędzane na szyciu i zarządzaniu służbą, choć być może to ją właśnie czeka. Przebyła morze, żeby cię odnaleźć i, na Boga, dokonała tego, czego nikt w twojej rodzinie, nikt, kto szukał cię uparcie, nie był w stanie dokonać. Przekonała mnie, żebym pozwolił jej to zrobić. A to, zapewniam, jest niemal niemożliwe.

- Violet jest przekonywająca - oznajmił Lyon z melancholią.

- A ja jestem niemożliwy - stwierdził ponuro Flint. - Dlatego król wyznaczył mnie do tej misji. Ona kocha rodzinę, ale żadne z was nie

zna jej serca. Sądę, że we mnie, podczas tej podróży, znalazła wszystko, czego potrzebowała. Bała się kochać, po części... z twojego powodu. Ale z miłości do ciebie porzuciła mnie. Zrobiła to dla ciebie. - Słyszał znużenie w swoim głosie. Przerwał na moment. - Taka jest Violet. Oto, kim jest. I wybór, do jakiego ją zmusiłeś. Powinieneś być dumny. - Słowa miały tak ostry, gorzki smak, że niemal czuł je na języku.

- Czy mogę wskazać, na czym polega ironia losu? - odezwał się Lyon.

- Wątpię, żebym mógł ci w tym przeszkodzić.

- Zapewne w ogóle byś jej nie poznał, gdyby nie ja.

Flint się zamyślił. Wciągnął głęboko powietrze. Wypuścił je. Milczał.

- Nie ma za co - powiedział Lyon ironicznie.

- To nie ma wpływu na moją misję. Lyon nie zwrócił na to uwagi.

- Chyba zacznym rozumieć - zastanawiał się w zamyśleniu, patrząc uważnie na Flinta. - Zacznym rozumieć, dlaczego wy dwoje możecie się kochać nawzajem... nie spalając się nawzajem. Jesteś pewien, że ona cię kocha? - To brzmiało niepochlebnie powątpiewająco.

- Zabiła człowieka, żeby ocalić mi życie. To ona zabiła Abregę. Wyraz twarzy Lyona nie zmienił się ani trochę. Ale nagle znieruchomiał. Tak mocno ścisnął kufel, że zbieleły mu końce palców.

- Czy tak?

Nie wydawał się tak zdumiony, jak powinien. Głos brzmiał spokojnie, ale stał się cichy. Uniósł brwi i zaczął postukiwać palcami w kufel. Przestał. Po chwili uśmiechnął się z takim smutkiem i bólem, że Flint zrozumiał, ile kosztuje go oddzielenie od bliskich.

- Violet - odezwał się w końcu Lyon. Ciche słowo zabrzmiało miłością, rozpaczą, tęsknotą i żalem.

Flint uświadomił sobie nagle coś istotnego, a może niebezpiecznego: oto miał przed sobą człowieka, który panował nad sobą równie dobrze, jak on sam. Ale Lyona Redmonda ukształtowała historia własnego życia, jego podróż.

Elegancja, maniery, zachowanie, charakter - to wszystko było wykute z twardej stali i ostre jak szpada.

Lyon Redmond odbywał pielgrzymkę, dążąc do zbawienia, albo chciał spłonąć na stosie własnej miłości do kobiety. Bez względu na przyczynę, cierpiał.

Flint nie był na to obojętny.

Jednak kiedy ponownie zapadła cisza, przesunął pistolet na kolanach, przygotowując się do tego, co nieuniknione. Redmond trwał w zamyśleniu. Wydawał się zastanawiać, jak zacząć opowieść. Poruszył się lekko.

- Powiedz mi, czego nie zrobiłbyś dla Violet, kapitanie Flint? Flint nie znał jeszcze odpowiedzi na to pytanie, choć może niewiele mu brakowało.

- Nie zostałem jeszcze poddany próbie. Lyon uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Ach. A zatem nie masz duszy poety. Nie kusi cię hiperbola: „Nie ma niczego takiego, czego bym nie zrobił!

Niczego!" I tak dalej. A ja tak. Lubię hiperbole. Nie bój się ich, Flint! Wierz mi, jest coś z prawdy w tych wszystkich podniosłych słowach, którymi mówi się o miłości. Kiedy kochasz kogoś nad życie - a zaiste możliwe jest kochać kogoś bardziej niż życie, inaczej poeci nie paplaliby o tym od wieków - i wiesz, wiesz z całą pewnością, że urodziłeś się dla jednej osoby... Wyobraź sobie, że nie możesz jej mieć, jeśli nie odrzucisz na bok wszystkiego innego. Nie raniąc i rozczarowując innych ludzi, których kochasz. Co zrobiłbyś wtedy?

- Cóż, zatapiałbym statki.

- Sprytnie, kapitanie. Czy zgodziłbyś się na mniej, niż chcesz?

- Nigdy nie zgadzam się na mniej, niż chcę.

W tym zdaniu kryło się to, o czym obaj wiedzieli - że tym, czego Flint chce, jest oddać Lyona Redmonda, Le Chata, w ręce sprawiedliwości.

- Doskonale. Powiedzmy, że podjąłeś decyzję, żeby odrzucić dotychczasowe życie i być z osobą, którą kochasz.

Trudna decyzja, bez wątplenia. Oględnie mówiąc. Ponieważ nie jesteś w stanie wyobrazić sobie życia bez niej, a alternatywą jest tylko rozpacz, jeśli nie zamierzasz nosić włosiennicy, wstąpić do klasztoru albo skoczyć do oceanu i utopić się. A zatem robisz to, choć to niewyobrażalne, i zrywasz z dotychczasowym życiem... tylko po to, żeby odkryć, że osoba, którą kochasz, i tak cię nie chce, i to nie bez powodu.

Flint, wbrew sobie, dał się ponieść opowiadaniu i zaczął sobie wyobrażać, co musi czuć Lyon. A potem uciekł od ponurych myśli: jak bardzo pragnął Violet podczas długich nocy, wiedząc, że są skaza-

ni z tego samego powodu, dla którego się kochali, to jest niezachwianej lojalności, odwagi, determinacji i namiętności.

A także myśli o tym, jak dostał skrzydeł, kiedy po raz pierwszy dowiedział się, że jest kochany. I odebrano mu je, zanim nauczył się z nich korzystać.

I nagle rozpacz Lyona wydała mu się nie do odróżnienia od własnej rozpacz.

- Bo widzisz, kapitanie Flint, ja także nigdy nie zadowolam się czymś mniej, niż tym, czego chcę. Czy też nigdy nie myślałem, że mógłbym. Jestem Redmondem. Jeśli naprawdę rozumiesz, co to znaczy. Tak więc wyruszyłem, żeby zmienić świat w taki sposób, żeby uznała mnie za godnego jej miłości. Ale moja podróż zmieniła mnie w sposób, jakiego nie przewidziałem, i nie jestem mężczyzną, który kiedyś kochał tę dziewczynę. Moja podróż jeszcze się nie skończyła. A oto gorzka ironia: stając się bohaterem wartym jej uczucia, zapędziłem się w kozi róg. Mam wciąż wiele do zrobienia, żeby udowodnić czyjąś niewinność czy winę. A ty, kapitanie Flint, choć jesteś człowiekiem godnym podziwu, rozumiesz o wiele, wiele mniej z tego, co zrobiłem i dlaczego to zrobiłem, niż sądzisz.

Przerwał. Pociągnął długi łyk piwa. Wypróżnił kufel niemal do dna, zostawiając jednak trochę płynu na dnie. Jakby wiedział, że kiedy ukaże się dno, jego czas się skończy.

Flint przyglądał się Lyonowi Redmondowi. Zrozumiał, że pod chłodną elegancją arystokraty, opanowaniem, wyważoną ironią, krył się człowiek o uczuciowości dwakroć bardziej gwałtowniejszej niż Violet. Mroczniejszy, bardziej skłonny do poświęceń, pełen cierpienia, a nawet bardziej zarozumiały i mniej skłonny do wybaczenia. Fascynujący. Czy był taki, kiedy opuszczał Sussex? Jakże ten człowiek musiał się dusić pod władzą ojca. Złoty syn Redmondów, nadzieja ojca i rodziny. Jakże znakomicie musiał potrafić wówczas nad sobą panować, skoro nikt nie wiedział, że robił cokolwiek innego poza pławieniem się w chwale przynależności do rodziny Redmondów.

- A więc powiedz mi... czego pragniesz nade wszystko, kapitanie Flint?

- Chcę sprawiedliwości dla „Steadfasta” i kapitana Morehearta. Człowieka, któremu zawdzięczam wszystko. Cała moja przyszła fortuna zależy od tego, czy oddam cię władzom. Tego chcę. Więc...

Wstawał powoli; Lyon zeszywniał, gotów do walki.

On, tak jak Lyon, mógł spłonąć na stosie. Ponieważ ogień oczyszcza. Ona wygrała, on przegrał.

To straciło znaczenie. Jej szczęście było jego szczęściem.

Bez względu na to, co miało się z nim stać, chciał, żeby wiedziała, że ją kocha.

- Lepiej zabieraj się stąd, Redmond. Zachowam twoją tajemnicę. Oczy Lyona zabłyśły ze zdumienia. Znieruchomiał.

A potem

uśmiechnął się powoli, krzywo. Wyglądał przy tym jak Lavay, kiedy Lavay stawał się nieznośnie domyślny.

- Ach. Kochasz ją bardziej niż życie. Wspaniale. I o tym właśnie, drogi lordzie Flint, chciałem się dzisiaj przekonać.

- Odejdź, zanim zmienię zdanie, Redmond.

Lyon się podniósł. Wysoki, szczupły, o wdzięku drapieżnika. Płynnym ruchem, jakim kto inny mógłby chować zegarek, zabezpieczył i schował pistolet.

- Jedź do Sussex, Flint. Zapłaciłem za jej przejazd na statku do Calais, stamtąd popłynię innym do Anglii. Jest już w drodze. Z Bogiem, Flint. Póki się znowu nie spotkamy.

Z niezwykle gracją wśliznął się szybko głębiej w karczmę, aż dym zasłonił go przed oczyma Flinta. Kiedy znowu się przeredził, Lyona już nie było.

## 27

Violet nie było w domu trzy tygodnie i wszyscy sądzili, że świetnie się bawi na przyjęciu u lady Peregrine. List z pytaniem o Violet doszedłby do lady Peregrine dopiero dzisiaj, wprawiając ową damę w zmieszanie i wywołując plotki.

Ale to nic w porównaniu z plotkami, jakie miała wywołać sama Violet.

Zastanawiała się nad skutkami swojej przygody i co się z nią stanie, kiedy do pokoju zajrzał Jonathan. - Panno Redmond... ma pani gości.

Słyszała z tyłu kroki Mortona, który na próżno usiłował zrównać się z Jonathanem. Miał krótsze nogi.

- Panie Jonathanie, wolałbym bardziej formalną zapowiedź.

- Proszę o wybaczenie, Morton - odparł Jonathan, otwierając szeroko oczy w udawanej skrusze. - Nie codziennie ma się okazję zapowiedzieć hrabiego. Powiadam, Vi, zamierzasz zemdleć? - Był bardziej zdumiony niż zaniepokojony.

- Jesteś biała jak papier. Mam odesłać nieszczęsnego intruza?

- Nie. Odejdź, Jonathanie - rozkazała słabym głosem, niezbyt grzecznie.

Wszelkie anonse i tak nie miały już sensu, ponieważ Flint, który nie miał cierpliwości ani zrozumienia dla form grzecznościowych, kiedy wyruszał z misją, stał w progu, słuchając tej wymiany zdań.

Lokaj wyciągnął ramiona i Flint roztargnionym gestem rzucił na nie płaszcz i kapelusz. Morton oddalił się z nimi.

- Nieszczęsny intruz prosi o słowo na osobności z twoją siostrą - odezwał się Flint uprzejmie.

- Skoro prosisz tak grzecznie, nie wiem, jak mógłbym odmówić ci tej przyjemności, kapitanie. - Jonathan odznaczał się nienagannymi manierami, kiedy zechciał o tym pamiętać.

Jonathan poruszył brwiami i odszedł, zamykając drzwi za sobą i mamrocząc coś pod nosem, co brzmiało jak „Lavy”.

Spojrzała na niego, z nawyku, ze srogą miną i się odwróciła. O Boże.

Było takie oczywiste, że Flint to jedyny mężczyzna dla niej. Że należał do niej, a ona do niego. Wiedziała, że gdyby nie on, stałaby się chudą i zwiewną panną o natchnionych oczach, walczącą o słuszne sprawy, jak Olivia Eversea, co i tak miała ochotę zrobić. Albo niewygodnym ciężarem dla rodziców, ukrywanym gdzieś wstydliwie członkiem rodziny, mającym kiedyś urozmaicić rodzinne opowieści.

Ponieważ kryła w sobie tajemnicę.

- Co tu robisz? - zaczęła ostrożnie.

- Przyjechałem po ciebie - oznajmił po prostu.

- Przyjechałeś po mnie? Jakże to podobne do rozkazu. Jednak nie jesteśmy już na twoim statku, kapitanie Flint. Od tygodni nie obierałam ziemniaków i nie możesz mnie teraz do tego zmusić.

Wydawało się, że zabrakło mu słów.

A ona poczuła się nagle zawstydzona na widok jego pobladłej twarzy. Nie mogła znieść jego niepewności.

- Przykro mi, że opuściłam cię w ten sposób - odezwała się nieśmiało. Zdziwiła się, słysząc, że mówi szeptem.

- Wiem - powiedział łagodnie. - Nie postąpiłbym inaczej. Zrobiłaś, co należało.

- Tak...? - Zastanawiała się, co miał na myśli: to, że wyjechała, że wzięła szkatułkę, ostrzegła Lyona czy...

Uśmiechnął się lekko.

- Wszystko, co zrobiłaś, było słuszne. Działałaś dla dobra kogoś, kogo kochasz. Nigdy nie udawałaś, że zamierzasz postąpić inaczej. Oboje o tym wiedzieliśmy.

Dlaczego stał na skraju dywanu, jakby to było jezioro lawy, a ona nieosiągalną wyspą?

Musiała to wiedzieć. Musiała zapytać.

- Flint... dlaczego tu jesteś? Gdzie jest Lyon?

- Jestem tutaj, ponieważ chciałem, żebyś wiedziała, że to, co zrobiłem, zrobiłem... dla kogoś, kogo kocham.

Dłonie jej zwilgotniały. Kiedyś myślała, że skończy życie z nudów, a teraz jakoś nie była w stanie bawić się napięciem i niepewnością. Nerwowo otarła dłonie o spódnicę. Jeszcze dwa tygodnie wcześniej nie przyszłoby jej to głowy. W szczególnych okolicznościach przestawała troszczyć się o wygląd stroju.

- A co uznałeś za słuszne, żeby to zrobić? - Nerwy miała napięte jak postronki. Głos był słaby, niemal piskliwy.

- Widziałem się z Lyonem - oznajmił po chwili. Zapadła cisza.

A potem uśmiechnął się łobuzersko. Taki zadowolony z siebie. I z niej.

Bała się, że zemdleje. Myślała, że owinie się tym uśmiechem jak szalem, pozwoli mu się ukołysać, jakby leżała w hamaku. Już miała się oprzeć ręką o kanapę, żeby nie upaść. Opanowała się jednak.

- Widziałeś się z Lyonem? - powtórzyła. Wyciąganie z niego wiadomości było męką. - Rozmawiałeś... z nim?

- Tak. A potem go zostawiłem. Była oszołomiona.

- Ale...



- Violet... on jest taki do ciebie podobny. - Zaśmiał się niepewnie. Rękami odsunął nerwowo włosy z czoła.  
- Gdzie on jest? - Rozejrzała się nieprzytomnie dookoła. - Co takiego zrobiłeś?  
- Kocham cię, i to jest najważniejsza rzecz na świecie, Violet -odparł łagodnie. - Zostawiłem go w Kadyksie. Ma jeszcze zadanie do wykonania. Tak mówi. Wygląda dobrze.

Dobrze.

- Flint... W szkatułce Lyona znalazłam dziennik kapitana Morehearta i... figurują tam wszyscy inwestorzy. Wiem, co robi Lyon i dlaczego to robi, i dlatego nie chciałam ci mówić o kapitanie Morehear-cie...

- Wiem. Wiedziałaś, że dowodził i inwestował w statki przewożące niewolników. Jak oni wszyscy. - Jego głos brzmiał ponuro. - Nie jestem w stanie zrozumieć dlaczego. Nie mogę się z tym pogodzić. Ale niemniej go opłakuję. Przypuszczam, że wymierzono mu sprawiedliwość, choć to nie należało do Lyona.

- Czegoś nie wiesz, Asher. - Jego twarz złagodniała nagle, kiedy usłyszał z jej ust swoje imię. Kocham cię. - Jednym z inwestorów wymienionych na ostatniej stronie dziennika Morehearta jest... Jacob Eversea.

Flint zmarszczył brwi. Potem twarz mu się wygładziła.

- Ojciec Olivii? Violet skinęła głową.

- To by ją zabiło. I zrujnowało rodzinę Eversea, gdyby ktoś się dowiedział. Zostawił mnie, że tak powiem, z naładowaną bronią. Ten okropny Lyon każe mi decydować, co z tym zrobić.

- Co za biedak. - Miał na myśli Lyona. - A ja przez dwa tygodnie sądziłem, że to my mamy dylemat. - Wydawał się niemal rozbawiony. - Mówił, że ma jeszcze coś do zrobienia, żeby udowodnić czyjaś niewinność bądź winę.

Zapadła cisza. Patrzyła, jak wahadło w zegarze ojca odmierza czas. Nadeszła pora na bardzo ostrożne pytanie.

- Ale Flint... a więc to znaczy... że już nie chcesz schwytać Lyona? Że powiesz królowi, że zawiodłeś?

- Cóż, nie podoba mi się szczególnie słowo „zawiodłeś”. - Och, dobrze. Rozbawiło go to. - Violet, kiedy zobaczyłem Lyona, wiedziałem,

że zatonąłem. Żyję tylko po to, żeby uczynić cię szczęśliwą, Violet. Jesteś mi potrzebna. Należę do ciebie. Proszę, na miłość boską, czy mogę cię teraz dotknąć?

Dopiero teraz, kiedy opanowanie zaczynało go opuszczać, stwierdziła, z jakim wysiłkiem starał się je zachować.

O mało nie rzuciła się w jego ramiona. Wyciągnęła rękę i on wyciągnął rękę; ich dłonie wisiały w powietrzu, łącząc i oddzielając ich ciała na odległość ramion. Jej dłoń była zimna, jego ciepła, trzymał ją, jakby stanowiła kotwicę na ziemi, czy też coś, co mogłoby umożliwić mu wzlot w niebo, jak latawcowi.

Chciała wiedzieć więcej.

- Ale to znaczy...

- To znaczy, że cię kocham, Violet. Nigdy nie powiedziałem tego głośno żadnej innej istocie ludzkiej.

Powiedział to szybko i bezbarwnie. Jakby bał się słów. Violet pławiła się w nich, tak jakby grzała się w słońcu po pochmurnym dniu. Zamknęła oczy. Czowała, że promienieje od wewnątrz.

- Nie każ mi tak po prostu stać tutaj po tym, jak to powiedziałem - poprosił sztywno. - To upokarzające.

- Ja też cię kocham - odparła cicho, pośpiesznie. Onieśmielona. Wciąż z zamkniętymi oczami.

Boże. A więc to taka jest miłość. Czujesz się niezręcznie i głupio.

Wtuliła się w niego gwałtownie; ich ciała wiedziały, co robić, kiedy brakowało słów. Wtopiła się w niego całkowicie. Przycisnęła ucho do jego piersi, żeby usłyszeć bicie serca, czuć oddech. Objęła go mocno, upewniając się, że jest tutaj i że go nigdy nie opuści.

Nigdy już nie zostanie sam.

- To także znaczy - odezwał się nad jej głową - że mam ziemię, ale nie pieniądze, żeby ją utrzymać. Tylko szumny tytuł. Zawsze mogłabyś poślubić Lavaya zamiast mnie. Myślę, że nawet on ma więcej pieniędzy w tej chwili niż ja.

- Mam posag - powiedziała w roztargnieniu. - Mój ojciec będzie raczej zadowolony, wydając mnie za hrabiego. Tak sądzę. Nawet takiego, jak ty.

Odsunęła się nagle i stwierdziła, że rozbawiło go to „takiego, jak ty”, ponieważ jednak nie zamierzał jej puścić, ponownie schroniła się w jego ramionach.

- Ale zaraz... Weźmiemy ślub? - zapytała, zapominając, że może powinna poczekać, żeby to on postawił to pytanie.

- Tak myślę. A ty nie? Czy powinienem oświadczyć się w bardziej romantyczny sposób?

- Nie. Nie jesteśmy romantykami - szepnęła.

- Ani trochę - mruknął Flint tuż przy jej ustach. - Ale umrę, jeśli nie pocałuję cię właśnie teraz...

Dotknął jej ust i ich pocałunek okazał się prawdziwie dziki.

Była szczęśliwa. To było coś nowego - pocałunek zawierał obietnicę, był cudowny i pełen pokory, niezwykle erotyczny. Całował ją, jak człowiek wygłodniały, jakby pragnął ją osiąść tutaj, zaraz, a ona poddawała się temu z rozkoszą, wsuwając dłonie w jego włosy.

- Ale twój dom w Ameryce... - szepnęła, kiedy uznali, że muszą zaczerpnąć powietrza. - Wszystko, czego chciałeś...

- Ty jesteś moim domem. Pójdę, dokąd zechcesz. Czy to na ziemi, czy to na morzu. - Poruszył się, żeby znowu ją pocałować.

- Naprawdę? - Odsunęła się na chwilę. Zagryzła wargi. Zmartwił się.

- Zastanawiasz się? Nie rób tego. - Pochylił się ku niej. Trzymała się tuż poza zasięgiem jego ust.

- Ale może spodoba mi się w Ameryce. Albo tobie spodoba się Sussex. W Anglii też masz posiadłości.

Przypuszczam, że to zależy od tego, czy chcesz, żeby nasze dziecko urodziło się jako obywatel brytyjski czy amerykański.

Jego twarz straciła wszelki wyraz, jakby otrzymał cios pałką. Rozluźnił uścisk.

Nie chciała, żeby tak się to potoczyło.

- Jesteś... My... - Przerwał.

Nigdy nie miała zapomnieć, jak zmieniła się jego twarz. Tak wygląda radość. Niemal zapłakała. Czowała palące łzy pod powiekami.

- Będziemy rodziną. - Znowu poczuła się onieśmielona. - Czy ty nie zemdlejesz? - Podtrzymała go. - Jesteś bardzo błądy.

- To barwa szczęścia.

Uśmiechnęła się nieznacznie. W istocie czuła strach. Przyszłość ją oszałamiała. Ktoś jednak musiał zaopiekować się hrabią Ardmay,

a ona chciała tego przywileju dla siebie na resztę życia. Nie wątpiła, że on sprosta zadaniu opieki nad nią.

Dostrzegł coś niepokojącego w jej twarzy.

- Czy to ty nie zamierzasz zemdleć, Violet? Może usiądziesz na kanapie?

Zanim zdołała odpowiedzieć, uniósł ją w ramionach, przejmując dowodzenie.

- Tak, musimy przenieść się na kanapę, jeśli chcesz mnie całować i... w ogóle... Drzwi są zamknięte. Przekonamy się, czy potrafisz mnie całować tak, żebym przynajmniej zobaczyła gwiazdy.

A kapitan Flint, zawsze gotów podjąć wyzwanie, zastosował się do tego z ochotą.

Oboje, rzecz jasna, zobaczyli gwiazdy. Takie, według których mieli nawigować odtąd już zawsze.

### ***Podziękowania***

***Słowa wdzięczności kieruję do osób, które sprawiły, że moje wymarzone zajęcie, pisanie książek, stało się jeszcze bardziej satysfakcjonujące. Są nimi wspaniała, mądra redaktorka, May Chen, i mój doskonały agent literacki, Steven Axelrod, a także wszyscy utalentowani, nieszczędzający wysiłku pracownicy Avonu, dzięki którym powstała ta książka. Dziękuję też Kim Castillo za nieocenioną (i dającą mi wiele radości!) pomoc oraz wszystkim czytelnikom za ich życzliwe opinie o książkach, które lubią. Wyrażam też najgłębsze uznanie księgarzom zajmującym się sprzedażą romantycznych powieści.***